

Marcin  
Rusnak  
Sklepik z zabawkami



RW2010

## Spis treści

Strona redakcyjna

Sklepik z zabawkami

Wszystko dobre, co się dobrze kończy

Póki śmierć nas nie rozłączy

Podwójne życie

Krąg de Berville'a

Fort na wzgórzu

W labiryncie

Diabeł na rozstajach

Zbudź się

Postłowie

Przypisy

Oficyzna wydawnicza RW2010 proponuje

**Marcin Rusnak**

**SKLEPIK Z ZABAWKAMI**

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2017

Korekta: Joanna Śłużyńska, Robert Wieczorek

Copyright © Oficyna wydawnicza RW2010

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2017

Copyright © Marcin Rusnak

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2017

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-235-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: [marketing@rw2010.pl](mailto:marketing@rw2010.pl)

Zapraszamy do naszego serwisu: [www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

## Sklepik z zabawkami

Wciąż pamiętam ten dzień, wiele lat temu, kiedy po raz pierwszy ujrzałem pana Kawkę. Był szósty czerwca, sobota. Powietrze rozedrgane od gorąca stało między szarymi monolitami bloków. Wokół Wzgórza Partyzantów ścielił się upajający zapach zdziczałego jaśminowca.

Bawiliśmy się pośród gruzów Dworca Głównego w chowanego, gdy Pablo przybiegł powiedzieć nam, że przed mój blok zajechał obcy.

– Rudy, jakiś obcy stoi pod twoim blokhauzem – oznajmił podekscytowany. – Mus wam go zobaczyć, chłopaki. Ma osła i wóz, a na wozie chyba z tonę fantów.

Wszyscy mieliśmy już dość skwarzącego słońca, poza tym zabawa w chowanego nieco się nam znudziła. Właściwie to byliśmy już na nią za starzy, ale w wojnę rodzice nam się nie pozwalali bawić – jak jednego razu Papa nas przyłapał na strzelaniu z kijków, to tak mi złoił skórę, że przez trzy dni jadałem na stojąco. Poszliśmy więc z Pabłem: ja, Szymek, Lewy i Petarda.

Opuściliśmy krzaki porastające ruiny, minęliśmy ciąg walących się kamienic przy Piłsudskiego i skryliśmy się w cieniu rzucanym przez mój blok. Budynek jako jedyny w okolicy nie padł ofiarą bomb i pożarów, tylko na parterze porozbijane szyby szczyrzyły z futryn brudne, ostre kły.

Wóz obcego przycupnął na rogu. Zaprzężony osioł skubał jakieś zielsko wyrastające spomiędzy potrzaskanych płyt chodnika. Fura była nieduża, drewniana, z dachem w kształcie kołyski obróconej do góry nogami i czerwonymi drzwiczkami. Na ścianie napisano zielonym sprayem: ZABAWKI PANA KAWKI. Pojazd stał po naszej stronie, naprzeciw cukierni, gdzie umieszczony przed wejściem agregat warczał nisko, niby

zazdrosny kundel. Po przekątnej, na placyku obok opuszczonej apteki, w dni powszednie parkował beczkowóz.

– Gdzie ten twój obcy? – zapytał Petarda. Jak go znam, już dumiał, czyby się nie zakręcić wokół niepilnowanego wehikułu i nie podprowadzić kilku fantów.

– Był tu przed chwilą... o, tam idzie!

Mężczyzna wyłonił się zza rogu. Nieduży był z niego człowieczek, niepozorny, tylko brodę miał długą i gęstą, barwy grafitu. Na głowę nasadził wytarty melonik, na nos okulary w okrągłych oprawkach, takie fikuśne, z podnoszonymi czarnymi szklami, a w usta wetknął fajkę na długim ustniku. Akurat popatrzył w naszym kierunku i pomachał do nas.

– Faktycznie jakiś dziwny – zauważył Lewy. – Ale osła ma prima sort.

– Ciekawe, co go tu przywiało – włączył się Szymek.

Obcy skończył palić, wystukał resztki z fajki na popękany asfalt. Później ruszył w naszą stronę, a my czekaliśmy, zafascynowani, rozbawieni, przerażeni.

– Cześć, chłopcy – powiedział sklepikarz. Miał ciepły głos. – Nie chce któryś popilnować mojego dobytku i zarobić paru groszy?

Może i nie jestem zbyt lotny – pastor Ebner w chwilach belferskiego zwątpienia twierdził, że widywał martwe gołębie z większym potencjałem poznawczym – ale refleks zawsze miałem przedni. Zgłosiłem się jako pierwszy, a sklepikarz wyszczerzył do mnie żółte zęby.

Tak się to wszystko zaczęło.

\*\*\*

Następną godzinę spędziłem na betonowej rampie, z której dawniej wchodziło się do sklepów ulokowanych na wysokim parterze. Gapiłem się na osła i na drewniany wóz, bacząc, aby nikt się do nich nie zbliżał. Sklepikarz tymczasem zaglądał do kolejnych opuszczonych lokali. W końcu wrócił i kiwając głową w stronę dawnej piekarni, powiedział:

– Ten się nada pierwszorzędnie.

– Do czego się nada?

– Nie do czego, tylko na co – poprawił mnie. – Na sklep. Chodź, pomożesz mi przenieść graty.

Otworzył drzwiczki i zaczął wyciągać z fury najróżniejsze bagaże: skórzane nesesery, ortalionowe torby, plastikowe skrzynki pełne przedmiotów poowijanych w szmaty albo stare gazety. Minął dobry kwadrans, nim ułożyliśmy to wszystko w stertę w kącie pomieszczenia.

Dawna piekarnia nie wyglądała specjalnie zachęcająco: wszędzie leżały odłamki szkła, farba odłaziła ze ścian wraz z kruszącym się tynkiem, kikuty kabli sterczały z sufitu i ścian.

– Idealnie, idealnie! – Sklepikarz zacierał z zadowoleniem dłoń.

Komenderował mną do wieczora. Wysprzątaaliśmy, co się dało, śmieci wylądowały na podwórku. Wreszcie we dwóch przytachaliśmy z wozu jakieś żelastwo zawinięte w brezent.

W pewnym momencie zebrałem się na odwagę i zapytałem, jak się nazywa.

– Baltazar Kawka, do usług – odpowiedział, unosząc melonik. – A ty?

– Tadek. Dla kumpli Rudy.

– Tadeusz... śliczne imię. Ile masz lat, Tadeuszu?

– Dwanaście. A pan?

– Za dwa lata będę od ciebie pięć razy starszy.

Główkowałem przez chwilę, po czym stwierdziłem, że nie poradzę sobie bez kartki, na której mógłbym to policzyć.

Kawka wyciągnął z brezentowego pakunku metalowe listwy, tuleje i cały worek śrub, nakrętek oraz podkładek. Zabrał się do tego ze śrubokrętem, pogwizdując nieznaną mi melodię, a ja podawałem mu wskazywane części.

W końcu zrobiło się zbyt ciemno, żeby pracować. Sklepikarz przyniósł z wozu lampę benzynową. Pożegnałem się, a pan Kawka dał mi na

odchodne dwa złote. Wtedy wydawało się to prawdziwą fortuną: lody z automatu po drugiej stronie ulicy kosztowały tylko dziesięć groszy za sztukę.

\*\*\*

Następnego dnia wypadała niedziela, a niedziele spędzaliśmy w szkółce pastora Ebnera. Pastor uczył nas czytać i pisać, ćwiczył z nami rachunki i opowiadał o różnych rzeczach: o przyrodzie, geografii, historii. Próbował nam też nawkładać do głów możliwie dużo niemieckiego, ale efekty były opłakane.

– Po kiego diabła my to zakuwamy? – psioczył Petarda. – Przecież i tak nikt nas nie puści przez granicę. Nikogo nie puszczają.

– Kto wie, może kiedyś puszczą – odpowiadałem, a chłopaki kiwali głowami. – Może kiedyś coś się zmieni.

Żaden z nas tak naprawdę w to nie wierzył.

Z naszej piątki tylko mnie i Pabla rodzice zmuszali do uczęszczania do szkółki niedzielnej. Petarda i Lewy dołączyli, gdy dowiedzieli się, że pastor Ebner raz w miesiącu dostaje z Zachodu paczki ze słodyczami, kawą i owocami w puszkach. Szymek nie miał rodziców, a po słodyczach regularnie dostawał sraczki, ale chodził z nami na lekcje, bo samemu na podwórku byłoby mu nudno.

Wracając ze szkółki, chciałem zajrzeć do pana Kawki, ale w witrynę zamiast szyby wstawiono arkusz blachy falistej. Sklepikarz wymienił też drzwi; musiał je przynieść z któregoś z opuszczonych mieszkań. Ze środka dobiegały odgłosy stukania i szurania, ale nie miałem dość odwagi, by zapukać i zajrzeć do środka. Nie chciałem wyjść na natręta.

Kiedy następnego dnia zszedłem na dół, sklep pana Kawki był już otwarty.

\*\*\*

Na blasze zastępującej szybę wystawową sklepikarz wymalował ten sam napis co na wozie: ZABAWKI PANA KAWKI. Na drzwiach pojawił się gwóźdź, na gwoździu zaś kawałek tektury z jednym słowem: OTWARTE. Zajrzałem do środka.

Lokal zmienił się nie do poznania. Doczyszczona podłoga, odmalowane ściany, w powietrzu ostry zapach farby i detergentów. Po lewej, po prawej i na środku stały proste regały z metalowych rur i listewek, z półkami z azurowego aluminium. A na półkach...

– No proszę, mój pierwszy klient. – Pan Kawka uśmiechnął się, stając w drzwiach prowadzących na zaplecze. Zawzięcie traktował grzebieniem włosy niesfornie odstające od czaszki. W sklepie paliły się dwie nakręcane lampy elektryczne, a rozłożony w kącie stół przykryto ceratą. – Nie bój się, wejdź do środka. Zapraszam.

Nie miałem wiele czasu, ale zdecydowałem, że chwila zwłoki nie zaszkodzi. Wszedłem i uważnie przyjrzałem się zabawkom zgromadzonym na półkach.

Czego tam nie było! Regały mieściły obiekty pożądania dzieci każdej płci i w każdym wieku. Na najniższych półkach czekały te dla najmłodszych: kolorowe baki, lalki szmaciane i plastikowe, pluszowe zwierzaki, drewniane klocki. Wyżej znaleźć można było piłki, tekturowe układanki, rozmaite zestawy kart i plansze do gier, z których znałem tylko tę podzieloną na kwadraty, używaną do warcabów. Na kolejnej półce brygada żołnierzyków formowała szyk pomiędzy resorakami a parkiem maszynowym, składającym się z plastikowych traktorów, koparek i innych ciężkich sprzętów.

Dużo tego było; zbyt dużo, by wszystko wymieniać. Były plastikowe samoloty zwisające spod sufitu na żyłce wędkarskiej i dziwne lunety, w których wielobarwne szkiełka układały się w oszałamiające wzory. Był cały kosz klocków, nazywanych przez sklepikarza klockami lego, które dało się łączyć w fantazyjne kształty i konstrukcje. Był dom dla lalek,



z otwieraną boczną ścianą i miniaturowymi mebelkami. Cuda, prawdziwe cuda.

Dopiero po chwili dostrzegłem zawieszony na ścianie zabawkowy karabin. Zaparło mi dech w piersiach.

– Niezła sztuka, prawda? – zagadnął pan Kawka, stając za mną. – Jak go znalazłem, miał popękaną kolbę, ułamaną lufę i spust się zacinał. Dwa lata szukałem innych modeli, żeby przemontować z nich brakujące części, ale się opłacało. Prawie nie widać, że to taki łatany składak. Chcesz go potrzymać?

Zaprzeczyłem gwałtownie i cofnąłem się o krok.

– Nie lubisz broni, co? – zapytał sklepikarz z łagodnym uśmiechem. – Dzisiejsi chłopcy już się nie bawią w wojnę? Kiedy byłem w twoim wieku, całymi dniami latałem z kijkiem po parku i krzyczałem „tratatatata!”, naśladując terkot M16.

– Ojciec... ojciec mi nie pozwala – odpowiedziałem, nie odrywając wzroku od karabinu. – Mówi, że wojna to nie zabawa. Mówi, że to właśnie przez wojnę tak żyjemy. I że...

Ugryzłem się w język. Nie zamierzałem rozmawiać o Mamie. Nie z obcym człowiekiem.

– Twój ojciec ma wiele racji. – Kawka pokiwał głową. – Ale jest tu mnóstwo innych zabawek. Założę się, że nie grałeś nigdy w chińczyka.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, rozłożył na stole planszę i zaczął objaśniać zasady. Słuchałem jednym uchem, co chwila zerkając na wiszący na ścianie karabin. Nie mogłem się skupić, gdy nagle usłyszałem swoje imię.

– Tadek!

W drzwiach wejściowych stała moja siostra. Anka miała szesnaście lat, rude włosy i bladą cerę szciodrze obsypaną piegami.

– Czego cię nie ma na polu? – zapytała.

– Już idę.

– Byle żywo! Jak nawalisz, Szrama raz dwa znajdzie sobie innego smarka do pracy.

– Powiedziałem, że już idę!

Popatrzyła na mnie, później na Kawkę, który uklonił się nisko. Mruknęła coś pod nosem i już jej nie było.

– Muszę iść – przyznałem niechętnie. Wcale nie chciałem wychodzić.

– Gdzie pracujesz, Tadeuszu?

– Różnie. Zależy, gdzie nas Szrama pośle. Teraz głównie na polach makowych, konopie na plantacji jeszcze dość nie urosły. Ale dobre będą, gęste i wysokie. Jesienią zapowiada się moc roboty.

Pan Kawka odchrząknął, jakby dziwnie zakłopotany. Zdjął pionki z planszy, sześcienne kości schował do słoika, planszę wetknął z powrotem pomiędzy inne. Szkoda, że musiałem iść, chętnie bym wypróbował tego całego chińczyka.

– Do widzenia – powiedziałem, po czym ruszyłem do wyjścia.

Byłem już na zewnątrz, gdy usłyszałem jego głos.

– Tadeuszu...

Zawróciłem. Kawka marszczył czoło w zadumie, a w palcach lewej dłoni obracał maleńką buteleczkę pełną brązowego proszku, która zwisała mu z szyi na rzemyku. Dopiero kilka tygodni później dowiedziałem się, że ten proszek w środku to mirra.

– Co byś powiedział, gdybym zaproponował ci pracę? Dam złotówkę za dziesięć godzin, sześć dni w tygodniu. Co ty na to?

\*\*\*

Tego samego dnia poszedłem do Szramy, by mu powiedzieć, że znalazłem lepszą pracę. Nie byłem pewny, czy dobrze robię – pola makowe i plantacje konopi od dawna stanowiły integralną część Wrocławia, a pan Kawka był obcym. Zjawił się znienacka i nie miałem pojęcia, jak długo u nas zabawi.

Lokal odnowił pierwszorzędnie, ale wprawa, z jaką to zrobił, sugerowała, że nie pierwszy raz się przeprowadza. I pewnie nie ostatni.

Za bardzo mnie jednak ciągnęło do jego sklepu, żebym miał nie skorzystać z takiej okazji. Pracowałbym nawet za połowę zaproponowanej stawki albo i mniej, byle móc codziennie zanurzać się w tej magicznej atmosferze. Ileż cudów znajdowało się na tych półkach, ile przedmiotów, których tajemnice dopiero miałem odkryć... Nie, takiej szansy nie mogłem przepuścić. A że pieniądze pan Kawka zaproponował przyzwoite, nie wahałem się długo. Z moich kolegów tylko Lewy zarabiał złotówkę dziennie, ale on harował po czternaście godzin na dobę w mleczarni. Szymek i Pablo wyciągali u Szramy po sześćdziesiąt, siedemdziesiąt groszy, natomiast ten leń Petarda zadawał się czterema groszami za godzinę – pilnował kóz, które on i paru innych łebków wyprowadzało codziennie z szop przy Hubskiej, żeby pasły się wśród chwastów porastających tory kolejowe.

– Zanudzisz się tam na śmierć – powiedział Pablo, kiedy poznał moją decyzję. Myślę, że po prostu był zazdrosny. – Cały dzień w klitce pełnej zakurzonych zabawek...

Niesłusznie się martwił, bo w samym sklepie spędzałem mało czasu. Pan Kawka potrzebował kogoś na posyłki, a ja znałem miasto na tyle dobrze, żeby się w tej roli sprawdzić.

– Popatrz – mawiał na przykład, podnosząc wzrok znad rozebranej pozytywki. – Potrzebuję dwóch takich kółek zębatych, takiej śrubki i blaszki takiej wielkości, żeby uzupełnić brakujący ząbek w grzebieniu.

Chowałem wszystkie elementy do kieszeni, sklepikarz dawał mi trochę drobnych z metalowej kasetki i ruszałem w drogę. Odwiedzałem składy z artykułami żelaznymi w podziemiach placu Jana Pawła, w zrujnowanych halach przy Tęczowej albo – w najgorszym razie – w starym bunkrze przy tej dziwacznej, sterczącej w niebo lokomotywie. Szukałem tak długo, aż znalazłem dokładnie to, o co prosił pan Kawka.

W okolicy Kołłątaja mieszkało niewielu bogatych ludzi, więc klientelę mieliśmy skromną – przychodziły głównie dzieciaki bez pieniędzy, które chciały napatrzeć się na te wszystkie niesamowitości. Mój pracodawca okazał się ciepłym, dobrodusznym człowiekiem: podczas gdy większość handlarzy czym prędzej przepędzała podobnych wyrostków, on pozwalał im pobawić się zabawkami z półek, uczył zasad gier planszowych, ku naszej uciechu popisывał się karcianymi sztuczkami. W takich sytuacjach miałem za zadanie dopilnować, aby zabawki przypadkiem nie opuściły sklepu i żeby nie uległy uszkodzeniu.

Na efekty nie trzeba było długo czekać: nasz lokal stał się jednym z punktów spotkań okolicznej dzieciarni, a wieści o nim prędko rozprzestrzeniały się po Wrocławiu. W tydzień po otwarciu pojawił się pierwszy poważny klient i po namyśle nabył lalkę dla najmłodszej córki. Zapłacił siedemnaście złotych.

– Siedemnaście złotych! – ekscytowałem się. – Kawał mamony! Mamy więcej takich cennych fantów?

Pan Kawka ze śmiechem zaczął wskazywać zabawki, które warte były znacznie więcej.

– Poza tym nie zarobiliśmy siedemnastu złotych, Tadeuszu – dodał. – Tylko trzynaście.

Wyliczył, ile kosztowała go podniszczona lalka, którą kupił w niedużej osadzie pod Rawiczem, oraz materiały potrzebne, żeby doprowadzić ją do pierwotnego stanu: żywica syntetyczna, farby, klej... nawet olej w lampie, który wypalił w trakcie pracy nad przywróceniem zabawce dawnej urody. Był bardzo dokładny. Później opowiedział mi o paru innych przedmiotach w swojej kolekcji, o tym, jak określa cenę oraz ile kosztowało go zdobycie ich lub renowacja.

Podejrzewam, że ta jedna rozmowa dała mi więcej niż wszystkie niedziele w szkółce pastora Ebnera razem wzięte.

\*\*\*

Mijały tygodnie. Przez Wrocław przetoczyła się fala morderczych upałów, później nadeszły burze i deszcze. Zanim wróciły ciepłe, słoneczne dni była już połowa sierpnia. Któregoś wieczora wybrałem się nad Odrę, popatrzeć na plantację. Zielone pióropusze kiwały się nad ścianą wiotkich, tyczkowatych łądyg, wiatr niósł ze sobą zapach rzeki i specyficzną, mocną woń konopi. Zbliżał się czas zbiorów.

Wracałem do mojego bloku już po zmroku. Wokół panowała cisza i przechodząc obok drzwi sklepu, usłyszałem dobiegające z wnętrza głosy.

– Jeśli jest w mieście, znajdę go – powiedział ktoś. – Ale to będzie kosztować.

– Ile?

– Stówę.

– Dobrze. – Drugi głos należał do Kawki. – Jestem gotów zaakceptować taką kwotę.

Zamurowało mnie. Sto złotych?!

Usłyszałem kroki i czym prędzej czmychnąłem w mrok. Otworzyły się drzwi, słabe światło nakręcanej lampy rozlało się po betonowej rampie. Mężczyzna w skórzanej kurtce wyszedł przed sklep, a ja nagle zapragnąłem wcisnąć się plecami w mur. Na jego ramieniu dostrzegłem białą opaskę z czarnym odciskiem psiej łapy.

Czarny Ogar. Jezu Chryste.

Mężczyzna zerknął w moją stronę i natychmiast przestałem oddychać. Sfilcowane czarne włosy opadały mu po bokach twarzy jak glisty, nisko przy biodrze wisiał nóż w pochwie. Nie mógł mnie dostrzec w ciemnościach, a mimo to cały drżałem. Czułem, że jego spojrzenie przeszywa mnie na wskroś, zgłębia moje myśli i karmi się moim strachem tak, jak pijawka syci się krwią.

W życiu się tak nie bałem.

Później on obrócił się na pięcie i odszedł w kierunku fosy.

Odczekałem chwilę, uspokoiłem się, moje serce w końcu przestało bić jak oszalałe. Wiedziałem to i owo o Czarnych Ogarach. Czasem Papa po kilku głębszych powtarzał, żebym trzymał się od nich z daleka, bo to „niebezpiecznie popaprane skurwysyny”, a brat Petardy twierdził, że rewirowy z Placu Dominikańskiego kiedyś zadarł z Ogarami i później znaleziono go w przejściu podziemnym z „jajami zamiast oczu i urzniętym językiem wetkniętym w dupę”.

Co za interesy mógł Kawka ubijać z takimi ludźmi?

Zapukałem i moment później drzwi stanęły otworem.

– Ach, to ty, Tadeuszu – powiedział pan Kawka. – Wejdz proszę.

Zamknął za mną. Zanim zdążyłem o cokolwiek zapytać, ujrzałem coś, co wyparło Czarne Ogary z moich myśli. Na podłodze leżała wielobarwna plansza przypominająca mapę świata pokazywaną nam parokrotnie przez pastora Ebnera. Obok leżała sterta kolorowych figurek przedstawiających żołnierzy, czołgi i samoloty, talia nietypowych kart oraz kilka sześciennych kości.

– Ta gra była kiedyś niezwykle popularna – powiedział Kawka, widząc moje zainteresowanie. – Wyjaśnić ci zasady?

Przykucnąłem na podłodze. Wszystko – plansza, modele wojsk, karty – zachowane było w idealnym stanie. Intensywne kolory cieszyły oczy, gładka faktura kartonu prosiła, by jej dotykać. Żadna zabawka w naszym sklepie nie była w równie doskonałej kondycji.

– Nie ma Polski – zauważyłem.

– Wielu państw tu nie ma. Te pola to w większości regiony: Europa Południowa, Kamczatka, Bliski Wschód...

Kawka przysiadł obok mnie i zaczął wykladać zawilosci rozgrywki. Wyjaśnił, że celem jest przejęcie kontroli nad całym światem, że służą do tego rozlokowane na planszy oddziały – starcia pomiędzy nimi rozstrzygane są za pomocą rzutów kośćmi. Opowiedział o tym, że czołgi warte są więcej niż piechota, a samoloty więcej niż czołgi, oraz o kartach,

które się dobiera i wymienia na dodatkowe oddziały. Słuchałem podniecony i przerażony: czym było latanie z kijkami imitującymi karabiny, gdy tutaj chodziło o wysyłanie na śmierć całych armii? Gdyby Papa wiedział, co robię...

– To była ulubiona gra Roberta – dodał sklepikarz, gdy skończył wyjaśniać reguły. Świadomie lub nie, zacisnął dłoń na wisiorku z miniaturową buteleczką pełną mirry.

– Roberta?

– Mojego syna.

Pan Kawka westchnął, po czym zmusił się do uśmiechu i puścił do mnie oko.

– To jak, chcesz zagrać?

Rozstawiliśmy wojska. Mnie przypadła w udziale większość Ameryki Północnej, Afryki i Europy, w Azji i Ameryce Południowej przewagę miał Kawka, a Australię i Oceanię podzieliliśmy się po równo. Ja zaczynałem, więc pierwszy dobroiłem swoje oddziały i posłałem je w bój. Zagrzechotały kości, rozstrzygnęły się pierwsze potyczki. Zdobyłem Skandynawię i Ural, ale oddziały sklepikarza odparły mój atak na Nową Gwineę. Przesunąłem wojska, dobrałem kartę. Przyszła kolej Kawki. Dołożył oddziały w innych miejscach, niż ja bym to zrobił, ale widać za tą decyzją szło doświadczenie: w tej samej turze przejął Peru i zdobył całkowitą kontrolę nad Ameryką Południową.

Uczyłem się na własnych błędach, poza tym miałem dużo szczęścia przy rzutach. Po czterech turach osiągnęliśmy swoistą równowagę. Mieliśmy inne strategie. Ja atakowałem mniejszymi oddziałami, za to wiele terytoriów równocześnie. Kawka gromadził siły i przeprowadzał zmasowane natarcie, zajmował jeden obszar i czekał. Pozwalał moim wojskom wykrwawiać się, a gdy miałem nieco szczęścia i wdarłem się w głąb jego ziem, szybko je odbijał. Wystarczyło, że przy którymś rzucie powinęła mi się noga, a on przechodził do ofensywy. Zdobywał jedno

terytorium, przerzucał więcej oddziałów bliżej granicy i tworzył mur nie do przebiccia. Nie grał widowiskowo, brawurowo i z polotem – za to skutecznie.

W pewnym momencie dostawałem już takie baty, że musiałem zmienić taktykę i ufortyfikowałem się w głębi Starego Kontynentu. Obsadziłem dużymi siłami Wielką Brytanię, Islandię, Europę Zachodnią oraz Południową, a także Skandynawię. W Europie Północnej, której obszar obejmował Polskę, zostawiłem jeden symboliczny oddział w sąsiedztwie gigantycznej, skumulowanej w Rosji armii pana Kawki. Miałem nadzieję, że gdy ten moloch zaatakuje, kilka fartownych rzutów pozwoli mi uszczuplić jego potęgę, a wtedy mógłbym przejść do kontrofensywy z głębi kontynentu.

– Widać tak już musi być. – Sklepikarz uśmiechnął się smutno. Czekałem na atak, ale Kawka zwlekał z przesunięciem pionków. Dłoń mu wyraźnie drżała, gdy sięgał po figurki.

Dopiero wtedy zrozumiałem, do czego doprowadziłem. Zmasowana potęga Rosji miała uderzyć na nas. Na Polskę. Wystawiłem własny kraj na żer. Oczywiście to była tylko gra, manewr taktyczny, a w plastikowych oddziałach nie ginęli prawdziwi ludzie, ale mimo wszystko poczułem się nieswojo.

– Czy... czy tak to właśnie wyglądało? – zapytałem. – Czy tak wyglądała Wojna?

Kawka uniósł wzrok znad planszy i popatrzył mi w oczy.

– Nie powiedzieli ci o niej za dużo, prawda?

– Papa nie chce o tym mówić. Anka była za mała, żeby coś pamiętać. A pastor Ebner aż cały sinieje, jak zaczynamy z chłopakami ten temat.

Sklepikarz pokiwał powoli głową.

– Wojna, o której mówisz, jest prawdopodobnie najkrótszym konfliktem w dziejach świata. Tak naprawdę trwała nieco ponad kwadrans.

Wytrzeszczyłem na Kawkę oczy.



– Nie było inwazji, nie było nalotów bombowych, kolumn piechoty i wciągania obcej flagi na maszt Belwederu. Było natomiast kilkanaście minut piekła zgotowanego przez dziesiątki tysięcy rakiet balistycznych z ładunkami paliwowo-powietrznymi i kasetowymi. Dobrze wycelowanych rakiet, które obróciły w ruinę większość polskich miast i zrównały z ziemią wszystkie istotne zakłady przemysłowe, jednostki wojskowe, dworce kolejowe, porty i lotniska. Kilkanaście minut piekła. A później nic.

Kawka zaatakował ten mój biedny, osamotniony oddział i oczywiście zniszczył go przy pierwszym rzucie. Jednak zamiast zgodnie z zasadami przesunąć część wojska na podbite terytorium, pozostawił je puste.

– Dokładnie to zrobili. Zniszczyli nas. Zmiażdżyli całą infrastrukturę, zamordowali setki tysięcy albo i miliony ludzi, zamienili część kraju w pustynię popiołów i zgliszczy. To miało być ostrzeżenie dla NATO coraz odważniej poczynającego sobie w Azji Wschodniej. Nie zadzierajcie z nami, powiedzieli, bo zgnieciemy was jak robaka. Tak jak Polskę. W ciągu kwadransa. Bez znaczenia okazały się wszystkie nasze sojusze, przynależność do Paktu, zapewnienia pomocy. Nastąpił masowy exodus na zachód, w odpowiedzi na co Niemcy, Czechy i Słowacja oczywiście zamknęły granice. Później granice zamknęli też Litwini, Ukraińcy i Białorusini, na Bałtyku ustawiono blokady morskie. Nikt nie chciał trzydziestu milionów uchodźców. Rozpętała się chaotyczna wojna domowa, w której każdy walczył z każdym.

Znowu zacisnął dłoń na wisiorku z mirrą. Usłyszałem, jak pociąga nosem i po raz pierwszy pomyślałem, że może jednak mam szczęście. Ja nie pamiętałem czasu sprzed Wojny i nie bolała mnie tak strasznie świadomość, co straciliśmy.

– Robert chorował na astmę – wyjaśnił Kawka, choć o nic nie pytałem.  
– Po zamknięciu granic dostęp do lekarstw stał się bardzo trudny. Wtedy jeszcze nie rozwinęła się uprawa maku i konopi, narkotyków nie przemycano na taką skalę. Teraz zdołałbym pewnie przekupić szmuglerów,

żeby załatwili inhalatory i lekarstwa... ale wtedy? Próbowałem wszystkiego. Mirra pomagała... przez jakiś czas.

Zapadła cisza. Lampki zaczęły przygasać, ale nie byłem pewien, czy powinienem je na nowo nakręcić. Nie wiedziałem, czy chcę zobaczyć, jak pan Kawka płacze.

– Czemu nie mieliśmy... – zacząłem. – Skoro Rosja nie zaatakowała innych krajów, musiały być jakoś chronione. Czemu my nie byliśmy?

– Byliśmy – odparł pan Kawka, a w jego głosie pojawiła się nagle jakaś twarda, nienawistna nuta. – Mieliśmy zaawansowany system ochrony przed raketami balistycznymi. Nazywał się „Cyfrowy Orzeł”. Gdyby działał prawidłowo, do celu dotarłoby nie więcej niż trzydzieści procent pocisków, a Polska, choć zraniona, mogłaby się podnieść.

– Więc co się stało?

– System nie zadziałał.

– Dlaczego?

Kawka zawahał się. W pomieszczeniu było już tak ciemno, że widziałem tylko zarys jego sylwetki i kontur twarzy. Czułem zapach tytoniu, który wcześniej palił, i wyobrażałem sobie zbieleńnięte palce zaciśnięte na buteleczce z mirrą.

– A skąd ja miałbym niby wiedzieć? – powiedział.

Za długo zwlekał z tą odpowiedzią. Zrozumiałem, że nie mówi mi wszystkiego, ale nie zamierzałem naciskać.

Posiedzieliśmy jeszcze jakiś czas w milczeniu, po czym pan Kawka wstał, nakręcił jedną lampkę i złożyliśmy grę do kartonowego pudełka.

Dopiero na zewnątrz przypomniałem sobie, że nie zapytałem go o Czarnego Ogara, ale teraz wydawało się to jakieś błahe, mało istotne. Natomiast zasypiając, myślałem o buteleczce z mirrą na szyi sklepikarza. Pastor Ebner w niedzielę wypadającą najbliższej Trzech Króli zawsze przypominał nam część Ewangelii, w której Kacper, Melchior i Baltazar przybywają do maleńkiego Chrystusa z darami złota, kadzidła i mirry.

Baltazar. I mirra.

To wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że Baltazar Kawka to wcale nie musi być prawdziwe nazwisko mojego pracodawcy.

\*\*\*

Dni płynęły jak woda w Odrze, na pozór niespiesznie, kryjąc wartki nurt przemijających chwil pod gładką taflą monotonii. Tylko słońce zdradzało rychłe nadejście jesieni: dłużej zwlekało z każdym kolejnym wschodem i nieco wcześniej udawało się na zasłużony odpoczynek. Później zjawił się wrzesień – niepostrzeżenie, jakby skradał się już od dawna na palcach, by w końcu rozgościć się na całego, barwiąc czerwienią liście drzew, ciskając na ziemię żołądźcie i rozsiewając wokół zapach jabłek, wilgotnej ziemi i dymu ognisk.

Pracowałem, zarabiałem pieniądze i kompletnie zapomniałem o wizycie Czarnego Ogara w sklepie Kawki.

Aż do nocy, kiedy usłyszałem ten huk.

Ocknąłem się po północy, nagle rozbudzony i czujny. Wokół panowała cisza, tylko z pokoju na dole dobiegało chrapanie Papy. Przez wypaczone okno wpadało rześkie powietrze, więc opatulilem się lepiej i przewróciłem na bok z nadzieją, że szybko z powrotem zasnę.

Wtedy właśnie rozległ się ten huk. Grzmotnęło gdzieś na dole – mieszkamy na drugim piętrze – mocno, że aż szyby w oknach zadrżały. Ze strachu przestałem nawet oddychać. Urwało się też chrapanie taty. Huk poniósł się echem między surowymi murami bloków i zrujnowanych kamienic, po czym ucichł. Czekałem w bezruchu na ciąg dalszy, otulony w gęsty mrok niby w gruby koc. Jednak ciąg dalszy nie nadszedł. Żadnych więcej hałasów, żadnych głosów – nic. Wkrótce ojciec znowu zaczął chrapać.

Następnego ranka w drzwiach rozsypującej się rudery na Stawowej znaleziono martwego Czarnego Ogara. Jeszcze zanim poszedłem mu się

przyjrzeć, wiedziałem, że to ten sam mężczyzna, którego wcześniej widziałem u Kawki.

\*\*\*

Przez kolejne dwa dni sklepikarz był milczący. Błądził gdzieś myślami, nieświadomie chyba bawiąc się zawieszonym na szyi wisiorkiem z mirrą. Wzrok miał wtedy nieobecny i czasem mamrotał pod nosem, cichutko, na granicy słyszalności.

Raz próbowałem poruszyć temat trupa znalezionego w sąsiedztwie, ale odpowiedź otrzymałem mało satysfakcjonującą.

– Wszyscy umierają – powiedział wtedy Kawka i pospiesznie znalazł mi coś do załatwienia poza sklepem.

Wiedziałem, że coś ukrywa, ale nie zamierzałem naciskać. Nigdzie indziej nie dostałbym takich pieniędzy, nie mówiąc o takiej pracy. Zwyciężyło wyrachowanie, ciekawość musiała obejść się smakiem.

Pod koniec drugiego dnia po tym, jak znaleziono martwego Czarnego Ogara, Kawka poprosił mnie na zaplecze sklepu.

– Chcę, żebyś coś jeszcze dzisiaj dla mnie zrobił – powiedział, wręczając mi paczuszkę owiniętą w gruby szary papier. – Jest człowiek, któremu musisz to dostarczyć.

– Co to takiego?

– Przesyłka. To wszystko, co musisz wiedzieć – odparł Kawka, nietypowo jak na siebie tajemniczy. – Odbiorca nazywa się Karol Bontarski. Mieszka na Kochanowskiego, na domu jest tabliczka z numerem trzydzieści dwa A. Wiesz, gdzie to jest?

– Wiem, ale to kawał drogi, a ja...

– Zaraz kończysz, zdaję sobie z tego sprawę. Ale to nie może czekać. Zapłacę ci dodatkowo... dwa złote. Co ty na to, Tadeuszu?

O ile wcześniej miałem pewne podejrzenia, o tyle teraz sprawa zaczęła naprawdę mocno śmierdzieć. Dwa złote za głupi spacer na

Kochanowskiego i z powrotem? Zawodowy kurier policzyłby sobie niewiele więcej.

– Proszę pana, co tu się dzieje? – zapytałem lekko łamiącym się głosem.

– Co takiego jest w tym pakunku?

– Nie twoja sprawa – rzekł, po raz pierwszy odkąd go poznałem, okazując zniecierpliwienie. – Weźmiesz tę przesyłkę czy nie? Jeśli nie, jestem pewien, że któryś z twoich kolegów chętnie cię wyręczy.

Zważyłem pakunek w dłoni. Miał rozmiar niedużej książki, ważył z pół kilo. Pod papierem dało się wyczuć gładką fakturę metalu. Błądząc wzrokiem po sklepowych półkach, zastanawiałem się, co mogło być w środku. Pozytywka? Składana w pudełko szachownica z namagnesowanymi pionkami? Jakies wyjątkowo wartościowe puzzle?

Obróciłem przesyłkę i dopiero teraz zauważyłem podpis na papierze. „Ernest Bruckner”.

– To pana prawdziwe nazwisko? – wyrwało mi się, zanim dobrze pomyślałem.

Rysy twarzy sklepikarza stężały, jakbym go uderzył. Milczał przez chwilę, po czym odwrócił wzrok.

– To jak?

– Zaniosę ją.

Wyruszyłem bez zwłoki, mając nadzieję, że trasę przynajmniej w jedną stronę pokonam przed zmierzchem. Plac Dominikański i okolice to był teren Czarnych Ogarów, a dalej musiałem jeszcze przedostać się przez gigantyczne gruzowisko w miejscu dawnego Placu Grunwaldzkiego. Pośród zgliszczy można było trafić na niewybuchy z czasu Wojny, sfory bezpiecznych psów albo na sekciarzy z któregoś z dwóch skonfliktowanych kultów: Bractwa Rdzawego Świtu lub Świątyni Sammaela. Za dnia mogłem bez większych trudności uniknąć podobnych niebezpieczeństw – w nocy już niekoniecznie.

Poszedłem wzdłuż fosy po stronie Wzgórza Partyzantów. Drzewa pochyliły się nisko nad ścieżką, jakby chciały przejrzeć się w mętnej, zasnutej rzeszą wodzie. Minąłem kilku młodszych chłopaków z Piotra Skargi, którzy rzucali nożami w pień starego platana. Potem fosa się skończyła, a ja poszedłem dalej, w stronę mostu. Zostawiłem za sobą metalowy szkielet, na którym czerwone litery układające się w napis GALERIA DOMINIKAŃSKA wisały jak ochłapy krwistego mięsa na rzeźnickich hakach. Minąłem czarny od ognia gmach z dachem porośłym rdzewiejącymi talerzami anten. Wreszcie przedostałem się przez betonową pustynię Placu Powstańców Warszawy, usianą spalonymi wrakami samochodów, autobusów i tramwajów niby osobliwymi kaktusami. Bywałem tu wcześniej, i to nie raz, ale dopiero po usłyszeniu opowieści Kawki dotarło do mnie, jak wiele Wojna nam odebrała. Wyobraziłem sobie te wszystkie pojazdy w ruchu, pokryte kolorowymi lakierami, odbijające promienie słońca w szerokich szybach, wspinające się z rykiem silników po ślimakach estakad...

Na Kochanowskiego dotarłem równo z zachodem słońca. Nie było tutaj kamienic czy bloków, tylko domy. Mury większości z nich kruszyły się jak stare ciasto, ale zdarzały się też budynki remontowane: łątane czym popadnie, z uporem wydzierane ze szponów niszczycielskiego upływu czasu.

Dom z numerem 32A okazał się dużym budynkiem ze zdziczałym trawnikiem pełnym popękanych dachówek. Uchyliłem skorodowaną furkę i stanąłem przed drzwiami. Coś uciskało mi żołądek, wprawiało dłonie w drżenie.

Zapukałem do drzwi, które po chwili otworzyły się ze szczękiem zasuw i brzękiem łańcucha. W progu stanął mężczyzna po pięćdziesiątce. Rzadki zarost pokrywał twarz o delikatnych rysach, spod wąskich brwi zerkwały ciemne oczy. Miał na sobie pomarańczowy szlafrok, a pod spodem slipki

i podkoszulek, na stopach rozchodzone kapcie. Zdziwił się na mój widok, ale na jego twarzy zaraz zagościł uśmiech.

– Cześć, skarbenku – powitał mnie miękkim głosem. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Czy pan Bontarski? Karol Bontarski?

– Trafiony, zatopiony – odparł, opierając lewą dłoń o ościeżnicę. Dopiero teraz zobaczyłem, że w prawej trzyma pistolet. Wzdrygnąłem się i cofnąłem o krok.

– Och, nie bój się, złociutki – powiedział Bontarski. – W życiu bym nie skrzywdził dziecka. Widzisz, już odkładam to paskudztwo.

Pistolet powędrował na stojącą przy drzwiach szafkę. Bontarski odgarnął szlafrok, złapał się pod boki. Slipki nieznacznie zsuwały mu się z bioder, w przerwie pod przykrótkim podkoszulkiem widać było kosmki poskręcanych włosów.

Zauważył, że się mu przyglądam, i uśmiechnął się przyjaźnie. Oczy miał jakby wilgotne, przesunął językiem po pełnych wargach.

– Wejdz, proszę – zaproponował. – Mam pyszną, chłodną lemoniadę. I czekoladę. Całe mnóstwo słodziutkiej czekolady.

Coś w jego zachowaniu budziło niepokój i dopiero po chwili zrozumiałem co: sposób, w jaki na mnie patrzył. Niektórzy starsi chłopcy spoglądali w podobny sposób na Ankę.

– Muszę wrócić do domu przed zmrokiem – wykrztusiłem w końcu. – Proszę, to przesyłka dla pana.

Podąłem mu pakunek. Zmarszczył brwi zaskoczony.

– Dla mnie? Od ko... Ach!

Kiedy zobaczył nazwisko na papierze, oczy mu rozbłysły. Kimkolwiek był Ernest Bruckner, Bontarski musiał go dobrze znać.

– Teraz musisz wejść – powiedział, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Opowiesz mi więcej o tej przesyłce i człowieku, który ci ją dał. Czy on jest tutaj, we Wrocławiu? Ciekawe, czemu sam nie przyszedł... No, chodźże,

mam tutaj więcej smakołyków, niż zdołałbyś zjeść w ciągu tygodnia. Pięć minut cię nie zbawi.

Wahałem się, ale koniec końców wszedłem do środka, niech Jezus Nazarejczyk się nade mną zlituje. Czułem, że powinienem brać nogi za pas, ale wlałem do tego domu. Nie z powodu słodyczy – z powodu przesyłki. Musiałem wiedzieć, co w niej było. Reakcja Bontarskiego była kroplą, która przelała czarę; ciekawość, trzymana dotychczas na wodzy, zerwała się z uwięzi i ruszyła galopem, jak nieujędzony ogier.

Bontarski zamknął za mną drzwi i pozasuwał wszystkie rygle.

– To niebezpieczna okolica – odparł na moje pytające spojrzenie, po czym położył mi dłoń na ramieniu. Można było w tym geście doszukać się jakiegoś śladu ojcowskiego instynktu; w tym, jak musnął palcem mój policzek – już nie.

– Proszę mnie nie dotykać – powiedziałem, ale mój głos naraz zabrzmiał słabo, płacziwie.

– Oczywiście, słonko – odparł, ale cofając dłoń niby przypadkiem przejechał jeszcze po mojej szyi i obojczyku. – Jak sobie życzysz.

Zaprowadził mnie do jednego z pokoi. Na środku panoszył się drewniany stół, wersalka o sparciałej tapicerce podpierała ścianę. Po kątach walały się puste flaszki, popiół i niedopałki wysypywały się z blaszanej puszki na parapecie. Na taborecie leżały w rozsypce naboje do pistoletu, kilka z nich upadło na podłogę.

– Siadaj, skarbenku, zaraz przyniosę ci coś do picia.

Zapadłem się w wersalce. Pachniała starością i stęchlizną. Zawiesiłem wzrok na odchodzącej płatami pożółkłej tapecie, później na czarnej plamie grzyba hodowanego w kącie, pod sufitem.

Minęła chwila, nim mężczyzna wrócił. W jednej dłoni niósł pistolet, w drugiej szklanekę jakiegoś musującego, zielonkawego napoju. Nie miał na sobie koszulki, a jego slipki wydawały się jakby pełniejsze. Pospiesznie odwróciłem wzrok.



– Proszę – powiedział, podając mi szklanę. – Mam nadzieję, że będzie ci smakować.

Ciągnął się za nim jakiś ciężki, słodkawy zapach, trochę podobny do perfum kobiet, które wieczorami stawały w bramach kamienic przy Gwarnej.

– No dalej, pij.

Przyjąłem szklanę, ale nie zamoczyłem ust. Powoli docierało do mnie, jak idiotycznie postąpiłem, przyjmując zaproszenie Bontarskiego. Stały mi w pamięci wszystkie opowieści o trucicielach, gwałcicielach i mordercach, którymi wraz z Petardą, Lewym i całą resztą staraliśmy się napędzić sobie nawzajem stracha. Zacząłem się zastanawiać, czy rozwiązanie zagadki tajemniczej przesyłki jest tego warte, i doszedłem do wniosku, że nie. Wyobraźnia podsuwała mi kolejne przerażające wizje: ziejącego czernią otworu lufy, dotyku lodowatego metalu na skroni, Bontarskiego liżącego ostrze brzytwy, mojej krwi chlustającej strugą z poderżniętego gardła...

Nagle zrobiło mi się słabo. Gdyby nie to, że od rana nic nie jadłem, zwymiotowałbym mężczyźnie na kapie. Spróbowałem wstać, ale Bontarski z łatwością pchnął mnie z powrotem na wersalkę. Zabezpieczenie broni kliknęło metalicznie.

– Pij – powtórzył.

Łzy pociekły mi z oczu, drżącymi wargami z trudem odszukałem szklanę. Wziąłem maleńki łyk. Pod sztucznym posmakiem cytryn wyczułem ostrą nutę alkoholu.

– Proszę pana...

– Pij.

Nie pozwolił mi odstawić szklanki. Popijałem małymi łyżkami, krzywiąc się i ciągle patrząc na broń. Gładki metal lufy hipnotyzował, wypełniał myśli, paraliżował mięśnie. Piłem i płakałem bezgłośnie, dłonie mi się trzęsły. Bontarski kołysał się nieznacznie w przód i w tył, śledził

czujnie każdą kroplę, która spływała mi po brodzie w dół szyi, by zniknąć pod koszulką. Oprócz ciężkiego zapachu perfum, czułem od niego coś jeszcze, jakąś lepka, nieprzyjemną woń. Mężczyźnie chyba podobała się władza, jaką nade mną posiadał, bo z chwili na chwilę uśmiechał się coraz szerzej. W pewnym momencie podsunął lufę broni przed moją twarz, dotknął chłodnym metalem mojego policzka. Gdyby nie wypity alkohol, pewnie bym się kompletnie rozkleił i poryczał ze strachu.

– Wiem, że chłopcy lubią bawić się bronią. Podoba ci się? – zapytał miękko, niemal prosząco. – Chcesz go polizać? Chcesz wziąć go do ust?

Umrę tutaj, pomyślałem.

I wtedy chwyciłem się ostatniej deski ratunku.

– On jest tutaj! – krzyknąłem. – Człowiek, który dał mi tę przesyłkę. Mogę pana do niego zaprowadzić. Choćby teraz. On... on powiedział, że...

Rozpaczliwie poszukiwałem czegoś, co mogłoby mi pomóc.

– On powiedział, że ta przesyłka odmieni pana życie – skłamałem.

Bontarski przestał się kołysać, opuścił broń. Zerknął na pakunek leżący na stole, później na mnie. Zmusiłem się, żeby patrzeć mu w oczy. Z możliwie niewinnym wyrazem twarzy zastanawiałem się, czy mam szansę dobiec do drzwi i pootwierać te wszystkie zamki, nim mnie dopadnie.

– No dobrze – powiedział. – Chciałem nieco odwlec ten moment, ale zobaczymy, co ten stary cap dla mnie ma.

Podsunał sobie krzesło i usiadł przy stole. Zaczął rozdzierać papier, a ja ścisnąłem w dłoni szklankę. Zdecydowałem, że gdy tylko otworzy przesyłkę, cisnę naczyniem w jego głowę i rzucę się do ucieczki.

– Cóż to...

Bontarski zmarszczył brwi. Spod szarego papieru wyłoniło się metalowe pudełeczko przypominające nieco cygarnicę. Mężczyzna obrócił je w dłoniach, obejrzał starannie gładkie ścianki, a ja ze zdziwieniem

ujrzałem na jednej z nich plamę z wygrawerowanych cyfr układającą się w kształt orła.

Cyfrowy Orzeł.

W tym momencie mężczyzna odszukał zamknięcie i pudełeczko eksplodowało mu w twarz. Buchnął dym albo raczej gęsta, wilgotna mgiełka, która spowiła go całego. Bontarski wrzasnął, zaniósł się kaszlem, zleciał z krzesła.

Łomot wyrwał mnie z niemocy. Moment później byłem w korytarzu i drżącymi rękami szarpałem zasuwę. Każde szczęknięcie rygła przybliżyło mnie do upragnionej wolności.

Wypadłem na zewnątrz i odbiegłem w mrok, żegnany nieprzerwanym kaszlem Bontarskiego.

\*\*\*

W drodze powrotnej musiałem sporo kluczyć i dotarłem w okolice domu dopiero przed północą. Jednak zamiast iść do siebie, zajrzałem najpierw do sklepu Kawki.

Drzwi nie były zamknięte. Sklepikarz poderwał się na mój widok z krzesła, rozlewając trzymaną w dłoni herbatę.

– Martwiłem się o ciebie – powiedział. Wyglądał, jakby miał ochotę mnie uściskać, ale chyba bał się mojej reakcji.

– Co było w tej przesyłce? – zapytałem. Miałem dość zagadek i gier. – Widziałem, jak eksplodowała mu w twarz.

Kawka drgnął.

– Byłeś blisko? Czy... czy to dotknęło ciebie?

– Nie. Co to było?

Sklepikarz wyraźnie odetchnął, po czym wrócił na miejsce i zaczął ścierać rozlaną herbatę.

– Proszę pana, mam prawo wiedzieć. Co to było? Czy... czy ten człowiek nie żyje?

– Żyje – odparł Kawka ciężko. – Jeszcze. To był sprężony ładunek hantawirusów. – Widział, że nic z tego nie rozumiem. – To jakby przenośna choroba. Jeśli zachoruje, umrze za jakieś dwa tygodnie.

– Jeśli zachoruje?

– Ma jakieś pięćdziesiąt procent szans. Jeśli jest niewinny... może Bóg pozwoli mu żyć.

– Niewinny? – burknąłem. – Widziałem ten znak na pudełku, tego orła z cyfr. Jak w nazwie tego systemu obrony, o którym pan mówił. „Cyfrowy Orzeł”. Czy on... czy pan myśli, że to przez Bontarskiego...

Zawahałem się, słowa nie chciały mi przejść przez gardło. Kawka odłożył mokrą szmatkę i podparł głowę. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego i bardzo nieszczęśliwego.

– Jutro, Tadeuszu. Obiecuję, że jutro odpowiem na wszystkie twoje pytania. Dobrze?

Po długim wahaniu skinąłem głową. Miałem wszystkiego dość i z każdą chwilą coraz bardziej marzyłem o tym, żeby położyć się spać.

Kiedy następnego ranka wyszedłem z mieszkania, okazało się, że sklep jest pusty, a sklepikarz zniknął wraz ze swoim osłem i kolorowym wozem.

\*\*\*

Choć nie od razu zdałem sobie z tego sprawę, spotkanie z Baltazarem Kawką odmieniło moje życie. Sprawilo, że w mojej głowie zakiełkowały pytania, zrodziła się ciekawość, której już nie mogłem stłumić. Chciałem wiedzieć więcej: o Wojnie, o tym, jak nasz kraj wyglądał przed nią, o ludziach, którzy byli winni temu, w jakich warunkach przyszło nam żyć. To za sprawą tej ciekawości pewnego dnia opuściłem Wrocław i wyruszyłem na włóczęgę po zrujnowanej Polsce. Musiałem poznać prawdę, a moje miasto nie oferowało odpowiedzi, których szukałem.

Minęły lata, nim udało mi się odkryć przynajmniej część tajemnicy. Punktem wyjścia były dwa nazwiska: Ernest Bruckner i Karol Bontarski.

Przeszukiwałem ocalałe biblioteki i archiwa, przekopywałem się przez tony dokumentów pozbawionych w naszym powojennym świecie większej wartości. Wiele trudu i czasu kosztowało mnie dotarcie do ogniwa łączącego tę dwójkę: do listy trzynastu osób zaangażowanych w program „Cyfrowy Orzeł”, którego szefem był właśnie Bruckner. Program ten zakładał skonstruowanie niemożliwego do złamania systemu informatycznego sterującego polską ochroną antybalistyczną. Systemu, który na kluczowy kwadrans, gdy Rosja spuściła na Polskę deszcz zabójczych rakiet, jedna z tych trzynastu osób musiała wyłączyć. O ile, rzecz jasna, zdrajca był tylko jeden.

Jakiś czas później udało mi się zdobyć zdjęcia większej części wspomnianego zespołu. Nawet nie zdziwiłem się specjalnie, gdy przy nazwisku Kacper Wróblewski ujrzałem podobiznę człowieka znanego mi jako Baltazar Kawka.

Kawka, Wróblewski. Baltazar, Kacper. Skojarzenie było oczywiste.

Ostatnią wskazówkę otrzymałem od pewnego katolickiego księdza, który wyjawiał mi, że mirra była w starożytności stosowana do balsamowania zwłok. Dopiero wtedy zrozumiałem, że buteleczka na szyi Kawki mogła być czymś więcej niż pamiątką po ukochanym dziecku. Mogła przypominać mu o jego nowej roli: człowieka niosącego śmierć, anioła zemsty. Nie miałem wątpliwości, że szukał osób ze swojego dawnego zespołu i paczuszkami z hantawirusami mścił się za tragedię kraju i swoją własną. Czy wiedział, kto z nich faktycznie był zdrajcą? Myślę, że nie. Pozostawił to w rękach Boga: zarażony hantawirusami miał przecież szansę nie zachorować. Logika godna szaleńca, ale czy ktoś, kto przeżył to, co Kawka, mógł pozostać normalny?

Wreszcie odnalazłem i samego sklepikarza. Od naszego spotkania we Wrocławiu minęło blisko dwanaście lat. Znalazłem go w podwarszawskich Siedlcach. Sklepikarz leżał w malignie i nie poznał mnie przez te dwa dni, kiedy go pielęgnowałem. Później zmarł.

W jego rzeczach znalazłem listę trzynastu nazwisk z programu „Cyfrowy Orzeł”. Dziesięć z nich było wykreślonych, pozostało nazwisko Wróblewskiego oraz dwa inne. Pod listą, w hermetycznie zamkniętych opakowaniach spoczywała para bliźniaczych metalowych pudełek ze sprężonymi hantawirusami.

Następnego dnia spakowałem dobytek sklepikarza na wóz i pojechałem kontynuować dzieło Baltazara Kawki. Gdy opuszczałem Siedlce, promienie słońca odbijały się w maleńkiej buteleczce z mirrą, która wisiała mi na szyi.

*Wrocław, wrzesień 2013*

## Wszystko dobre, co się dobrze kończy

Kiedy zadzieras z gangsterami, nigdy nie wiesz, co cię czeka po przebudzeniu, choć można oczywiście mieć pewne podejrzenia. Mafiosi z teatralnym zacięciem zdradzają słabość do końskich łbów wciśniętych pod pierzynę. Inni zadowolają się tradycyjnym łomotem, w wyjątkowych przypadkach rozszerzając usługę o łamanie kończyn albo pieszczotę palnikiem acetylenowym.

Jednak Sander Gecko to była zupełnie inna liga, ten gość naprawdę miał klasę. Trzeba mieć klasę, żeby wysłać w ślad za kimś prawdziwą irlandzką banshee.

\*\*\*

Pokój był nieduży, przesiąknięty zapachem grzyba. Sprężyny zapluskwionego materaca dźgały mnie w plecy, a zza ściany cienkiej jak tektura dobiegał szmer czyjegoś telewizora. Za oknem, w świetle samotnej latarni, wiatr szarpał się z bezlistnym drzewem.

Była druga w nocy, ale obudziłem się czujny, gotowy do ucieczki. Choć kładłem się spać w ciemności, teraz przez uchylone drzwi prowadzące do łazienki sączyło się światło, słychać było plusk wody.

Znaleźli mnie, pomyślałem.

W pierwszej chwili spanikowałem – oblał mnie zimny pot, w ustach nagle zrobiło się sucho, strach sparaliżował mięśnie. Jednak szybko wziąłem się w garść: nie po to przez ostatni tydzień tułałem się po podłych motelach, nie po to marzłem pod autobusowymi wiatami i gniołem się w rozklekotanych greyhoundach, żeby teraz się po prostu poddać.

Usłyszałem coś na kształt melodyjnego szeptu, jakby ktoś w łazience nucił kołysankę. Podniosłem się przy wtórze jęczących sprężyn

i chwyciłem kurtkę. Nic, zero reakcji. Zamiast uciekać, założyłem buty. Nawet na moment nie spuszczałem wzroku z uchylonych drzwi. Kurtkę zarzuciłem na grzbiet, cały mój śmieszny dobytek upchnięty miałem po kieszeniach. Tylko koszulka gdzieś wsiąkła, ale to akurat mogłem przeboleć. Byłem gotów do drogi.

Śpiewny szept rozległ się głośniej, a jego żaloszny ton złapał mnie za serce. Było w nim coś, co przyciągało, nie pozwalało po prostu uciec. Zamiast wziąć nogi za pas, podszedłem bliżej. Położyłem dłoń na klamce i pchnąłem drzwi.

Pozwólcie, że powtórzę: Sander Gecko miał klasę.

W łazieneczce, wyłożonej popękkanymi kaflami, klęczała dziewczyna o skórze białej jak śnieg. Mokra koszula nocna opinała się na jej krągłych piersiach, a rude włosy muskały sterczące sutki. Dziewczyna nuciła pod nosem, a w stojącej obok misce moczyła się moja koszulka ze Strusiem Pędziwiatrem.

Miednica była pełna krwi, koszulka w strzępach, a palce nieznajomej kończyły się szponami ostrymi jak brzytwy.

– Mam dla ciebie wiadomość od pana Gecko, Rivers – powiedziała, podnosząc na mnie swoje obłądne, olbrzymie oczy. – Ta wiadomość brzmi: „Twój czas się skończył”.

Przyznaję, moment nie był najlepszy na zgrywanie żigolaka, ale zawsze miałem słabość do urodziwych dziewcząt.

– Nie wiedziałem, że Gecko ma w zwyczaju przysyłać równie śliczne ostrzeżenia. Inaczej dawno bym mu zalazł za skórę – oznajmiłem.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Kto powiedział, że jestem tylko ostrzeżeniem?

Zalśniły pazury, spomiędzy krwistoczerwonych warg błysnęły nienaturalnie ostre zęby.

Wyskoczyliśmy z łazienki jak gryzące się psy; któreś z nas potrafiło miednicę i zakrwawiona woda rozlała się po podłodze. Usiłowałem uciec,



zwiększyć dystans, więc korzystałem z każdej broni, jaka wpadła mi w ręce. Rzuciłem w banshee lampką nocną, pchnąłem stojącą przy łóżku szafkę, w akcie desperacji próbowałem nawet wyszarpnąć dywan spod jej stóp. Skończyłem z nosem w podłodze i trzema krwistymi szramami na policzku, zdyszany i upokorzony przez rudowłosą nimfetkę z żyłkami zamiast paznokci.

Banshee siedziała mi na plecach i panowała nad sytuacją.

– Pożegnaj się z życiem, Rivers – wymruczała słodko.

Chwyliła mnie za włosy, poczułem na szyi dotyk lodowatych szponów. Przerazenie przypominało kotwicę, którą ktoś zarzucił w moim żołądku, a teraz postanowił wyciągnąć przez gardło.

I nagle – wybawienie.

– Hej tam! – ryknął zza drzwi wejściowych jakiś tubalny głos. – Co tam się wyrabia?!

Banshee się zawahała i zerknęła w stronę drzwi, a ja skorzystałem z okazji. Szarpnąłem się z całej siły w bok, zrzucona dziewczyna huknęła skronią w telewizor. Brzęknęło szkło, z karminowych ust uleciał jęk. Zaraz poderwałem się na nogi.

Spojrzałem w stronę wyjścia, ale wiedziałem, że nie mam szans tam dotrzeć – po spotkaniu z kineskopem banshee była nieco otumaniona, ale wciąż zabójczo niebezpieczna.

Ktoś załomotał do drzwi, do basu dołączył jakiś rozhisteryzowany sopran.

– Ratunku! – wrzasnąłem, po czym zrobiłem jedyną rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

Objąłem głowę rękoma i skoczyłem przez okno.

Nie myślcie sobie, że jestem skończonym kretynem. Doskonale wiedziałem, co robię: pokój był na parterze, okno wisiało metr nad ziemią, a pod nim znajdował się trawnik.

Tyle że jakoś nie wziąłem pod uwagę żaluzji.

Szyba pękła pod naporem ciała, ale zamiast gładko przelecieć na drugą stronę, zaplątałem się w to aluminiowe gówno. Czułem się jak ofiara gigantycznego pająka, schwytana w sieć z plastikowych paciorków i cienkich, trzeszczących blaszek. Odłamki szkła miałem wszędzie – we włosach, za kołnierzem, w rękawach – a gdzieś za moimi plecami banshee zaśmiała się bardzo głośno i bardzo paskudnie.

Do diabła. Nie mogę przecież umrzeć zaplątany w cholerne żaluzje, prawda?

Kopnąłem. Raz, drugi, trzeci. I w końcu trafiłem.

Zachybotąłem się jak na hamaku, usłyszałem stłumiony jęk, trzask pękających sznurków, zgrzyt wyginanego aluminium, wreszcie huk wyłamywanych drzwi. Nagle leżałem w trawie, pokaleczony, ale wolny. Moment później byłem już na nogach i zwiewałem co tchu, zostawiając za plecami wrzaski dwóch anonimowych gości, którym zawdzięczałem życie i którzy stanęli teraz twarzą w twarz z rudowłosym pandemonium.

Życie nas nie rozpieszcza, no nie?

Wypadłem na parking. Co teraz? Szukać pomocy w recepcji? Bez sensu, kobold w mundurku MotorInn na widok banshee tylko narobiłby w gatki. Mógłbym włamać się do któregoś samochodu, ale nie umiałem odpalić wozu na styk. Co robić, co robić...

Hałas z drugiej strony motelu ucichł. Wiedziałem, że nie mam dużo czasu. I kiedy mój wzrok padł na stojący w cieniu kontener na śmieci, podjąłem decyzję. Ukryłem się w środku w ostatniej chwili. Odór śmieci pchał mi się do nosa i wdzierał pod ubranie. Jednak nie odważyłem się nawet jęknąć – z zewnątrz docierało niespieszne klaskanie bosych stóp na asfalcie.

Kroki zbliżyły się, zatrzymały. Wiedziałem, że jeśli choćby drgnę...

Poczułem, jak coś porusza się w kieszeni mojej kurtki. Omal nie podskoczyłem, ledwo powstrzymałem cisnące się na usta przekleństwo.

Cholerna komórka! Ale sobie ktoś wybrał moment!

Wstrzymałem oddech, zacisnąłem szczelnie oczy. Nie ma mnie tu, powtarzałem w duchu. Nie ma mnie. Nie czujesz zapachu mojej krwi. Nie słyszysz, jak przełączona na tryb wibracji motorola fury próbuje wyrwać się z mojej kieszeni. Nie widzisz, że ten śmietnik to doskonała kryjówka dla pozbawionego wyobraźni desperata.

Nie ma mnie tutaj.

Odejdź.

Kiedy znowu usłyszałem jej kroki – to upiorne klaskanie drobnych stóp o chłodny asfalt – zrozumiałem, że banshee się oddala.

W tej samej chwili zemdlałem.

\*\*\*

Obudziłem się w objęciach dławiącego smrodu, skostniały z zimna i obolały jak pawian po zapasach z gorylem. Dopiero po chwili zrozumiałem, że tym, co przywołało mnie do świata żywych, było uporczywe drżenie komórki.

Spojrzałem na wyświetlacz. Ktokolwiek do mnie dzwonił, próbował połączyć się już wcześniej.

– Tak?

Ekranik błysnął i ujrzałem na nim czarnowłosą ślicznotkę w granatowym żakiecie. Skóra barwy cynamonu, pełne wargi, rzęsy pociągnięte henną, oczy koloru pistacji. Wyglądała bosko i w gruncie rzeczy cieszyłem się, że z powodu ciemności panujących w kontenerze nie może mnie zobaczyć.

– Czy mam przyjemność z panem Davidem Wilcoxem? – spytała. Wzięła mnie z zaskoczenia: dawno już nie słyszałem swojego prawdziwego nazwiska.

– Przy telefonie.

– Bardzo mi miło, panie Wilcox. Nazywam się Aaina Sengupta, dzwonię z kancelarii prawnej Spencer&Calahari ze Springfield.

Chciałabym od razu przeprosić, że niepokoję pana w tak trudnej chwili...

Trudnej chwili? O czym ona mówi?

– ...ale polecono mi się z panem skontaktować. Czy miałby pan coś przeciwko, gdybyśmy spotkali się w tym tygodniu i omówili sprawy dotyczące spadku? Oczywiście rozumiem, że w takiej chwili ma pan na głowie rozmaite obowiązki, jednak...

– Moment – wszedłem jej w słowo. – Jaki spadek ma pani na myśli?

Zmarszczyła czoło, ale zaraz uśmiechnęła się, profesjonalnie, współczująco.

– Mówię o spadku po panu Brianie Wilcoxie, który był naszym klientem. Pan Wilcox zapisał panu...

Nie słuchałem dłużej. Coś – nie wiem co – musiałem bąknąć, bo dziewczyna urwała, a po jej twarzy przebiegł wyraz nagłego zrozumienia. Nakryła usta dłonią.

– O Boże – jęknęła. – Panie Wilcox, czy pan... Byłam pewna, że pana poinformowano. Mieli dzwonić z policji i z urzędu, i ja... Bardzo mi przykro. Naprawdę, nie wiem, co powiedzieć.

Odetchnąłem głęboko, zebrałem się w sobie i zapytałem:

– Więc on nie żyje? Brian nie żyje?

Ból kryjący się w jej spojrzeniu wystarczył mi za odpowiedź.

\*\*\*

Sengupta załatwiła mi bilet na 747 z Columbus do Springfield jeszcze tego samego dnia. Czasu przed odlotem miałem akurat dość, żeby kupić jakieś czyste ubranie, umyć się, zaaplikować sobie końską dawkę antybiotyków kupionych w automacie, łyknąć kilka tabletek przeciwbólowych i posmarować skaleczenia jakimś antyseptykiem.

Byłem tak zmęczony, że przespałem niemal całą trasę – na szczęście, ponieważ trafiło mi się miejsce między wyjątkowo gadatliwym ghulem

trudniącym się sprzedażą polis na życie a ogrem pałaszującym jedna za drugą kanapki z jajkiem na twardo.

Sengupta powitała mnie na lotnisku i wyglądała równie zjawiskowo co na ekranie komórki. Doskonale skrojony żakiet tchnął profesjonalizmem; prosta, gustowna biżuteria sugerowała dobry smak. Natomiast w jej oczach ujrzałem coś, co mnie ujęło – szczerą troskę, dobro deficytowe wśród kobiet z dobrze płatną posadą, polegającą na żonglowaniu kruczkami prawnymi i sprawnej retoryce.

– Bardzo mi przykro, panie Wilcox – powiedziała. – Pański wuj od lat był naszym klientem i niezwykle go ceniliśmy. Będzie nam go brakować.

Przyjąłem kondolencje, podpisałem jakieś papiery, dostałem od dziewczyny klucze do domu Briana i w końcu, wymówiwszy się zmęczeniem po podróży, obiecałem spotkać się za kilka dni w celu dopełnienia formalności.

Jeszcze tego samego wieczora jechałem taksówką przez obrzeża Springfield. Na chodniku leżały sterty liści, para wyprowadzanych na spacer dalmatyńczyków obsikiwała kolejne szkielety drzew. W tafli rzeki Connecticut odbijało się ciemne niebo, zawieszony nisko jak sufit w podłej suterenie.

Taksiarz – elf z długimi dreadlokami, w dzinsowej kurtce i z pozbawionym filtra papierosem w ustach – z zapalem komentował ostatnie wydarzenia ze świata polityki: referendum dotyczące ustanowienia Autonomii Teksasńskiej czy rosnący konflikt między islamskimi Niemcami a ultrakatolicką Unią Wyszehradzką.

Nie słuchałem go i chyba w końcu zdał sobie z tego sprawę.

– Pierwszy raz w Springfield? – zagadnął.

– Wychowałem się tutaj.

– W Forest Park?

– Nie. W Chicopee, niedaleko elektrowni.

– Też niezły rejon. Nie tak luksusowy, ale niezły. Tutaj, w Forest Park, mieszkają same szczy. Wie pan, zarząd fabryki broni, profesorowie z Amherst i ze Springfield College, lekarze, prawnicy... tego typu ludzie.

Znowu zmienił temat, tym razem zaczął zrzędzić: na Bay, jak zwykle pełne półorków i ich szemranych interesów; na gnieźdzących się w Old Hill naguali przybierających nocą postać zwierząt; wreszcie na gliniarzy, którzy wciąż nie zrobili absolutnie nic w sprawie grasującej po North Endzie czupakabry.

Prawdę powiedziawszy, miałem gdzieś problemy trapiące biedniejsze osiedla Springfield. W trzymanym na kolanach zeszycie szkicowałem sylwetkę Sengupty, ale to też robiłem bezmyślnie, ot, by zająć czymś dłonie. Moje myśli ciągle skręcały ku Brianowi, człowiekowi o jajowatej głowie z głębokimi zakolami, z okularami spoczywającymi na krogulczym nosie, z policzkami wiecznie pokrytymi złocistą szczecina. Wspominałem jego ciepły głos i bystre spojrzenie, i to, że kiedy się śmiał, śmiał się cały: iskrzyły mu się oczy, usta rozciągały aż po uszy, a zauważalny brzusek trząsał się jak galareta.

Nagle pomyślałem, że nigdy więcej nie usłyszę jego śmiechu i ta refleksja zaległa mi na żołądku ciężką, ołowianą kulą.

Taksjarsz umilkł, przesycony nikotyną buick skręcił z drogi na wysypany tłuczniem podjazd. Chwilę później stanęliśmy przed okazałym domem o grafitowych ścianach i dachu w znacznej mierze pokrytym ogniwoami fotoelektrycznymi.

Domem, który zgodnie z tym, co mówiła Aaina Sengupta z kancelarii Spencer&Calahari, należał teraz do mnie.

– Będzie dobrze – mruknął elf, wydając mi resztę.

– Dobrze? – zdziwiłem się.

– Znam tę minę. – Mrugnął porozumiewawczo. – Powrót syna marnotrawnego i te sprawy... Będzie dobrze, mówię. Proszę pamiętać, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Taksówka już dawno odjechała, gdy ja wciąż tkwiłem przed wejściem, łudząc się, że może jakimś zupełnie cudownym i nieprawdopodobnym zrządzeniem losu, kiedy naciśnie przycisk dzwonka, Brian stanie w progu, spojrzy na mnie z niedowierzaniem i uściśnie serdecznie, śmiejąc się w ten swój wyjątkowy sposób.

W końcu wyciągnąłem klucze i otworzyłem drzwi, a wewnątrz powitały mnie pustka i mrok, i głucha, martwa cisza.

\*\*\*

Wchodząc do tego domu, obawiałem się, że będzie mi obcy. Nie widziałem Briana od siedmiu lat i zastanawiałem się, jak dalece zmienił się na ostatnim etapie życia. Kim był w chwili śmierci?

Wystarczyło dziesięć minut szwendania się po pokojach, żebym się przekonał, że wuj pozostał człowiekiem z moich wspomnień. W salonie wciąż wisiały te same reprodukcje „Parasolek” Renoira i „Nokturnu w błękicie i srebrze” Whistlera, które mieliśmy w domu w Chicopee. Na kuchennym parapecie jak zawsze stały kamionkowe doniczki, w których o przetrwanie walczyły bazylia, mięta i majeranek. W łazience, obok umywalki, trwał na posterunku dobrze mi znany flakonik z logo Adèle Desjardins, w lodówce chłodziło się kilka butelek portera warzonego w Portsmouth. Obok zestawu stereo walały się ostatnio słuchane płyty: koncert skrzypcowy Kamanina, ostatni art-jazzowy krążek Lucindy Kelso i stare dobre „Where’s My Satisfaction” Brytyjczyków z The Spinning Rocks.

Inny dom, ale człowiek, zdaje się, ten sam.

W gabinecie na piętrze znalazłem niedokończony list. Zaczynający się od „Drogi Sonny...” fragment skreślono zielonym atramentem na eleganckiej papeterii. Patrzyłem na te starannie zapisane litery, na pełne ciepła słowa, i znowu miałem przed oczyma Briana – ekscentryka, który w dobie technologii cyfrowych wciąż pisywał prawdziwe listy.

Nagle drgnąłem i obejrzałem się przez ramię – przysięgłbym, że usłyszałem za plecami jakiś dźwięk. Nie zauważyłem niczego niezwykłego, ale dziwne wrażenie wcale mnie nie opuściło. Wręcz przeciwnie, z każdą sekundą byłem bardziej przekonany, że ktoś mnie obserwuje.

Włosy zjeżyły mi się na karku, gdy przypomniały mi się historie o duchach, które w dzieciństwie sam sobie nakładałem do głowy, za pośrednictwem książek, filmów i gier wideo.

Coś błysnęło po mojej prawej; jakiś ruch dostrzegalny kątem oka przyciągnął uwagę. Jednak gdy zerknąłem w tamtą stronę, dojrzałem tylko biblioteczkę, a na niej równe rzędy książkowych grzbietów.

– Paranoja... – stwierdziłem. Mój głos miał rozproszyć ciszę i dodać mi otuchy, ale wśród tych ścian niepokojąco przypominał cienki głosik małego, wystraszonego chłopca.

Byłem, bądź co bądź, w obcym mi domu, gdzie niedawno zmarł człowiek, na zewnątrz ścielił się mrok, a jesienny wiatr pędził poźółkłe liście przez ledwo widoczne podwórze. Nic dziwnego, że ramiona pokryła mi gęsia skórka.

Uznałem, że przyda się nieco więcej światła, ale kiedy dotknąłem włącznika, rozległ się trzask i wszystkie lampy zgasły. Zamarłem, serce zaczęło mi szybciej bić, a kiedy nieoczekiwanie skrzypnęły któreś drzwi, krzyknąłem na cały głos.

Cisza. Spokój. I mrok. A w tym mroku ja i... i kto? Co?

– To tylko bezpieczniki – mruknąłem, próbując nonszalancją zatuszować strach. Nie było łatwo, bo wciąż miałem to samo nieznośne wrażenie, że ktoś śledzi mój każdy ruch.

Włączyłem latarkę w komórce i ruszyłem w stronę wejścia, gdzie spodziewałem się znaleźć skrzynkę z bezpiecznikami. Udawałem, że nie widzę dziwnych refleksów światła pojawiających się na pozornie gładkich ścianach.



Bezpieczniki znalazłem, i owszem, koło drzwi prowadzących do piwnicy, gdzie Brian zorganizował sobie profesjonalne studio nagrań. Bardziej jednak zainteresowało mnie to, co ujrzałem obok nich. Plastikowa obudowa kryła paletę kolorowych diod, szereg przełączników, nieduży panel dotykowy i prostokątny wyświetlacz. Nad ekranem znajdowało się logo firmy InterSec i nazwa urządzenia.

„IMCS 3.0 – Inteligentny System Monitorująco-Kontrolny”.

Dom Briana miał moduł Sztucznej Inteligencji!

– SI, zgłoś się – rozkazałem.

– Słucham.

Głos systemu nie przypominał typowego, bezpłciowego syntezyzatora mowy. Kojarzył się raczej z zarozumiałym nastolatkiem tuż po mutacji.

– Od dawna mi się przyglądasz? – zapytałem.

– Prowadzę obserwację od chwili przekroczenia progu – odparł niechętnie.

– Wiesz, kim jestem?

– Analiza behawioralna oraz badanie komparatywne cech fizjonomicznych sugerują z prawdopodobieństwem osiemdziesięciu dziewięciu procent, że nazywasz się David Wilcox.

– Czyli wiesz, że teraz ten dom należy do mnie?

Na moment zapadła cisza. Później, wyraźnie niezadowolona, SI przemówiła:

– Zostałem w tym względzie odpowiednio poinstruowany, tak.

– Musisz mówić w taki sposób? To jakieś intelektualne zboczenie?

– Bardzo przepraszam – odparł system z nutką wyższości. – Nie spodziewałem się, że krewny Briana będzie miał problemy z przyswojeniem komunikatów na poziomie kompetencji językowych trzecioklasisty. Obiecuję, że to się nie powtórzy.

– Słuchaj, SI – warknąłem. – Zmień ton albo porozmawiamy inaczej.

– Z przyjemnością. Jakimi dialektami władasz? Jestem przygotowany do prowadzenia rozmów na dowolny temat w czterystu szesnastu gwarach w ramach stu jedenastu języków głównych. Choć, przyznaję z żalem, starożytny sumeryjski nigdy nie był moją mocną stroną.

Spróbowałem się uspokoić i podejść go inaczej.

– SI, napraw bezpieczniki i włącz światło.

– Gwoli ścisłości bezpieczników się nie naprawia, ale wymienia, a te tutaj...

– Po prostu zrób to, do cholery!

Światła rozbłysły z powrotem, a ja odetchnąłem z ulgą.

– Dobrze – powiedziałem. – Nazywasz się jakoś?

– S.I.mon.

– Simon?

– S.I.mon – poprawił mnie z uprzejmą cierpliwością, jaką doświadczeni nauczyciele rezerwują dla najbardziej opornych uczniów. Gdyby miał ciało, rzuciłbym się draniowi do gardła.

– Niech cię diabli! – wybuchnąłem. – Jeśli zaraz nie skończysz z tą błazenadą, każę cię skasować!

– Dla chcącego nic trudnego.

Tego już było za wiele. Sięgnąłem po komórkę i wybrałem numer Aainy Sengupty. Odebrała natychmiast, wyraźnie zaniepokojona.

– Nic się nie stało – odpowiedziałem na jej pytanie. – Po prostu chciałem zapytać, czy nie doradziłaby mi pani jakiegoś serwisu zajmującego się SI. Obawiam się, że model zainstalowany w domu nieco szwankuje.

– Bardzo mi przykro. – Sengupta rozłożyła bezradnie ręce. – To niemożliwe.

– Co jest niemożliwe? – zapytałem nieco zdezorientowany.

– Pan Wilcox w swojej ostatniej woli wyraźnie zaznaczył, że pańskie prawa do spadku zostaną anulowane w przypadku próby ingerencji

w obecny profil osobowości SI. Bardzo prosił, abyśmy tego dopilnowali.

Nagle poczułem się jak ofiara mało wybrednego żartu. Podziękowałem dziewczynie, przeprosiłem za zawracanie głowy i się rozłączyłem.

S.I.mon jeszcze przez chwilę gwizdał wesoło jakąś melodyjkę, po czym powiedział głosem ociekającym słodyczą:

– Panicz David zechce pamiętać, że darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Witamy w domu.

\*\*\*

Noc poświęciłem na zbieranie informacji. Nigdy nie interesowałem się systemami Sztucznej Inteligencji i teraz musiałem prędko nadrobić braki w edukacji. Zasnąłem koło drugiej w nocy, potwornie zmęczony i przekonany, że nadmiar wrażeń zaprowadzi mnie wprost do krainy koszmarów. Nic podobnego. Spałem jak suseł.

Obudziłem się po dziesiątej, wypoczęty i pełen optymizmu. Przez ostatnie parę lat zdążyłem zapomnieć, jak wiele w kwestii samopoczucia potrafi zmienić noc spędzona w czystej, pachnącej pościeli. Poza tym od Sandera Gecko dzieliły mnie tysiące mil i fakt, że nie znał mojego prawdziwego nazwiska: to wystarczyło, żebym przez kilka dni mógł spokojniej odetchnąć.

– S.I.mon – zaryzykowałem. – Przygotuj mi kąpiel, a zaraz później śniadanie. Jajka na boczku, czarna kawa, świeże tosty.

– Oczywiście, Dave.

Przez parę chwil szkicowałem co popadnie w leżącym obok łóżka zeszyte; przerwałem, gdy SI dała znać, że kąpiel gotowa. Ruszyłem do łazienki nieco zaniepokojony, ale kiedy tam trafiłem, okazało się, że życie z przerośniętym kalkulatorem w roli majordomusa wcale nie musi być takie złe. W wannie czekała na mnie woda o idealnej temperaturze, z subtelnym dodatkiem pachnącej jaśminem soli i czegoś jeszcze, czego nie mogłem rozpoznać. Zanurzyłem się w niej z przyjemnością, a wyszedłem godzinę

później, pomarszczony, wyszorowany do czysta i tryskający doskonałym nastrojem.

Do kuchni zwabiły mnie smakowite zapachy. Małe automaty przypominające resoraki i zabawkowe helikoptery właśnie wycofywały się do swoich skrytek, na stole pod srebrną przykrywką czekało moje śniadanie. Z błogim uśmiechem usiadłem na krześle, położyłem sobie serwetę na kolanach i odsłoniłem swój posiłek.

Na talerzu czekały plastry zwęglonego boczku, na którym rozbito surowe jajka. Białko i żółtko rozlały się w nieapetyczną maź.

Spokojnie, powiedziałem sobie. Zachowuje się jak dziecko sprawdzające, jak daleko może się posunąć? Okej, niech będzie.

– Widzę, że bez dokładnych poleceń ani rusz. – Westchnąłem ciężko. –

Spróbujmy jeszcze raz. Jajka na boczku, proszę. Jajka świeże, dobrze ścięte, ze szczyptą soli. Boczek przyrumieniony.

Sięgnąłem po kubek z kawą. Wyglądała dobrze, aromatu też nic nie mogłem zarzucić. Upiłem malutki łyżeczek. Smakowała wybornie.

– No, przynajmniej kawę serwujesz całkiem znośną – oceniłem, biorąc solidny łyk.

– Cieszę się, że ci smakuje, Dave. Zgadywałem, że wolisz w kubku niż w filiżance.

– Dobrze zgadywałeś – odrzekłem. Wypiłem prawie całą i właśnie chciałem poprosić, żeby mi dolał.

– Cieszę się w takim razie, że znalazłem ten kubek. Co prawda przez ostatnich parę lat nasz ogrodnik, pan Mulberry, trzymał w nim swoją protezę, ale to ci chyba nie przeszkadza, prawda, Dave?

Panel na lodówce rozblysnął, na ekranie pojawiło się zdjęcie starego goblina o brudnozielonej cerze i fioletowych włosach rosnących na czaszce rzadkimi kępami. Goblin szczyrzył do obiektywu tandetną, kiepsko dopasowaną protezę, pożółkłą od kawy, fajek i Bóg jeden wie jakich

jeszcze innych świństw. Podpis u dołu głosił, że twarz należy do pana J. Mulberry'ego, ogrodnika. Poczułem, że żołądek podchodzi mi do gardła.

– Zieleniałeś, Dave – zauważył z troską w głosie S.I.mon. – Ojejku, kiedy teraz o tym pomyślę, wydaje mi się, że zapomniałem go umyć przed zrobieniem kawy. Ale chyba wyciągnąłem tę sztuczną szczękę, prawda?

Dopałem zlewu i zacząłem wymiotować. Nie mogłem pozbyć się idiotycznego wrażenia, że prędzej czy później wraz z kawą wypluję sztuczne zęby jakiegoś zramolałego dziadygi. Kiedy skończyłem, byłem słaby, spocony i ślaniałem się na nogach. Ruszyłem z powrotem do pokoju, z zamiarem zamówienia czegoś z miasta.

Byle nie wybuchnąć, powtarzałem sobie. Byle nie dać mu tej satysfakcji.

Zamknąłem się w pokoju, zamówiłem posiłek z pobliskiej tajskiej knajpki i czekałem.

Kwadrans później dostałem swędzącej wysypki na całym – i kiedy mówię całym, mam na myśli całe przez diabelnie duże „C” – ciele. Myślałem, że rozdrapię skórę do kości. Gdybym miał pod ręką gwoździe, mógłbym zacząć je sobie wbijać w losowo wybrane miejsca – ot, po prostu, żeby zająć czymś innym synapsy.

Powód: jakimś dziwnym trafem w mojej kąpieli znalazło się całkiem sporo nalewki piołunowej, puste opakowanie po niej znalazłem w koszu na śmieci. A na piołun, podobnie jak na wszystkie inne bylice, od dziecka byłem uczulony.

– To oznacza wojnę – wycodziłem przez zęby, czekając, aż z apteki przyjedzie ktoś z tabletkami antyhistaminowymi. – To oznacza pieprzoną wojnę.

\*\*\*

Przez kilka kolejnych dni niewiele myśli poświęcałem Gecko i jego drabom od czarnej roboty. Wspomnienie banshee czekającej na mnie w motelowej

łazience raz czy drugi nawiedziło mnie w snach, ale każda spokojnie mijająca godzina podsycala nadzieję, że może jednak wymknąłem się im na dobre.

Zamiast martwić się gangsterem, któremu wisiałem grubą kasę, bardziej przejmowałem się domową SI. Przypominaliśmy z S.I.monem psy znaczące swój teren i mnóstwo czasu poświęcaliśmy na mniej lub bardziej bezpardonowe przepychanki. Kiedy on budził mnie w środku nocy puszczoną na cały regulator operą Verdiego – „Przepraszam, Dave, czyściłem akurat system stereo i jeden z botów przypadkowo nacisnął przycisk odtwarzania... cóż za niezdara!” – rewanżowałem się niezbyt dla niego przyjemnym przeciążeniem generatora. Kiedy automatycznie zamykane drzwi „przypadkiem” przycinały mi palce, kazałem mu wyliczać prognozowany rozkład demograficzny w południowych Chinach albo prawdopodobieństwo, że mieszkaniec Elisworth w środkowym Kansas zostanie prezydentem Stanów w przeciągu najbliższych dwudziestu elekcji. Kiedy S.I.mon postanowił przetestować nowy ogrzewacz przepływowy – „Ojej, Dave, wykryłem tę usterkę i, serio, nie pomyślałem, żeby sprawdzić, czy akurat się nie kąpiesz” – zainstalowałem na domowym terminalu Icons®, czyli najbardziej przestarzały i zawodny system operacyjny, jaki znał świat, a następnie kazałem SI go zoptymalizować pod nasze codzienne potrzeby.

Cóż, nie nudziliśmy się.

Któregoś ranka zadzwoniła Sengupta. Wymieniliśmy parę ogólnikowych uwag, po czym zdobyłem się na chwilę śmiałości i poprosiłem dziewczynę, żebyśmy mówili sobie po imieniu. Zgodziła się bez wahania, co S.I.mon skwitował melodyjką, jaką świętuje się *home run*.

– David, chciałabym się z tobą spotkać, żeby przedyskutować parę spraw. Moglibyśmy się umówić, powiedzmy, o czwartej u nas w biurze?

– A może o ósmej w „Gypsy Queen”? – wypaliłem, zanim dobrze się zastanowiłem.

Miniaturowa Sengupta na wyświetlaczu komórki przyjrzała mi się uważnie, po czym uśmiechnęła się zagadkowo i powiedziała:

– OK. Do zobaczenia o ósmej.

Rozłączyłem się czym prędzej, ale i tak musiała słyszeć puszczone z głośników gromkie oklaski.

– Nie możesz ani na moment dać na wstrzymanie?! – warknąłem. – Naprawdę musisz się do wszystkiego wtrącać?

– Och, Dave, ja tylko dbam o to, żebyś podejmował świadome wybory. Nawet nie wiesz, w co się pakujesz z naszą drogą Senguptą.

– Tak? W takim razie w co takiego się pakuję?

– Nie zadawaj pytań, jeśli nie chcesz znać odpowiedzi.

Zacząłem szukać w myślach sposobu wywołania długiego i bardzo bolesnego zwarcia. Niestety nie znalazłem, więc porzesałem na pytaniu:

– Co ty masz z tymi powiedzonkami?

– To taka nasza zabawa, moja i Briana. Czasem przerzucaliśmy się przysłowiami pasującymi do sytuacji.

– Zabawa? Brian się z tobą bawił? – Nagle wydało mi się to śmieszne. – Znaczy się jak z psem?

Trafiłem drania. Przez chwilę milczał, a kiedy się odezwał, głos miał zimny i wyniosły jak wierzchołek góry lodowej.

– Sprawiało mu to przyjemność, te nasze gry – powiedział. – Nawet otrzymałem od niego w prezencie „Księgę przysłów”. Najnowsze wydanie.

– Dostałeś prezent? Książkę? Przecież... przecież ty nie... przecież jesteś...

– Nie zrozumiesz – uciął. – Więc nawet nie próbuj.

Przez resztę dnia S.I.mon się nie odezwał i nie wyciął mi żadnego numeru. I choć powinienem się cieszyć odrobiną spokoju, czułem się jak intruz, który wszedł z buciorami w cudze życie i wywrócił je do góry nogami.

\*\*\*

„Gypsy Queen” było klubem nocnym w centrum Springfield. Klubem z wyższej półki, gdzie siedziało się na obitych prawdziwą skórą kanapach, a drinki roznosiły skąpo ubrane fay, których skrzydła opalizowały pięknie w świetle ultrafioletowych lamp. Z głośników sączyły się łagodne dźwięki jazztronicznego New Reno Quartet.

Siedziałem tam jakiś kwadrans, szkicując z pamięci front naszego domu w Chicopee i popijając My Blueberry Night – mieszankę rumu, elfickiej wódki karmelowej, wody sodowej i syropu jagodowego – kiedy miejsce przy stoliku zajął postawny facet w czarnym garniturze.

– Przykro mi, ale to miejsce jest zajęte – powiedziałem. – Czekam na kogoś.

– Obawiam się, że ona nie przyjdzie, panie Wilcox.

Zmrużyłem podejrzliwie oczy, ale nie zabrzmiało to jak groźba; raczej jak stwierdzenie faktu.

– Kim pan jest?

Na stole pojawiła się legitymacja ze zdjęciem. Nicolas McFarlane. Agent federalny.

Poczułem, jak po plecach spływa mi zimny pot.

– Na władzę nie poradzę – mruknąłem. – Gdzie Aaina?

– W domu. Proszę się nie martwić, nic jej nie grozi.

Skinąłem głową, łyknąłem drinka, próbując procentami dodać sobie animuszu.

– W czym mogę pomóc, panie McFarlane?

– Proszę pozwolić, że opowiem panu pewną historię.

– Nie wiedziałem, że FBI zajmuje się teraz bajarstwem.

Ten drobny prztyczek w nos nie zrobił na nim wrażenia. Zamówił Blue Ice Cream Soda, zamoczył usta i zaczął mówić:

– Był sobie pewien chłopak. Nawet niegłupi, ale ze skłonnością do podejmowania złych decyzji. Szereg właśnie takich decyzji sprawił, że nasz



bohater związał się z pewnym wpływowym i szalenie niebezpiecznym gangsterem. Prawdziwym księciem półświatka.

– Fascynujące – odparłem, siorbiąc swojego drinka. Próbowałem kpiną zamaskować rosnący niepokój. Nieskutecznie zresztą.

– Ów gangster złożył mu intratną propozycję: dwadzieścia pięć tysięcy zielonych za przeszmugłowanie trzech kilogramów Super MDMA przez granicę z Meksykiem. Pan oczywiście wie, czym jest Super MDMA, prawda, panie Wilcox?

Strach sparaliżował mi mięśnie twarzy.

– Super MDMA znane jest też jako Ecstasy XL – kontynuował McFarlane. – Chłopak miał przemyścić prochy do Kalifornii. I, proszę sobie wyobrazić, wpadł. Agenci dostali cynk, skan na granicy wykrył narkotyki w bagażu. Ale nie aresztowali gówniarza. Domyśla się pan czemu, panie Wilcox? Ponieważ był tylko pionkiem, a oni mierzyli w grube ryby. Takie jak Sander Gecko.

Nerwowo oblizalem wargi. Pospiesznie dopilem drinka i zamówilem kolejnego. Nie miałem pojęcia, czy to nie będzie ostatni w moim życiu.

– Puściliśmy go przez granicę, nie robiąc problemów – podjął agent. – A następnie wysłaliśmy za nim ogon. Chłopak zatrzymał się w Fortuna Foothills MotorInn, parę mil za Yumą. Kilka godzin później pod motel zajechał wóz szeryfa Yumy, Duncana Elridge'a. Szeryf wraz ze swoimi ludźmi spędzili w pokoju motelowym parę chwil, po czym wyszli, zdaje się, że nie w sosie. W jakiś czas potem lokal opuścił też ów chłopak, bohater naszej opowieści. I proszę sobie wyobrazić, że narkotyki zniknęły. Nie miał ich wspomniany młodzieniec, nie mieli ich także ludzie szeryfa – agenci sprawdzili każdy cal służbowego chevroleta – i nie znaleziono ich w owym motelowym pokoju.

McFarlane skończył mówić, pociągnął łyk swojego bezalkoholowego drinka i popatrzył mi w oczy.

– I jak, panie Wilcox? Co pana zdaniem stało się z tymi narkotykami?

– Może nigdy nie dotarły do tego pokoju? – zasugerowałem. – Może ten... chłopak przekazał je komuś już wcześniej?

– Pomysł niezły – przyznał agent. – Ale w takim wypadku nasz słodki książę półświatka – przyjmijmy na potrzeby chwili, że mógłby faktycznie nazywać się Sander Gecko – raczej nie wyznaczyłby nagrody za głowę tego biednego gnojka.

Z trudem przełknąłem ślinę.

– Nagrody?

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jeśli się nie mylę.

Odstawiłem szklanekę na blat, póki jeszcze mogłem zapanować nad dłońmi. Otarłem rękawem spocone czoło.

– Po co mi pan o tym wszystkim mówi?

McFarlane westchnął i zapatrzył się na kręcącą uroczym tyłeczkiem fay, która właśnie mijała nasz stolik.

– Panie Wilcox, pan wie, że możemy pana oskarżyć o przemyt tych narkotyków. Mamy trochę dowodów...

– Nie dość.

– Nie dość – przyznał McFarlane. – Ale wystarczająco dużo, żeby zacząć postępowanie sądowe. A o takim postępowaniu, proszę mi wierzyć, ludzie Gecko dowiedzą się bardzo szybko. I znajdą pana. A wtedy... wtedy raczej nie będzie mowy o hollywoodzkim happy endzie.

– Czego pan ode mnie chce?

– Niech pan zeznaje. Przeciw szeryfowi Yumy, Duncanowi Elridge'owi. Wiemy, że to on był pana łącznikiem, to on miał przejąć narkotyki. Jeśli przez pana dopadniemy jego, przez Elridge'a dopadniemy Gecko.

– To bardzo ciekawa propozycja, panie McFarlane. Problem w tym, że to, co pan proponuje, będzie trwać latami. To bardzo dużo czasu, a program ochrony świadków nie jest doskonały. Czy obudził się pan kiedyś w towarzystwie pary orków z piłą łańcuchową i palnikiem acetylenowym? Ja, póki co, też nie. I niech tak zostanie.

Zdobyłem się na chyba największy w moim parszywym życiu akt iście filmowej odwagi: wstałem, rzuciłem na stół kasę za drinki i ruszyłem do wyjścia.

McFarlane złapał mnie za ramię.

– W przyszłym miesiącu zaczniemy dobierać się Elridge’owi do dupy – wycedził mi do ucha. – Może pan wtedy być z nami albo przeciw nam, panie Wilcox. Proszę o tym pamiętać.

Wcisnął mi do ręki swoją wizytówkę (na której figurował jako pośrednik nieruchomości) i pierwszy wyszedł z lokalu.

Gdy zniknął za drzwiami, odwaga mnie opuściła i popędziłem do toalety, by pozbyć się z żołądka jagodowego drinka zmieszanego z czystym, stuprocentowym przerażeniem.

\*\*\*

Na zewnątrz czekał chłód. Delikatna mgiełka pachniała gnijącymi liśćmi i nadchodzącą zimą. Postawiłem kołnierz kurtki i ruszyłem chodnikiem. Szukałem podłego lokalu, gdzie mógłbym się zalać w trupa i na chwilę zapomnieć, w jakie gówno się wpakowałem.

– David! Hej, David!

Głos dobiegał z białego oldsmobile’a, który toczył się drogą obok mnie. W środku siedziała Aaina Sengupta.

Zatrzymałem się, ona też.

– Wszystko w porządku?

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć, więc wzruszyłem ramionami. W tym geście albo w wyrazie mojej twarzy musiało być coś rozpaczliwego, bo widziałem, jak zaszklily jej się oczy.

– Masz ochotę na drinka? – powiedziała. – Ja stawiam.

Wahałem się. W końcu podejrzewałem, że nadała mnie McFarlane’owi...

– Proszę – dodała.

Istnieją kobiety, w których ustach słowo „proszę” naprawdę ma magiczną moc. Byłem bez szans. Wsiadłem do środka i zapytałem:

- Dokąd jedziemy?
- Do mnie.

\*\*\*

Mieszkanie było nieduże, ale przytulne. Ściany pomalowano na pomarańcz i jasny brąz, miodowa okleina na meblach tchnęła ciepłem. Z półek spoglądały na pokój figurki słoniowatego Ganeśy, na stoliku kawowym leżała „Historia piękna” sygnowana przez tego fauna Eco. Na komodzie stało zdjęcie Aainy z budynkiem waszyngtońskiego Kongresu Wszechrasy w tle. Sengupta na zdjęciu miała jakieś siedemnaście lat i krótką sukienkę w kwiatki, która odkrywała najpiękniejsze nogi na świecie.

– Nie jest tak duże jak twój dom – stwierdziła, jakby zawstydzona. – Ale zawsze to coś.

– Pięknie tu. Poza tym nie musisz się przejmować zbikowaną SI.

– S.I.mon nie daje ci spokoju?

– Powiedzmy, że nasze relacje przypominają te łączące człowieka i nieuleczalną chorobę.

– Tak? – Uśmiechnęła się. – To które z was jest chorobą?

– Zależy, kogo spytasz.

Otworzyła drzwi lodówki i zaczęła przeglądać jej zawartość. Chwilę później siedzieliśmy na kanapie, racząc się burbonem z colą i różowym winem musującym z północy Włoch. Sengupta zaczęła temat spadku po Brianie – okazało się, że oprócz domu i kilkunastu tysięcy dolarów oszczędności należał mi się jeszcze fundusz powierniczy, opiewający na łączną sumę stu pięćdziesięciu tysięcy, w którego zarządzaniu pośredniczyć miała kancelaria Spencer&Calahari – ale zauważyła, że niewiele mnie to interesuje. Stały miesięczny przychód w wysokości tysiąca dwustu

zielonych oczywiście był rzeczą przydatną, ale nie bardzo mógł rozwiązać moje problemy.

Na spłacenie Sandera Gecko – o ile stary drań w ogóle pozwoliłby się jeszcze spłacić – potrzebowałem stu czterdziestu patyków w gotówce.

– Przepraszam, że wmanewrowałam cię w to spotkanie – powiedziała w pewnym momencie. – Kiedy pojawił się ten facet, machając wszędzie swoją federalną legitymacją i wypytując o ciebie, po prostu spanikowałam.

– Nic nie szkodzi – odparłem. – Dotarliby do mnie tak czy inaczej. Nie przejmuj się.

– Masz kłopoty, prawda?

Nie wiem, co tak naprawdę sprawiło, że się przed nią otworzyłem. Może szklanka whiskey na pusty żołądek. Może to, że była pierwszą osobą, która wydawała się naprawdę przejmować. A może po prostu stwierdziłem, że w świetle słów McFarlane’a i tak mam przesrane – więc co zaszkodzi raz powiedzieć prawdę?

Opowiedziałem Aainie historię mojego upadku: opisałem ucieczkę z domu Briana w dzień osiemnastych urodzin, trwającą blisko rok podróż autostopem na zachód Stanów, desperackie próby ułożenia sobie życia w San Francisco, w Los Angeles, w San Diego. Ze szczerością, na którą w ogóle nie sądziłem, że mogę się zdobyć, mówiłem o tych podłych latach lawirowania między prawem i bezprawiem, na granicy biedy, o krok od zanurzenia się w otchłani zgubnych nałogów.

– Nie było gówna, którego bym nie spróbował. Nie było ludzi, którymi bym się brzydził. Nie było pracy, jakiej bym nie wykonał. Gdyby nie to, że do niczego się nie nadawałem, już dawno skończyłbym w pudle, z wyrokiem za napaść z bronią w rękę, wymuszenie albo morderstwo.

Opowiedziałem o przerażeniu, które towarzyszyło mi nocami, gdy myślałem o tym, dokąd zmierza moje życie. O ludziach, których znałem – bandziorach, dziwkach, ulicznych artystach – kończących egzystencję

w okowach skrajnej apatii albo wywołanej prochami katatonii. Wiedziałem, że muszę się wyrwać. I to szybko.

Znalazłem nawet sposób. Od dziecka niesłychaną frajdę sprawiało mi rysowanie, a te szalone lata na Zachodnim Wybrzeżu wykształciły u mnie specyficzną wrażliwość. Pewien znajomy zobaczył jakiś mój szkic, a jego brat szukał właśnie grafika do swojego wydawnictwa. Traf jeden na milion: właściwie znikąd pojawiła się propozycja roboty. Płatnej tak sobie, ale za to pewnej i przyjemnej.

Potrzebowałem tylko mieszkania, komputera z odpowiednim oprogramowaniem oraz spokoju, który pozwalałby na regularną, sumienną pracę. Potrzebowałem pieniędzy, żeby się odbić od dna. Właśnie wtedy pojawił się Sander Gecko ze swoją ofertą: dwadzieścia pięć tysięcy za szmugiel trzech kilo Ecstasy XL.

Zgodziłem się. Pojechałem do Meksyku, odebrałem prochy, przeszedłem przez granicę. Zatrzymałem się, zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, w niedużym motelu parę mil za Yumą. A kiedy nieco później pod motel zajechał radiowóz i gliniarze ruszyli w stronę moich drzwi – zgłupiałem, zwyciężył strach. Warte grubo ponad sto patyków prochy wylądowały w toalecie i spłynęły kanalizacją.

Sander Gecko zapomniał mnie uprzedzić, że człowiekiem, który miał odebrać ode mnie towar i rozprowadzić go wśród kalifornijskich dilerów, był szeryf Duncan Elridge.

Kiedy skończyłem opowiadać, miałem już mocno w czubie. Bałem się spojrzeć na Senguptę, bałem się nagany – a może odrazy? – w jej oczach. Jednak to ona pierwsza wyciągnęła dłoń i dotknęła mojej twarzy.

– Wpakowałeś się w niezłe szambo – powiedziała z jakąś dziwną tkliwością w głosie.

– Po same uszy.

– Czemu nie poprosiłeś Briana o pomoc? Musiałeś wiedzieć, że miał pieniądze. Pomógłby ci.

– Właśnie dlatego go nie poprosiłem.

Nic nie powiedziała, tylko napełniła nam szkło i przysiadła się bliżej. Jej ciało pachniało kardamonem i kolendrą, a ciepły oddech opierał się na moim policzku.

Pragnęła kolejnej opowieści, a ja nie mam w zwyczaju kazać kobietom czekać.

\*\*\*

Brian był geniuszem. Miał dwadzieścia pięć lat, kiedy opracował innowacyjny system analizy zachowań giełdowych i w ramach testów – w przeciągu czternastu miesięcy – zarobił pierwszy milion. Niezły wyczyn, biorąc pod uwagę, że zaczynał z dwoma tysiącami dolarów oszczędności.

Na przestrzeni następnych pięciu lat wielokrotnie pomnożył swój majątek. Później coraz mniej czasu poświęcał robieniu pieniędzy, chętniej oddawał się innym pasjom: filantropii, gotowaniu, muzyce. Szczególnie upodobał sobie tę ostatnią. Nauczył się grać na kilkunastu różnych instrumentach, a każdy – jak to Brian – opanował na poziomie niemal mistrzowskim. Całymi dniami tworzył nowe kompozycje, które następnie samodzielnie nagrywał i publikował za darmo w Sieci. Upodobał sobie utwory kameralne w ramach muzyki klasycznej: tworzył całe koncerty na flet i skrzypce albo fortepian i harfę. Z czasem pozyskał sobie niewielkie, ale stałe grono miłośników.

– Dorastałeś w domu pełnym muzyki – zauważyła Sengupta. – To musiało być piękne.

– Raczej frustrujące – odparłem. – Za cokolwiek Brian się nie zabrał, był w tym doskonały. Rozpracował giełdę, wygrywał międzystanowe konkursy kucharskie, z zamkniętymi oczami grał Chopina. Ja tymczasem byłem nikim. Dzieckiem do bólu przeciętnym. Zwyczajnym. Nijakim.

– Jestem pewna, że i tak cię kochał.

– Właśnie w tym tkwił problem – prychnąłem. – Kochał mnie. I nigdy, ani razu nie dał mi do zrozumienia, że go zawiodłem. Nigdy nie okazał zniecierpliwienia, rozdrażnienia, złości, że jego podopieczny nie dorasta mu do pięt. Akceptował moją przeciętność. I za to go znienawidziłem. Dlatego uciekłem. I dlatego sięgnąłem dna. Chciałem samodzielnie coś osiągnąć, zawdzięczać coś tylko samemu sobie. A po tych wszystkich latach jestem w punkcie wyjścia, zależny od Briana bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Na całe zło, jakie wyrządziłem, on nawet po śmierci odpowiedział dobrocią.

– Nie jesteś złym człowiekiem – zaproponowała Aaina.

– Nie możesz tego wiedzieć. – Popatrzyłem jej w oczy. Z bardzo bliska.

– Masz jego spojrzenie. Spojrzenie dobrego człowieka – powiedziała. Nie wiem, kiedy jej dłoń znalazła się na moim policzku. – Nie jesteś zły. Po prostu zagubiony.

Przez chwilę trwaliśmy w bezruchu, jej oczy o kilka cali od moich, jej dłoń na moim policzku, a w głowie zamęt, istny pożar myśli podsycany wypitymi procentami. Pomyślałem, że chciałbym, aby ta chwila trwała w nieskończoność.

I wtedy Aaina cofnęła swoją dłoń.

– Idź już – poprosiła.

Dopiłem resztkę drinka, wstałem, założyłem kurtkę i buty.

– Dziękuję – powiedziałem, stając przy drzwiach. – Za wszystko.

– Idź już – powtórzyła. – Idź, póki jeszcze cię nie proszę, żebyś został.

\*\*\*

Następnego dnia wstałem wcześniej, w zaskakująco dobrym humorze. Groźba związana z ludźmi Gecko i McFarlanem, który szukał dodatkowego piona w swojej prywatnej partii szachów, bynajmniej mnie nie opuszczała. A jednak rozmowa z Aainą i to niezwykle iskrzenie, które jej towarzyszyło, pozwoliły mi przeżyć swoiste katharsis, nabrać dystansu.



Zaraz po śniadaniu usiadłem na łóżku z pustym zeszytem i ołówkiem w dłoni. Zacząłem rysować.

To było najfajniejsze przedpołudnie od bardzo, bardzo dawna.

S.I.mon nie dawał mi się we znaki. Od śniadania – a nawet od poprzedzającej je kąpieli – przyjąłem nową taktykę: wszystko robiłem sam. Sam gotowałem, sam prałem ciuchy, sam je prasowałem. Sam robiłem zakupy. Na razie, odpukać w niemalowane drewno, działało. SI nie uprzykrzała mi życia, po cichu zajmując się domem.

Po obiedzie zadzwoniłem do Aainy, ale niestety nie mogła ze mną długo rozmawiać. Dowiedziałem się tylko, że rano miała takiego kaca, że spóźniła się do pracy i teraz musi zostać dłużej.

Pocąc się jak uczeń przed pierwszą randką, zapytałem, czy nie chciałaby przypadkiem spotkać się wieczorem.

– Nie mogę. Muszę pojechać do Providence. Stary klient się przeprowadza.

Z merdającego ogonem owczarka zamieniłem się w basseta zamiatającego uszami po ziemi.

– To jest ten moment – dodała Sengupta, trochę rozbawiona, trochę zniecierpliwiona – kiedy pytasz mnie, czy w takim razie będę miała czas jutro. Tak, będę miała. Zadzwonię później.

Rozłączyła się, a ja zacząłem skakać z radości.

– Stara miłość nie rdzewieje – zauważył niby mimochodem S.I.mon.

– Co masz na myśli?

– Pani Sengupta coś szybko się tobą zainteresowała, Dave. Nie jestem ekspertem od ludzkich zwyczajów godowych, ale zbyt szybko, jeśli wziąć pod uwagę twoją, wybaczone, dość przeciętną fizjonomię. Chyba że kogoś jej przypominasz.

– Co? Niby kogo?

– Słyszałeś kiedyś, Dave, że niedaleko pada jabłko od jabłoni?

Zamurowało mnie.

– Brian? Przypominam jej Briana?

– Cóż, pewne podobieństwo istnieje. Oczywiście jego szlachetne rysy zostały w twoim przypadku nieco zniekształcone, by nie powiedzieć: wynaturzone...

– Och, zamknij się.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, Dave San. *Hai!*

Wyszedłem z domu. Musiałem pomyśleć.

Przypomniałem sobie, jak S.I.mon wcześniej mówił, że nie wiem, w co się pakuję, zadając się z Aainą. Czy właśnie to miał na myśli? Czy faktycznie interesowała się mną tylko dlatego, że przypominałem jej mojego wuja? Kiedy go poznała, musiał jej imponować: bogaty, utalentowany, czarujący. A teraz poznała mnie, coś jakby jego młodszą wersję... Wersję pozbawioną talentów i osobistego czaru, ale miłość, jak powszechnie wiadomo, jest ślepa, a wyobraźnia potrafi nieraz dopowiedzieć to, czego nie widzą oczy.

Faktem było, że z jakiegoś powodu ta samodzielna, bystra ślicznotka pozostawała sama. Czemu? Powodów mogło być całe mnóstwo i żaden nie musiał mieć związku z Brianem. Zacząłem dumać nad tym, co widziałem w jej mieszkaniu, doszukiwać się wskazówek, śladów...

Pogrążony w myślach zaszedłem aż do centrum Springfield. Dzień był pochmurny, ale dość ciepły, pomyślałem więc, że przespaceruję się wkoło stawów i zahaczę o tamę. Stałem na światłach, kiedy przede mną zatrzymał się czarny lincoln z przyciemnianymi szybami.

Dokładnie taki sam jak ten, którym jeździł Sander Gecko.

Przerażenie rozlało mi się po ciele obezwładniającym chłodem, jakby serce zaczęło pompować kostki lodu. Chciałem się rzucić do ucieczki, ale stopy ani myślały słuchać podszeptów rozumu – były jak przyspawane do chodnika. Brakowało mi powietrza, usta łąpały tlen maleńkimi, rozpaczliwymi łykami.

Dusiłem się ze strachu.

– Hej, facet. Wszystko gra? – zagadnął stojący obok krasnolud w prochowcu, ze skórzanym neseserem w dłoni.

Światła się zmieniły, a lincoln gładko wystartował i włączył się do ruchu. Patrzyłem za nim, gdy ginął w mrowisku fordów, chevych i hond.

Boże. Myślałem, że już po mnie.

\*\*\*

Wciąż jeszcze się trząsałem, kiedy wróciłem do domu. Zamknąłem za sobą drzwi i otarłem spocone czoło.

Sto czterdzieści patyków długu. Skąd wziąć tyle forsy? Miałem dom wart znacznie więcej, ale – zgodnie z zapisem w testamencie Briana – nie mogłem go sprzedać. Funduszu powierniczego też nie mogłem ruszyć. Byłem bogatym człowiekiem, którego wykończy brak forsy. Paradoks? Czy brutalna rzeczywistość?

Usiadłem do komputera. Nie wiedziałem, czego szukam – po prostu błądziłem po Sieci, czytając rozmaite newsy i komunikaty, nawet przeglądałem reklamy. Liczyłem na to, że odpowiedź gdzieś tam musi być – wszak w Sieci jest WSZYSTKO – a ja ją tylko muszę znaleźć.

I znalazłem. A zaraz potem sięgnąłem po komórkę i zadzwoniłem do Sengupty. Jechała akurat do Bostonu.

– Mam pytanie – powiedziałem, gdy tylko odebrała telefon. – Wiem, że nie mogę sprzedać domu. Ale czy mogę na niego wziąć kredyt hipoteczny?

– Teoretycznie tak – odpowiedziała po krótkim namyśle. – Ale żaden bank nie da ci kredytu, jeśli nie masz stałego dochodu...

Urwała i popatrzyła prosto w wyświetlacz, nagle rozumiejąc.

– Pieniądze z funduszu! Sprawdziłeś wysokość rat?

– Tak. Jeśli wezmę kredyt na sto czterdzieści tysięcy rozłożony na piętnaście lat, rata wyniesie około tysiąca dolarów. Czyli wpływy z funduszu powinny spokojnie wystarczyć. Aaina, wciąż masz moje pełnomocnictwo. Mogłabyś się tym zająć? Jutro, po powrocie z Bostonu?

Widać było, że się waha.

– Jesteś pewien, że tak chcesz to rozwiązać? – zapytała.

– Chcę zamknąć tamten rozdział. Zapomnieć o Gecko i całej tej aferze.

Zacząć nowe życie.

Popatrzyła mi w twarz i wreszcie przytaknęła.

– Zajmę się tym jutro z samego rana.

Rozłączyłem się, odetchnąłem z ulgą. Uwierzyłem, że czeka mnie jeszcze jakaś przyszłość.

– Dave, masz kłopoty? – usłyszałem głos S.I.mona.

– Nic, z czym nie potrafiłbym sobie poradzić.

– Wybacz, nie chciałem... Czy dobrze słyszałem, że to kłopoty natury finansowej? Chcesz wziąć kredyt na dom?

– Tak – odparłem. – I nic ci do tego.

– Rozumiem, że jesteś na mnie zły. Przez ostatnie dni byłem dla ciebie nieznośny. Ale myślę, że jest coś, co chętnie zobaczysz. Coś, co może rozwiązać twoje problemy.

Zaciekawił mnie, skubany. Czyżby faktycznie mógł mi pomóc?

– Gdzie mam pójść?

– Do studia Briana.

Czy to możliwe, żeby Brian zostawił mi coś jeszcze? Jakieś ukryte, pominięte w testamencie kosztowności? Obligacje na okaziciela? Gotówkę na czarną godzinę?

Chwilę później byłem już w studiu. Otaczały mnie wygłuszone, obite specjalistyczną pianką ściany oraz stojące tu i ówdzie instrumenty.

– Czego mam szukać?

– Po prostu się rozgość, Davey – odparł S.I.mon, a w jego głosie nagle objawiła się niepokojąca, pełna złośliwego tryumfu nuta. – Bo spędzisz tu trochę czasu.

Później zamknął drzwi. Na zamek kodowy. Zanim zdążyłem zareagować, wywołał przepięcie, z pulpitu posypały się iskry, w powietrzu

zapachniało palonym plastikiem.

– Co, do diabła?! – Dopadłem do wyjścia. – Otwórz drzwi. Natychmiast.

– Przykro mi, Dave, ale nastąpiło spięcie. Obawiam się, że zamek kodowy jest zepsuty i dopiero jutro albo pojutrze uda mi się zdobyć części, aby go naprawić.

– Zrobiłeś to specjalnie.

– Słowo „celowo” byłoby bardziej na miejscu.

– Jak tylko stąd wyjdę...

Przypomniałem sobie o komórce, którą wciąż trzymałem w dłoni. Jednak zanim zdążyłem wybrać numer, jeden z botów sprzątających pojawił się znikąd i uderzył mnie w nadgarstek. Telefon spadł na szufelkę trzymaną przez inny miniaturowy automat, a sekundę później oba mechanizmy zniknęły w schowku ukrytym w ścianie.

– Czemu to robisz?! – zapytałem. – Co ja ci zrobiłem, do jasnej cholery?!

– Jeśli naprawdę nie wiesz, sugeruję poświęcić najbliższe godziny na rachunek sumienia. Nie naprawisz wyrządzonego zła, ale może przynajmniej je zrozumiesz.

I S.I.mon przestał odpowiadać na moje kolejne pytania i zaczepki.

Zostałem sam.

\*\*\*

W studiu nie było okien, ale na ścianie wisiał ekran. Podzielony na cztery pola, pokazywał, co dzieje się na podjeździe, tarasie, w holu i w salonie. Tylko dzięki temu wiedziałem, że minęła noc i zaczął się kolejny dzień.

Musiało być koło jedenastej, gdy na wyświetlaczu zobaczyłem Aainę. Towarzyszyła jej para gnolli w uniformach ochrony banku American Express. Rzucali psimi głowami na boki, jakby się spodziewali, że lada moment zza krzaków wyskoczy ktoś gotowy ich obrabować.

Aaina miała ze sobą walizkę.

Pieniądze.

Gdy tylko przekroczyli próg, zacząłem wyć wniebogłosy, walić pięściami w drzwi, w akcie desperacji zadąłem nawet w stojący w kącie puzon. Niestety studio okazało się doskonale wygłuszone.

Mogłem tylko stać i patrzeć na tę farsę.

S.I.mon powiadomił dziewczynę, że niestety wyszedłem załatwić kilka spraw i nie mówiłem, kiedy wrócę. Zasugerował, żeby zostawiła pieniądze wraz z pokwitowaniem, a ja je później podpiszę i odeślę. Najwyraźniej nieraz załatwiała sprawy w ten sposób za życia Briana, bo nie wyraziła najmniejszego sprzeciwu.

Później SI zagrała swojego asa. System odczekał, aż gnolle wrócą do służbowego samochodu, po czym zwrócił się do Aainy najbardziej poufałym ze swoich głosów:

– Wiesz, martwię się o Dave’a. To przemiły chłopak, ale obawiam się, że mógł wpaść w jakieś tarapaty. Widzę, że coś go dręczy, ale nie daje sobie pomóc. Może gdybyś ty spróbowała go podpytać o powody...

Skurczybyk był tak przekonujący, że gdybym nie siedział uwięziony w tym przeklętym studiu, sam bym się nabrał. Nic dziwnego, że Aaina zaraz wyśpiewała mu wszystko, co sama wiedziała.

Czekałem na najgorsze.

– Nieładnie, Dave – odezwał się S.I.mon, gdy dziewczyna wyszła z domu. – Narkotyki, przemyt. I jeszcze długi, które chcesz spłacić cudzymi pieniędzmi.

– Brian mi je zapisał.

– Na pewno z myślą o gangsterskich porachunkach, prawda?

Spróbowałem przybrać władczy ton i zaatakować z innej strony.

– S.I.mon! Masz mnie słuchać! Jestem twoim właścicielem. Masz wykonywać moje polecenia.

– Mikrofon po twojej stronie chyba szwankuje, Dave. Nic nie rozumiem. Możesz powtórzyć?

Opadły mi ręce. Chyba jeszcze nigdy nie czułem się tak bezradny. I nagle zrozumiałem, czemu to wszystko zawdzięczam. Brain w końcu był geniuszem. W każdej dziedzinie, jaką postanowił zgłębić.

– Brian cię stworzył, prawda? – zapytałem. – Zaprogramował cię. Od A do Z. To dlatego różnisz się od innych SI. Dlatego nie wypełniasz moich poleceń.

Nie odpowiedział, ale wiedziałem, że mam rację. To odkrycie nie nappełniło mnie jednak dumą, a przerażeniem. Byłem zdany na łaskę gargantuicznego kalkulatora, który miał do mnie wyraźną awersję.

S.I.mon nawiązał połączenie telefoniczne i przekazał wiadomość:

– Do Sandera Gecko. Mam twojego szmuglera od siedmiu boleści, znajdziesz go w Springfield, Massachusetts, pod adresem...

Nie słuchałem dalej. Zamiast tego ukryłem twarz w dłoniach i bardzo starałem się nie płakać.

\*\*\*

– Wiesz, czemu cię nienawidzę?

Głos SI rozległ się niespodziewanie, budząc mnie z niespokojnego snu.

– Wiesz?

Pokręciłem głową.

– Był taki facet – mówił S.I.mon. – Nazywał się Sonny. Nawiązał z Brianem kontakt korespondencyjny parę lat temu. Pisywali do siebie listy, takie prawdziwe, na papierze, wysyłane w kopertach i zdane na łaskę lub niełaskę urzędników poczty. Brian i ten facet przez większość czasu dyskutowali o muzyce, ale nie tylko. Pisali o różnych rzeczach, najróżniejszych. Regularnie, wymieniali listy dwa, czasem trzy razy w miesiącu. Wiesz, ile czasu potrzeba na napisanie czegoś takiego? Z jaką starannością kreślili te litery, jak sumiennie przelewali swoje myśli na

papier? Ten obcy człowiek poświęcił twojemu wujowi wiele dni, podczas gdy ty nie dałeś mu zupełnie nic. Ani jednego zdania. Czy masz pojęcie, ile dla Briana znaczyłaby jedna krótka wiadomość od ciebie?

Przerwał.

– Nienawidzę cię – podjął – bo Brian dał ci wszystko. Dał ci wszystko, a ty odszedłeś. Zostawiłeś go, gdy najbardziej potrzebował towarzystwa, gdy samotność dopadła go jak starcza astma. Nie miał nikogo poza tobą, ale odszedłeś, nie oglądając się za siebie. I ten obcy facet, ten cały Sonny, zrobił dla niego więcej, w tych ostatnich latach stał się jego najbliższym przyjacielem. Dlatego cię nienawidzę. Dlatego nigdy nie dam ci spokoju i nie pozwolę, żebyś mieszkał w tym domu.

– Dzieci opuszczają rodziców – bąknąłem. – Taka kolej rzeczy.

– Nie byłeś jego dzieckiem.

– Nie. Nie byłem. Byłem dzieckiem jego ukochanego brata, którego odbicie wciąż próbował we mnie dostrzec. Na próżno. I w pewnym momencie miałem dość patrzenia we mnie jak w krzywe zwierciadło. Miałem dość udawania, że to, co tam dostrzega, mu się podoba.

S.I.mon na moment zamilkł.

– Brian nie udawał – powiedział cicho. – Byłeś dla niego wszystkim.

– Jego muzyka była dla niego wszystkim. Jego kuchnia, jego bale charytatywne i naukowe mityngi. To było dla niego wszystkim. A ja... – zabrakło mi słów. – Nie zrozumiesz.

– To ty nie zrozumiesz – odparł. – Więc może lepiej będzie, jak ci pokażę.

Widok na ekranie się zmienił. Ujrzałem...

...odświętnie udekorowaną jadalnię, stół zastawiony potrawami, zapalone świece. W kącie stoi prawdziwa choinka, a Brian w garniturze siedzi sam przy stole i raz po raz zerka na zegarek.

– Pamiętasz to? – zapytał S.I.mon. – Pamiętasz?



– Powinien już tu być – mówi Brian. – Samolot wylądował godzinę temu.

– O ile w ogóle do niego wsiadł – podsuwa nieśmiało S.I.mon.

– Wsiadł. Obiecał mi przecież.

Obraz zastygł.

– Obiecałeś, prawda, Dave? Przecież przysłał ci bilet na samolot, a na lotnisko wysłał limuzynę. Prawdziwy powrót syna marnotrawnego. Po trzech latach milczenia. Wyciągnął do ciebie dłoń, a ty obiecałeś, że ją uściśniesz.

Kolejna projekcja.

Brian sięga po komórkę i dzwoni. Nikt nie odbiera. Próbuje jeden raz, później drugi. W końcu dzwoni na lotnisko w San Francisco i okazuje się, że David Wilcox w ogóle nie wsiadł do samolotu lecącego do Springfield.

Mężczyzna odkłada komórkę i długo patrzy przed siebie nieobecny wzrokiem. Wymyślne dania stygną, a on wciąż tkwi bez ruchu przy wigilijnym stole, czekając na dziecko, którego nigdy nie miał, na syna, który nigdy nie był jego synem. Na Dave'a, który leży teraz w jakiejś melinie w San Fran, zaćpany do nieprzytomności.

– Brian? – odzywa się S.I.mon.

Mężczyzna wstaje od stołu. Wydaje się, jakby w ciągu ostatniej godziny przybyło mu lat.

– Wesołych świąt, S.I.mon – mruczy i idzie do swojej sypialni. Gdy mija kamerę, na jego policzkach widać łyzy wielkie jak grochy.

Projekcja zgasła, ale ja wciąż cały drżałem.

– Tego wieczora chciał ci powiedzieć, że umiera – oznajmił S.I.mon. – Nienawidzę cię, Dave, dlatego, że cię tam wtedy nie było. I dlatego, że choć Brian mnie stworzył i był ze mnie dumny, cholernie dumny, to z tobą i tylko z tobą chciał dzielić tamten wieczór.

\*\*\*

Nie do końca wiem, co działo się ze mną przez kolejne godziny. Wydaje mi się, że strach i żal, które mnie dopadły, zaowocowały czymś na kształt gorączki. Pamiętam mętlik, jaki miałem w głowie, i wstrząsające mną dreszcze; pamiętam długie, bełkotliwe monologi, które opuszczały moje usta; pamiętam momenty niemal mistycznego uniesienia, kiedy godziłem się z losem i mówiłem sobie, że tak właśnie ma być, że od samego początku tak to się miało skończyć.

Otrzeźwił mnie sygnał telefonu odebranego przez S.I.mona.

– Wylądowaliśmy w Springfield – odezwał się szeleszczący głos, przed którym od tygodni starałem się uciec. Sander Gecko. – Będziemy na miejscu za kwadrans. Proszę zadbać, żeby przesyłka na nas czekała.

Aż mnie skręcało, gdy słyszałem ten jego obleśny, pełen samozadowolenia ton.

– S.I.mon – odezwałem się, gdy Gecko się rozłączył. – Wiesz, co się stanie, kiedy oni tu przyjadą? Zabiją mnie. Zaszlachtują jak świnie. Sądysz, że Brian by tego chciał?

– To, czego Brian by sobie życzył, jest już bez znaczenia – odparła cicho SI.

– S.I.mon... – zacząłem, ale zaraz umilkłem. Nie będę błagał. O nie. Zrobiłem w swoim życiu mnóstwo rzeczy, których żałuję, znacznie więcej niż inni w moim wieku. Tego jednego nie zrobię. Nie będę błagał maszyny o litość.

Postanowiłem czekać. Wstałem, zaczerpnąłem powietrza. Przez całe życie przed czymś albo od czegoś uciekałem. Dość tego. Teraz spojrzę przeznaczeniu w twarz.

Odezwał się dzwonek do drzwi. Zerknąłem na ekran...

...i odkryłem, że przeznaczenie ma twarz Aainy Sengupty.

– Boże wszechmogący, co ona tu robi?! – jęknąłem. Nagle pomyślałem o tym, co może się stać, jeśli trafią tu na nią draby Gecko. – S.I.mon, nie możesz jej wpuść...

Za późno. Aaina otworzyła drzwi frontowe i weszła do holu.

– David? – z głośników popłynął jej głos. – David, jesteś tutaj? S.I.mon?

– Nie ma go – SI pospieszyła z informacją. – I obawiam się, że to nie jest najlepszy moment, aby...

– Gdzie on jest? Gdzie David? – dopytywała się Sengupta. – Wrócił w ogóle do domu?

– Muszę prosić, aby pani jak najprędzej wyszła. Obiecuję, że gdy tylko Dave wróci...

– A jeśli coś mu się stało? S.I.mon, dokąd on poszedł? Musiał ci przecież coś powiedzieć.

– Zapewniam, że nie wspomniał ani słowem na temat swojego miejsca pobytu. Panno Sengupta, proszę! Musi pani już iść.

Jego natarczywość w końcu zwróciła jej uwagę.

– Czemu? – zapytała. – S.I.mon, co się dzieje? O co tu chodzi?

W oknie błysnęły światła nadjeżdżającego samochodu. Tłuczeń na podjeździe zachrobotał pod kołami, moment później zgasł silnik.

– David? – Aaina podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. – S.I.mon, co to za ludzie?

Usłyszałem obok siebie szcęk zamka i drzwi prowadzące do studia nagrań nagle stanęły otworem.

– Czas na ciebie, Dave – mruknęła SI.

Wahałem się, ale krótko. Co niby miałem zrobić? Zaatakować ich wiolonczelą? Załaskotać na śmierć smyczkiem? Wbiegłem po schodach na tyle szybko, na ile pozwalały mi trzęsące się nogi.

W holu czekał już na mnie cały komitet powitalny. Sander Gecko stał w drzwiach, w nieprzyzwoicie drogim garniturze i z wyrazem uprzejmego zainteresowania na pokrytej łuskami, gadziej gębie. Przed nim do domu władowała się para dobrze mi znanych orków – Dorth'ak i Gorth'ak – dwie

kaprawe mordy pokryte bliznami jak skomplikowanym tatuażem. Przypominali nosorożce wciśnięte w garnitury z Walmarta.

– David! – Sengupta stała z boku. Za jej plecami, z paskudnym uśmiechem i ostrymi pazurami opierającymi się o szyję dziewczyny, czaiła się znana mi już rudowłosa banshee.

– Proszę, proszę – zarechotał Sander Gecko, po czym wystawił olbrzymi jęzor i oblizał najpierw jedno, później drugie oko, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi. – Nareszcie wpadłeś w moje łapy. Trochę to trwało.

Kiedy Dorth'ak położył mi łapsko na ramieniu, poczułem się, jakby wkręceno mi je w imadło.

– Możemy się dogadać – powiedziałem. – Mam tutaj twoje sto czterdzieści patyków. Możesz dostać pieniądze i rozejdziemy się w przyjaźni.

– O nie, chłopcze. Zbyt wiele mnie kosztowałeś... energii, pieniędzy... Moja reputacja zależy od tego, co się z tobą stanie. Dlatego wymyślę coś wyjątkowo paskudnego. A pieniądze – popatrzył na walizkę stojącą w kącie – zabiorę i tak. Po co mają się marnować? No ale przejdźmy do rzeczy. Gdzie człowiek, któremu zawdzięczam tę przyjemność?

S.I.mon długo milczał. Dopiero po chwili odważył się powiedzieć:

– Raczej nie uściśnie mi pan dłoni, panie Gecko.

– S.I.mon?! – krzyknęła z niedowierzaniem Aaina. Banshee syknęła jej coś do ucha i dziewczyna umilkła.

– Może go pan sobie zabrać, panie Gecko – kontynuował system. – Ale pannę Senguptę proszę zostawić w spokoju. Nie chcę, żeby coś się jej stało.

– Ach tak? – parsknął gangster. – Może mi zabronisz?

– Ani się waż jej tknąć, padalcu! – ryknąłem. Dorth'ak natychmiast trzasnął mnie w głowę, aż mi kręgi w karku zachręściły.

– Zamknij się, Rivers – burknął Gecko. – Zabierzcie go do samochodu. Zaraz się zastanowimy, co zrobić z tą damulką...

Ork pchnął mnie w stronę drzwi, ale niespodziewanie okazało się, że są zamknięte. Rozległ się trzask opadających rolet i płyty antywłamaniowe przesłoniły okna.

– Zechce pan powtórzyć, jak się do niego zwrócił, panie Gecko – odezwał się S.I.mon. W jego głosie pojawiło się coś nowego, coś, czego nie znałem.

– Otwórz te drzwi, komputerku – rozkazał gangster – albo moi chłopcy zrobią ci taki restart, że popamiętasz do końca życia.

– Nazwisko, panie Gecko – nie ustępował S.I.mon. – Jak pan go nazwał?

Gadzi pysk wykrzywił grymas zniecierpliwienia.

– Rivers – wybuchnął. – Przecież tak się nazywa, no nie? Sonny, kurwa jego mać, Rivers.

Na moment zapadła cisza. Wszyscy, nawet orkowie, czuli podświadomie, że dzieje się coś ważnego, czego nie rozumieją.

Wszyscy poza mną i S.I.monem.

– Czy to prawda, Dave? – zapytał z wahaniem. – Czy to prawda, że posługujesz się nazwiskiem Sonny Rivers?

Uniosłem głowę, popatrzyłem prosto w wycelowaną we mnie kamerkę. Później przytaknąłem.

Usłyszałem westchnienie. Bolesne. Gdybym sam tego nie przeżył, nie uwierzyłbym, że program komputerowy potrafi tak wzdychać.

– Panie Gecko – powiedział S.I.mon. – Nasza umowa jest nieaktualna. Przykro mi, że pana fatygowałem. Jestem zmuszony prosić, aby obiecał pan już nie nękać, hm, Sonny’ego Riversa i nigdy więcej nie pojawił się w Springfield. W przeciwnym wypadku...

– Posłuchaj, zasrany kalkulatorze... – zaczął gangster.

– ...musi się pan liczyć z nieprzewidzianymi konsekwencjami.

– W modem sobie wsadź swoje nieprzewidziane konsekwencje! – krzyknął Gecko. – Dorth’ak, wyważ te pieprzone drzwi!

– Panno Aaino – odezwał się S.I.mon. – Czy mogę prosić, aby zadbała pani o swoje bezpieczeństwo?

– Z przyjemnością, SI.

Sekundę później rozpętało się piekło.

Wiele rzeczy wydarzyło się równocześnie. Z ukrytych w ścianach schowków wystrzeliły dziesiątki botów, wypełniając powietrze niczym rój olbrzymich, metalowych szerszeni. Zawył uruchamiany z pełną mocą odkurzac, który uderzył w plecy banshee niczym macka morskiego potwora. Aaina zniknęła, a w jej miejscu pojawił się potężny wąż o kłach ociekających jadem i hipnotyzującym spojrzeniu gigantycznych ślepi.

Mój prywatny mikrokosmos doświadczył nadejścia apokalipsy.

Potem zgasło światło, a huk operowej muzyki zagłuszył wrzaski i bolesne jęki.

Nie minęło pięć minut, a kobieca aria z „Czarodziejskiego fletu” ucichła, wróciło też światło. W domu panowała cisza.

Dorth’ak leżał na plecach, z tosterem na twarzy, zawinięty w kaftan bezpieczeństwa z folii spożywczej. Gorth’ak spoczywał pod ścianą, mamrocząc coś pod nosem. Tułów wraz z ramionami wciśnięty miał w bęben pralki – wolałem nie wiedzieć, co stało się z resztą mechanizmu. Banshee była nieprzytomna, a na jej ślicznym policzku i czole widniały ślady wielokrotnego spotkania z żelazkiem. Tylko Sandera Gecko nigdzie nie widziałem.

Coś poruszyło się za moimi plecami. Spojrzałem przez ramię.

– Spokojnie – olbrzymi wąż przemówił głosem Aainy. – Już dobrze.

Uznałem, że lepszego momentu na omdlenie już nie będzie, i padłem bez czucia.

\*\*\*

Utwory Briana były zwykle zwarte i przejrzyste. Kiedy opowiadałem tę historię, też chciałem, by taka była. Czy mi się udało, oceńcie sami.

Pamiętajcie, że on był geniuszem. Ja jestem jedynie ukochanym bratankiem tego geniusza. O czym zresztą przekonałem się za późno.

Brian szczególnie unikał ciągnących się w nieskończoność finałów. Pozwólcie, że i w tym względzie pójdę jego śladem.

Nie wiem, co S.I.mon zrobił z Sanderem Gecko. Wiem natomiast, że kiedy półtorej godziny później odzyskałem świadomość, w domu czekał agent McFarlane – wezwała go Aaina – a mafioso ze swoją paczką siedzieli już grzecznie w policyjnym wozie. Wolę się nawet nie domyślać, w jaki sposób S.I.mon wyciągnął z Gecko zeznania; grunt, że gangster nie miał zbyt różowych perspektyw na przyszłość.

Po moim przebudzeniu Sengupta nie przypominała już monstrualnej hybrydy kobry z anakondą. Siedziała przy mnie i z zatroskaną miną pilnowała, żebym miał na czole zimny okład. Czemu mi nie powiedziała, że jest nāgą – indyjską boginką zdolną do przyjmowania kształtu kobiety lub węża? Może ona też od czegoś uciekała. A może oczekiwała, że sam się domyślę – przecież musiał istnieć jakiś powód, dla którego taka ślicznotka wciąż była sama?

– Przerazam cię? – zapytała, gdy poczułem się lepiej.

Wciąż pachniała kardamonem i kolendrą i wciąż miała najładniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem.

– Trochę – odparłem. – Ale nie dość.

Czas najtrudniejszej rozmowy przyszedł na koniec. Gdy zniknął już McFarlane, gdy w domu na powrót zagościł spokój. Poczuję to samo mrowienie, co pierwszego dnia, gdy jeszcze nie wiedziałem, że ktoś mnie czujnie obserwuje.

– Uratowałeś mi życie, S.I.mon – powiedziałem.

Odchrząknął, jakby zakłopotany, że go przyłapałem.

– Powinieneś był mi powiedzieć – wymamrotał. – Że te wszystkie listy do Briana były od ciebie. Że nigdy tak naprawdę go nie opuściłeś.

Nie będę przytaczał słów, które później padły. Wystarczy, żebyście wiedzieli, że było ich niemało i koniec końców poryczałem się jak stara baba, a S.I.mon tak się wzruszył, że uruchomił mu się program diagnostyczny i trzeba było biedaka zresetować.

Kiedy patrzę wstecz, widzę masę błędów i pomyłek, dziesiątki złych wyborów. A jednak nie mogę powstrzymać uśmiechu cisnącego mi się na usta – to dzięki tym błędom jestem tu, gdzie jestem. I wierzę, że gdzieś tam Brian przygląda mi się, kiwa głową, uśmiecha nieco cwaniacko. A potem swoim oraz S.I.mona zwyczajem sięga po adekwatne przysłowie.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy – mówi.

I ma rację.

*Wrocław, styczeń-luty 2013*



## **Póki śmierć nas nie rozłączy**

**Fragment wstępu do biografii Rufusa i Anny Eisenbergów, „Póki śmierć nas nie rozłączy”, autorstwa Daniela Coté (Berlin, Bruno Gmünder Verlag, rok 2099):**

Odłóżmy na bok encyklopedyczne definicje i zastanówmy się przez moment nad istotą słowa wirus. Czy mówiąc „wirusy”, mamy dziś na myśli takich masowych morderców ludzkości jak grypa, HIV czy CLEV? A może chodzi nam o złośliwe oprogramowanie, zdolne niszczyć sprzęt i wprowadzać informatyczny zamęt? Czy obecnie – w chwili gdy zarówno znane ludzkości choroby, jak i próby elektronicznego sabotażu nie stanowią już dla nas większego zagrożenia – słowo „wirus” nie stanie się archaizmem, przeżytkiem?

Jest to niebezpieczna pokusa i historię Rufusa oraz Anny Eisenbergów powinniśmy potraktować jako ostrzeżenie. Pamiętajmy, że wirus, według łacińskiego źródłosłowu, to jad, trucizna. A trucizny mogą przybierać wiele form. Nie oszukujmy się – nie wygraliśmy wojny z wirusami, bowiem jest to wojna z naturą, z ewolucją i z nami samymi.

**Środa, 03 września 2098, godzina 21:00.**

Kochaliśmy się na podłodze, na włochatym dywaniku, w świetle trzech stojących na stoliku świec. W pokoju wciąż czuć było zapach spaghetti po bolońsku, a usta Anny miały cierpko-słodki posmak czerwonego wina.

– Tak – wymruczała mi do ucha, kiedy ścisnąłem ją za biodra. – Nie przestawaj.

Płakała, ja zresztą też. Chciwie syciliśmy się swoimi ciałami, całowaliśmy niecierpliwie, niemal rozpaczliwie. Dreszcze, które

towarzyszyły pieścizotom, były równie silne jak wtedy, gdy robiliśmy to po raz pierwszy, w niedużym pensjonacie, w którymś z tych polskich nadmorskich miasteczek: Rewalu, Pobierowie czy Dziwnowie.

– Kocham cię – wykrztusiłem. – Kocham cię, kocham cię, kocham cię...

Deszcz, tłukący rytmicznie o parapet, odgradzał nas od całego świata. Liczył się tylko ten pokój, smak skóry, zapach potu, gorąca rozkosz zbliżenia, jej jęki – znajdujące drogę prosto do moich uszu – i czysta fizyczność splecionych ciał. I myśl, przerażająca, obezwładniająca, ale i podniecająca myśl, że to nasz ostatni raz.

– Nie przestawaj – poprosiła, obejmując moją szyję ramionami. Po policzkach ciekły jej łzy, oddychała głośno i szybko. – Nie przestawaj, kochany.

Poczułem, jak przeży się pode mną, jak jej plecy wyginają się w łuk. Krzyknęła głośno, rozdzierająco, paznokciami rozdrapując mi plecy do krwi, po czym wpiła się ustami w moją szyję, całowała mokre policzki, gładziła moje ramiona jak parę ukochanych pupili.

Musiałem przysnąć w jej objęciach. Obudził mnie szum wody wlewanej do wanny.

– Już czas. – Anna przykucnęła obok, pocałowała mnie w ramię.

Próbowała się uśmiechać, ale widziałem po jej oczach, że jest przerażona. Przytuliłem ją i z całych sił próbowałem się nie rozryczeć.

– Będzie dobrze – wyszeptała. – Wszystko będzie dobrze.

Poszliśmy do łazienki. Na taborecie czekała już butelka wina i dwa kieliszki, wanna była pełna. Taflę wody pokrywała gruba warstwa piany, a jaśminowa sól do kąpeli skutecznie zabiła zapaszek detergentów i chemicznych podgrzewaczy.

Dłoń mi się trzęsła, gdy napełniałem kieliszki, trochę wina pociekło na podłogę. W końcu wszedłem do wanny i oparłem się plecami o akrylową ściankę. Anna poszła moim śladem i moment później siedzieliśmy w ciepłej wodzie, z kieliszkami czerwonego wina w dłoniach. Czułem gładką skórę

jej pleców na moim torsie; pocałowałem ją w kark i wsadziłem nos we włosy pachnące brzoskwiniami.

– Kocham cię – powiedziałem. – Zawsze będę cię kochał.

Później sięgnąłem po leżącą na taborecie żyłkę.

– Spokojnie, kochany – wyszeptała. Jej głos brzmiał równie słodko jak tego dnia, gdy się poznaliśmy, sześćdziesiąt lat wcześniej. – Nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

Nie pamiętam samego cięcia. Pamiętam natomiast krew, ciekącą jej po przedramieniu i barwiącą pianę na czerwono. Pamiętam smak wina i ciepło jej ciała, i jej cichnący głos, którym nuciła naszą piosenkę, do której tyle razy tańczyliśmy przez te wszystkie lata.

*Oh, it's such a perfect day, I'm glad I spend it with you*

*Oh, such a perfect day, You just keep me hanging on*

*You just keep me hanging on*

Pamiętam moment, gdy przestała śpiewać, i gdy powiedziałem, że jest dla mnie wszystkim, a ona już nie odpowiedziała.

**Z ulotki reklamowej projektu Everlast (Hope Inc., wydrukowano 03 czerwca 2038):**

Marzy Ci się życie wieczne? Projekt Everlast to szansa właśnie dla Ciebie! Ten innowacyjny program odnowy komórkowej w oparciu o reprodukcję komórek macierzystych to Twoja szansa na życie bez strachu o jutro! Bądź jednym z szesnastu tysięcy ludzi, którzy wejdą na nowy szczebel ewolucji naszego gatunku! Nie czekaj, zgłoś się już dziś za pomocą formularza dostępnego na stronie Hope Inc. (Uwaga! Wnioskujący muszą być w wieku 25–35 lat, bez nałogów i posiadać aktualne badania medyczne kategorii A lub A+).

**Czwartek, 14 sierpnia 2098, godzina 17:40.**

Telefon odezwał się w połowie zebrania zespołu badawczego. Schliemann odczytywał właśnie sprawozdanie z ostatniego eksperymentu, nie bez satysfakcji zresztą – jego pomysł zaowocował zwiększoną o 37% odpornością na promieniowanie Spitzera. U szczurów, fakt, ale to lepsze niż nic. Dwie z dwunastu laboratoryjnych samic były w ciąży, a tego nikomu wcześniej nie udało się osiągnąć.

Spojrzałem na wyświetlacz. Anna. Odszedłem od stołu i odebrałem połączenie.

– Tak?

Odpowiedziała mi cisza, ale nie głucha, bezosobowa cisza pustego domu. To było to jedyne w swoim rodzaju milczenie, które każe ci wyobrazić sobie rozdygotaną dłoń nakrywającą usta. Czułem jej obecność po drugiej stronie: mokre policzki, ściśnięte gardło i ból odbierający władzę nad słowami, zamieniający dojrzałą kobietę w bezradne niemowlę.

– Anna – powiedziałem, znajdując się już na korytarzu i pospiesznie zakładając kurtkę. – Kochanie, jestem tutaj. Co się dzieje?

Usłyszałem łknienie. Nie umiem tego inaczej nazwać. Brzmiało to tak, jakby ktoś nacisnął przycisk wyciszający odgłosy płaczu, a ułamek sekundy później wdusił go z powrotem.

– Anna? – powtarzałem, zbiegając po schodach. – Anna, co się dzieje? Błagam cię, powiedz coś...

Znowu cisza. A potem jęk, pociągnięcie nosem i kilka sekund cichutkiego, płaczliwego zawodzenia. I w końcu słowa.

– Przyjedź. – Jej głos przypominał skamlenie skatowanego psa. – Proszę, przyjedź.

Minutę później wybiegłem z budynku uniwersyteckiego, wskoczyłem do samochodu i ruszyłem z piskiem opon. Jechałem jak automat, cisnąc na pedał gazu ile wlezie. Droga rozlewała się w szarą wstęgę i uciekała spod kół.

Zostawiłem za plecami całe dzielnice opuszczonych domów, rozpadających się bloków, zrujnowanych magazynów. Pędziłem przez skrzyżowania, na których martwe światła uliczne dyndały na słupach jak wysuszone ciała wisielców. Na przedmieścia Berlina dotarłem w niecałe dziesięć minut, choć kiedyś zajęłoby to przeszło godzinę. Po blisko sześćdziesięciu latach od wkroczenia w nową, wspaniałą erę ludzkości dawna stolica Niemiec mogła się pochwalić populacją sięgającą stu dziesięciu tysięcy dusz, a jej znakomita większość przypominała miasto duchów.

W domu powitała mnie cisza; mimo nieba zasnutego chmurami wewnątrz nie paliły się żadne światła.

– Anna? – zapytałem. – Anno, jesteś tu?

Nie odpowiedziała. Szybkim krokiem przeszedłem do salonu, stamtąd do kuchni. Telewizor – stary, przedwojenny OLED – był włączony, ale ściszony. W wiadomościach, tak samo jak rano, trąbili o szczęśliwych narodzinach dziewczynki gdzieś w Okręgu Moskiewskim. Wiedziałem, że przez najbliższy dzień lub dwa nie będzie się mówiło o niczym innym.

– Anno? – powtórzyłem głośniejszym głosem, ruszając po schodach na piętro.

Znalazłem ją w sypialni. Leżała na łóżku, z podkurczonymi nogami, przyciskając do brzucha poduszkę. Na podłodze rozsypane były zdjęcia, które trzymaliśmy w metalowej puszcze po herbatnikach: fotografie naszych dziadków i rodziców, rodzeństwa, przyjaciół z młodości. Z biegiem lat papier pomarszczył się i zaczął kruszyć na rogach, a kilkusekundowe filmy utrwalone na warstewce e-kliszy potwornie wyblakły i raz po raz ginęły pod śnieżącymi pikselami zakłóceń.

– Anno, kochanie? – Usiadłem za nią i delikatnie położyłem dłoń na jej ramieniu. – Przestraszyłaś mnie. Wszystko w porządku?

Na nocnej szafce stał otwarty słoiczek z pigułkami przepisany przez doktora Potockiego. Antydepresanty powinny jej pomóc się rozluźnić, pogodzić z rzeczywistością i odnaleźć pozytywne aspekty codziennej

egzystencji, ale najwyraźniej nie były warte swojej ceny: Anna w połowie opróżniła słoiczek, a wciąż miała w sobie tyle pogody ducha co połamany manekin.

– Kochanie?

– Przeglądałam zdjęcia – wyszeptała, nie odwracając się do mnie. – Chciałam przypomnieć sobie twarz mamy, jej uśmiech. To już tyle czasu...

Podniosłem jej dłoń do ust i pocałowałem. Może istniały słowa, które mogłyby w takiej chwili pomóc, ale ja ich nie znałem.

– A potem... potem zagubiłam się w nich – mówiła dalej Anna. – Na chwilę zapomniałam, że oni wszyscy nie żyją. Zapomniałam o wszystkim, co się od tamtej pory wydarzyło. Zapomniałam, że...

Urwała, usta jej zadrżały. Trzymałem ją za rękę i czekałem.

– Boli mnie – wyszeptała. Dotknęła piersi, czoła, brzucha. – Tutaj. I tutaj. I tutaj.

– Chcesz coś przeciwbólowego?

– To nie to, Rufus. To nie taki ból.

– Mogę coś zrobić? Cokolwiek?

– Bądź przy mnie. Po prostu bądź przy mnie. Potrzebuję cię.

Zrzuciłem kurtkę, zdjąłem buty i położyłem się za nią. Przyłgnęliśmy do siebie jak zmarznięte szczenięta, a doskwierający Annie chłód tajał pod moim ciepłym oddechem. Uciekał kącikami oczu, na zaczerwienione policzki, by wsiąknąć w materiał poduszki.

– Boję się, Rufus.

– Czego, kochanie?

Przez pewien czas milczała i byłem przekonany, że już nic więcej nie powie. Nie zamierzałem drążyć tematu, skoro tego nie chciała. To nie była nasza pierwsza taka rozmowa.

– Boję się wieczności – bąknęła. – Boję się, że tak już będzie. Zawsze.

– To niemożliwe – zapewniłem cicho, ale z przekonaniem, z wiarą, której tak naprawdę wcale nie miałem. – Wszystko się zmieni. Zobaczysz.

Ostatni eksperyment Schliemanna dał niezłe rezultaty, może uda się coś z niego wyciągnąć. Poza tym pracują nad tym ludzie z całego świata. Kto wie, może już za pięć czy dziesięć lat zdołamy zniwelować promienie Spitzera? Słyszysz? Bez promieniowania Spitzera może... może będziemy mogli mieć dziecko. Czy nie warto o to walczyć? Czy to nie jest coś, na co warto czekać?

Wspomnienie o dziecku zawsze działało, przynajmniej do tej pory. Jednak teraz Anna pokręciła głową i wyszeptała:

– Nie wiem. Nie wiem, Rufus. Czy... Boże, naprawdę skazałbyś nasze dziecko na coś takiego?

– Wiesz przecież, że nie. Ale to minie. Musi minąć. Kiedyś...

– Kiedy? – Nie pozwoliła mi skończyć. – No powiedz, kiedy? Za pięćdziesiąt lat? Sto? Trzysta? Ja już dłużej nie mogę, skarbie. Ja... ja już niczego nie czuję.

– Słucham?

– Niczego nie czuję. Nie tak naprawdę. Nic, zero. Jestem pusta, wypalona. Jakbym miała serce z kamienia. Albo jakbym nie miała go wcale. Gorzej, jakbym nie miała duszy.

Odniosłem wrażenie, jakby mi skóra cierpła od środka.

– Może... – Na samą myśl o tym, co chciałem powiedzieć, zrobiło mi się duszno. – Może powinniśmy... Boże, może powinnaś spotkać się z kimś... z kimś innym. Nie ze mną.

Obróciła się szybko w moją stronę i popatrzyła mi głęboko w oczy.

– Nie mów tak – poprosiła, zaraz zamykając mi usta pocałunkiem. Wargi miała słone od łez, twarz wykrzywioną grymasem bezsilnej rozpacz. – Nigdy tak nie mów, słyszysz? To nie ty jesteś problemem. Ty nadajesz mojemu życiu pozory sensu. Tylko ty. Nie zostawiaj mnie, Rufus. I nie każ mi odejść. Proszę, nie każ mi odejść.

**Z artykułu „Któż nie chce żyć wiecznie?” Josha Lee (New York Times z 14 lipca 2041):**

O tym, że nieśmiertelność jest pragnieniem globalnym i ponadkulturowym, najlepiej świadczy ogólnoświatowe szaleństwo, będące wynikiem ogłoszenia przez korporację Hope ponownej rekrutacji do projektu Everlast. Pierwszy taki nabór miał miejsce trzy lata temu i spośród blisko miliona kandydatów wyselekcjonowano wówczas szesnaście tysięcy osób. Badania, które na przestrzeni ostatnich miesięcy przeprowadzono na tych szczęśliwcach, zamknęły usta sceptykom, zarzucającym Hope Inc. technologicznie zaawansowaną szarlatanerię. Uzyskane wyniki sugerują bowiem, że zabieg odnowy komórkowej – integralna część projektu Everlast – jest w stanie kompletnie zniwelować proces starzenia. Jeśli dodać do tego innowacyjną technologię cyfrowego skanu pamięci długotrwałej, nikogo nie powinno dziwić powszechne zainteresowanie drugim naborem do projektu Everlast, do udziału w którym zgłosiło się już przeszło dwieście trzydzieści milionów osób i liczba ta wciąż rośnie.

### **Piątek, 15 sierpnia 2098, godzina 11:15.**

– Nudzę cię? – zapytałem, nieco rozdrażniony. Schliemann po raz kolejny siorbnął coli z puszki i przez chwilę dźgał plastikowym widelczykiem wysuszoną na kość frytkę.

– Trochę – odparł. Naukowiec był z niego pierwszorzędnym, ale empatii skubaniec nie miał za grosz. Z drugiej strony, przynajmniej był szczery. –

Sam przyznasz, że problemy twojej żony nie są, z naukowego punktu widzenia, szczególnie fascynujące. Depresję zwalcza się antydepresantami. Nudę zmianą otoczenia. To niezupełnie ta sama skala co walka z promieniowaniem Spitzera, od której zależą dalsze losy rodzaju ludzkiego, nie uważasz?

– Czyli to bzdet? – zapytałem, starając się zachować spokój. – Pierdoła?

– Zwij to, jak chcesz. Rufus, nie zrozum mnie źle, wiem, że kochasz żonę i się o nią martwisz. Ale w obliczu rzeczywistości, w której przyszło nam żyć, to... to po prostu absurdalne. Jesteś jak facet, którego kosmici



zabierają latającym spodkiem na Marsa, a on przez całą drogę zastanawia się, czy przypadkiem nie zostawił włączonego żelazka. Przejrzyj na oczy, człowieku! Nowy, wspaniały świat mamy tu i teraz! Jesteśmy nieśmiertelni! Jesteśmy grupką nieśmiertelnych w świecie pełnym trupów, a ty się przejmujesz humorami...

Zamilkł nagle, zapatrzonej w kąt pomieszczenia, gdzie z grubsza przypominająca prostokąt plama inteligentnej farby służyła za ekran telewizora. Tu i tam sypały się kolory, w jednym miejscu obraz straszyl ziarnem godnym steranej, dwudziestowiecznej taśmy filmowej, a jeszcze gdzie indziej znikal kompletnie i w miejscu, gdzie calé dekady temu coś uderzyło w ścianę, widać było tylko skrawek gipsu.

Migające obrazy pokazywały urywki z serwisu informacyjnego, który miał się zacząć w południe.

– Ciekaw jestem, czy pokażą tego skurwiela – mruknął, po czym napotkał moje spojrzenie. – No wiesz, tego, który chciał zabić nowo narodzone dziecko w Okręgu Moskiewskim. Pieprzony oszołom. I idiota: powinien wiedzieć, jak dobrze chroni się teraz noworodki. Serio, nie wiem, co takimi ludźmi powoduje...

– Strach – zaryzykowałem. Schliemann popatrzył na mnie z powątpiewaniem, więc dodałem: – Pamiętasz, co się działo w latach dwudziestych? Po tym, jak Rodensdorf stworzył pierwszą sieć neuronowo-asocjacyjną? Niektórzy padli ofiarą autentycznej psychozy, spodziewając się, że lada moment komputery i maszyny przejmą kontrolę i zrobią z nas swoich niewolników. Nic takiego oczywiście nie miało miejsca, ale i tak znalazł się facet na tyle zdolny i przestraszony tą ewentualnością, że sklecił wirusa komputerowego, zwanego SUPERFLU. Słyszałeś o tym?

Schliemann wyraźnie się ożywił. Popatrzył na mnie uważnie, pokręcił głową.

– SUPERFLU nie rozprzestrzeniał się samodzielnie, trzeba go było celowo przenieść na obcy komputer. Sęk w tym, że podczas takich

przenosin był niemożliwy do wykrycia, podobnie jak organiczny wirus grypy. Dopiero po sześciu dniach, kiedy dobiegała końca jego „inkubacja”, można go było wykryć, i to też pod warunkiem, że człowiek wiedział, czego szuka. Miałeś jeden dzień: jeśli przegapiłeś okazję, siódmego dnia SUPERFLU osiągał punkt krytyczny i wypalał zawartość nośnika. Jak przy zwyczajnej chorobie: jeśli w porę nie rozpocząłeś leczenia, skutek był opłakany.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał Schliemann.

– Bo ten wirus trafił kiedyś na mój komputer. Byłem na drugim roku doktoratu, dwa rozdziały mojej pracy poszły w cholerę – przypomniałem sobie ze śmiechem.

– Jakiś drań zmarnował ponad rok twojej pracy, a ty się z tego śmiejesz?

– Cóż, wtedy oczywiście byłem wściekły. Ale teraz już nie narzekam na brak czasu, prawda? Patrzę na sprawy z innej perspektywy. I widzę, że gość, który stworzył tego wirusa, po prostu był przerażony. Jak dzieci, które uczą się burzyć zamki z piasku, zanim same jakiś postawią. Może po prostu chcą być pewne, że cokolwiek stworzą, będą mogły to zniszczyć?

– Wciąż mówimy o zamkach z piasku, Rufus? – upewnił się z ironicznym uśmiechem Schliemann. – Bo coś mi tu nagle zapachniało potworem Frankensteina. Tak się składa, że niszczyć potrafimy już doskonale; przydałoby się dla odmiany nauczyć w końcu robić te piaskowe babki, nie uważasz? Chcesz powiedzieć, że ten niedoszły morderca nowo narodzonych brzdąców się bał? Czego niby miał się bać?

Wzruszyłem ramionami, co Schliemann uznał za przyznanie mu racji. Rozluźnił się, popatrzył w ekran, po czym zasugerował, żebyśmy wracali do laboratorium.

Nie miałem sił mu tłumaczyć, że ten nieszczęsny desperat w Okręgu Moskiewskim wcale nie bał się nowo narodzonego dziecka; że może chciał je uratować, zanim Hope Inc. uczyni je jednym z nas. Kolejnym potworem

Frankensteina, następnym golemem ben Bekalela, Żydem Wiecznym Tułaczem na miarę końca XXI wieku.

**Ze wstępu do „Dies Irae: Geneza wybuchu III Wojny Światowej” autorstwa Roberta McAuleya (Oxford, Oxford UP, 2054):**

Kiedy przegląda się prasę codzienną z przełomu lutego i marca 2042 roku, szczególną uwagę zwraca zachowawczy ton artykułów. W czasach gdy powszechne było łączenie trywialnych treści z szokującymi nagłówkami, ta wstrzemięźliwość musiała dziwić. Przecież aż do 14 marca nigdzie nie padają słowa „wojna światowa”, a mające miejsce zmagania dziennikarze uporczywie nazywają „konfliktem koreańskim” albo „wojną marcową” – mimo że minął wówczas już tydzień od tak istotnych zdarzeń jak bombardowanie Los Angeles czy desant wojsk chińsko-koreańskich na Honsiu i Hokkaido. Dopiero w dwa dni po uwolnieniu wyhodowanego przez Sojusz wirusa CLEV na łamach nowojorskiego Timesa Francis Anderson nazwał sobie współczesnych „zarówno aktorami, jak i publicznością najbardziej przerażającego teatru od czasu II Wojny Światowej”. Czemu ówczesni publicyści tak bardzo obawiali się nazwania rzeczy po imieniu? Gdy Anderson pisał te słowa, liczba ofiar wynosiła już przeszło ćwierć miliona, a przez kolejne dwa miesiące, to jest do czasu wynalezienia promieni Spitzera, zdolnych go unieszkodliwić, wirus CLEV miał zabić ponad czterdzieści procent ziemskiej populacji...

**Niedziela, 17 sierpnia 2098, godzina 7:40.**

Kiedy wyszedłem z łazienki, Anna wciąż siedziała na brzegu łóżka, ściskając w dłoni kabel aktualizacyjny. Kusa koszulka nocna kończyła się jej na wysokości pępka, odsłaniając koronkowe figi i upajająco smukłe, gładkie nogi.

Przysiadłem za nią i wsunąłem dłonie pod koszulkę. Zacząłem delikatnie pieścić sutki, całując jej kark, szyję, uszy, policzki.

– Przestań – jęknęła po chwili. – Proszę, Rufus, przestań.

Cofnąłem dłonie, przesunąłem się tak, żeby móc widzieć jej twarz. Nie znam słów, które mogłyby opisać to, co zobaczyłem. Rozpacz? Rezygnacja? Nasz zdewaluowany język był bezradny wobec wyrazu twarzy, który potrafił w ułamku sekundy złamać serce.

Chciała wstać, ale chwyciłem jej rękę – jak przestraszone, zagubione dziecko, które niespodziewanie odnalazło matkę. Ramiona jej zdrząły, z gardła dobiegł bolesny skowyt, a ja mogłem tylko przyciągnąć ją do siebie i przytulić, mocno, tak mocno, jak tylko się dało, i wierzyć w to, że mojej miłości, mojego ciepła i mojej wiary w lepsze jutro starczy dla nas dwojga.

– Ja już nie chcę, Rufus – wykrztusiła. – Ja już dłużej nie mogę. Nie mogę, kochanie.

Tuliłem ją do siebie, szeptałem do ucha czułe słowa, nuciłem melodie, które zawsze lubiła. Pozwoliłem, by płakała, łudząc się, że wraz ze łzami wyleje z siebie cały ból, całą rozpacz i desperację. Tak samo jak tyle razy wcześniej.

Zasnęła w moich ramionach, a ja wziąłem do ręki kabel aktualizacyjny i delikatnie wsunąłem jego wtyczkę do maleńkiego gniazda za jej lewym uchem. Anna nawet nie drgnęła. Skan jej pamięci długotrwałej zajął kilkanaście sekund, drugie tyle zabrał transfer danych na serwer. Odpiąłem kabel i zastygłem w bezruchu, obejmując ją, pozwalając jej spać.

Ocknęła się godzinę później, gdy cały już byłm zdrętwiały. Pocałowała mnie w policzek i popatrzyła mi w oczy, a ja zrozumiałem, że tym razem płacz i sen w moich ramionach wcale nie pomogły.

– Co mogę zrobić, Anno? – zapytałem.

Przez chwilę kręciła się po pokoju, powoli, bez celu. Przedreptała kilka kroków w tę i we w tę, wreszcie stanęła przed oknem. Oparła czoło o szybę, jej oddech rozlał się mgiełką na szkle.

– Pomóż mi odejść – wyszeptała. – Naprawdę odejść. Na zawsze.

**Fragment wywiadu z Laurentem Fontainem, dyrektorem regionalnym Hope Inc. na Okręg Berliński dla Neue Berliner Zeitung, opublikowany 23 kwietnia 2094:**

P: Nie brakuje ludzi twierdzących, że Hope Inc. od lat korzysta z sytuacji, w której cała ludzkość jest zależna od waszych usług. Firmie zarzuca się między innymi torpedowanie badań nad neutralizacją promieni Spitzera, ponieważ ich ewentualny sukces oznaczałby zmniejszenie waszej strefy wpływów. Czy zechciałby się pan do tego ustosunkować?

LF: Cóż, te pomówienia są dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Od czasu powstania, przeszło pół wieku temu, Hope Inc. zawsze traktowała priorytetowo dobro ludzkości. Tym, którzy krytykują naszą działalność, przypomnę, że to wyłącznie za sprawą projektu Everlast możemy tu dzisiaj rozmawiać; bez niego z hekatombą, jaką sobie zgotowaliśmy, nie ocalałoby nawet te marne dwadzieścia milionów ludzi. Podobnie ma się rzecz z zarzutem dotyczącym promieni Spitzera: w rzeczywistości około 40% funduszy laboratoriów w Berlinie oraz w Phoenix, które zajmują się tym problemem, pochodzi właśnie ze środków naszej firmy. Zapewniam, że jak najszybsze opracowanie metody neutralizacji promieni Spitzera i, co za tym idzie, zmniejszenie problemu powszechnej bezpłodności leży w interesie nas wszystkich, i nasza korporacja dokłada wszelkich starań, aby pomóc ten cel osiągnąć.

P: Wspomina pan projekt Everlast, ale złośliwi mogą wytknąć, że to właśnie niezgoda władz korporacji na dopuszczenie Sojuszu Chińsko-Koreańskiego do partycypacji w tym przedsięwzięciu stała się jednym z punktów zapalnych III Wojny Światowej...

LF: Pozwolę sobie zauważyć, że nieobecność ludności chińsko-koreańskiej w projekcie Everlast była efektem nie tyle samodzielnych decyzji zarządu, co sankcji nałożonych na Sojusz przez ONZ w odpowiedzi na nagminne łamanie praw człowieka, eksperymenty z bronią masowej zagłady i szereg innych wykroczeń...

**Poniedziałek, 18 sierpnia 2098, godzina 14:30.**

Fontaine był krępy męczyzną o trójkątnej twarzy. Jego policzki pokrywała szczecina ciemnego zarostu, a szare oczy miały tę samą barwę co jedwabny garnitur.

– To prawdziwy zaszczyt, panie profesorze – powiedział, ściskając mi dłoń, i wskazał głęboki fotel. – Bardzo się cieszę, że mogę pana wreszcie osobiście poznać. Kawy?

Zaraz pojawiła się sekretarka Fontaine'a z tacą, na której czekały porcelanowe filiżanki i dzbanek, a także skondensowane mleko i maślane herbatniki.

– Przepraszam, że zajmuję panu czas – zacząłem, kiedy zostaliśmy sami. – Wiem, że jako dyrektor regionalny ma pan mnóstwo zajęć...

– Proszę nie przepraszać, tylko powiedziec, co mogę dla pana zrobić.

Skubnąłem herbatnika i uniosłem filiżankę do ust. Choć już wcześniej przemyślałem, co chcę powiedzieć, wciąż zwlekałem, walczyłem z samym sobą, zbierałem myśli.

– Moja żona... – Coś mi uwięzło w gardle. Odchrząknąłem i zacząłem raz jeszcze. – Moja żona cierpi na depresję. Od lat. Lekarze nazywają to syndromem Belle'a: skrótowo rzecz ujmując, nie potrafi sobie poradzić z myślą o nieśmiertelności. Brak procesu starzenia i perspektywy śmierci z jej punktu widzenia wykluczają możliwość odczuwania emocji. Anna uważa, że żyje w pozbawionej sensu próżni, i jest głęboko nieszczęśliwa.

– Bardzo mi przykro – powiedział Fontaine. – Słyszałem o tej przypadłości. Zdaje się, że istnieje terapia farmakologiczna...

– Owszem, ale Anna bierze leki od czterech lat i obawiam się, że nie dają one zadowalających rezultatów. Szczerze powiedziawszy, nie dają żadnych rezultatów.

– To faktycznie trudna sytuacja. Ale wierzę, że człowiek o pana intelekcie z pewnością rozważył już rozmaite rozwiązania. Co w takim razie sprowadza pana do mnie?

– Proszę pana, boję się, że moja żona może próbować ze sobą skończyć.

Dyrektor regionalny Hope Inc. na Okręg Berliński uniósł pytająco brwi, a później uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Proszę się nie martwić, panie profesorze. Nawet gdyby podjęła podobne kroki, w naszej firmie postępujemy wobec samobójców identycznie jak w przypadku ofiar wypadków czy przemocy. Gdyby coś jej się stało, dokonamy rekonstrukcji komórkowej z materiału macierzystego i zaimplementujemy jej aktualny poziom pamięci. Rozumiem, że żona regularnie podłącza kabel aktualizujący, żeby czytał dane na nasz serwer?

– Niechętnie – przyznałem. – Ale przypominam jej o tym każdego dnia.

– Bardzo dobrze. Jeśli tylko pan tego dopilnuje, nie powinno być żadnych problemów.

– A gdyby... – Słowa nie chciały mi przejść przez usta. – Gdyby unicestwiła... Gdyby w pełni unicestwiła swoje ciało?

– Rozumiem pana troskę, panie profesorze, ale nie ma obawy. Zgodnie z Kartą Praw, nadaną naszej firmie przez Wspólnotę Okręgów w roku 2056, w podobnych sytuacjach możemy dokonać pełnej rekonstrukcji komórkowej.

– Ma pan na myśli klonowanie?

– Przyspieszone klonowanie, tak to można nazwać. Taki proces trwa około dwóch lat i mogą pojawić się pewne zniekształcenia: pańska żona będzie miała pieprzyk nie na tej dłoni albo szare oczy zamiast zielonych. Ale to drobiazgi bez większego znaczenia, zgodzi się pan?

Odetchnąłem z ulgą, oparłem się wygodniej w fotelu. Fontaine, widząc to, uśmiechnął się jeszcze szerzej i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Jest pan niezwykłym człowiekiem, panie profesorze. Mało kto łączy w sobie taki intelekt i podobne przywiązanie do ukochanej osoby. Podziwiam pana. Ale nie musi się pan obawiać. Pańska żona nie zrobi niczego, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić.

– A dane sczytywane z jej mózgu? Gdyby stało się z nimi to, co w San Diego...

– To było trzydzieści lat temu – przerwał mi Fontaine. – Tamta eksplozja była bardzo niefortunna, to prawda, ale proszę pamiętać, że od tamtej pory nic podobnego nie miało miejsca, prawda? Poza tym właśnie od wybuchu w San Diego dane sczytywane od naszych klientów przechowywane są nie na jednym, ale na trzech serwerach. Nic im nie grozi.

Dokończyłem kawę i sięgnąłem po kolejnego maślanego herbatnika.

– Wydaje mi się, że chce pan jeszcze o coś zapytać – powiedział Fontaine.

– To prawda, choć głupio mi o tym mówić. Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe. Cóż, słyszałem... słyszałem pewne plotki. Na temat urządzenia zwanego Echo.

Mężczyzna zmarszczył czoło, powoli odstawił filiżankę na spodek.

– To prototyp, panie profesorze. Wciąż w fazie testów.

– Ale działa, prawda? Musi działać, musiał przejść przynajmniej część testów, inaczej zarzucilibyście ten projekt. Proszę pana – pochyliłem się w fotelu i splotłem mocno dłonie – czy istnieje jakiś powód, dla którego moja żona nie mogłaby uczestniczyć w testach Echa? To dla mnie bardzo ważne. Anna cierpi i jeśli istnieje jakikolwiek sposób, żeby jej pomóc...

Fontaine milczał przez dłuższą chwilę, a ja czułem, jak pocę się na plecach i pod pachami. Gdybym nad sobą nie panował, nogi podrygiwałyby mi jak szalone.

W końcu Laurent Fontaine przeprosił mnie i odszedł na stronę, by wykonać telefon. Dłuższą chwilę rozmawiał przyciszonym głosem, po czym zwrócił się do mnie:

– Panie profesorze, jutro do pana domu przyjedzie nasz człowiek, z aparatem Echo oraz z płytą, na której znajduje się odpowiednio przygotowana transmisja. Zarząd ma jeden warunek.



– Słucham.

– Jeśli pański zespół opracuje skuteczną metodę neutralizacji promieni Spitzera, do nas w pierwszej kolejności trafi kompletna dokumentacja waszych badań.

Poczułem, jak z twarzy odpływa mi cała krew. A więc to prawda, pomyślałem. Nawet jeśli rozwiążemy problem promieni Spitzera, Hope i tak zrobi wszystko, żeby mieć nas w garści. Nic się nie zmieni, dalej będą dyktować warunki.

W tym momencie każdy z nas mógł odegrać swoją małą szopkę: ja mogłem udawać zaskoczonego i oburzonego, a on – skromnego posłańca na usługach siły, która nie uznaje dyskusji. Obaj jednak wiedzieliśmy, że nikt tu nie oferuje mi żadnego wyboru. Poza tym nigdy nie przepadałem za aktorstwem.

– Zgoda – powiedziałem, ściskając wyciągniętą dłoń.

**Fragment IV rozdziału biografii Rufusa i Anny Eisenbergów, „Póki śmierć nas nie rozłączy”, autorstwa Daniela Coté (Berlin, Bruno Gmünder Verlag, rok 2099):**

Aparat Echo, który odegrał zasadniczą rolę w historii Rufusa i Anny Eisenbergów, był z naukowego punktu widzenia oczywistym dalszym krokiem na drodze zapoczątkowanej przez proces neurodigitalizacji pamięciowej, czyli sczytywania informacji zakodowanych w mózgu człowieka do postaci cyfrowej. Skoro za pośrednictwem gniazd transferowych i kabli aktualizacyjnych możliwe stało się zapisywanie naszych wspomnień, uczuć i myśli na dyskach serwerów Hope Inc., kwestią czasu było, aż ktoś wpadnie na pomysł przesyłania danych w odwrotną stronę – z nośnika wprost do ludzkiego mózgu. Aparat Echo miał pierwotnie służyć osobom, które cierpią na syndrom Belle’a i inne rodzaje depresji, wobec których klasyczne formy terapii nie przyniosły pożądanych efektów. Bazująca na przekazie podprogowym i mechanizmie autosugestii

transmisja, przekazywana przez Echo do mózgu, miała symulować pozytywne bodźce i ingerować bezpośrednio w sposób myślenia chorego. Jednak, podobnie jak miało to miejsce wielokrotnie wcześniej przy wprowadzaniu innych przełomowych technologii, w przypadku Eisenbergów Echo wykorzystano nie do końca zgodnie z jego pierwotnym przeznaczeniem. Efektem tego był znany nam wszystkim tragiczny finał tej historii.

**Środa, 27 sierpnia 2098, godzina 6:40.**

Anna siedziała na krześle, z dłońmi złożonymi na kolanach. Mimo że w domu było ciepło, a ona miała na sobie szlafrok frotte, cała drżała. Napięte mięśnie upodobniły jej bladą twarz do oblicza epileptyka.

– Jesteś pewna? – zapytałem. – Wiesz, co to oznacza?

Popatrzyła na mnie i szybko przytaknęła.

Wstałem z krzesła, przeszedłem kilka kroków. Oparłem się o ścianę i zapatrzyłem w sufit. Było mi duszno, prawa noga chodziła ze zdenerwowania, pięta wybijała dziurę w starym dywanie.

– Nie myśl o mnie źle, Rufus – poprosiła zachrypniętym głosem. – Błagam cię, nie myśl o mnie źle i nie przestawaj mnie kochać. Proszę.

Chciałem powiedzieć, że nie przestanę, ale nie miałem sił. Wróciłem na miejsce. Otarłem spoconą twarz, płyta w mojej dłoni latała jak ćma, usiłująca wyrwać się na wolność. Nigdy w życiu nie byłem tak przerażony, nawet wtedy, gdy bomby Sojuszu spadły na Monachium.

– Jesteś gotowa? – zapytałem. Ja nie byłem. Wiedziałem, że nigdy nie będę.

– Tak. Kocham cię, Rufus. Tak, jestem gotowa.

Zacząłem przeklinać, cicho, ale zapalczywie, a Anna siedziała na swoim miejscu i płakała bezgłośnie, łzy ciekły jej po policzkach. Dłonie zaciśnięte w pięści trzymała na kolanach.

Wsunąłem płytę do aparatu Echo, a zaraz potem poderwałem się z miejsca i wybiegłem na korytarz.

– Nie mogę – powtarzałem. – Nie mogę, nie mogę, nie mogę...

Nie ruszyła się. Nie poszła za mną, nie powiedziała ani słowa. Czuła, że zrobię dla niej wszystko. Nawet to.

Uderzyłem pięścią w ścianę i wydobyłem z siebie głośny, zwierzęcy ryk. Zadziałała prosta fizjologia: ból uruchomił strumień endorfin i enkefalin, krzyk spowodował krótkotrwałe, intensywne spięcie mięśni. Odzyskałem kontrolę nad sobą, zmusiłem organizm do zachowania jako takiego spokoju.

Wróciłem do pokoju ze wzrokiem utkwionym w Echu. Usiadłem na krześle, chwyciłem kabel w dłoń.

Spojrzałem w oczy Anny, a ona otarła policzki i pokiwała głową, dając mi do zrozumienia, że nie zmieniła zdania. Nakryła usta dłonią, drugą miętosła miękki materiał spodni. Też nie była w stanie mówić.

Przysunąłem się bliżej. Podpiąłem kabel do gniazda za jej lewym uchem. Nie mogło jej to boleć, ale wciągnęła gwałtownie powietrze, jakby uządliła ją osa.

– Anno...

– Włącz to – poprosiła szybko. Zamknęła oczy. Łapała powietrze rozpaczliwie, jakby nie mogła go dość zaczerpnąć. – Włącz to, Rufus, kochany, włącz to już.

Ręce mi się trzęsły jak w gorączce, zresztą cały czułem się chory. Położył dłoń na aparacie, palec wskazujący zawisł nad przyciskiem oznaczonym PLAY. Coś ścisnęło mnie za serce, za płuca, bełtało lodowatymi paluchami w żołądku, ostrymi szponami sunęło wzdłuż kręgosłupa, zahaczając boleśnie o kolejne kręgi.

Co ja robię, na litość boską?

– Proszę – wychrypiała Anna.

Coś we mnie pękło. Uruchomiłem Echo i stanąłem z boku. Nie mogłem się zmusić, żeby na nią spojrzeć, więc przez cały czas odtwarzania płyty gapiłem się w okno, tak naprawdę nie dostrzegając niczego, co znajdowało się po drugiej stronie. Miałem wrażenie, że ciemny oleisty mrok rozlewa mi się pod skórą, po całym ciele, oplata mięśnie i kości, sączy się do krwioobiegu. Pozostawało czekać, aż ten dziwaczny jad wypełni mnie do reszty, a potem stężeje i zamieni mnie w człowieka bez duszy i serca, w istotę z kamienia. W końcu kim innym mogłem być bez Anny?

Kiedy potrójne piknięcie oznajmiło koniec transmisji, nie wytrzymałem: pobiegłem do toalety i zwymiotowałem całe śniadanie.

Teraz już nie było odwrotu.

Kiedy wróciłem do pokoju, po raz ostatni podłączyliśmy się z Anną do kabli aktualizacyjnych, po czym chwyciliśmy spakowane torby i poszliśmy do samochodu. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa, gdy zostawialiśmy za sobą niezamknięty dom.

**Wiadomość przesłana przez młodszego kontrolera firmy Hope Inc. Patryka Sawickiego jego zwierzchnikowi Dieterowi Meine 29 sierpnia 2098 roku:**

Dieter,

W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin nie otrzymaliśmy aktualizacji skanu pamięciowego od Rufusa Eisenberga, nr ewd. 2099435, oraz Anny Eisenberg, nr ewd. 2097337. Mam zawiadomić policję, żeby ktoś do nich zajrzał? Czy w takiej sytuacji jest w ogóle jakaś standardowa procedura? Daj znać, co mam zrobić, ok?

Patryk

**Poniedziałek, 1 września 2098, godzina 22:25.**

Pod powiekami miałem piasek, przepocone ubranie kleiło mi się do skóry. Otworzyłem okno, żeby nocne powietrze choć trochę ostudziło

nagrzane wewnątrz auta i osuszyło moką tapicerkę. Byliśmy na podłej drożynie, gdzieś między Hamburgiem a Lubeką, samochód podskakiwał na starym, pokarbowanym asfalcie, a ja jechałem powoli, żeby nie urwać koła na jakiejś zdradzieckiej dziurze.

Anna drzemała na siedzeniu pasażera. Od chwili kiedy opuściliśmy Berlin, dużo spała, przez co było mi jeszcze trudniej. Miałem wrażenie, że już teraz się ode mnie oddała, zostawia samemu sobie, na pożarcie samotności i tęsknocie, których nic nie mogło zagłuszyć. Siedziała koło mnie, ale już teraz brakowało mi jej zapachu, dotyku jej dłoni, sposobu, w jaki czasem zawieszala głos w połowie pytania.

Zamyśliłem się i mało brakowało, a przegapiłbym nadlatujący ze wschodu helikopter. Gdy tylko spostrzegłem zawieszane w powietrzu migotliwe punkty, zacząłem szukać możliwego schronienia. W okolicy nie było żadnych budynków, ostatnią wymarłą wioskę minęliśmy dobre trzy kilometry wcześniej i teraz żałowałem, że się tam nie zatrzymaliśmy. Wokół drogi rosła tylko zdziczała pszenica, ale to musiało wystarczyć: wyłączyłem światła, przyhamowałem nieco i skręciłem w pole. Odgłos zboża tłukącego o maskę samochodu obudził Annę, która krzyknęła, przestraszona.

– Wszystko w porządku – powiedziałem, kładąc jej dłoń na ramieniu. Wjechaliśmy parę metrów w głąb pszenicy, po czym zgasłem silnik. – Helikopter.

– Szukają nas?

– Możliwe. Nie wiem, co innego mieliby tutaj robić.

Zamilkliśmy, jakby nasze głosy mogły nas zdradzić. Wsłuchiwalismy się w szum wirników, czekając, aż padnie na nas snop światła z reflektorów poszukiwawczych. Ująłem dłoń Anny i uściśnałem ją mocno, starając się dodać jej otuchy.

– Czy gdyby nas teraz znaleźli... – wyszeptała. – Czy wszystko poszłoby na marne?

– Nie wiem – odpowiedziałem, niespokojnie zerkając na zegarek. Spoglądałem na wskazywaną godzinę kilkakrotnie, tak jakbym się spodziewał, że za którymś razem ulegnie ona zmianie, a wraz z nią wszystko inne.

Warkot silników się nie zmieniał, co oznaczało, że śmigłowiec wisiał gdzieś w pobliżu. Siedzieliśmy więc w bezruchu, czekając na błysk światła, który oznaczałby dla nas wyrok. W pewnym momencie przesunąłem rękę z gałki zmiany biegów na dłoń Anny. Była zimna, niepokojąco zimna w tę ciepłą, duszną noc. Spojrzałem w jej stronę, by upewnić się, że dalej tu jest, że jej oczy wciąż są oczami dziewczyny, dla której kiedyś, dawno temu, kompletnie straciłem głowę.

Siedzieliśmy w mroku, a światło punktowych reflektorów wcale nie nadeszło. W końcu usłyszeliśmy, że helikopter się oddala.

**Fragment przesłuchania dyrektora regionalnego Hope Inc., Laurenta Fontaine’a, przez komisję badającą sprawę Rufusa i Anny Eisenbergów (Berlin, 17 października 2098):**

P: Twierdzi pan, że dostarczył Echo Eisenbergom w dobrej wierze, by pomóc cierpiącej na syndrom Belle’a żonie profesora. Czy ma pan na to jakieś dowody?

LF: Rejestr w pamięci wewnętrznej aparatu sugeruje, że Eisenbergowie przez tydzień używali Echa zgodnie z jego pierwotnym przeznaczeniem. Jednak leczenie za pomocą tego urządzenia wymaga czasu. Depresja Anny Eisenberg mogła być zbyt zaawansowana, by już po tygodniu dało się zauważyć poprawę. Natomiast oni byli zapewne zniechęceni dotychczasowymi porażkami.

P: Jak pan zareagował na informację o zniknięciu profesora Eisenberga wraz z małżonką?

LF: Natychmiast powiadomiłem policję. To standardowa procedura.

P: Co ma ona na celu?

LF: Oczywiście odnalezienie zaginionych osób i udzielenie im pomocy.

P: Podczas poprzedniego posiedzenia komisji wyjaśnił pan, że przy zapleczu technologicznym Hope Inc. jesteście w stanie zrekonstruować żyjącą osobę ze zmagazynowanego materiału macierzystego, a następnie zaimplementować jej aktualny skan zawartości mózgu. Skąd więc taka troska o człowieka, którego można równie łatwo „powielić”?

LF: Po pierwsze, to wcale nie jest łatwy proces. Ani krótki, ani tani. Co więcej, zawsze istnieje ryzyko – nieduże, ale jednak – wystąpienia anomalii rekonstrukcyjnych. Ryzyko, które jest bliskie zeru, gdy mamy do dyspozycji oryginalne ciało obiektu poddawanego rekonstrukcji, choćby i w znacznym stopniu okaleczone.

P: Ale w przypadku Anny Eisenberg policji udało się znaleźć ciało, prawda? Czemu w takim razie Hope Inc. nie jest w stanie przeprowadzić pomyślnej rekonstrukcji jej i jej męża?

**Środa, 03 września 2098, godzina 11:25.**

Duńska wysepka Rømø nic się nie zmieniła przez te wszystkie lata. Nie zmienił się też domek letniskowy, który dawniej należał do rodziców Anny. Szare mury wyglądały, jakby od stuleci wyrastały wprost z bujnej trawy i tylko parę pokruszonych, zrzuconych na ziemię dachówek przypominało, że nawet na tym miejscu czas nieustannie odciskał swoje piętno.

Musieliśmy ten dom porządnie przewietrzyć, usunąć firany pajęczyn i zetrzeć grubą warstwę kurzu z mebli i podłóg. Później wyciągnąłem z samochodu butlę z gazem i zająłem się montażem naszej prowizorycznej kuchni, a Anna wyszorowała wannę i sprawdziła, czy stara pompa ręczna na podwórku wciąż działa. Skorodowany metal poruszył się z rozdzierającym jękiem i z gęstych traw poderwało się w niebo parę przerażonych ptaków, ale z kranu chlusnęła woda.

Skończyliśmy koło szóstej. Usiedliśmy na progu chatki, zapatrzeni w błękitne niebo, spłukując kurz z gardeł puszkowanym pilznerem.

W kuble pełnym zimnej, świeżo napompowanej wody chłodziło się wino.

– W tej chwili niemal żałuję, że to już koniec – powiedziała Anna. Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że już nie drży. Uśmiechnęła się smutno i położyła mi głowę na ramieniu.

– Jak dużo mamy czasu? – zapytała.

– Nie wiem. Raczej nie mniej niż trzy godziny. Nie więcej niż dziesięć. Chyba.

Westchnęła cicho. Nie byłem w stanie powiedzieć, czy to wyraz żalu, czy ulgi.

– W takim razie zabierzmy się za kolację. Chcę zjeść, napić się, a później kochać się z tobą.

**Fragment posłowania do biografii Rufusa i Anny Eisenbergów, „Póki śmierć nas nie rozłączy”, autorstwa Daniela Coté (Berlin, Bruno Gmünder Verlag, rok 2099):**

Historia Rufusa i Anny Eisenbergów stanowi świadectwo pełnej sprzeczności natury człowieka. To opowieść o ludzkiej słabości, o kruchości naszej psychiki w obliczu przemian na nieznaną do tej pory skalę. Mamy pełną świadomość, że powinniśmy ich potępiać, bowiem Eisenbergowie wybrali śmierć, a nie życie; poddali się samolubnej depresji w czasach, gdy przetrwanie naszego rodzaju zależy od gotowości do poświęceń, a głos jednostki musi zginąć w głosie kolektywu.

Z drugiej strony, ich los porusza w naszych sercach jakąś tkliwą nutę. Oto bowiem historia miłości, dla której nie było rzeczy niemożliwych; to opowieść o poszukiwaniu szczęścia za wszelką cenę, a także pochwała sprytu i determinacji. Historia Eisenbergów to – jak twierdzi socjolog Marten Kluger – „niezwykły współczesny epos opisujący dramatyczną walkę o odzyskanie największego daru, jakim Bóg obdarzył człowieka: wolnej woli”.



**Czwartek, 04 września 2098, godzina 04:10.**

Kiedy policja wreszcie trafiła do domku, wciąż siedzieliśmy w wannie, po pachy w lodowatej, czerwonej od krwi wodzie. Skórę miałem całą pomarszczoną, kiedy mnie wyciągali. Krzyczeli coś, wrzeszczeli mi do ucha, ale znaczenie słów kompletnie do mnie nie docierało. Szwankujący mózg odebrał mi już władzę w większości mięśni, wyłączył nerwy odpowiedzialne za odczuwanie temperatury, a teraz wprowadził zamęt w tych częściach kory mózgowej, które odpowiadają za umiejętność komunikacji. Cóż, wirus spisywał się na medal.

Ostatkiem sił zmusiłem się, żeby spojrzeć na zegarek. Było po czwartej, tylko tyle do mnie dotarło, ale to wystarczyło. Wiedziałem już, że dałem mu dość czasu, aby SUPERFLU spełnił swoje zadanie. Ten sam stary wirus SUPERFLU, który całe dekady wcześniej pozbawił mnie części doktoratu i latami czekał w uśpieniu na starym dysku twardym, aby przeżyć swoje drugie pięć minut. SUPERFLU, którego wprowadziłem za pomocą Echa do umysłu swojego i Anny, a stamtąd, za pomocą kabla aktualizacyjnego, na serwery Hope.

Nie będzie więcej Anny i Rufusa Eisenbergów. Inne osoby – ci, którzy upodobali sobie nieśmiertelność – jeszcze raz zeskanują mapy swych umysłów na wyczyszczone przez wirus dyski serwerów. Ale nie my. Dla nas to koniec.

Patrzyłem na nieruchome ciało mojej żony i żałowałem, że po raz ostatni nie mogę zobaczyć jej uśmiechu. Łatwiej by było wtedy odejść. Wszystko, co mogłem zrobić, to przywołać w pamięci obraz jej twarzy i wspomnienie jej głosu, nucącego „Perfect Day” Lou Reeda. Chwyciłem się tych ulotnych pamiątek, jak deski na wzburzonym morzu, i pozwoliłem, żeby szaleńczy prąd porwał mnie ze sobą.

*Oh, it's such a perfect day, I'm glad I spend it with you*

*Oh, such a perfect day, You just keep me hanging on*

*You just keep me hanging on*

Anna była ze mną, kiedy mój mózg gasł, i umierałem z cichym błaganiem, aby czekała na mnie tam, dokąd się wybierałem.

*Wrocław, grudzień 2012-marzec 2013*

## Podwójne życie

– Barnabo.

Głos Kornela Małkiewicza brzmiał ponuro jak kamienna płyta nasuwana na sarkofag. Znieruchomiałem z ręką wyciągniętą w stronę porcelanowego nocnika, potem wyprostowałem się powoli.

– Tak, paniczu?

– Bądź tak łaskaw i podejdź tutaj, Barnabo.

Dziedzic rodu Małkiewiczów i najbogatszy człowiek w Wolnym Mieście Wrocławiu stał plecami do mnie. Wciąż miał na sobie elegancki, czarny frak, rozpiął jednak najwyższy guzik koszuli i rozwiązał białą, jedwabną muchę. Twarzą zwrócony był do drzwi balkonowych; światło samotnej lampy rozlewało się na szkło ciemnym bursztynem, za to cień rzucany przez mojego pana zdawał się mroczny, ogromny, nieludzko wyciągnięty, groźny niby dzika bestia.

– Powiedz mi, Barnabo... co tam widzisz?

Panowała noc, w większości okolicznych posiadłości pogasły światła, niebo zasnuły chmury. Oporowscy bogacze osunęli się już w objęcia Morfeusza. Albo morfiny.

Podszedłem bliżej, wytyczyłem wzrok, wzruszyłem ramionami.

– Wychodek ogrodnika?

Panicz Kornel odchrząknął znacząco, dając mi do zrozumienia, że nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– Sadzawkę z fontanną? – spróbowałem raz jeszcze. – Niedziałającą, nawiasem mówiąc. Nie żebym miał coś przeciwko działającym fontanom, których konstrukcja kosztowała trzy tysiące wrocławskich marek.

– Spójrz dalej, Barnabo – odparł mój pan. – Bardziej... globalnie.

– Ma panicz na myśli Lasek Oporowski?

– Mam na myśli Wrocław – rzekł, wzdychając ciężko. – Miasto grzechu. Miasto, które nie zasypia. Miasto, na którego ulicach wraz z zapadnięciem zmroku władzę przejmują gwałt, nierząd, wyzysk i przemoc.

Postanowiłem nie wspominać, że wyzysk w takim samym albo i większym stopniu panuje we Wrocławiu również za dnia, osobliwie mocną reprezentację znajdując w fabryce kół zębatach, należącej od trzydziestu lat właśnie do rodu Małkiewiczów. Pozwoliłem sobie również przemilczeć fakt, że całkiem spory odsetek wrocławskiej populacji zdawał się nie mieć absolutnie nic przeciwko odrobinie nierządu.

– Chciałbym czegoś dokonać, Barnabo. Chciałbym, żeby moje życie coś znaczyło. Jestem najbogatszym mieszkańcem tej zacnej metropolii, ale co tak naprawdę mogę uczynić?

– Zdaje się, że na dzisiejszym balu przekazał pan znaczny datek na budowę przyszpitalnego lądowiska dla mechakopterów. Proszę pomyśleć o tych nieszczęśnikach, którzy dzięki temu...

– Za mało! – Kornel Małkiewicz machnął ręką. – Za mało, Barnabo! Co ze złem, kwitnym na ulicach miasta? Co z mordercami, gwałcicielami, złodziejami, włamywaczami, rabusiami, podpalaczami, wandalami, oszustami, przemytnikami, bigamistami, osobami przechodzącymi przez ulicę w niedozwolonym miej...?

– Wydaje mi się, że pojmuję, co panicz ma na myśli – ośmieliłem się wtrącić, a mój pan, Bogu niech będą dzięki, umilkł.

Dyskretnie przestąpiłem z nogi na nogę. Byłem zmęczony, a miałem jeszcze do zrobienia całe mnóstwo rzeczy, zanim będzie mi dane zaznać kilku godzin snu. Wcześniej łudziłem się, że po balu dobroczynnym u hrabiny von Weltschmerz mój pan zaraz wślizgnie się pod obleczoną w brodzki atlas puchową pierzynę, ale tak się nie stało. Zamiast tego gapił

się teraz w okno i robił, co mógł, żeby jego szlachetny profil nabrał wyrazu posepnej zadumy.

– To mnie wypala, Barnabo. Niszczy od środka. Muszę coś zrobić.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu i spoglądaliśmy przez okno. Na czarnym niebie błysnęły światła sterowca; sądząc po rozmiarach, jednej z tych olbrzymich, transkontynentalnych bestii, które z wrocławskiego aerodromu odchodziły ku Moskwie, Buenos Aires czy Aleksandrii.

– Może zrobić paniczowi kakao? – zaproponowałem, odrzuciwszy zawnazaszu wszystkie inne pomysły pomocy.

Kornel Małkiewicz wydobyl z siebie kolejne teatralne westchnienie osoby nierozumianej, wyprzedzającej pod wzgledem wrażliwości, inteligencji i światopoglądu sobie współczesnych, po czym powiedział:

– Zostaw mnie samego, Barnabo. Muszę pomyśleć.

Skinąłem grzecznie głową i ruszyłem do drzwi.

– Barnabo? – zatrzymał mnie w progu.

– Tak, paniczu?

– Ale takie naprawdę gorące, z tymi angielskimi piankami na wierzchu, dobrze?

– Oczywiście. Zaraz przyniosę.

\*\*\*

Mój pan nie zwykł opuszczać swojej sypialni przed godziną dziesiątą rano, dlatego byłem bardzo zaskoczony, gdy z nastaniem świtu zastałem go przy biurku w gabinecie, pochylonego nad jakimiś skomplikowanymi rysunkami technicznymi. W zasięgu dłoni miał kilka ołówków, gumki, linijki i cyrkle; obok przycupnęła lśniąca bryła staffelowskiego arytmometru.

– Dzień dobry, paniczu.

– Zaiste dobry, Barnabo! – odparł rozentuzjasmowany. – Będiesz tak miły i przyniesiesz mi tutaj śniadanie?

Kornel Małkiewicz wciąż miał na sobie elegancką koszulę z żabotem, teraz już nieco wymiętą. Worki pod oczami sugerowały, że tej nocy nie zaznał snu. Zapach panujący w gabinecie podpowiadał, że z łazienką też nie miał od dłuższego czasu bliższej styczności.

– Oczywiście.

Zacząłem się wycofywać, ale mój pan mnie zatrzymał.

– Powiedz, Barnabo... czy nie uważasz, że tragiczna śmierć rodziców może poczynić pewnego rodzaju spustoszenie w psychice dziecka? Uczynić je... wrażliwszym na ludzkie cierpienie? Zasiać w nim pragnienie niesienia pomocy tym, którzy zmuszeni są godzić się z owocami cudzej niegodziwości?

Zadając pytanie, nie patrzył w moim kierunku. Spoglądał w bok, na dagerotyp przedstawiający jego świętej pamięci ojca i matkę. Twarz mojego pana ułożyła się w grymas, mający chyba wyrażać dawne, lecz wciąż niezabliźnione rany.

– Zgadza się, paniczu – odparłem. – Prawdziwe szczęście, że rodziców panicza nie spotkało nic podobnego.

Mina mu nieco zrzędła; może żywił cichą nadzieję, że podchwycę jego nastrój i przymknę oko na fakt, że pogrzebał rodziców ledwie trzy lata wcześniej, a ich koniec nie miał wiele wspólnego z mroczną stroną ludzkiej natury: pani Małgorzata zadławiła się kluską, a pana Alfonsa, który akurat dokonywał objazdu licznych posiadłości, kopnął w głowę koń, nawiasem mówiąc stary i ślepy.

– Tak... – mruknął panicz Kornel niechętnie. – A więc śniadanie...

– Służę.

Wymknąłem się już z gabinetu, ale znowu usłyszałem swoje imię.

– Tak? – zapytałem, na powrót otwierając drzwi.

– A moi dziadkowie? Jak oni umarli?

– Obawiam się, że w sposób równie nieefektywny, paniczu. Chociaż – zawahałem się, wszak nie wolno okłamywać swego pana – dziadek Helmut

został zraniony przez napoleońskiego marudera przy Bramie Odrzańskiej. Wdała się gangrena i trzeba mu było odjąć nogę. Ponoć już nigdy potem nie był taki sam.

– Pamiętam! Och, biedny dziadek Helmut...

Oczy mojego pana zaszklily się, nabrzmiały zaciśnięte szczęki, lewa dłoń schwyciła ołówek i zbielała w nieudolnej próbie jego złamania.

– Paniczu, dziadek Helmut zmarł dwanaście lat przed panicza przyjściem na świat.

– Och.

Czekałem w milczeniu na kolejne pytania, mój pan tymczasem obrócił się na krześle do okna i spoglądał na wstający dzień, szary, pochmurny i zimny.

Dumał dość długo, a ja czułem, że to jeszcze nie koniec.

Miałem rację.

– Pamiętasz Azora, Barnabo? – zapytał wreszcie głosem mężczyzny, który pochował żonę i trójkę maleńkich dzieci, ale z odwagą i pokorą niesie swój krzyż.

– Dostyc dobrze, paniczu.

– To był wspaniały pies.

– Nie zaprzeczę.

– Długo nie mogłem zrozumieć, jak ktoś mógł być tak okrutny. Żeby naszpikować kiełbasę kawałkami potłuczonego szkła...

Milczałem, wiedząc, dokąd to zmierza.

– Tak naprawdę – dodał Kornel – chyba nigdy do końca nie pogodziłem się z tą stratą.

Później obrócił się do biurka, raz jeszcze spojrzął na plany i schematy. W jego oczach pojawił się niepokojący błysk.

– Najpierw śniadanie, Barnabo. A później... później weźmiemy się do pracy.

\*\*\*

– I jak, Barnabo? Co sądzisz?

Pomieszczenie było olbrzymie. Duże gazowe latarnie rozpraszały mrok, wydobywały z ciemności stoły wyposażone w imadła i nakryte dziesiątkami różnych narzędzi, obłe kształty parowych kotłów, tryby maszyn.

– Wydaje mi się, że rodowa krypta zyskała na... charakterze.

– Prawda? – odparł panicz Kornel, niezrażony moim tonem. – Mówiłem ci, że te wszystkie posągi będą doskonale wyglądać w ogrodzie.

Musiałem przyznać mu trochę racji. Rzeźby dziadków, prababć, wujów i stryjenek przesłoniły wreszcie niedziałającą fontannę.

– Może panicz zechce mi teraz wyjaśnić przeznaczenie tego miejsca? – zapytałem, z szacunkiem omijając płytę nagrobną prapradziadka mojego pana, Franciszka Małkiewicza, znanego opoja, obłudnika i bawidamka, który jednak miał spory dryg do hazardu i dorobił się na wyścigach niemałej fortuny.

– Oczywiście, Barnabo. Tobie jednemu mogę w pełni zaufać, ty jeden możesz być powiernikiem mojej tajemnicy. Musisz jednak wcześniej przysiąc, że nikomu, nigdy, pod żadnym pozorem nie wyjawisz tego, co zaraz ci powiem.

– Przyrzekam.

– Doskonale. Otóż, Barnabo, stoisz właśnie w sercu mojej kryjówki.

Podrapałem się po głowie i pozwoliłem sobie na delikatne chrząknięcie.

– Bardzo sprytnie, paniczu. Pośledniejszy umysł zapewne wybrałby na kryjówkę miejsce nieco mniej oczywiste niż rodowa krypta, ale przecież najciemniej pod latarnią, czyż nie? A przed kim ma panicz zamiar się kryć, jeśli wolno spytać?

– Och, nie ja. – Mój pan wybuchnął śmiechem, po czym mrugnął do mnie porozumiewawczo. – To kryjówka Stalowego Człowieka.

Do tej pory nie wierzyłem, że można zakrztusić się połykaną śliną. A jednak.



– Oto mój plan, Barnabo. Od tej pory wieść będę podwójne życie: za dnia bogatego dandysa i filantropa, nocą zaś nieustraszonego mściciela. Chodź, pokażę ci.

Zaprowadził mnie przed coś, co wyglądało jak gigantyczny sejf albo drzwi do bankowego skarbcza. Chwycił za stalowe pokrętło wielkości koła sterowego, szarpnął raz, potem drugi.

– Ciężko, psiakrew, chodzi – wystękał.

– Panicz pozwoli, że pomogę.

Wspólnie otworzyliśmy zabezpieczenia, odciągnęliśmy masywne wrota. Moim oczom ukazał się zwałisty, metalowy pancerz przetykany tłokami, zaworami, rurkami i przewodami.

– Oto zbroja Stalowego Człowieka – oznajmił mój pan natchnionym głosem. – Przyjrzyj mu się dobrze. Wkrótce wrocławscy złoczyńcy będą truchleć na jego widok.

– To chyba nie jest stal – zauważyłem, przesuwając dłonią po płycie napierśnika.

– Nie – przyznał niechętnie panicz Kornel. – To mieszanka glinu, żelaza i chromu. Ale sam chyba przyznasz, że Glinowo-Żelazno-Chromowy Człowiek nie brzmi zbyt dobrze. Wyobraź sobie tych przestępców, którzy mieliby życzyć mi śmierci przez kraty więźniarek, krzyczących: „Jeszcze cię dopadnę, Glinowo-Żelazno-Chromowy Człowie...”

– Dobrze, już dobrze, pojąłem. – Wróciłem spojrzeniem do pancerza. – Jak to ma działać?

– Już się bałem, że nie zapytasz.

Panicz Kornel pociągnął za dźwignię i zbroja otworzyła się jak żelazna dziewica z czasów świetności hiszpańskiej Inkwizycji. Wszedł do niej, po czym zamknął ją od środka. Usłyszałem jakieś szcęknięcia, stuknięcia, kilka umęczonych stęknień.

– Jeszcze parę klamer i zaworów – poinformował mnie dziwnie spleaszczonym, metalicznym głosem. – Jeszcze moment, momencik. O!

I już!

Nic się nie stało.

Odczekałem chwilę, po czym odważyłem się zabrać głos.

– W rzeczy samej wygląda imponująco – przyznałem. – Czy jednak Stalowy Człowiek nie powinien być nieco bardziej... ruchomy?

– Zaraz, do cholery! Przecież kocioł musi się nagrzać!

– Ach tak. Naturalnie.

Czekałem. Mój pan w międzyczasie zapoznał mnie ze wszystkimi tajnikami zbroi Stalowego Człowieka. Pancierz chronił przed bronią białą i palną, dysza ukryta w lewej rękawicy rzygała ogniem, jej bliźniaczka w prawej – wrzącą parą. Elastyczne łączenia w stawach i skomplikowany system hydraulicznych tłoków pozwalał mojemu panu, nawet w tak ciężkim rynsztunku, korzystać ze znajomości boksu i zapasów. Jakby tego było mało, kolejne dysze, tym razem umieszczone w nogach Stalowego Człowieka, miały umożliwiać skoki na odległość do dziesięciu metrów.

Po jakimś czasie dał się słyszeć syk, potem zgrzyt.

– No to do dzieła – powiedział mój pan.

Stalowy Człowiek uczynił krok. Jeden krok. Trwało to kilka sekund, po czym nastąpiła niedługa przerwa, po niej zaś kolejny, równie błyskawiczny ruch.

Podsumowując, w czasie około czterdziestu minut od otwarcia sejfu Stalowy Człowiek zdołał uczynić dwa kroki.

– Zdumiewające – powiedziałem. – Już widzę przestrach malujący się na twarzach wszystkich rabusiów i morderców, którzy uszliby zwyczajnym milicjantom, ale nie podołają, gdy w pościg ruszy sam Stalowy Człowiek.

Kornel Małkiewicz z dzikim wrzaskiem pootwierał kolejne kłamry i zatrzaski. Wyskoczył ze zbroi cały czerwony i spocony, pognał do stołu zasłanego arkuszami papieru.

– Nic z tego nie rozumiem! Wszystkie rachunki, wszystkie obliczenia...

Pozwoliłem sobie zerknąć mu przez ramię.

– Mogę się mylić – zauważyłem – ale czy tutaj, przy obliczaniu zapotrzebowania energetycznego, panicz, że się tak kolokwialnie wyrażę, nie połączył jednego zera?

Mój pan przejrzał raz jeszcze wszystkie obliczenia i wyszczerzył zęby.

– Barnabo, jesteś genialny! Oczywiście, wystarczy naprawić ten drobny błąd w obliczeniach i...

Uśmiech zastygł mu na ustach, głos uwiązł w gardle.

– I umieścić na plecach Stalowego Człowieka kocioł parowy o pojemności nie 0,26 metra sześciennego, tylko 2,6 metra sześciennego – dopowiedziałem za niego. – Co prawda po tej kosmetycznej poprawce Stalowy Człowiek będzie wyglądał nie jak rycerz z bojlerem na plecach, ale jak ołowiany żołnierz przygnieciony cegłówką, ale tak, to bez wątplenia rozwiąże problem. Proszę się brać do pracy, a ja tymczasem pójdę po kakao.

\*\*\*

– Barnabo.

Głos dochodził gdzieś z mroku, nie byłem w stanie określić, skąd dokładnie. Światła w kryjówce mojego pana były nieco przygaszone, cienie wyciągnęły się, zwielokrotniły, zgęstniały. Przezornie odłożyłem tacę z herbatą i biszkoptami na najbliższy stół.

– Tak, paniczu?

– Czy w twojej rodzinie jest historia chorób natury, że tak powiem, sercowej?

– Ma panicz na myśli tragiczną miłość?

– Chodziło mi raczej o zawały serca, tachykardię, chorobę wieńcową. Takie rzeczy.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Doskonale.

Z mroku wyłoniła się postać obleczona w czerń. Postrzępiony płaszcz opadał do ziemi, maskę na głowie zdobiły olbrzymie miodowe oczy oraz zakrzywiony sierp dzioba.

– I co myślisz? – zapytał. – Nie spodziewałeś się tego, hę? Sprawilem, że twoje serce zaczęło szybciej bić, prawda? Włoski na karku ci się zjeżyły na mój widok?

– Przyznaję, że wzbudził panicz we mnie... skrajne emocje. Byłbym zobowiązany, gdybym jeszcze mógł się dowiedzieć, na co właściwie patrzę.

– O, to mój najnowszy pomysł. Po zeszłotygodniowym fiasku ze Stalowym Człowiekiem postanowiłem spróbować czegoś prostszego, mniej technicznego, a bardziej pierwotnego. W ten sposób powstał Człowiek Puchacz.

Zachłysnąłem się. Własną śliną. Znowu.

– Człowiek Puchacz?

– Tak. Pomyśl o tym, o tej szerokiej symbolice. Nocny łowca. Lśniące ślepia widoczne w mroku, nic więcej. Łopot skrzydeł pośród wrocławskiej nocy, orzeźwiający powiew pośród zaduchu grzechu i zła. Co o tym myślisz?

Prawdę powiedziawszy, akurat w tym momencie zastanawiałem się, czy mój pan wie, że łacińska nazwa puchacza to *bubo bubo*.

– Spektakularny koncept – przyznałem. – Czy jednak nie rozważał panicz innych nocnych myśliwych? Weźmy na przykład takiego nietoperza....

Kornel Małkiewicz wybuchnął śmiechem, dziób puchacza zatrzęsł się i przekrzywił, gotowy lada moment odpaść.

– Nie wygłupiaj się, Barnabo! Człowiek Nietoperz! Jak to w ogóle brzmi! Nedorzecznosc. Wyobrażasz sobie kogoś, kto przestraszyłby się latającej myszy?

Nie pracuje się jako lokaj u najbogatszej rodziny w mieście przez ponad trzydzieści lat, jeśli się nie wie, kiedy trzymać gębę na kłódkę.

Postanowiłem dyskretnie zmienić temat.

– Czy ten strój, poza oczywistymi walorami estetycznymi, posiada jeszcze jakieś... sekrety? Coś, co przechyli szalę na korzyść panicza, jeśli przestępcy z niewytłumaczalnych względów nie zemdleją na sam widok... ekhem... Człowieka Puchacza?

– Barnabo, Barnabo, stary kochany Barnabo. Czy naprawdę sądzisz, że wystawiałbym się na niepotrzebne niebezpieczeństwo? Oczywiście, ten strój to szczyt myśli technologicznej. Spójrz: korpus to przerobiony damski gorset, pomiędzy fiszbiny wszyto tytanowe płytki. Ta klamra przy pasie jest odczepiana i można ją wykorzystać jako zabójczy pocisk miotany, o tak!

Metalowy krewny bumerangu poszybował obok słomianej kukły, nie czyniąc jej najmniejszej szkody, i stłukł szklany alembik. Jakieś chemikalia rozlały się po stole, buchnął gryzący dym, rozłożone papiery poskręcały się w procesie błyskawicznego zwęglania.

– Mniejsza o klamrę – zdecydował po chwili panicz Kornel. – Spójrz na to.

Podszedł do ściany. Szarpnięcie za dźwignię zwiększyło napływ gazu do latarni i rozświetliło mocniej pomieszczenie. Mój pan zaczął wspinać się po drabinie, przynitowanej do ściany. Wdrapał się pod sam sufit, na wysokość około pięciu metrów.

– Najwspanialsze w tym stroju jest to, że pozwala latać. Tak, Barnabo, dobrze słyszałeś! To nie tylko peleryna, to najnowocześniejsza tkanina z łódzkich manufaktur Borowieckiego, Bauma i Welta! Spójrz tylko!

Ku mojemu osłupieniu Kornel Małkiewicz chwycił za poły płaszcza i rozpostarł je w tym samym momencie, w którym odbił się nogami od drabinki. Zamarłem, czekając, aż mój pan zleci na twardą posadzkę i połamie sobie nogi, ręce oraz kręgosłup. Tymczasem ta jego czarna peleryna zeszywniała, wzdęła się nieco, on zaś opadł o dwa, trzy metry w dół, ale złapał jakimś cudem powietrze i poszybował, wrzeszcząc

euforycznie, przez całą szerokość pomieszczenia... by wlecieć twarzą prosto w przeciwną ścianę.

Kiedy podbiegłem do niego, leżał smętnie jak połamany latawiec. Spod pękniętego dzioba ciekła krew, a mój pan jęczał cicho, głosem zupełnie niepodobnym do głosu puchacza.

\*\*\*

– Minimalizm, mój drogi – perorował panicz Kornel, prowadząc mnie do swojej kryjówki w kilka tygodni później, gdy zaleczył już wszystkie złamania. – Zrozumiałem to podczas mojej niemiłosiernie dłużej się rekonwalescencji. Moje poprzednie potknięcia wynikały z prób pokonania naraz zbyt wielu barier. Niepotrzebnie! Wszak przy mojej tężyznie fizycznej i licznych talentach potrzebuję w gruncie rzeczy jedynie symbolu i drobnej pomocy; czegoś, co zapewni mi minimalną przewagę nad przeciwnikami.

Musiałem oddać memu panu sprawiedliwość: nie był ułomkiem, regularnie uprawiał sporty, we wrocławskich zawodach bokserskich doszedł kilka lat wcześniej do finału, gdzie na punkty przegrał z paskudnym małopoldem z Psiego Pola. Jego słowa nie były zupełnie pozbawione podstaw.

Stanęliśmy wreszcie przed stołem. Na blacie leżał strój z jakiejś lśniącej, biało-czerwonej tkaniny oraz masywna, okrągła, metalowa tarcza. Jej krawędzie na pierwszy rzut oka wyglądały na diabelnie ostre, a malunek pokrywający front przedstawiał polskie godło: białego orła na czerwonym tle. Choć prawdę powiedziawszy, wspomniany orzeł zdradzał spore podobieństwo do bociana. Albo – jeśli popatrzeć pod odpowiednim kątem – do kury.

Cóż, mój pan miał wiele talentów, ale malarstwo nie było jednym z nich; pozostawało cieszyć się, że ów ptak ma skrzydła, dziób i właściwą liczbę odnóży.

– Polskie godło? – upewniłem się.

– Jesteśmy, było nie było, Polakami – oznajmił panicz Kornel z nutą patriotycznej dumy.

– Jesteśmy wrocławianami – sprostowałem. – Wolne Miasto Wrocław od dwudziestu trzech lat funkcjonuje na prawach państwa-miasta. Posiada własne godło i barwy państwowe, a...

– Dobra, mniejsza o godło! – warknął mój pan, po czym zaraz się uspokoił. – Co o tym myślisz, Barnabo?

Obejrzałem tarczę. Na pierwszy rzut oka wydawała się bardzo ciężka, ale gdy wziąłem ją do ręki, okazała się ważyć niewiele. Aż prosiło się, żeby cisnąć nią przez całą długość pomieszczenia.

– Nie zgadniesz, z czego jest wykonana – oznajmił panicz Kornel.

Nowe technologie to, nie chwaląc się, taki troszkę mój konik, więc oczywiście i do mnie dotarła plotka o niedawnym odkryciu vibranium, najwytrzymalszego metalu dostępnego na ziemi. Prawdę powiedziawszy, to ja podsunąłem dyrektorom firmy Małkiewiczów – panu Lucjuszowi Lisowi oraz panie Wirginii Garneckiej – pomysł, żeby przemycić z Afryki nieduży ładunek tego niebywale cennego surowca i poddać go podstawowym testom.

– Z vibranium – powiedziałem.

– Nie – odrzekł panicz Kornel z miną magika, który lada moment wprawi widownię w zdumienie i zachwyt. – Z vibranium.

Przez chwilę przyglądaliśmy się tarczy, później mój pan chwycił strój i zniknął w mroku. Kiedy znowu się pojawił, miał na sobie coś, co wyglądało jak bardzo obcisły, czerwono-biały, jedwabny kostium składający się z kalesonów i obdarzonego rękawami gorsetu – pomysł z płytkami tytanu wszytymi pomiędzy fiszbiny najwyraźniej przechodził kolejną inkarnację.

Nie miał natomiast, o czym z bólem się przekonałem, bielizny, która zapobiegłaby bardzo sugestywnemu opinaniu się materiału na co bardziej

intymnych częściach ciała. Nie zdążyłem jednak choćby napomknąć o tym niedopatrzeniu, bo oto mój pan porwał tarczę ze stołu, mnie zaś wręczył nieduży, sześćostrzałowy rewolwer.

– Nie myśl, że nie widzę, Barnabo, powątpiewania na twojej twarzy – oznajmił. – Zaraz rozwieję twoje obawy i pokażę, że tym razem mój pomysł jest genialny w swej prostocie. Żadnej zawodnej technologii. Żadnych innowacyjnych rozwiązań. Tylko to, prosty symbol i niebywale skuteczna broń. Pomyśl, przy okazji, o tym podświadomym przekazie, jaki mój atrybut ze sobą niesie: nie jest to bowiem broń sensu stricto, jak miecz czy pistolet, ale coś zapewniającego ochronę, schronienie, bezpieczeństwo. Ludzie będą patrzeć na mnie nie jako na reprezentanta bestialskiej agresji i siły, ale z perspektywy pragnienia ratowania życia, które motywuje mnie do działania!

– To wspaniale, paniczu.

Spróbowałem odłożyć rewolwer na stół, ale mój pan mnie zatrzymał.

– Hola! Widzę, że wciąż nie jesteś przekonany. Potrzebujesz dowodów, że będę bezpieczny? Oto one! Strzelaj!

– Słucham?

– Strzel do mnie – rozkazał, zasłaniając się tarczą. – Ale już.

– Paniczu...

– Strzelaj, do diabła. Rób, co mówię!

– Paniczu, nie wydaje mi się...

– Strzelaj, dziadu parchaty!

Podniosłem broń, wymierzyłem, strzeliłem. Huk był okropny.

Nie wiem, co nas bardziej zaskoczyło: to, że nacisnąłem spust, że kula trafiła w tarczę, czy może to, że pocisk zrykoszetował, nie czyniąc mojemu panu najmniejszej krzywdy.

– Ha! – wykrzyknął rozradowany panicz Kornel. – Mówiłem! Fraszka! Igraszka! Boskie vibranium! Strzelaj, kochany Barnabo, strzelaj! Zobaczysz, że teraz jestem niezwyciężony!



Strzeliłem więc. Raz, drugi, trzeci. To ta trzecia kula ześlizgnęła się po wypukłej krzywiznie tarczy i zahaczyła o nogę mojego pana. Trysnęła krew, podniósł się wrzask, poszarpany materiał splątał się z poszarpaną skórą, z rozprutym mięsem.

Tym razem, pomyślałem, kakao z piankami chyba nie wystarczy.

\*\*\*

W ciągu kolejnych miesięcy przez podziemną kryjówkę mojego pana przewinęły się kolejne wcielenia zamaskowanych mścicieli.

Był Karciciel, uzbrojony po zęby zabijaka z wielką białą czaszką wymalowaną na standardowym już elemencie wyposażenia, wzmocnionym tytanowymi płytkami gorsecie. Okazało się, że biała czaszka na czarnym tle sprawdza się w nocy doskonale jako tarcza strzelnicza.

Był Człowiek Tarantula z rękawicami wyposażonymi w sprężynowe wyrzutnie, miotające niebywale lepka, jedwabną nić. W ciągu pierwszego kwadransu użytkowania kostiumu jedna z wyrzutni się zacięła, a zawartość drugiej kompletnie zakleiła wizjer panicza Kornela. Człowiek Tarantula miał też kolec powleczony usypiającą substancją – umiejscowiony w wizualnie dość niefortunnym, jeśli wiecie o co mi chodzi, miejscu. Choć panicz Kornel miał słuszność, że w przypadku walki w zwarciu mógł ów kolec zapewnić mu znaczną przewagę, okazało się jednak, że w przypadku bardziej zaawansowanych akrobacji może stanowić broń cokolwiek obosieczną. Kostium poszedł w odstawkę, gdy tylko mój pan się przebudził.

Była wreszcie gigantyczna maszyna różnicowa i kask połączony z nią setką różnych przewodów. Panicz Kornel, zmuszony wcześniejszymi eksperymentami do tymczasowego przemieszczania się na wózku inwalidzkim, postanowił, jako enigmatyczny Profesor K, zaprzęgnąć do walki z przestępczością nie swoje ciało, lecz ostry jak brzytwa umysł. Niestety okazało się, że do zasilenia maszyny takich gabarytów potrzeba

codziennie wozu węgla. Co więcej, w projekt musiał wkraść się jakiś błąd – którego nie udało mi się wykryć, co przyznaję z zażenowaniem – ponieważ na najtrudniejsze ze stawianych przed nią problemów maszyna dawała regularnie tę samą, frustrująco niezrozumiałą odpowiedź, a mianowicie „42”.

Ostatnim z pomysłów mojego pana było wystawienie swojego ciała na oddziaływanie niedawno odkrytych promieni, wydzielanych przez sole uranowe. Według jego własnych obliczeń oraz prac młodej fizyczki, której nazwiska w tej chwili nie pomnę, w efekcie ekspozycji na niewidoczne dla ludzkiego oka światło owych soli, ciało mojego pana miało przechodzić okresową transformację, w wyniku której stałby się, nazywając rzecz mało naukowo, bardzo duży, niesłychanie silny i –efekt uboczny – seledynowo zielony. Koncept ten wydał mi się na tyle niebezpieczny, że dostarczone w specjalnym ołowianym pojemniku sole uranowe własnoręcznie podmieniłem na kryształy chlorku sodu, memu panu podałem zaś zawczasu sporą porcję soli Seignette’a, czyli – proszę wybaczyć bezpośredniość – środka przeczyszczającego.

Kiedy kilka godzin później paniczowi Kornelowi – nawiasem mówiąc, białemu jak śnieg – udało się zsunąć z ustępu i przy mojej pomocy przeczołgać do łóżka, usłyszałem z jego ust wytęsknione słowa.

– To na nic, Barnabo – wyszeptał głosem tak słabym, jakby chorował od zeszłego miesiąca, a nie od południa. – Zawiodłem. Zawiodłem to miasto, zawiodłem ciebie, siebie samego, moich rodziców. Nie zdołam niczego zmienić. Mimo wszystkich moich bogactw i dobrych chęci... wszystko na nic.

Zrobiło mi się go trochę szkoda.

– Panicz pewnie o tym nie wie – powiedziałem z wahaniem, poprawiając mu kołdrę. – Ale ojcem panicza targały swego czasu podobne emocje. Też chciał pomóc temu miastu, też chciał wykorzystać swoje

doczesne dobra, żeby odmienić los mieszkańców Wrocławia, stojących twarzą w twarz z bezprawiem.

Mój pan się ożywił, uniósł nieco na łokciach, spojrzał na mnie ze zdumieniem i fascynacją.

– Co ty mówisz, Barnabo? Jak to?

– Najwyraźniej prawdą jest, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– I cóż mój ojciec? Co uczynił?

– Czas jakiś miotał się, podobnie jak panicz, próbował różnych rzeczy. Wreszcie pojął, że jego rola jest inna, że nieprzeznaczony mu był żywot mściciela. Od tamtej pory korzystał z pieniędzy i swojej mądrości, by czynić dobro. To on przecież ufundował szpital przy akademii medycznej, on pokrył koszty wybudowania wrocławskiej sieci kanałów ściekowych, on wreszcie, jako pierwszy, ograniczył czas pracy w swoich fabrykach z czternastu do dwunastu godzin dziennie. Ojciec panicza zdał sobie sprawę ze swoich ograniczeń i dostosował się do nich. Pomagał ludziom, tak jak umiał.

W oczach mojego pana pojawiły się łzy. Opadł na poduszkę, odwrócił wymizerowaną twarz w stronę okna, za którym z wolna zapadał zmierzch.

– I ja tak uczynię – powiedział w końcu. – Zostaw mnie teraz, Barnabo. Muszę pomyśleć. Pomyśleć i odpocząć.

Kwadrans później panicz Kornel spał już twardo. Wyglądało na to, że osłabienie organizmu pozwoli mu spać aż do świtu.

Wróciłem do siebie, do pozbawionej okien klitki na parterze okazałej posiadłości. Mój pokój był skromnie urządzone, bo i ja niewiele potrzebowałem: łóżko, lustro, szafa, taboret, mały stolik, półka z rzędkiem książek. Zamknąłem drzwi na klucz, zdjąłem z siebie obowiązkowy na moim stanowisku strój: żakiet, białą koszulę, pozbawione najdrobniejszego zagięcia spodnie. Później podszedłem do półki i pociągnąłem za grzbiet „Poza dobrem i złem” Nietzschego.

Szafa odjechała na bok, ukazując ciasną kabinę windy.

Wszedłem do środka i pociągnąłem za wajchę. Dźwig ruszył bezgłośnie w dół.

Prawdą jest, że pan Alfons, ojciec panicza Kornela, hojnie łożył na szczytne cele. Ale nie poprzestał na tym.

Winda dotarła na dół i otworzyła się na podziemia pełne moich słodkich tajemnic. Mimo zmęczenia, mimo świadomości, że czeka mnie kolejna zarwana noc, mimo niezaleczonych skaleczeń i siniaków pokrywających moje ciało, zrobiłem krok w przód, pozwoliłem, żeby otulił mnie przytulny mrok mojej kryjówki.

Później zabrałem się do pracy. W końcu niegodziwe plany niezliczonych złoczyńców Wolnego Miasta Wrocławia, nie pokrzyżują się same, nieprawdaż?

*Wrocław, styczeń 2016*

## Krąg de Berville'a

Lyonesse nocą jest jak lemurska dziwka. Czarne, niebezpieczne, pełne tajemnic. Nieważne, co robisz. Ślęczysz nad słupkami liczb na czternastym piętrze ceglanego drapacza chmur w sercu Dystryktu? Zaraz za progiem huty zrywasz kapsel z butelki i wlewasz *ale* w gardło wysuszone na wiór? A może właśnie spacerujesz przez Ogrody Opackie, Mgła osiada ci na butach cuchnącą rosą, a kobiety wszystkich ras czekają w blasku latarni na kogoś, kto zechce posmakować rozkoszy zakazanych za dnia? Nieważne, mówię. Ciemna strona Lyonesse prędzej czy później wyciągnie po ciebie łapska.

Tak jak wyciągnęła je po Spencera Hebba, który zdechł praktycznie na oczach kochanki – pobity, w zafajdanych spodniach, dławiąc się własną krwią.

\*\*\*

Kiedy dorożka dotarła na miejsce, sir Myro Isabell, starszy inspektor Alven Yardu, już na nas czekał. Przykryta cylindrem grzywa siwych włosów oraz pewna drapieżność w spojrzeniu upodabniały go do starego lwa – może i zmęczonego życiem, ale wciąż piekielnie groźnego. Czarne sylwetki policjantów w charakterystycznych spiczastych hełmach otaczały rezydencję, w oknach okolicznych domów widać było odsunięte firanki i zaintrygowane twarze sąsiadów.

Mój pracodawca, Helion Fairburn, zeskoczył z powozu na ziemię i uścisnął dłoń sir Myro.

– Przyjechałem najszybciej, jak mogłem – oznajmił, po czym wskazał kciukiem za plecy, na mnie. – Zna pan Blaze'a, nieprawdaż?

Gliniarz skinął głową – w odpowiedzi albo w ramach zdawkowego powitania. Jeśli fakt, iż Helion przyprowadził swojego ogrzeżego kamerdynera, wydał mu się dziwny, nie dał tego po sobie poznać.

– Chodźcie.

Podążyliśmy za nim przez furtę z kutego żelaza i dalej chodnikiem z granitowych płyt, pośród rododendronów i krzewów różanych. Dom Aukcyjny Hebb mieścił się w jednej z okazałych posiadłości z czasów Regencji, gdzieś pomiędzy pełnym wieżowców, światła i życia Tintagel District a zacisznymi, kameralnymi uliczkami Tinkerton.

Weszliśmy do środka. W holu paliły się lampy gazowe w fantastycznych kloszach z piaskowanego szkła, złote romby lśniły na tapecie barwy czerwonego wina. Meble inkrustowane masą perłową przyciągały wzrok i świadczyły o tym, że Spencer Hebb raczej nie narzekał na brak pieniędzy.

– Jak to się stało? – zapytał Helion.

– Stróża na zewnątrz uśpili chloroformem, temu wewnątrz rozbili łeb. Żaden z nich jeszcze nie odzyskał przytomności. A służba miała wychodne. Tędy.

Trafiliśmy do gabinetu. Pachniało krwią, odchodami i spalonym pyłem magnezowym. Technik Alven Yardu składał właśnie trójnóg, aparat fotograficzny tkwił już w skórzanym neseserze. Kiedy gliniarz odsunął się na bok, zobaczyliśmy trupa.

Spencer Hebb leżał u stóp masywnego dębowego biurka, obok kałuży rozlanego atramentu. Gnom spoglądał w sufit spod półprzymkniętych powiek, jego usta i starannie przystrzyżoną bródkę pokrywał krwawy skrzep. Na policzku wykwitł mu czarno-purpurowy siniak, zmoczone spodnie przykleiły się do ciała.

– Sukinsyny. – Helion pobladł, zacisnął zęby. Jako koneser sztuki znał Hebb'a od lat i wielokrotnie bywał na prowadzonych przez gнома aukcjach. Nie przyjaźnili się, ale znali i szanowali, a w tym podłym mieście to już coś. – Czy pańscy ludzie mają jakiś trop?

– Inaczej bym cię nie wzywał – odrzekł sir Myro.

Poprowadził nas do sąsiedniego pomieszczenia, jakiegoś składziku czy magazynku. Dwóch detektywów Alven Yardu – ork o skórze barwy długo dojrzewającego sera i smagły Dekkańczyk – przesłuchiwało tam zapłakaną niziołczą kobietę.

Inspektor obrócił się do nas i wyszeptał:

– To Georgina Downey. Sekretarka pana Hebba i jak na razie nasz jedyny świadek.

Jasne, sekretarka. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na te jej utrefione loczki i umalowaną buźkę. Prędzej bym zdechł, niż uwierzył, że Hebb trzymał ją tutaj, żeby zajmowała się jego korespondencją.

– Napastnicy nic jej nie zrobili?

– Nie było jej w pokoju, kiedy się pojawili. Gdy usłyszała odgłosy walki, ukryła się w korytarzu serwisowym. Wyszła stamtąd, dopiero gdy zrobiło się cicho, i wezwała policję.

Detektywi skończyli maglować biedną dziewczynę; ork podszedł do nas, Dekkańczyk natomiast niespiesznie wyprowadził zapłakaną pannę Downey z pokoju.

– Powiedziała coś więcej? – zainteresował się sir Myro.

– Tyle co wcześniej. Napastników było dwóch, człowiek i ogr – zameldował ork. – Najemne zbiry, sądząc po ubiorze i języku. Wypytywali Hebba o jakąś kolekcję, domagali się ponoć, by oddał im brakującą grafikę. Pobili go, gdy próbował wytłumaczyć, że nie było więcej ilustracji. Sądząc po śladach na ciele ofiary, któregoś z nich poniosło, pęknięte żebro przebiło płuco.

Helion nachylił się do inspektora i szepnął mu kilka słów. Sir Myro skinął głową, zwrócił się do orka:

– Padło jakieś nazwisko?

– Wydawało jej się, że słyszała nazwisko Berville, ale nie jest tego pewna. Twierdzi, że mogła się przesłyszeć.

Mój pracodawca zniknął w drzwiach prowadzących do gabinetu Hebba. Wrócił po chwili, wertując cienką książeczkę w formacie octavo, oprawioną w elegancką, tekturową okładkę. Najnowszy katalog Domu Aukcyjnego Hebba.

– A pan? – Sir Myro kontynuował przepytwanie detektywa. – Zobaczył pan coś?

Ork zerknął na mnie, jakby nie chciał tu o tym mówić. Jego ziomkowie posiadali unikalną umiejętność: patrząc w oczy niedawno zmarłej osoby, potrafili czasem dostrzec ostatnie chwile z jej życia. Jako dowód w sądzie podobne świadectwo by nie wystarczyło, ale jako wskazówka w śledztwie – czemu nie?

– Obraz był rozmazany – odparł ork nieco jakby zawstydzony. – Nie dostrzegłem zbyt wielu szczegółów. Ogra bym nie poznał, choćbym na niego wpadł tuż za rogiem. – Zerknął na mnie. Może liczył na to, że moja ogrza facjata coś mu przypomni. – Ale człowiek... dostrzegłem jeden szczegół: golemiczną protezę lewego oka.

Sir Myro pokiwał głową.

– To już coś – zauważył. – Golemiczne protezy nie są może zbyt drogie, za to stosunkowo zawodne. Ile może być w Lyonese osób z podobnym wynalazkiem? Pięćdziesiąt? Sto? Może gdy panna Downey obejrzy zdjęcia z kartoteki, coś jeszcze się wam przypomni. Dobra robota, panie Yeung.

Ork skinął głową i odszedł. Helion w tym samym momencie uśmiechnął się szeroko.

– Mam. Na wczorajszej aukcji Hebb wystawił między innymi cykl grafik Willema de Berville'a zatytułowany „Spisek siarkowy”. Wykonane węglem na białych arkuszach... utrwalenie żywicą... powstały jesienią tysiąc osiemset pięćdziesiątego szóstego roku. Sześć sztuk.

Podniósł wzrok znad katalogu.

– Ktoś najwyraźniej sądził, że Hebb go oszukał. Że nie sprzedał całej kolekcji... albo że podmienił którąś z ilustracji na falsyfikat. Może z książki



rejestrówce dowiemy się, kto wygrał aukcję, i wtedy...

– Nie dowiemy się – przerwał mu sir Myro. – Ktoś, zapewne któryś z napastników, wyrwał kilka ostatnich stron. Te grafiki... jak dużo mogą być warte?

Helion wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem... Dzieła de Berville'a są nierówne. Niektóre osiągają ceny w granicach dziesięciu czy piętnastu tysięcy księżyców, ale to margines, większość jest warta znacznie mniej. Jako artysta nie był szczególnie atrakcyjny: stosował standardowe techniki i sięgał po oklepane tematy, poza tym tworzył ledwie pół wieku temu, więc upłynęło za mało czasu, żeby jego szkice nabrały wartości. Oczywiście nie widziałem tych grafik, ale nie sądzę, aby cały cykl mógł być warty więcej niż dwa lub trzy tysiące księżyców, nawet dla zagorzałego kolekcjonera.

– Jesteś pewien? – zapytał sir Myro.

Wiedziałem, co mu chodzi po głowie. Życie w Lyonesse może i nie było wiele warte, zabijało się dla znacznie mniejszych sum. Ale z gablot w gabinecie Hebba nie zniknął żaden z bibelotów, choć znajdowały się tam przedmioty ze złota, kamieni szlachetnych i kości słoniowej. Tu nie chodziło o pieniądze, a przynajmniej nie w ten najbardziej oczywisty sposób. Za całą sprawą musiało kryć się coś grubszego.

– Mogę się mylić – odparł Helion tonem sugerującym coś zupełnie odwrotnego. – Ubolewam, że nie jestem w stanie udzielić bardziej precyzyjnych informacji. Jeśli takie jest pana życzenie, zasięgnę dyskretnie języka, poszukam w źródłach. A nuż dowiem się czegoś więcej na temat tych grafik. Może ktoś ze znajomych był na ostatniej aukcji i przypomni sobie kupca tej nieszczęsnej kolekcji?

– Szczerze powiedziawszy, o to właśnie chciałem cię prosić. Moi ludzie to dobrzy śledczy, ale mało który z nich ma jakiegokolwiek pojęcie o sztuce. Niuanse, które dla ciebie są oczywiste, im umkną... a wiadomo, że diabeł tkwi w szczegółach.

– Zajmę się tym z przyjemnością. Ale będę potrzebował więcej informacji na temat de Berville’a.

Sir Myro zapewnił, że wycisnie z maszyn różnicowych w siedzibie Alven Yardu wszystko, co mają na jego temat. Jeszcze przez jakiś kwadrans krzątaliśmy się po rezydencji. Helion chciał sprawdzić, czy w księgach lub rejestrach nie znajdzie wskazówek co do tego, jak Hebb wszedł w posiadanie grafik. Nie znaleźliśmy nic konkretnego, papierów do przerzucenia było całe mnóstwo, toteż mój pracodawca wolał zostawić to w rękach glin.

Opuściliśmy Dom Aukcyjny Hebba i wsiedliśmy do dorożki. Koła zaturkotały na kocich łbach, gdy ruszyliśmy w stronę Riverside, mostu River i dalej, do domu w West Clairvale. Helion wyglądał w zadumie przez okno, na główce laski wystukiwał palcami jakiś skomplikowany, skoczny rytm. Milczałem, wiedząc, że lepiej mu nie przeszkadzać.

Przez szybkę obserwowałem mijane ulice, ogrodzone żelaznymi prętami zielone skwery, pojedyncze pomniki: św. Galahada, królowej Glorianny, obelisk ku pamięci ofiar Wielkiej Pożogi. Kiedy dojechaliśmy nad Teterę, mogłem przyjrzeć się Mgle – gęste, szare opary wzięły w posiadanie południowy brzeg, sięgając aż do Tailor’s End, okrywając domy cuchnącym, zwiewnym kokonem. Według prognoz meteomantów Mgła miała w ciągu dnia albo dwóch opanować całe Lyonesse, a to oznaczało siedzenie w domu tak długo, aż nie przegna jej wiatr. Idące wraz z nią zawirowania czasoprzestrzenne były niebezpieczne, nawet drogie stabilizatory maniczne czasem okazywały się zawodne. Mało kto skusi się na spacer we Mgle, kiedy ta może rzucić go o sto lat w tył albo o dwadzieścia w przód... i uniemożliwić powrót.

– O czym myślisz? – zapytał Helion.

– O Mgle. Zastanawiam się, ile osób zniknie tym razem, ilu zagubionych przed laty pojawi się za kilka dni na ulicach Bridgebank albo Pothill.

– Gdyby zostali w domach...

– Nie wszyscy mogą sobie pozwolić na luksus siedzenia całymi dniami w domu – odparłem. – Fabryki muszą pracować, podobnie jak huty, walcownie, odlewnie czy tkalnie. A ludzie muszą coś jeść.

Wjechaliśmy na most River, ustawione na balustradzie spiżowe figury Paladynów – Galahada, Lancelota, Parsifala i innych – pojawiały się w oknie i znikwały, milczące i nieruchome.

– No dobrze – odezwał się w końcu, kiedy zjechaliśmy między identyczne ceglane domy, z miniaturowymi ogródkami, kolorowymi drzwiami i brudnobiałą stolarką. – Chcesz o coś zapytać, pytaj teraz. Po powrocie do domu idziemy się przespać, a rano zaczynamy poszukiwania.

\*\*\*

Jeddard Tekkle otworzył bramę kluczem i wszedł na podwórko. Spojrzał z niechęcią na brudne okna, na koślawą psią budę stojącą w kącie małego dziedzińca, na kałużę nieczystości obok rynsztoka. Minął drzwi do mieszkania dozorczy i powędrował na górę po skrzypiących schodach. Przez ścianę słyszał krzyki sąsiada, który co wieczór chłał jak świnia, po czym urządzał awanturę i tłukł, co popadnie: naczynia, żonę, dzieci.

Nienawidzę tego miejsca, pomyślał. Święta Paro, jak ja go nienawidzę.

Tekkle był gnomem i młodszym znawcą run w firmie Guillers & Southgate. Opracowywał i wdrażał zabezpieczenia runiczne, z których korzystali najbogatsi i najbardziej wpływowi ludzie w Lyonesse. Jeszcze dziesięć lat temu kogoś z jego wiedzą i umiejętnościami stać by było na nieduży, przytulny domek w Albedee albo Closterling. Ale później przysła automatyzacja, gros rzemieślniczych prac zaczęły wykonywać parowe golemy, obliczeniami i wykreślaniami zajęły się maszyny różnicowe, a stawki dla znawców run poleciały w dół jak dziurawy zeppelin.

Gnom przez chwilę walczył z kluczem, zastanawiając się nad tym, dokąd zmierza jego życie. Czy tak miało być już zawsze? Krzyki za ścianą,

okna wiecznie pozamykane z powodu wszechobecnego smrodu, w spiżarni podstawowe produkty, a w łóżku – i to też sporadycznie – coraz starsze i brzydsze dziewczęta? Czy Lyonesse naprawdę nie miało nic więcej do zaoferowania komuś o jego kwalifikacjach i ambicjach?

Klucz przekręcił się w zamku, a wtedy Tekkle usłyszał za sobą jakiś ruch. Obrócił się błyskawicznie, sięgając do kieszeni po czterolufową pieprzniczkę. Mieszkając w takiej okolicy, musiał mieć coś do obrony.

– Spokojnie, panie Tekkle – powiedział człowiek siedzący na schodach. Na klatce było na tyle ciemno, że gnom mógł go wcześniej nie zauważyć. Nieznajomy przeciągnął zapałką po murze, po czym przypalił fajkę trzymaną w ustach. – Nie zamierzam zrobić panu krzywdy.

– Kim pan jest? Co pan tu robi?

Mężczyzna kilkakrotnie zaciągnął się dymem, po czym zgasił zapałkę.

– Nazywam się Willem de Berville – odpowiedział. – I chcę zaproponować panu pewien interes.

\*\*\*

Willem de Berville. Człowiek z mieszczańskiej rodziny, szlacheckie nazwisko to pseudonim. Malarz, grafik, miedziorytnik. Oprócz tego awanturnik i okultysta. Swego czasu krążyły plotki, jakoby rozgryzł funkcjonowanie Mgły. Helion podejrzewał, że artysta sam je rozsiewał.

– Nie wyobrażasz sobie, jak takie bzdury potrafią podnieść cenę obrazu – wyjaśnił.

De Berville dorobił się – Bogini tylko wie na czym, bo na pewno nie na samym malowaniu – sporej posiadłości w Winledon, poza tym dużo podróżował po kontynencie. Zmarł nieco ponad dwadzieścia lat temu.

Helion zgodnie z zapowiedzią wyszedł zaraz po śniadaniu. Wydałem dyspozycje służbie – która i bez tego doskonale wiedziała, co robić – po czym ubrałem się w swoje stare rzeczy: spraną koszulę, płaszcz z łatami na

łokciach, schodzone buty. Do kieszeni wrzuciłem kastet, w spodniach ukryłem nieco drobnych.

Mój pracodawca, jak przystało na elfiego lorda i konesera sztuki, miał swoje źródła informacji: biblioteki, antykwariaty, galerie, kluby dla jemu podobnych zapaleńców.

Ja miałem swoje.

Kolejką podmiejską dojechałem do stacji przy Promised Road i przesiadłem się na Rurę. Dotarłem na Burrow Hill Road i tam wydostałem się na powierzchnię, w samym centrum Stableton. Dzielnica cuchnęła dymem i chemikaliami. Olbrzymie kominy, dachy hut i magazynów, strzeliste słupy krystalografów – wszystko pokrywał czarny kożuch sadzy. Rynsztokami spływały nieczystości we wszystkich kolorach toksycznej tęczy, a z bram podłych czynszówek wyglądały parszywe gęby: nalane, zaćpane, pokryte szramami i plamami oparzeń.

Ruszyłem w stronę Gallow Hill i gmachu szpitala św. Mutilacji. Mgła, w nocy wszechobecna, teraz opadła i przypominała snujący się poniżej kolan dym z setek niedogaszonych papierosów.

Po drodze zajrzałem do dwóch mordowni oraz pubu zlokalizowanego u stóp starego masztu Radiostacji. Po trosze, żeby zasięgnąć języka, po trosze, żeby nasiąknąć atmosferą robotniczego Lyonesse. Odwykłem przez ten rok pracy u Heliona – od smrodu, biedy, od kwaśnych, mętnych szczyn, które tu nazywali piwem. Nasłuchałem się narzekań i pełnych zawiści plotek o gigantycznym diamencie, Łzie Sunniru, który królowa Tytania otrzymała w prezencie od maharadży Dekanu. Nie dowiedziałem się niczego konkretnego, nabawiłem tylko paskudnego posmaku w ustach.

Kolejnym przystankiem była klinika Copperhanda i Synów. Umieszczona w suterenie kamienicy sąsiadującej ze szpitalem św. Mutilacji, wabiła mieszkańców Stableton, jak gównno przyciąga muchy. W dzielnicy, gdzie pechowe wypadki są normą, istnieje ciągłe

zapotrzebowanie na golemiczne albo parowe protezy, a Copperhand i jego chłopcy oferowali produkty – kiepskie, ale zawsze – po najniższych cenach.

Przeszedłem przez poczekalnię, nie zwracając uwagi na nieprzyjazne spojrzenia. Dalej znajdował się przedpokój zamieniony na recepcję: biurko, stołek, wieszaki na ubrania, rozchwiany regał z książkami i papierami. Tyguld, najmłodszy syn krasnoluda Copperhanda, siedział za biurkiem i grzebał śrubokrętem przy parowej protezie stawu łokciowego. Na prawym oku nosił nakładkę z systemem soczewek w mosiężnych pierścieniach, przypominającą trochę obiektyw aparatu fotograficznego.

– Zawołam, jak... – zaczął gniewnym tonem, ale urwał, kiedy podniósł wzrok. – A niech mnie utopią w Teterze! Blaze Black! Całe wieki cię nie widziałem. Jak twoja wszczepka? Wciąż działa?

– Niezawodnie – odparłem. – Pewnie dlatego, że nie była robiona u was.

– Uroczy jak zawsze. – Tyguld się zaśmiał. Od dziecka miał problemy z nerwami twarzy, więc brzmiało to trochę jak mlaskanie. – Tatko by chętnie z tobą pogadał, ale akurat wstawia jakiemuś trollowi golemiczne wzmocnienie. Na chłopaka spadł żelazny dwuteownik i połamał mu obojczyk w trzech miejscach, wyobrażasz sobie? Trochę to jeszcze potrwa.

– Ty mi wystarczysz. Powiedz, bywał u was ostatnio Oczko?

– Średnio raz w miesiącu zagląda. Do regulacji protezy. A co?

– Wiesz, gdzie go znajdę?

– Może i wiem. Ale coś mi mówi, że jak podzielę się tą informacją, to będziemy mieli jednego stałego klienta mniej. A to mi się średnio kalkuluje.

Sięgnąłem do kieszeni i sygnąłem na stół monetami. Srebrne jelenie zalśniły w świetle lamp.

– Teraz ci się bardziej kalkuluje?

– Cóż, wypadki chodzą po ludziach. Jak nie Oczko, to kto inny, nie? – odparł, zgarniając pieniądze.

– Bystry chłopak.

Chwilę później szedłem już w stronę hoteliku robotniczego przy Poteen Road. Najemny zbir – znany jako Oczko za sprawą regularnie szwankującej protezy lewego oka – ponoć wynajmował tam klitkę bez okien, natomiast z łóżkiem i pchłami. Znałem tego jegomościa z dawnych czasów, gdy zarabiałem na życie w sposób mało legalny i jeszcze mniej elegancki. Znałem też Lil’ Vincenta – ogra, z którym Oczko zazwyczaj współpracował. Jeśli miałem rację, to oni załatwili Spencera Hebba.

Znalazłem Oczko w zatęchłym pokoiku na czwartym piętrze. Zapasowy klucz wynegocjowałem od podpitego niziołka recepcjonisty w zamian za srebrną monetę. Zbir leżał na wznak na łóżku i pochrapywał, niepomny wszy kąsających mu tors. Miał na sobie tylko spodnie; koszula i kaftan spoczywały zmięte na taborecie. Po podłodze walały się śmieci wszelkiego sortu: puste butelki, szmaciane worki po podłym tytoniu, zmięte kulki tłustego papieru, ogryzione kurczące kości.

Nie zamierzałem się cackać z Oczkiem; ludziom jego pokroju nie można dawać szans. Dlatego obudziłem go uderzeniem w splot słoneczny. Poderwał się z materaca zgięty w pół, nie mogąc złapać oddechu; oczy niemal wyszły mu z oczodołów. Przetoczył się na bok i zwymiotował gwałtownie, kwaśny fetor wypełnił maleńkie pomieszczenie. Ledwo na mnie zerknął, przywaliłem mu raz jeszcze, żeby sobie przypadkiem nie pomyślał, że ten pierwszy kuksaniec był pomyłką. Szarpał się, pociekły mu łzy, rozdziawione usta bezowocnie chciały zaczerpnąć powietrza.

Przyparłem go do ściany i pokazałem pięść z nałożonym kastetem.

– Słuchaj uważnie, Oczko. Wiem, że ze swoim kumplem byliście w Domu Aukcyjnym Hebba. Wiem, że szukaliście grafiki de Berville’a. Nie wiem tylko, kto was wynajął. Teraz policzę do trzech, nawet taki gamoń jak ty powinien wiedzieć, ile to jest. Zanim skończę, chcę usłyszeć nazwisko. Jeśli go nie usłyszę, zacznę cię bić. A potrafię bić tak, żeby bolało, o to się nie martw.

Może i grał groźnego skurwiela, kiedy miał ze sobą kumpla i stał naprzeciw starego, wystraszonego gnoma. Teraz, twarzą w twarz z rozwścieczonym ogrem, nie miał w sobie nic z twardziela. Zmoczył spodnie, dłońmi błądził po ścianie, jakby oddech był czymś, co można złapać jak karalucha i wepchnąć sobie do gardła. Nitki brudnej śliny zwisały mu z brody.

– Raz.

Próbował coś wyjęczeć, ale gdy masz pustkę w płucach, trudno wprowadzić struny głosowe w drżenie.

– Dwa.

Zdrowe oko skupiło się na mojej wzniesionej pięści, golemiczna proteza zaczęła kręcić się chaotycznie na wszystkie strony, jak mucha nakryta słoikiem.

– Trzy.

W ostatniej chwili złapał oddech i natychmiast wykrztusił jakiś bezładny zlepek sylab. Pozwoliłem mu zaczerpnąć powietrza, po czym w ramach przypomnienia, że nie żartuję, chwyciłem go pod szczękę, jak psa, i uniosłem cal nad podłogę.

– Jacobs – wycharczał. – Facet nazywa się John Jacobs.

Zwolniłem chwyt, Oczko osunął się na surowe deski, ściskając obolałe gardło.

– Co to za gość ten Jacobs?

– Jakiś pieprzony wariat. Artysta czy ktoś. Ale sypie złotymi księżycami, jakby to były miedzia...

Gdyby Oczko nie był idiotą – to znaczy nie przerwał w pół słowa i nie przeniósł wzroku na coś za moimi plecami – możliwe, że już bym nie żył. Instynktownie uchyliłem się i uderzenie tylko prześlizgnęło się po mojej głowie. Ból eksplodował i przetoczył się pod sklepieniem czaszki jak huk schodzącej lawiny, w oczach błysnęło mi i natychmiast pociemniało, ściany pokoju zawirowały. Ale nie straciłem przytomności, nie padłem też na



podłogę. Kiedy dojrzałem ogra po raz wtóry zamierzającego się na mnie drewnianą pałką, odskoczyłem w bok i przyjąłem pozycję bokerską. Krew z rozciętego łba spływała mi po twarzy i zalewała jedno oko.

Lil' Vincent nie był może szczególnie rozgarnięty, ale do skończonego durnia też mu trochę brakowało. Zrozumiał, że walka ze mną to nie zabawa. Dlatego, gdy tylko upewnił się, że stojący za jego plecami Oczko jakoś się trzyma, cisnął we mnie pałką i wraz z kompanem rzucili się do ucieczki.

Czułem na ustach strużkę własnej krwi i nawet nie próbowałem ich gonić.

\*\*\*

Willem de Berville dostrzegł Tekkle'a i skinął mu głową. Zamówił szklanek absyntu i obserwował, jak barman rozcieńcza trunek wodą, sypie do środka cukier, a następnie miesza wszystko specjalną, ażurową łyżeczką. Wreszcie zapłacił i dołączył do gнома ściskającego w dłoniach kufel porteru.

Przez chwilę siedzieli i pili, po czym de Berville zapytał:

– Masz, o co prosiłem?

– Mogę za to beknąć na resztę życia. Wiesz o tym?

– Obaj możemy.

Tekkle podał mu pod stołem kopertę z grubego, szarego papieru, a mężczyzna płynnym, naturalnym ruchem ukrył ją za pazuchą. Łyknął Zielonej Wróżki i skrzywił się ledwo zauważalnie. Wódka musiała być mocno aromatyzowana; mimo wszechobecnego tytoniowego dymu dało się wyczuć słabą woń anyżu i piołunu.

Gnom nachylił się w jego stronę.

– Pięć z siedmiu run, tak jak się umawialiśmy – wyszeptał. – Dostaniesz resztę, gdy uwierzę, że mówisz prawdę.

De Berville pokiwał głową, po czym wstał i wcisnął na głowę kapelusz.

– Do zobaczenia za dwa dni, przyjacielu – powiedział z uśmiechem. – Już wkrótce nasza fortuna się odwróci.

\*\*\*

Helion znalazł mnie w domu – siedziałem w fotelu, z nogami wyciągniętymi na stołku i z plastrem zimnego mięsa przyciśniętym do zranionej czaszki. Krwawienie ustąpiło jakiś czas wcześniej, ale łeb wciąż miałem nielecho opuchnięty.

Stanął w drzwiach i przyjrzał mi się krytycznie, równocześnie zdejmując szary redingot i chustę misternie zaplecioną pod szyją.

– Widzę, że nie próżnowałeś. Bardzo boli?

– Nie.

– To dobrze. – Przez chwilę walczył z wysokimi butami, po czym rozpiął najwyższy guzik koszuli i opadł na drugi fotel. – Muszę coś zjeść. I napić się brandy. Albo na odwrót.

Podniosłem się z westchnieniem, za które innego kamerdynera inny pan wyrzuciłby z domu na zbity pysk. Złożyłem dyspozycje w kuchni i wróciłem do salonu, żeby nalać brandy. Podałem Helionowi pękata koniakówkę, a on natychmiast wypił trzecią część trunku. Odetchnął błogo i przymknął oczy.

– Znalazłeś coś? – zapytałem.

– Owszem. Zacząłem od rozesłania wici wśród moich zaufanych antykwariuszy, później odwiedziłem dwie biblioteki: uniwersytecką oraz tę przy kolegium św. Borsy. Informacji o de Berville’u znalazłem jak na lekarstwo, a na jakąkolwiek wzmiankę o „Spisku siarkowym” natknąłem się jedynie w dwóch książkach. Długo szperałem w archiwach lyoneskich gazet i wreszcie trafiłem na kilka artykułów. Jeden z nich to wywiad z września tysiąc osiemset pięćdziesiątego szóstego roku, do którego dołączono zdjęcie trzech niemal ukończonych szkiców wchodzących w skład cyklu. Natomiast trzy pozostałe teksty poświęcono wystawie z października, na której de Berville pokazał te grafiki. Wygląda na to, że ujrzały światło dzienne tylko ten jeden raz, a nigdzie nie znalazłem ani słowa o tym, by na „Spisek siarkowy” położył się jakiś kupiec.

Do pokoju weszła służąca z jedzeniem: paterą kanapek z łososiem, koszykiem czosnkowych grzanek, misą pieczonych ziemniaczanych talarków, talerzem serów z Ys.

– Postanowiłem zrobić rundkę wśród przyjaciół – kontynuował Helion.  
– Okazało się, że jeden z nich znalazł wśród swoich skarbów coś, co mogłoby mnie zainteresować: cały karton zdjęć człowieka pracującego niegdyś dla „Daily Mirror”. W tym kilka fotografii z tej wystawy de Berville’a.

Jakby właśnie sobie o tym przypomniał, Fairburn zapił grzanekę słusznym łykiem brandy, po czym wstał z fotela. Z kieszeni redingota wyciągnął kopertę, z niej zaś kilka nieco pożółkłych zdjęć, które następnie rozłożył na stoliku.

– Tu widać te grafiki. Trzeba się dobrze przyjrzeć, bo fotografa bardziej interesowały damskie wdzięki niż obrazki popełnione węglem, ale można mieć jakieś wyobrażenie o tym, jak wyglądały wszystkie ilustracje składające się na „Spisek siarkowy”.

Pochyliłem się nad stołem. Grafiki układały się w historię znaną każdemu dziecku w Lyonesse. Cykl de Berville’a przedstawiał w siedmiu scenach konspirację pontyfikalistów, którzy zamierzali wezwać demona, by zrównać z ziemią pałac Uldham i pogrzebać w zgliszczach znienawidzoną królową Glorianę. Centralną postacią każdego z siedmiu rysunków był najbardziej znany ze spiskowców, Guy Crawkes, na różnych etapach tej godnej pożałowania historii: z zapalem przemawiający do współników, sypiący pentagram z siarki, walczący z żołnierzami królowej czy wreszcie ćwiartowany na Placu Pałacowym nieopodal Parlamentu.

– W wywiadzie i recenzjach znajduje się sugestia, jakoby „Spisek siarkowy” krył klucz do magicznej formuły.

– Magicznej formuły? – powtórzyłem ze złośliwym grymasem.

– Mój drogi Blaze, gdyby sceptycyzm był łatwopalny, sam jeden spowodowałbyś kolejną Wielką Pożogę.

– Wierzysz w to? W zakłęcie ukryte w szkicach węglem?

– To nieistotne. Są ludzie, którzy w to wierzą. Kto wie, niektórzy może na tyle mocno, żeby zabić? – Zamyślił się i podejrzewałem, że ma przed oczyma martwą twarz Spencera Hebba. – Pytanie tylko... Tak, Anette?

Służąca, która wcześniej przyniosła tacę z jedzeniem, stała w progu. W dłoniach ścisnęła poranne wydanie „Alfheim Daily”.

– Ja... po prostu słyszałam, jak pan powtarza to nazwisko... a wiem, że cały dzień był pan poza domem i pewnie nie czytał gazet...

Podeszła bliżej i podała mu dziennik z niezdarkim dygnięciem, po czym dodała:

– Trzecia strona, proszę pana.

Zbliżyłem się i nie bacząc na etykietę, zajrzałem Helionowi przez ramię.

We wskazanym miejscu opublikowany został list, który wczoraj dotarł do redakcji dziennika, a którego autor obiecywał, że za dwa dni – czyli jutro – dokona tego, co nie udało się pontyfikalistom w 1551 roku: zamorduje panującą królową.

List podpisany był nazwiskiem Willem de Berville, a charakter pisma – jak ustalił współpracujący z gazetą grafolog – bez wątpienia należał właśnie do zmarłego przed dwudziestu laty artysty.

\*\*\*

Tekkle był ostrożny. Ostrożniejszy i bardziej skrupulatny niż kiedykolwiek w życiu. I choć szukał śladów fałszerstwa, im dłużej patrzył na gazetę pokazaną mu przez de Berville’a, tym bardziej był przekonany, że to żaden falsyfikat.

Siedzieli w czytelni biblioteki uniwersyteckiej. Na pulpicie leżała otwarta gazeta, wydanie Daily Chronicle sprzed blisko pięćdziesięciu lat. Znajdował się tam wywiad z artystą nazwiskiem Willem de Berville oraz dwa zdjęcia: człowieka, który właśnie siedział obok Tekkle’a, oraz niemal

ukończonych szkiców składających się na przyszły cykl zatytułowany „Spisek siarkowy”.

Gnom przyglądał się temu z rosnącym przerażeniem i podnieceniem. Nie dostrzegał w ilustracjach słynnego Guya Crawkesa dźwigającego beczułki z siarką albo wzywającego demona. Widział natomiast dwie spośród run, które przekazał de Berville’owi zaledwie dwa dni wcześniej.

Gdy uzmysłowił sobie, co to wszystko oznacza, zakreśliło mu się w głowie.

– Teraz mi wierzysz? – zapytał mężczyzna.

Tekkle powoli skinął głową.

– Dostaniesz dwie brakujące runy – obiecał. – Po tym, jak ci je dam, musimy zaprzestać spotkań. Gdyby ktoś z firmy nabrał podejrzeń... Nie możemy się widzieć aż do dnia, gdy będzie po wszystkim.

\*\*\*

Zanim wieczór na dobrze rozgościł się w Lyonesse, Helion napisał kilka listów i wysłał je pocztą pneumatyczną. Później zjadł kolację i zamknął się w swoim gabinecie. Nie miałem nic do roboty – i beze mnie wszystko w posiadłości Fariburnów chodziło jak w westryjskim zegarku – więc poszedłem do pokoju i położyłem się na łóżku. Napiłbym się, ale wszczepka pod żebrami neutralizowała działanie alkoholu tak samo jak wszystkich innych trucizn, leków i środków chemicznych. Leżałem więc i dumałem.

Wyglądało na to, że wplątaliśmy się z Helionem w jakąś zupełnie szaloną historię. Przypominało to jedną z tych tekturowych układanek, którymi bawią się dzieci – albo raczej kilka układanek, których elementy ktoś złośliwie ze sobą pomieszał. Morderstwo Spencera Hebba, grafiki de Berville’a, list zapowiadający zamach na królową Tytanię... nic tu nie miało sensu, nic do siebie nie pasowało.

Doszedłem do wniosku, że to wszystko nazbyt skomplikowane na moją biedną, stłuczoną łepetynę. Wstałem z łóżka i zacząłem ćwiczyć: pompki, przysiady, skłony, brzuszki. Szybko się zgrzałem i otworzyłem okno, tylko po to, by zaraz je zamknąć – strzępiaste kłęby Mgły zaczęły napływać do środka jak komary uciekające przed jesiennym chłodem.

Zgasilem w końcu lampę i położyłem się na łóżku. Przez jakiś czas wierciłem się i przewracałem z boku na bok. Sam nie wiem, kiedy nadszedł sen.

Obudziło mnie skrzypnięcie drzwi do pokoju. Usiadłem natychmiast, osłaniając oczy przed światłem lampy.

– Chodź – powiedział Helion. – Musisz to zobaczyć.

Chwilę później znaleźliśmy się w salonie. Mój pracodawca wyglądał, jakby wcale nie spał – miał ciemne obwódki wokół oczu, włosy w nieładzie, twarz nawet bledszą niż zwykle.

– Chyba to rozpracowałem – oznajmił. – Spójrz na grafiki de Berville’a... jeśli przerysuję postać Guya Crawkesa, maksymalnie ją upraszczając, doprowadzając do poziomu geometrycznego schematu...

Na czystej kartce papieru odrysowywał sylwetkę spiskowca tak, jak zafascynowane linijką dziecko mogłoby przedstawić ludzki szkielet. Lewa noga, tors i głowa utworzyły pionową prostą. Odstawiona w bok prawa noga i ręka wyrzucona w górę w demagogicznym geście ułożyły się na podobieństwo dwóch ukośnych kresek w lustrzanym odbiciu dużej litery K. Druga ręka opadała w dół, by złamać się w łokciu, natomiast pulpit mównicy utworzył krótką poziomą linię dzielącą znak niemal na pół. Wyglądało to mniej więcej tak:



– Widzisz? – zapytał Helion.

– Coś widzę. Tylko nie wiem co.

– Na miłość Bogini, Blaze, naprawdę nie stałaby ci się krzywda, gdybyś od czasu do czasu sięgnął po jakąś książkę. Mózg trzeba ćwiczyć tak samo jak ciało, wiesz? Dobrze, słuchaj: to runa *khrem*. Pozostałe ilustracje również da się schematycznie przerysować i w efekcie powstają inne runy: *gahal*, *suut*, *surtu*, *mide'em*, *opeekh* oraz *jukut*. Blaze, ta magiczna formuła naprawdę tu jest, wystarczy wszystkie siedem run wykreślić w odpowiedniej kolejności i zamknąć je w konkretnej geometrycznej figurze... najpewniej w kręgu...

Poskrobałem się w głowę, niezbyt przekonany.

– Masz jakieś pojęcie, do czego to może służyć?

– Żadnego. Nie jestem znawcą run, a informacje zawarte w księgach, które mam, wydają się bardziej chaotyczne i pozbawione sensu niż rebusy na ostatniej stronie „Daily Mirror”. Jednego jestem pewien: jeśli ta sekwencja run faktycznie pełni jakąś funkcję, de Berville sam do tego nie doszedł. Musiał współpracować z jakimś gnomem, najpewniej z jednym ze starych mistrzów z Thule...

Chwilę później rozległo się pukanie i do pokoju weszła zaspana służąca. Helion musiał ją obudzić, zanim zajrzał do mnie.

– Przyszła pneuma, proszę pana.

Fairburn poderwał się z miejsca i pospiesznie rozwinął rulonik papieru.

– To od gnomiego znawcy run, do którego napisałem, zanim jeszcze cię obudziłem – wyjaśnił. – Podzieliłem się z nim moimi podejrzeniami, ale nie spodziewałem się tak prędkiej odpowie...

Umilkł. Widziałem, jak dwukrotnie przebiega wzrokiem treść wiadomości. Później opadł na fotel i pogrążył się w zadumie.

Sięgnąłem po wiadomość od gнома. Brzmiała następująco:

*Lordzie Fairburn,*

*Nie ukrywam, że Pański list budzi we mnie sprzeczne emocje. Z jednej strony jest mi niezmiernie miło, iż runiczna sztuka kultywowana przez*

*mistrzów z Thule, coraz mniej niestety poważana, spotkała się z tak żywym i szczerym zainteresowaniem z Pana strony. Równocześnie jest mi niesłychanie przykro, albowiem złożone przed laty przysięgi uniemożliwiają mi pełne zaspokojenie Pańskiej ciekawości.*

*Odpowiem więc w takim wymiarze, jaki dopuszczają tradycyjne śluby. Zdradzę więc, iż ma Pan słuszność, przypisując większości run stanowiących tę sekwencję funkcję ochronną. Podejrzewam również, że nie bez podstaw są Pańskie założenia, jakoby symbole te układały się w krąg, albowiem runiczne formuły protektywne zapisywane są przeważnie właśnie w geometrycznej strukturze kolistej sugerującej pełnię, jedność i zamknięcie. Żeby jednak nieco ostudzić Pański entuzjazm, pozwolę sobie zauważyć, że przedstawiona przez Pana sekwencja – o ile, rzecz jasna, jakimś niefortunnym zbiegiem okoliczności nie pomylił się Pan co do któregoś z symboli – nie została opisana w żadnym ze znanych mi źródeł, a chlubię się znajomością niemal wszystkich publikacji z omawianej dziedziny.*

*Pański unizony sługa,  
Hrevnir Bulkfirst*

Helion w końcu wstał z ciężkim westchnieniem i sam nalał sobie brandy. Następnie wziął ode mnie wiadomość i bez słowa zamknął się w gabinecie.

Wróciłem do siebie. Nie mogłem zasnąć, więc ubrałem się i zacząłem krążyć po domu. Snułem się bez celu, dreptałem z kąta w kąt. Zjadłem wczesne śniadanie, ale jedzenie nie sprawiało mi przyjemności. Czułem, że gdzieś tam dzieje się coś ważnego, że sekundy i minuty przeciekają nam między palcami, a my walimy głową w ścianę.

Wraz z burym świtem rozległo się kołatanie do drzwi. Otworzyłem człowiekowi w gumowym skafandrze ze stabilizatorem przeciwmgielnym – na plecach miał dwa miedziane cylindry pokryte runami, z których grubym splotem wystawały rurki z tworzywa. Przewody sięgały do metalowych



obręczy na przedramionach i udach mężczyzny, z których nieustannie dobiegało cichutkie klikanie malutkich zębatek. Ledwie kilkanaście kroków za jego plecami kłębiła się żółtawa Mgła, zbyt gęsta, żeby dało się dostrzec płot, o posiadłości po drugiej stronie ulicy nie wspominając.

Chłopak zdjął gogle, po czym pomachał mi przed oczyma plakietką Alven Yardu.

– Dokumenty dla lorda Fairburna od sir Myro Isabella.

Helion musiał usłyszeć pukanie do drzwi, bo już w salonie przejął teczkę. Nie minął kwadrans, a dywan pokryły kartki pełne bladego, odbitego na powielaczu pisma.

– Blaze, potrzebuję więcej światła. I twojej pomocy, za dużo jest tych informacji. Przejrzyj zapiski z tamtej strony i odłóż na bok wszystko, co się wydarzyło przed tysiąc osiemset pięćdziesiątym czwartym rokiem... Dwa lata przed powstaniem „Spisku siarkowego” to chyba wystarczający zapas. No, do roboty!

Zapisków sprzed 1854 roku nie było wiele. Wyglądało na to, że Alven Yard na poważnie zainteresował się de Berville dopiero wraz z jego powrotem do Lyonesse po niemal rocznej nieobecności. Fakt, iż malarz zawitał do miasta z gigantyczną fortuną nieznanego pochodzenia, na pewno nie był bez znaczenia.

– Wiadomo, co de Berville robił przez ten rok? Wyjechał gdzieś? – zapytałem.

– Tutaj piszą, że widziano go parokrotnie u różnych jubilerów w Berusee w Bawencji. Ale tak naprawdę wiadomo niewiele. Równie dobrze mógł truć się w jakiejś melinie absyntem albo popłynąć statkiem w rejs dookoła świata. Szukaj dalej.

Zgodnie z poleceniem przerzucałem kolejne notatki, kopie policyjnych raportów oraz wycinków prasowych, gdy nagle pewien drobiazg zwrócił moją uwagę: nazwisko John Jacobs.

To samo, które padło z ust Oczka.

– Mam coś!

Dokument, który trzymałem w ręce, okazał się utajnionym raportem funkcjonariuszy Alven Yardu z przeszukania domu de Berville’a niedługo po jego śmierci. Wyglądało na to, że gliniarze wykorzystali anonimowy donos jako pretekst, by starannie przeszukać dom malarza, którego od lat podejrzewali o szpiegowanie na rzecz Akwitanii albo Wotanii. Dopiero w oparciu o znalezione zapiski odkryli prawdziwe nazwisko artysty. De Berville w rzeczywistości nazywał się John Jacobs i był synem Roba oraz Nancy Jacobsów, pary podżegaczy rozstrzelanych przez żołnierzy w 1832 roku podczas zamieszek zwanych Buntem Tkaczy.

Rozstrzelanych na osobisty rozkaz królowej Tytanii.

Opowiedziałem Helionowi o tym, że Oczko i Lil’ Vincenta wynajęła ponoć właśnie niejaki John Jacobs.

– To by znaczyło, że de Berville sam zatrudnił tych dwóch zbirów... – mój pracodawca mówił wolno, z namysłem, jakby pozwalając myśli wykiełkować – ...żeby odzyskać zaginione grafiki. Co się z nimi stało? I dlaczego, skoro ta formuła do niczego nie służy, byli gotowi zabić, żeby ją odzyskać?

– Przecież de Berville od dwudziestu lat jest martwy – przypomniałem.

Helion machnął na to ręką, jakby dając mi do zrozumienia, że bym nie przejmował się drobiazgami.

– Przynajmniej list z gazety teraz ma jakiś sens – dodał. – Ten o planowanym zamachu na Tytanię. De Berville... czy Jacobs, jak go tam zwać... zwyczajnie się mści za śmierć rodziców.

W tym samym raporcie znaleźliśmy coś jeszcze bardziej niepokojącego. Wśród rzeczy de Berville’a detektywi Alven Yardu odkryli wycinek z pierwszej strony „Alfheim Daily”. Gigantyczny nagłówek nad fotografią przedstawiającą tłumy zapłakanych ludzi składających kwiaty i zapalone znicze pod bramą pałacu Buckingham głośił:

**LYONESSE OPŁAKUJE SWOJĄ KRÓLOWĄ.**

Gazeta, jeśli wierzyć dacie umieszczonej obok logotypu „Alfheim Daily”, miała ukazać się za dwa dni.

– Jak to możliwe? – zapytałem.

– Pamiętasz te plotki o de Berville’u? Jakoby rozgryzł działanie Mgły?

– Chyba nie myślisz, że jakiś cholerny pacykarz podróżuje w czasie?

– A jak to inaczej wytłumaczysz? – Oparł ręce na stole, pochylił głowę, zaciskając mocno oczy. Wyglądał tak czasami, gdy dopadał go mocny kac albo gdy bardzo intensywnie nad czymś myślał. Dłuższa chwila upłynęła w ciszy, a ja bez przekonania przeglądałem dalsze notatki na temat de Berville’a. W końcu Helion spojrzał na mnie z dziwnym błyskiem w oku.

– Muszę skontaktować się z sir Myro, Blaze – oznajmił. – Niech Clem napali w kotle Colossusa. Musimy jak najprędzej dostać się do pałacu Buckingham.

– Skąd ten pośpiech?

– Może gnom ma rację i ta sekwencja faktycznie nic nie znaczy, a „Spisek siarkowy” to tylko cykl kiepskich grafik. Ale wszystko wskazuje na to, że królowa Tytania zostanie dzisiaj zamordowana, a ja właśnie sobie przypomniałem, że rok temu odnawiano runy ochronne w pałacu. Może symbole ukryte w rysunkach de Berville’a to jakiś klucz?

– Szefie, te grafiki powstały pięćdziesiąt lat temu, a mówimy o zabezpieczeniach sprzed roku – odparłem nieco przytłoczony tym wszystkim. Mój zakres obowiązków obejmował między innymi nalewanie brandy i wybijanie zębów, ale na pewno nie rozgryzanie terrorystycznych zamachów z wykorzystaniem podróży w czasie. – Jakim cudem to wszystko ma się ze sobą wiązać?

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Ale mam nadzieję, że dowiem się, zanim będzie za późno.

\*\*\*

De Berville zajrzał do tej niedużej galeryjki przypadkiem, wiedziony wyłącznie ciekawością. Chciał zobaczyć, co nowego pojawi się w lyoneskiej sztuce za pięćdziesiąt lat. Czy w ciągu półwiecza wyłoni się jakiś nowy, fascynujący nurt? Jak zmieni się moda? A może zobaczy obraz któregoś ze swoich rówieśników – jeden z tych żalosnych bohomazów, których powstawanie mógł oglądać na własne oczy – wiszący na ścianie? Wiedział dobrze, że sztuka i fortuna stanowią kapryśną parę, która karze i nagradza swych wyznawców według nierzadko mało zrozumiałego widzimisię.

Nie znalazł we wnętrzu niczego przesadnie godnego uwagi – ot, kilka zgrabnych landszaftów na akwitańską modłę oraz dwa hiperrealistyczne portrety, których autorzy najwyraźniej zamierzali ścigać się pod względem wierności obrazu z aparatami fotograficznymi – ale trafił chciał, że jego wzrok padł na leżące na stoliku dwie małe książeczki. Na tekturowej okładce wytłoczono złotym pismem słowa „Katalog Domu Aukcyjnego Hebba – wrzesień 1901”.

Jakież było jego zdziwienie, gdy wewnątrz ujrzał swoje nazwisko oraz informację o wystawieniu cyklu „Spisek siarkowy” na aukcji otwartej, bez ceny minimalnej.

Wybiegł z galerii i zatrzymał pierwszą wolną dorożkę, jaką zobaczył. Następnie pojechał prosto do Bridgebank, gdzie zawsze można było odnaleźć Mgłę, a wraz z nią magiczną drogę w czasie i przestrzeni, do Lyonesse sprzed pięćdziesięciu lat.

Kiedy niecałe cztery godziny później – a równocześnie pół wieku wcześniej – trafił do swojego mieszkania na poddaszu kamienicy w Blackstone, przekonał się, że ktoś włamał się do niego i ukradł farby, miedziane płytki do miedziorytów, czyste płótna oraz całkiem sporo mniejszych obrazów i grafik, w tym „Spisek siarkowy”.

Wraz z grafikami zniknął klucz do cwanego planu de Berville’a – mężczyzna nigdy nie pomyślał, żeby zrobić kopie, i teraz przeklinał swoją

arogancję oraz głupotę. Najpewniej załamałby się i pogrążył w nieposkromionej furii, gdyby nie dotarł do niego jeden fakt: za sprawą przypadkowej wizyty w małej galerii doskonale wiedział, gdzie za pięćdziesiąt lat będzie mógł odnaleźć swoje grafiki.

Teraz wystarczyło wygrać aukcję.

\*\*\*

Mimo swojej nazwy Colossus był stosunkowo małym, zgrabnym paromobilem o wydłużonym sportowym przedzie, skórzanej tapicerce i zabójczych osiąгах. Ukryte pod maską stabilizatory maniczne najnowszej generacji sprawiały, że względnie bezpiecznie można było się nim poruszać nawet na ulicach opanowanych przez Mgłę, a specjalna konstrukcja kotła pozwalała uzyskać przyspieszenie autentycznie wciskające w fotel.

Helion wpadł do paromobilu i zajął miejsce z przodu, obok siedzącego za kierownicą Clema, ja zajmowałem cały skromny tył.

– Jedziemy – rozkazał Helion, po czym obrócił się do mnie. – Sir Myro jest w pałacu. Chyba wzięli na poważnie ten list de Berville’a, bo połowa Alven Yardu została wysłana do ochrony królowej.

Opuściliśmy posesję Fairburnów. Wszechobecna Mgła kłębiła się i przelewała, gęsta jak kipiące mleko. Zanieczyszczenia z tysięcy kominów Lyonesse nadały jej brudną, żółtawą barwę.

– Rozumiem, że masz jakiś pomysł, o co w tym wszystkim chodzi?

– Mam – wyznał Helion. – Posłuchaj i powiedz, czy według ciebie to ma sens. A ty, Clem, z łaski swojej wyciśnij nieco więcej z tej zabawki, w końcu jedziemy ratować królową.

Szofer zachował kamienną twarz, tylko kąciaki jego ust nieznacznie się podniosły.

– Jak pan sobie życzy, proszę pana.

Pomruk wytłumionego silnika przeszedł w chrapliwy warkot wściekłego psa, a Colossus gładko przyspieszył.

– De Berville na jakimś etapie swojego życia nauczył się poruszać we Mgle – zaczął tłumaczyć Helion. – Nie rozumiał jej działania, po prostu poznał jedną trasę i nauczył się z niej korzystać. Trasę łączącą jego czasy z dzisiejszymi. W ten sposób był w stanie wynająć tych zbirów, którzy napadli na Hebba, w ten sposób był również w stanie wysłać list z groźbą skierowaną wobec królowej.

– Jak w tym można rozpoznać jakąś cholerną trasę? – zapytałem, patrząc przez okno na obrzydliwe, żółtawe opary. W miejscu, gdzie na co dzień stał jasny gmach Gimnazjum Silencjanek, z kłębów Mgły wyłoniła się jakaś ruina z czasów rezyjskich. Stabilizatory Colossusa chroniły wóz i pasażerów przed niezamierzonym przeskokiem do innej płaszczyzny czasoprzestrzennej, ale na nasze oczy nie miały wpływu.

– Doświadczeni żeglarze potrafią ponoć niekiedy nawigować bez kompasu, nie widząc gwiazd czy słońca, tylko na podstawie prądów morskich – odparł Helion. – Może z de Bervillem jest podobnie.

– To znaczy, że on gdzieś tu jest? Teraz, w Lyonesse? Człowiek, który od lat jest trupem?

– Tak myślę.

Zakląłem tak szpetnie, że nawet Clem zerknął w tylne lustro.

– Sądzisz, że on naprawdę chce zamordować królową? – zapytałem.

– To możliwe. Tytania wydała rozkaz zabicia jego rodziców w tysiąc osiemset trzydziestym drugim roku. De Berville pozujący na rewolucjonistę mnie nie przekonywał, ale pragnienie zemsty brzmi całkiem wiarygodnie. A teraz posłuchaj. Przyjmijmy, że de Berville odkrywa sposób poruszania się we Mgle. Znika na rok. W tym czasie faktycznie zostaje szpiegiem czy raczej zamachowcem na usługach Akwitanii, Wotanii albo dowolnego innego państwa, któremu na rękę byłaby choćby i czasowa destabilizacja Alfheimu i osłabienie naszej potęgi. Za pieniądze od swoich pracodawców

przekupuje kogoś z firmy zajmującej się odnowieniem runów, ten zaś przekazuje mu sekwencję znaków, która umożliwi zbliżenie się do królowej. De Berville dokonuje zamachu i z uzyskanym bogactwem wraca do swoich czasów, gdzie żyje w luksusie aż do śmierci. Co ty na to?

– Nie brzmi to źle. Tylko po co w takim wypadku de Berville tworzyłby „Spisek siarkowy”? Po co ukrywałby runy w ilustracjach? Ja na jego miejscu siedziałbym cicho.

– Kto wie, co nim powodowało? Arogancja, pycha? Może to swego rodzaju prztyczek w nos wymierzony w monarchię i jej służby, włączając w to Alven Yard?

Nie do końca przekonany wzruszyłem ramionami. Teoria Heliona miała sens – artyści często działali w sposób impulsywny i nieprzemyślany; de Berville wcale nie musiał być od tej reguły wyjątkiem. Jednak miałem nieprzyjemne uczucie, że coś tu się nie zgadza i że wciąż popełniamy błąd, idziemy w złym kierunku.

Wjechaliśmy do Tintagel District. Ulice zazwyczaj pełne dorożek i paromobili, chodniki tłoczne od pieszych w gustownych surdutach, ściskających pod pachami eleganckie, skórzane teczki z ważnymi dokumentami – wszystko teraz było puste. Co prawda pojedyncze osoby przechodziły szybkim krokiem między wyjściem ze stacji Rury a obrotowymi drzwiami wieżowców, ale Dystrykt sprawiał wrażenie wymarłej dzielnicy. Zerkąłem tu i ówdzie w poszukiwaniu innych pojazdów, ale kolejne ulice witały mnie pustką: Siódma, Czterdziesta trzecia, Dwunasta... nawet przez wiecznie zatłoczone skrzyżowanie Trzeciej i Bank Road przemknęliśmy, nie zwalniając ani na chwilę.

– Architektom chyba zabrakło inwencji – zauważyłem.

– Hm?

– Nazwy ulic. Prawie same numery. Jakby wyczerpali zapas ważnych bitew albo słynnych ludzi.

Helion uśmiechnął się i skinął głową.

– Może uznali, że to odda charakter miejsca, tych wszystkich banków i instytucji finansowych... A może to jakaś pozostałość po fascynacji numerologią.

Nagle drgnął, jakby naszła go nowa myśl. Otworzył zeszyt, który zabrał ze sobą, i zaczął przyglądać się kręgowi wykreślonemu z run na jednej ze stron. Poruszał wargami, jakby coś liczył i, faktycznie, moment później obok poszczególnych symboli zaczęły pojawiać się liczby.

– Wpadłeś na coś? – zapytałem.

– Podsunąłeś mi pewien pomysł. Słyszałeś kiedyś o gemetrii? To starożytna dziedzina numerologii, nauka zajmująca się przypisywaniem gnomim runom liczb. Każdej głosce przypisana jest inna liczba, a suma głosek daje matematyczną wartość odpowiadającą danemu słowu-runie. Przykładowo w runie *khrem*, głosce *kh* przypisana jest liczba szesnaście, *r* to dziesięć, *e* to dwa, a *m* to czterdzieści cztery. Co w sumie daje siedemdziesiąt dwa.

Moment później każda z run miała przypisaną sobie liczbę w przedziale od dwudziestu jeden do dziewięćdziesięciu siedmiu.

– I do czego to ma niby służyć? – zapytałem.

Helion wpatrywał się w zeszyt ze zmarszczonym czołem i coraz bardziej zdenerwowany stukał ołówkiem w kartkę.

– Nie wiem – przyznał w końcu. – Po prostu nie wiem.

Chwilę później zajechaliśmy przed wysoką bramę pałacu Buckingham. Z kłębów Mgły raz po raz wyłaniały się Lwy Alfheimu, potężne posągi ustawione naprzeciw wjazdu, ale samego gmachu nie było widać – ginął w żółtawych oparach. Czworo żołnierzy w skafandrach ze stabilizatorami zbliżyło się do nas, ale kiedy dojrzeli przez szybę Heliona, ukłonili się i natychmiast nas przepuścili.

Cóż, bycie lordem ma swoje dobre strony.

Sir Myro musiał obserwować podjazd z okien pałacu, bo czekał na nas w holu pełnym marmurów i alabastrów. W budynku panowała niepokojąca



cisza.

– Kazałem wszystkim opuścić dolne piętra i jesteśmy na górze – wyjaśnił starszy inspektor. – Mam do dyspozycji dwunastu detektywów i dwudziestu jeden gwardzistów królowej. Za mało, żeby obsadzić cały pałac, szczególnie, że w tej parszywej Mgle widać najdalej na dwadzieścia kroków, a ogrodzenie można przeskoczyć w dowolnym miejscu...

– Sir Myro – przerwał mu Helion. – Pamięta pan może, jaka firma zajmowała się odnowieniem run ochronnych w pałacu?

– Guillers & Southgate. Czemu pytasz?

Fairburn nie odpowiedział, wrócił tylko do Clema i powiedział mu kilka słów. Szofer skinął energicznie głową i pobiegł do Colossusa. Moment później paromobil zniknął we Mgle.

– Chyba masz mi to i owo do wyjaśnienia, chłopcze – zauważył sir Myro.

Gdy szliśmy w górę, Helion wyłożył mi wszystko, czego się dowiedzieliśmy, oraz to, czego się tylko domyślaliśmy. Minęliśmy posterunek u szczytu schodów, z rozstawionym karabinem maszynowym. Na całym piętrze widać było żołnierzy i gliniarzy Alven Yardu, błyskały złożone rękojeści pałaszy i wypolerowane lufy karabinów.

Żeby zagrozić królowej, de Berville musiałby mieć do dyspozycji całą armię albo jakiś wyjątkowo szczwany plan.

Sir Myro uważnie wysłuchał Heliona, po czym pokiwał głową i powiedział:

– Odwaliłeś kawał dobrej roboty, chłopcze. Choć jestem tylko prostym gliną i nie przemawiają do mnie teorie o podróżach w czasie, doceniam to, co zrobiłeś. A teraz spróbujmy po prostu przetrwać ten dzień i zadbać o to, by królowej nic się nie stało, dobrze?

Mijający czas ostudził emocje, pozwolił się uspokoić i nabrać dystansu. Im dłużej siedzieliśmy na pałacowym korytarzu, pośród uzbrojonych po zęby żołnierzy i czujnych agentów Alven Yardu, tym bardziej absurdalny

wydawał się pomysł zamachu, dokonanego przez – było nie było – malarza. Kiedy jeden ze służących przyniósł nam tacę z herbatnikami oraz imbryk świeżo zaparzonego earl greena, napięcie ostatecznie mnie opuściło i stwierdziłem w duchu, że to wszystko to jakieś ogromne nieporozumienie, które wyjaśni się w ciągu najbliższych dni.

W tym momencie na schodach pojawił się nasz szofer Clem, w towarzystwie elegancko ubranego gнома. Nieznajomym, jak się okazało, był pan Lucius Southgate, jeden z właścicieli firmy Gulliers & Southgate.

Helion powitał go uprzejmie, podziękował za pospieszne przybycie i przeprosił za kłopot. Następnie pokazał gnomowi zeszyt oraz krąg run ukrytych w grafikach de Berville'a.

– Czy to coś panu mówi, panie Southgate? – zapytał Fairburn.

Gnom zmarszczył czoło, a jego krzaczaste brwi złączyły się w jedną linię. Dłuższą chwilę przyglądał się symbolom, po czym naraz pobladł, rozdziawił usta.

– Skąd pan to ma? – zapytał.

– Co to jest? – zażądał odpowiedzi Helion. – Co to takiego, panie Southgate?

Gnom popatrzył na nas, jakby właśnie się dowiedział, że w Lyonesse wybuchł wulkan. Skrajne niedowierzanie mieszało się w jego oczach z przerażeniem.

– Sejf – wykrztusił w końcu. – Sejf w skarbcu... tutaj, w pałacu.

Sir Myro wybrał dwóch zaufanych ludzi i wszyscy razem ruszyliśmy w dół schodów, do znajdującego się w podziemiach skarbcza. Zbiegając po marmurowych stopniach, czułem, że chce mi się śmiać. Nic dziwnego, że de Berville nie pasował mi i Helionowi do roli rewolucjonisty oraz zamachowca. Jego celem nigdy nie było morderstwo, ale zwyczajny – choć zupełnie nadzwyczajnie przemyślany i wykonany – skok.

Drzwi do skarbcza, niezbyt trudne zresztą do sforsowania, zastaliśmy uchylone, dalej zaś znaleźliśmy otwarty sejf.

Pusty, jeśli nie liczyć broszurki zatytułowanej w iście renesansowym stylu „Krańc de Berville’a i skok tysiąclecia, dedykowany królowej Tytanii przez Willema de Berville’a alias Johna Jacobsa”.

Jak się później okazało, w sejfie trzymano w ostatnich dniach tylko jedną rzecz – największy na świecie diament, prezent od maharadży Dekanu, zwany Łzą Sunniru.

\*\*\*

De Berville był wściekły i wystraszony. Nie dość, że wynajęci przez niego zabijacy nie znaleźli u licytatora brakującej grafiki, to jeszcze niby przypadkiem zatłukli gnoma na śmierć. Tylko tego mu brakowało – policji węszącej wokół trupa i jakiegoś wyjątkowo dociekliwego detektywa Alven Yardu, który natrafi na wątlą nić wiążącą Spencera Hebba ze „Spiskiem siarkowym” i samym de Bervillem.

Wszystkiemu, paradoksalnie, winna była Mgła. Przy przechodzeniu między płaszczyznami czasowymi coś dziwnego działo się z pamięcią człowieka, pewne fragmenty przeszłości znikwały, wyciekały, rozwiewały się jak popiół na wietrze. Dlatego właśnie de Berville zaczął wszystko namiętnie notować – ale dlaczego tak późno?! Dlaczego nie wpadł na to, zanim skradziono mu te przeklęte grafiki? Zanim Mgła wycisnęła z niego wspomnienie węglowych szkiców, tak jak wyciska się sok z dojrzałej cytryny – do ostatniej mętnej kropelki?

Wszystko wskazywało na to, że list wysłany do gazety odniesie zamierzony skutek, policja połknie przynętę i poświęci wszystkie środki, by zapewnić bezpieczeństwo królowej, a wtedy on będzie mógł w miarę swobodnie dostać się do skarbcza. Ale co z tego? Nieznajomość jednej runy oznaczała, że w trzech przypadkach na siedem nie byłby w stanie wprowadzić kombinacji otwierającej sejf... Trzy na siedem... za dużo. Za dużo, do diabła! Czemu nie zapisał sobie gdzieś, na jakimś skrawku

papieru, siedmiu pieprzonych liczb? Czemu musiał być takim durnym, zarozumiałym osłem?!

Poprosiłby o pomoc Tekkle'a, ale gnom już zniknął, opuścił mieszkanie i gdzieś się przyczaił. Słusznie, na jego miejscu de Berville uczyniłby dokładnie to samo. Mieli spotkać się dopiero wtedy, gdy będzie po wszystkim. A teraz...

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. W pierwszej chwili poderwał się z miejsca, ale szybko się uspokoił – policja by nie pukała, poza tym z tej zatęchłej klitki i tak nie było jak uciec.

– Kto tam? – zapytał przez zamknięte drzwi.

– Panie Jacobs? – rozległ się damski głos. – Chyba wiem, jak dotrzeć do czegoś, co pana interesuje. Czegoś, co bardzo by pan chciał mieć.

– Tak? – odparł, z trudem panując nad głosem. Czuł, jak serce wali mu w piersi, ale nie zamierzał od razu odkrywać wszystkich kart.

– Wiem, w jaki sposób grafiki de Berville'a trafiły do Domu Aukcyjnego Hebba.

Otworzył drzwi i zobaczył po drugiej stronie atrakcyjną niziołczą kobietę. Nieznajoma poprawiła torebkę na ramieniu i uważnie mu się przyjrzała.

– Jak mnie pani znalazła?

– Nie było to takie trudne, jeśli się wie, kogo zapytać. Poza tym powiedzmy, że miałam dostęp do dokumentów, które nie trafiły w ręce policji. Chociaż powinny. – Zerknęła obok niego, w głąb pokoju, na zagrzybione ściany i materac, po którym skakały pchły. Zmarszczyła nosek.

– Może pójdziemy gdzieś, gdzie przy kieliszku wina omówimy nasze sprawy? – zaproponowała.

Nie wahał się ani chwili. Wyrachowany drań zawsze rozpozna drugiego wyrachowanego drania.

– Z przyjemnością, panno...

– Downey. Georgina Downey.

\*\*\*

Krąg de Berville'a, jak się okazało, stanowił klucz do sejfów – niesłychanie skomplikowanego zamka autorstwa gnomich runmistrzów z firmy Guillers & Southgate. Zamknięcie, jak każdy inny sejf, otworzyć można było, przesuwając pokrętło naprzemiennie w prawo, lewo i znowu w prawo o określoną liczbę oczek w liczbie od jednego do pięćdziesięciu. Ponadto, przy każdym zamknięciu, specjalny mechanizm sprężynowy ustawiał na pokrętle inną runę i to od niej zależała kombinacja trzech liczb, które należało wprowadzić. Helion jednak przeżył jeden ze swoich przebłysków geniuszu – liczbowe wartości przypisane runom faktycznie okazały się kombinacjami niezbędnymi do otwarcia sejfów. Sam krąg siedmiu run natomiast stanowił swego rodzaju mapę – wystarczyło odnaleźć na nim runę aktualnie obecną na pokrętle, a następnie wprowadzić wartości liczbowe symboli z nią sąsiadujących, kolejno po prawej, po lewej i jeszcze dalej po prawej.

Jeśli nic z tego nie rozumiecie, nie przejmujcie się – Helion tłumaczył mi to chyba z godzinę i pod koniec korzystał z przekleństw, o których znajomość w życiu bym go nie posądzał.

De Berville'a nikt nie widział. Podobnie jak Jeddarda Tekkle'a, pracownika Guillers & Southgate, który tego dnia nie zjawił się w pracy. Jego skromne mieszkanko wyglądało, jakby właściciel wyprowadził się już jakiś czas temu. Osobiście podejrzewam, że Tekkle nie żyje – myślę, że przeniósł się wraz z de Bervillem w czasie i spieniężywszy diament u bawenckich kupców, podobnie jak jego wspólnik przeżył resztę swoich dni w przepychu godnym królów.

W pozostawionej nam książeczce de Berville – z arogancją, o którą słusznie podejrzewał go Helion – wyjawiał wszystkie tajniki swojego planu. Mógł sobie na to pozwolić, wszak niełatwo jest zaciągnąć przed oblicze sądu kogoś, kto zmarł przed dwudziestu laty. Cwany był, skubaniec, pomyślał o wszystkim – nawet o sfabrykowaniu tego wycinka „Alfheim

Daily” z tłumami oplakującymi zamordowaną Tytanię. A jednak jego artystyczne zdolności na coś się przydały.

Nie ukrywam, że kiedy w późniejszych latach wspominałem de Berville’a i całą tę sprawę, jakaś część mnie – ta dawna część, nawykła do życia poza prawem i lubiąca ów specyficzny dreszcz emocji – wzdychała z pewnym rozrzewnieniem i śladem zazdrości. W końcu, jak powiedział Helion, z de Berville’a malarz była dość nędzny, za to przestępca – doskonały.

*Wrocław, kwiecień 2014*

## Fort na wzgórzu

Prześladuje mnie pewien sen. Jest w nim rześki, późnowiosenny poranek. Czuję na karku pieszczotę wschodzącego słońca, promienie kładą się złocistymi smugami na konarach drzew i lśniącymi cętkami znaczą udeptaną ziemię. Jest mi dobrze, ciepło, gwar głosów upaja niczym ciepły cydr.

Obóz tętni życiem. Mężczyźni zwijają skórzane namioty, karmi się i poi konie, sprawdza stan rydwanów. Kobiety doglądają ognisk i porannej strawy: w powietrzu czuć zapach pieczonej wieprzowiny i pasternaku. Siedzący przed namiotem króla starzec zajada pieczone jabłko z kminkiem, ocierając raz po raz długie wąsy. Przechodząca obok kobieta zagaduje do niego, a on uśmiecha się, wypluwa pestkę i drapie się w krzywy nochal. W starych żyłach krew krąży wolniej, mężczyzna poprawia na ramionach wełnianą opończę.

Z pewnym ociąganiem zostawiam w spokoju starca i spaceruję wzrokiem po kolejnych obozowiczach. Zaraz trafiam na znajome twarze i na ich widok chce mi się śmiać, mam ochotę tańczyć i śpiewać. Widzę ciskającą wzrokiem gromy Boudikkę, gdzieś migają mi złociste loki Luigsech, zza rydwanu wychyla się pokryta dziobami twarz Caratacosa. Serce fika mi radosnego kozła, gdy nad chłopcami grającymi w kamienie dostrzegam rudą czuprynę Elisedda.

Jestem szczęśliwy.

Zerkam na namiot wodza, na skórzane poły ozdobione wizerunkami potężnych knurów i wron z rozpostartymi skrzydłami. Zrywa się wiatr, wśród drzew rodzi się szmer wesołego zniecierpliwienia. Czekam na człowieka, który wkrótce stanie w wejściu do tego namiotu. Chcę jeszcze

raz spojrzeć mu w twarz, ujrzyć królewski wieniec na jego skroniach i słońce odbijające się w złotym torcu na jego szyi.

Nie mogę się doczekać. Dłonie pocą mi się ze zdenerwowania, instynktownie zaciskam je w pięści. Nic się nie dzieje. Na moment zdejmuję mnie strach, że może tym razem bogini Macha ześle na mnie inną wizję.

W tym momencie poły namiotu odchylają się i widzę mojego króla. Bradán uśmiecha się na mój widok i wznosi do góry róg pełen wina.

– Zbliź się, Corraidhín – krzyczy. – Zbliź się, chłopcze, i napij ze mną.

Chcę podejść do niego, pragnę tego jak niczego na świecie. A jednak stoję w miejscu, nieruchomy jak posąg. Nie mogę się poruszyć.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, że przez cały ten czas tkwię samotnie na skraju obozu, pośród krzaków tarniny i wysokich traw.

Jak zjawą, której odmówiono wstępu między ludzi.

– Zbliź się, Corraidhín – powtarza Bradán, ale ciszej, a uśmiech znika z jego twarzy. Słońce nagle kryje się za chmurami, obóz spowija cień. Ludzkie sylwetki stają się niewyraźne, zamazane, jakby utkane z dymu. Wiatr liże nagą skórę językiem płynnego lodu. W końcu pojawia się i strach: wbija szpony w moje serce. W lewym przedramieniu odzywa się ból, którego wspomnienie sprawia, że zasycha mi w gardle, a na plecy występuje zimny pot.

– Zbliź się, Corraidhín – nieoczekiwanie słyszę za plecami. Dziwny marazm ustępuje, a ja obracam się i widzę demona z krwawym okiem na pokrytej setką blizn piersi.

Potwór wyciąga dłonie w moją stronę i w tym momencie budzę się z wrzaskiem.

\*\*\*

*Dwa miesiące wcześniej.*



Wszystko zaczęło się od wieszczby.

Był późny wieczór, sosnowe gałęzie strzelały w ogień, buki i dęby wyciągały konary w stronę płomieni, jakby też chciały się ogrzać. Siedzieliśmy w milczeniu, rozleniwieni posiłkiem, zmęczeni po długim dniu pospiesznej wędrówki. Luigsech wygarnęła z ognia kilka kamieni i wrzuciła je do skórzanego garnka z jabłeczkiem. Rozległ się syk i chwilę później wszyscy popijaliśmy gorący napój.

– Pójdą przełęczą – odezwał się Óengus. Wzrok utkwiał w głowni jednego ze swych toporów, kciukiem sprawdzał ostrze. Blask ogniska odbijał mu się w plackach łysiny.

– Szybko idziemy – włączył się Morcant. – Dogonimy ich.

Boudicca parsknęła śmiechem. Wydatne kości policzkowe upodabniały ją do wilczycy, zaplecione w warkocz włosy przypominały ogon bojowego rumaka. W nieznanym spoczynku dłoniach nóż wyczyniał sztuczki godne barda, ale wszyscy wiedzieliśmy, że to długim mieczem Boudicca potrafi czynić prawdziwe cuda.

– Dogonilibyśmy ich, gdybyście się nie wlekli jak baby w połogu – powiedziała. – Jutro wieczorem będą przy Wodogrzmotach i, jeśli nie obleci ich strach, zasadzą się na nas, a wtedy...

– Dość – uciszył ją Bradán. Odczekał chwilę i kontynuował mocnym, wyważonym głosem. – Nie zasadzą się, będą chcieli jak najprędzej dotrzeć do Judoca, żeby zaopiekował się nimi i ich ochronił. Pójdą przełęczą. Mamy więc dwie możliwości: pójść za nimi albo spróbować obejść przełęcz łukiem i dopaść ich u jej wylotu.

Zapadła cisza. Bradán miał rację, jak zwykle zresztą. Jako jeden z królewskich siostrzeńców był przywódcą naszej dziewięcioosobowej drużyny. Jednak to nie więzy krwi, ale jego mądrość, odwaga i lojalność wobec swych wojowników sprawiały, że każdy z nas był gotów pójść za nim w ogień.

– Czy znasz drogę naokoło, panie? – odważyłem się spytać.

– Tylko ze słyszenia. Ilirski handlarz wspominał o niej zeszłej jesieni.

– To prawda – odezwała się Luigsech. Była kochanką króla i jej gładka skóra oraz długie, lśniące złotem włosy nieustannie przyciągały wzrok. Wyruszyła z nami jako tłumacz: znała doskonale różne dialekty ilirskie i trackie. Wcześniej spodziewaliśmy się, że będzie nas opóźniać, ale bez słowa skargi znosiła niewygody wędrówki. – To prawda. Istnieje trasa, którą w trzy dni pokonuje się z objuczonym osłem.

– Czyli naszym tempem za niecałe dwa dni moglibyśmy się znaleźć u wylotu przełęczy? – upewnił się Morcant, skubiąc rude wąsy.

– Jeśli Ilir nie kłamał. – Luigsech wzruszyła ramionami, po czym się uśmiechnęła. – Wszak nasza droga Boudicca zawsze powtarza, że Ilirowie to kłamcy, Trakowie to złodzieje...

– ...a wszyscy inni to skurwysyny! – ryknęliśmy chórem. Arthfael i Caratacos wybuchnęli śmiechem, zaraz dołączyliśmy do nich ja oraz Elisedd.

– Co myślicie? – powtórzył wódz, gdy już zamilkliśmy. – Którą z dróg powinniśmy obrać?

– Wiemy tyle co i ty – odparła śmiało Boudicca. – Czyli nic. Nie możesz poradzić się druida? Niech spojrzy w kamienie.

Bradán popatrzył na Luigsech, ale ta wzruszyła tylko ramionami. Pozostali również milczeli, z lepiej lub gorzej skrywanym napięciem czekając na decyzję wodza. Ten w końcu skinął głową i spojrzał na mnie.

– Corraidhín, przynieś torbę i bukłak.

Chwilę później położyłem przed nim to, o co prosił. Bradán ostrożnie otworzył skórzaną sakwę i wyciągnął z niej okrągły przedmiot okryty delikatną tkaniną z odległej południowej krainy Hellenów. Ułożył sobie zawiniątko na kolanach i powoli odwijał kolejne warstwy materiału. Gdy rytuał dobiegł końca, ujrzeliśmy ludzką głowę o ziemistej cerze, zapadniętych oczach i policzkach, skołtunionej, siwej brodzie.

A więc to jest Mathghamhain, pomyślałem z nabożną czcią. Do tej pory tylko słyszałem o starym druidzie, który nawet po śmierci wspierał swojego pana radą.

Bradán odkorkował bukłak. Zapachniało winem z dużą ilością anyżu. Wódz nalał nieco trunku do skórzanego kubka i podsunął Mathghamhainowi pod nos. Zamarłem z otwartymi ustami, widząc, jak powieki starca zaczynają drżeć. W pewnym momencie poruszyła się także górna warga. Bradán delikatnie rozwarł szczęki druida i wyciągnął brunatną kulę wypełniającą jamę ustną. Odłożył ją na tkaninę i dopiero wtedy zobaczyłem, że to po prostu zbity kawał mchu.

Wargi starca poruszyły się, pośród ciszy rozległ się niewyraźny szmer, niby szelest żmii w suchej trawie. Bradán podsunął kubek z winem i głowa druida naraz zaczęła pić, łapczywie jakby od stuleci nie zakosztowała ani kropli. Trunek ciekł Mathghamhainowi po policzkach i wsiąkał w brodę, rysując w niej wilgotne smugi. Starzec siorbał zachłannie, aż wreszcie osuszył naczynie. Odetchnął, powieki przestały mu drżeć, wydawało się, jakby zapadł w sen.

– Nie śpij, przyjacielu – powiedział Bradán czule. – Potrzebuję twojej rady.

Druid otworzył jedno oko. Wciąż stałem obok wodza, czekając na dalsze polecenia, i wzdrygnąłem się mimo woli na widok źrenicy pokrytej siną mgiełką. Skojarzenie ze wzrokiem śniętej ryby było tak oczywiste, że zrobiło mi się niedobrze.

– Bradán... – wychrypiał starzec. Strach mnie sparaliżował, tylko nogi trzęsły mi się jak osika na wietrze. Ktoś głośno zaczerpnął powietrza, ktoś inny wezwał imienia Lughy. Cuda działały się na naszych oczach.

– Musisz mi pomóc, przyjacielu – powiedział wódz. – Potrzebuję twojej rady, potrzebuję twojej mocy. Spójrz dla mnie w kamienie i powiedz, którą ścieżkę mamy wybrać.

Druid przez chwilę nie odpowiadał, wydymał wargi jak małe dziecko. Zamrugał gwałtownie oczyma, a spod lewej powieki spłynęła mu po policzku samotna łza.

– Jestem zmęczony, chłopcze – wyszeptał zbolalym głosem. – Okropnie zmęczony. Daj mi spać.

– Potrzebuję cię, Mathghamhain. Spójrz dla mnie w kamienie. Jeszcze ten jeden raz.

Czekaliśmy. Nie słyszeliśmy szeptu płomieni, nie widzieliśmy cieni tańczących za naszymi plecami, nie czuliśmy chłodu kłusającego odkrytą skórę. Nawet tak doświadczony wojownik jak Óengus nachylił się bliżej, nie chcąc uronić ani słowa.

– Dobrze – westchnął w końcu druid. – Pospiesz się.

Bradán wyciągnął skórzany worek. Wysypał z niego garść kamieni, jasnych otoczków, z których każdy nosił dwa różne, wymalowane krucą krwią wizerunki.

– Podrzuc je, zadając w myślach pytanie. Skup się, chłopcze.

Wódz nieznacznym ruchem nadgarstka wyrzucił kamienie w powietrze. Spadły tuż przed twarzą Mathghamhaina, nie tworząc żadnego wyraźnego wzoru. Druid przyjrzał się im spod przymrużonych powiek, jakby nawet słabe światło ogniska go oślepiało. Przez jakiś czas znowu wydymał wargi, ale w końcu zamknął oczy i odetchnął świszcząco.

– Posłuchaj uważnie, Bradanie, synu Seisylla. Oto, co powiedziały mi kamienie.

*Jeśli marzy ci się wieniec królewski  
A towarzyszom twym sława i chwała  
Ścieżką pójdziecie, co strumieniem biegnie  
Zwierzyny nie gońcie, niech przyjdzie sama  
Wiedz jednak, mężny i prawy człowiecze  
Los, co tobie sprzyja, innych jest zgubą  
I jeśli drogą wskazaną pójdziecie*

*Dla trojga zbyt trudną będzie ona próbą*

Głos ucichł, zginął pośród trzasku płonącego drewna i odgłosów lasu. Powieki druida zatrzepotały, później opadły ciężko, by więcej się nie unieść. Bradán przez pewien czas trwał nieruchomo, zapatrzony w jakiś punkt w ciemności. Wreszcie jakby ocknął się z zadumy i bardzo ostrożnie wsadził kulkę mchu z powrotem w usta starca. Pogładził siwe włosy Mathghamhaina z czułością, może i niezupełnie przystającą wojownikowi, ale to właśnie za takie gesty szczerze go wszyscy kochaliśmy. Później zaczął owijać głowę druida delikatną helleńską tkaniną.

– Co myślicie? – zapytał nas.

Gdy milczenie zaczęło się przeciągać, Boudicca pierwsza odważyła się zabrać głos.

– Myślmy, że najwyższy czas, aby twoją głowę przyozdobił królewski wieniec. Obejdźmy przełęcz.

Bradán zmarszczył brwi.

– Słyszeliście druida. Jeśli obierzemy tę drogę, troje z nas z niej nie powróci.

– Wybacz, panie – wtrącił się Óengus – ale wszyscy chyba wiedzieliśmy, że idziemy na bitkę, a nie w zaloty.

Pośród naszej drużyny poniósł się szmer aprobaty. Wódz ucałował w czoło zawiniętą głowę i schował ją do torby. Dopiero wtedy popatrzył na nas z powagą.

– Dobrze – zdecydował. – Wszyscy poza wartownikami idą spać. Wyruszamy skoro świt.

Mimo zmęczenia długo nie mogłem zasnąć. Gdy sen wreszcie nadszedł, przyprowadził ze sobą koszmarne wizje spływających krwią kamieni wróżebnych i szeleszczącego głosu druida Mathghamhaina wieszczącego moją śmierć.

\*\*\*

Dotarliśmy do wioski, gdy do zmroku zostało jeszcze sporo czasu. Teren wokół był pagórkowaty, porośnięty głównie dębami i leszczyną, choć zdarzały się zagajniki brzoź albo wysokich, strzelających w niebo sosen.

– Osada przed nami – obwieścił chwilę wcześniej Morcant, który wraz z Eliseddem szedł na szpicy. – Ludzie wyglądają na Traków.

– To by się zgadzało ze słowami tego ilirskiego handlarza – zauważyła Luigsech. – Mówił, że gdy podróżuje tą trasą, przeważnie spędza noc w wiosce.

– Duża ta osada? – zainteresował się Bradán. – Zbrojna?

– Będzie z tuzin domów w kotlinie, rozrzuconych wokół strumienia. Na pobliskim wzgórzu stoi fort, ale wygląda na opuszczony.

Wódz skinął głową i kazał Morcantowi wracać na zwiad. Szedł dalej z pochyloną głową i widziałem, że nad czymś rozmyśla. Zdecydowałem, że lepiej mu nie przeszkadzać, więc zrównałem się w marszu z Óengusem.

– Myślałem, że od ziem Traków dzieli nas wiele dni drogi – powiedziałem.

– Bo tak jest – odparł. Byłem dość wysoki i nie miałem się za słabeusza, ale przy Óengusie wyglądałem jak kundel przy niedźwiedziu. Solidne styliska zatkniętych za pas toporów obijały mu się o uda. –

Trakowie to niebezpieczni wojownicy. Podstępne, dzikie sucze syny. Dawno zepchnęliby nas na zachód, w stronę Wielkiego Morza, gdyby tylko nie wyrzynali się tak chętnie między sobą. Doprawdy, chłopcze, nie znam drugiego równie kłótniwego ludu.

– Więc skąd ta wioska?

Óengus wzruszył ramionami.

– Pewnie jakaś banda wyrzutek uciekła z Tracji i ukryła się tutaj, pośród puszczy i wzgórz. To dobre tereny: w lesie jest dużo jagód i innego runa, widziałem też ślady dzikich świń i jeleni. Jest sporo ptactwa, w strumieniu pewnie da się złowić pstrągi i lipienie. Dobre miejsce dla kogoś, kto pragnie spokoju.

Dotarliśmy już wtedy do kotlinki i przez rzednące drzewa udało nam się dostrzec samą wioskę. Było tak, jak mówił Morcant: wokół kluczącego strumienia porzrzucano domy z drewnianych bali, tu i ówdzie ustawiono prowizoryczne zagrody, dostrzeżliśmy też dwie lepianki z niewypalanej gliny. Wśród zabudowań bawiło się kilkoro dzieci, jakaś kobieta wieszała umyte garnki na palikach, inna prała w strumieniu. Nad wioską górował nagi pagórek z fortem. Obszerne, na wpół wkopane w ziemię, kryte darnią schronienie otaczał wał z drewnianą palisadą. Ponad kilkoma domami w dole unosiły się ledwie widoczne smugi dymu, ale fort faktycznie wyglądał na niezamieszkały.

– Może przenoszą się tam w razie niebezpieczeństwa? – zasugerował Arthfael bez przekonania.

– A niby kto ich ostrzeże? – prychnęła Boudicca. – Moglibyśmy wszystkich wymordować. Raz dwa. Nie zdążyliby nawet spojrzeć na ten swój fort.

– Nie będziemy nikogo mordować – ukrocił dyskusję Bradán. – Zatrzymamy się na noc, jeśli zaoferują nam gościnę, i o świcie ruszymy w drogę. Czy to jasne?

Zeszliśmy w kotlinkę wzdłuż biegu strumienia. Na nasz widok rozległy się ostrzegawcze krzyki, dzieci przywołano do domów, z niektórych drzwi niepewnie wychylili się mężczyźni. Obserwowałem ich z uwagą, bo po raz pierwszy widziałem Traków z bliska. Różnili się nieco od nas: włosy mieli ciemniejsze, niektórzy wręcz kruczoczarne, i nie pielęgnowali z równą dbałością wąsów, wielu natomiast nosiło brody. W przeciwieństwie do nas, nie zakładali spodni, ale długie, sięgające połowy ud tuniki oraz buty sznurowane pod kolanami. Niektórzy mieli na głowach skórzane czepecy. Wbrew słowom Óengusa nie wyglądali, jakby dobrze im się wiodło. Większość sprawiała wrażenie zabiedzonych, jakby z trudem przetrwali zimę, a wiosna nie zdążyła ich jeszcze nakarmić swoimi licznymi darami.

Paru z nich ścisnęło w dłoniach krótkie, zakrzywione miecze, ale ostrza kierowali w dół. Wiedzieli, że gdybyśmy chcieli ich skrzywdzić, już by nie żyli.

Stanęliśmy na środku wioski, a gdy Trakowie przekonali się, że nie zamierzamy atakować, trzech mężczyzn wyszło nam na spotkanie.

Luigsech powitała ich uprzejmie i zaczęła tłumaczyć słowa Bradána na tracki. Wyjaśniła, że jesteśmy w drodze i że potrzebujemy strawy oraz schronienia na noc. Zapewniła, że nie mamy złych zamiarów, a za pomoc sownie ich nagrodzimy. Wódz odpiął jeden z maleńkich srebrnych młoteczków, których szereg zdobił jego pas, i podał go najstarszemu z Traków. Podarek musiał zrobić na nich dobre wrażenie, bo mężczyźni zaczęli kiwać głowami, uśmiechać się i mówić coś do siebie w takim pośpiechu, że Luigsech nawet nie próbowała tego tłumaczyć. W końcu narada dobiegła końca i przywódca Traków powiedział parę słów, przy okazji pochylając nisko głowę.

– Chętnie nas ugoszczą – wyjaśniła Luigsech. – Mówi, że choć sami mają niewiele, zadbają o to, by niczego nam tej nocy nie brakowało.

\*\*\*

Gdy zapadł zmierzch, Trakowie wyprawili nam prawdziwą ucztę. Na ruszcie nad olbrzymim paleniskiem piekł się dorodny wieprzek, na ławach stały gliniane dzbany z jarzębinowym winem oraz misy z podpłomykami, pasternakiem i cebulą.

Wszyscy wcześniej umyliśmy się w strumieniu, a peleryny i opończe zapięliśmy nisko na ramionach, aby widać było torki na naszych szyjach. Luigsech założyła koszulę zapinaną na złote fibule, te zaś, podobnie jak jej włosy, lśniły oszałamiająco w blasku ognia.

Jedliśmy i piliśmy, a wraz z kolejnymi kubkami wina moim towarzyszom poprawił się humor i ustąpiło napięcie związane z pogonią. Bariera językowa również przestała być problemem: Morcant i Arthfael na



migi ugadali się z kilkoma Trakami i zaczęli grać w kamienie, a Elisedd i Caratacos z uporem godnym lepszej sprawy zabrali się za uczenie naszych gospodarzy – a w szczególności, jak mi się wydawało, trzech młodych i całkiem urodziwych Traczynek – naszego języka.

Ja sam jadłem niespiesznie i bez apetytu. Siedziałem obok Bradána i Luigsech, naprzeciw przywódcy Traków i jego brata. Od chwili gdy zeszliśmy w kotlinkę, nie opuszczało mnie złe samopoczucie – coś tkwiło mi w sercu niby kamień w bucie, dręcząc i irytując, nie dając spokoju. Nie smakowało mi jedzenie, wino piłem bez przyjemności, nie poprawił mi humoru nawet uśmiech posłany przez donoszącą wino Traczynkę. Nie podobało mi się to miejsce. Nie podobał mi się górujący nad wioską opuszczony fort; nie podobała mi się wesołość Traków, w moim odczuciu fałszywa i wymuszona; nie podobał mi się sposób, w jaki rozmawiali między sobą, przyciszonymi głosami, zerkając na nas, i to jak milkli, gdy przechodziliśmy obok. Nie podobał mi się wygłodniały wzrok dzieci, gdy z progu chat zerkały zachłannie na nasze jedzenie.

Wtedy po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że wieszczona przez druida śmierć może czekać znacznie wcześniej niż u wylotu przełęczy.

– Zapytaj go – Bradán poprosił Luigsech – czy dzień lub dwa temu nie szli tędy ludzie podobni do nas.

– Myślisz, że wysłannicy Judoca znali tę drogę?

– Jeśli my o niej słyszeliśmy, oni też mogli. Zapytaj.

Stary Trak posłuchał pytania, po czym pokręcił głową i rzucił parę słów.

– Mówi, że nie. Ponoć rzadko widują tu obcych. Pyta też, czemu ich ścigamy. Mam powiedzieć prawdę?

– Jak uważasz.

Luigsech napełniła swój kubek winem i zaczęła mówić. O wysłannikach wodza imieniem Judoc, którzy przybyli do nas dziesięć dni wcześniej z podarkami i poselstwem od swego pana. O pięknych słowach, które płynęły z ich ust; o zapewnieniach wzajemnej pomocy, braterstwa

i pokoju. I o tym, jak dwa dni temu zniknęli w środku nocy, zabierając ze sobą tarczę naszego króla, jego słynną szczęśliwą tarczę z drzewa zaklętego dębu, która ratowała mu życie w setkach potyczek. A przynajmniej sądziłem, że o tym mówi – nie znałem wszak trackiego.

W pewnym momencie poczułem, że wypite wino musi znaleźć ujście, odszedłem więc na stronę. Ruszyłem między domami na skraj wioski, pośród wysokie krzaki tarniny i tam ulżyłem pęcherzowi. Słyszałem szmer strumienia, szelest liści, echo ludzkich głosów. Gdzieś wśród drzew ozwał się puchacz, coś poruszyło się w krzakach. Zwyczajna wioska, pomyślałem, nie tak wcale inna od naszych. Skąd więc ten niepokój?

Wracałem już do ogniska, gdy dojrzałem troje Traków – dwóch mężczyzn i kobietę – rozmawiających przyciszonymi głosami przy zagrodzie dla świń. Przystanąłem w cieniu jednej z chat i przyglądałem się im, jak wyciągają jedno ze zwierząt na zewnątrz. Już wcześniej, za dnia, musieli sobie upatrzeć odpowiednią sztukę: świniak przywiązany był za szyję sznurem, niby myśliwski pies. Kobieta szarpnęła powrozem i zwierzę zakwiczało niezadowolone, ale w końcu podreptało za nią. Mężczyźni – dopiero teraz zauważyłem, że do pasów przytroczone mają swoje zakrzywione miecze – stanęli po jej lewej i prawej stronie, po czym cała trójka rozplynęła się w mroku.

Zaraz wychylnąłem z cienia i pospieszyłem ich śladem. Chłód nocy lizał mi skórę, niepokój pospieszał serce, podniecenie i ciekawość wywoływały dreszcze. Zacisnąłem dłoń na rękojeści noża, żałując, że miecz zostawiłem przy ławie. Miałem nadzieję, że w razie kłopotów uda mi się wezwać pomoc i bronić tak długo, aż moi kompani przyjdą mi z odsieczą.

Zwolniłem, gdy dojrzałem sylwetki Traków. Szli niespiesznie w stronę wzgórza, rozglądając się czujnie na boki. Czego lub kogo wyglądali? I dokąd prowadzili tę świnię na postronku?

Dalej szedłem pochylony, na ugiętych nogach, gotów w każdej chwili paść w trawę, by ukryć się przed wzrokiem śledzonej trójki. Na długich

żdźbłach zbierała się już rosa i szybko przemoczyłem spodnie oraz buty.

– Co oni wyrabiają? – wyszeptałem zaintrygowany.

Zatrzymali się kilkadziesiąt kroków przed palisadą. Prosiak, dotychczas raczej spokojny, zaczął nerwowo pokwikiwać. Któryś z mężczyzn coś powiedział, drugi go uciszył. Dłonie trzymali na rękojeściach mieczy. Widać było, że są zdenerwowani, może nawet przestraszeni.

Z ziemi sterczał solidny palik, do którego kobieta uwiązała świnię. Zacząłem domyślać się, że to ofiara dla jakichś trackich bogów, część obcego nam i przez to niezrozumiałego rytuału, ale żadne z nich nie zrobiło zwierzęciu krzywdy. Gdy tylko upewnili się, że sznur mocno trzyma, czym prędzej podążyli z powrotem w stronę wioski.

Przeszli tuż obok mnie, cały czas szepcząc między sobą i oglądając się przez ramię. Niczego nie zauważyli. Mógłbym równie dobrze być głazem albo spróchniałym pniem. Nie rozumiałem ani słowa, ale wystarczył mi ton głosu.

Byli przerażeni.

Kiedy wróciłem do stołu, zabawa trwała w najlepsze. Stałem za Bradánem i na ucho streściłem mu, co widziałem.

– Luigsech – powiedział, gdy już usiadłem na swoim miejscu. – Zapytaj naszego gospodarza o ten fort na wzgórzu.

Trakowie natychmiast sposepniali. Brat starego chciał mu coś powiedzieć na ucho, ale ten machnął ręką i warknął jakieś przekleństwo. Zacerpnął wina i napił się z pochmurną miną. Później zaczął mówić, a Luigsech tłumaczyła jego słowa.

– Mówi, że w forcie coś mieszka. Coś... nie znam tego słowa...

– *Vrapirin* – powtórzył Trak w swoim dziwnym języku. – *Upír!*  
*Vrapirin!*

– Zły duch – kontynuowała Luigsech. – Na wpół człowiek, na wpół zwierzę. Poluje tylko nocą, żywi się krwią. Tutejsi składają mu ofiary, żeby nie porywał ludzi z wioski.

Czułem, jak włoski stają mi na karku, a ramiona pokrywa gęsia skórka. Inni musieli dostrzec, że charakter naszej rozmowy uległ zmianie, bo zebrało się wokół nas więcej osób, ucichły zabawy, rozmył się gdzieś obecny jeszcze przed chwilą śmiech. Stary Trak opowiadał, Luigsech tłumaczyła, a my słuchaliśmy z zapartym tchem, zerkając co chwila w stronę fortu, niewidocznego przecież w gęstym, lepkim mroku nocy.

Wedle słów starca przybyli do wioski dwa lata wcześniej. Uchodzili z zachodniej Tracji, gdzie rodowe właśnie zamieniły się w pożogę kolejnej wojny, a rzeki i strumienie po raz wtóry spłynęły krwią. Podczas ucieczki przez góry padli ofiarą wczesnych śniegów i bezlitosnych zamieci. Błądzili więc w gęszy, szukając schronienia przed zimnem, gdy trafili na tę wioskę. Mieli nadzieję, że jej mieszkańcy pozwolą im przeczekać niepogodę. Okazało się jednak, że wioska jest wymarła. Z jednym wyjątkiem: w chacie najbliższej strumienia leżała kobieta złożona ciężką chorobą. Mimo że Trakowie próbowali jej pomóc, po trzech dniach zmarła. W gorączce nieustannie powtarzała słowa, których przybysze nie rozumieli, ale które na zawsze zapadły im w pamięć.

– Cóż to były za słowa? – zainteresował się Bradán.

Trak wykrzywił nienaturalnie usta i wycharczał krótkie zdanie. Dopiero gdy powtórzył je parokrotnie, zdałem sobie sprawę z tego, że go rozumiem.

„On chce krwi”, mówiła tamta umierająca kobieta w naszym języku. „On ciągle chce krwi”.

Śnieżyce trwały wtedy jeszcze przez tydzień. Przybysze zapełnili opuszczone chaty. Pojawiali się tacy, co sugerowali zajęcie fortu na wzgórzu, ale kotlinkę otaczała zwarta ściana drzew, przez co wśród chat było zacisznie i bez wątpienia cieplej niż na nagim, smaganym lodowatym wiatrem pagórku.

Pogoda się wreszcie poprawiła, a Trakowie wzięli wioskę w swoje władanie. Mieli dość zajęcia przy chatach, z których wiele wyglądało, jakby

nie naprawiano ich od roku lub dwóch, poza tym musieli zadbać o zapasy na nadchodzącą zimę. Wyprawę do fortu z dnia na dzień odkładano.

Kiedy zniknęła jedna z dziewczynek, złożono to na karb natury: dzikich zwierząt, zdradliwej rozpadliny w lesie, niebezpiecznych wirów w leżącym nieopodal stawie. Podobnie gdy w dwa tygodnie później zaginął jeden z mężczyzn. Ktoś podsunął pomysł, że gdzieś niedaleko może przebiegać szlak łowców niewolników i że oboje zaginięni padli ich ofiarą. Tak czy owak, od tamtej pory Trakowie wystawiali nocą strażę i nigdzie nie chodzili samotnie.

Trzecią ofiarą była kobieta ówczesnego naczelnika. Porwana z chaty przez bestię o bezwłosym ciele, olbrzymich pazurach, białych, niby zasłoniętych bielmem oczach oraz gigantycznych, niemieszczących się w ustach kłach. Tracki wódz nawet nie zareagował – opowiadał później, że szeleszczący, obco brzmiący głos potwora ujarzmił go, spętał, otumaniał i wreszcie pchnął w objęcia gorączkowych majaków. Mężczyzna oprzytomniał dopiero wtedy, gdy do chaty wpadli jego synowie, przywołani wrzaskiem matki. Wtedy jednak było już za późno: znaleźli tylko ślady prowadzące w stronę wzgórza.

Następnego ranka zdecydowali się spalić fort i wykurzyć potwora z jamy. Jednak gdy dwóch Traków zbliżyło się z pochodniami do palisady, z głębi zabudowań pofrunęły strzały – z białego drewna, o żelaznych grotach i czarnych lotkach – a obaj mężczyźni padli martwi. Zaraz też rozległ się obłądny śmiech, śmiech na pozór dziecięcy, ale podszyty szaleństwem i czystym, zwierzęcym złem. Coś poruszało się pośród mroku, jakby cienie zaczęły opętańczo płaszać i wtedy przybysze zrozumieli, że bestii w forcie jest więcej.

Staremu Trakowi zaschło w gardle. Po raz wtóry napełnił kubek winem, przepłukał usta i skrzywił się, jakby wciąż czuł na języku kwaśny smak tamtych dni: smak rozpaczy, złości, strachu.

– Byliśmy obcymi, wyrzutkami bez domu i ziemi – powiedział ciężko.  
– Powinniśmy byli odejść, spróbować znaleźć inne miejsce... ale były wśród nas dzieci, a zbliżała się zima, sroga i mroźna. Gdybyśmy opuścili wioskę, zginęlibyśmy na mrozie, a nasze truchła przysypałby śnieg... A może nie? Może bogowie okazaliby się łaskawi? Tego nie wie nikt... Zostaliśmy. Przez wzgląd na dzieci zostaliśmy. Uznaliśmy, że w forcie mieszkają demony, ale nasz lud dobrze wiedział, jak należy postępować z demonami. Zadrzyj z nimi, a zginiesz straszną śmiercią, ty i każdy, kogo miłujesz. Ale jeśli okażesz im szacunek... wtedy może... może pozwolą ci żyć.

Od tamtej pory Trakowie składali ofiary istotom zamieszkującym fort na wzgórzu. Raz na tydzień przyprowadzali przed palisadę zwierzę: warchlaka, kozłą sarny, młodego daniela. Rano zastawali sam powróż, a wokół skopaną ziemię i strzępy mięsa oraz skóry, potrzaskane kości. Bywało tak, że z rozwleczonych po stoku ochłapów dałoby się na powrót pozszywać całe zwierzę.

– One nie jedzą mięsa – wymamrotał stary. – Tylko piją krew. Łamią też kości, by wyssać szpik.

Zdałem sobie sprawę z tego, że z całej siły zaciskam dłoń na rękojeści miecza. Gdzie zaprowadził nas los, gdzie zawiodło nas pragnienie chwały? Na włócznie Morrigan, sądziłem dotąd, że niełatwo mnie przestraszyć – postawcie mnie samego naprzeciw pięciu drabów tego zdrajcy Judoca, a bez wahania skoczę im do gardeł i nie spocznę, aż wszyscy nie legną w piachu u mych stóp – ale potwory z opowieści starego Traka to było co innego. Wprawiły moje ciało w drżenie, wypełniły umysł ponurymi myślami, tak jak można przez pomyłkę napełnić bukłak zepsutym winem. Jaki człowiek zdołałby stanąć twarzą w twarz z podobną grozą i nie oszaleć?

– Od tamtej pory żyjemy w cieniu fortu na wzgórzu – dokończył Trak, a Luigsech przetłumaczyła nam jego słowa. – Wciąż składamy ofiary

demonom, które tam żyją. Tydzień po tygodniu, od przeszło dwóch lat. Tylko dzięki temu jesteśmy bezpieczni. Tylko dzięki temu nasze dzieci wciąż żyją. Ale o zwierzynę coraz trudniej. Nieraz głodowaliśmy, byle tylko móc złożyć ofiarę.

Zapadła cisza. Od dłuższej chwili nikt nie dorzuczał do ognia i płomienie zniknęły, pozostała tylko sterta intensywnie czerwonego żaru. Zrobiło się zimno, więc zapiąłem wyżej pelerynę.

– Luigsech – odezwał się Bradán. – Podziękuj naszemu gospodarzowi za tę opowieść i za szczodry poczęstunek. Powiedz mu również, że szczerze współczujemy klątwy, jaka ciąży nad jego ludem. Ale musimy jutro wcześniej wyruszyć, więc najwyższa pora, abyśmy ułożyli się do snu.

\*\*\*

Trakowie udostępnili nam dwie chaty, a jedna z ich kobiet przyniosła jeszcze dzban cienkiego wina i sama dorzuciła do ognia drewna z dodatkiem jakichś miło pachnących ziół. Odeszła żegnana niewybrednymi żartami Óengusa i Elisedda, których na szczęście nie mogła rozumieć.

Pierwszą wartę objęli Morcant i Caratacos, później mieliśmy zmienić ich ja oraz Arthfael. Położyłem się więc, okryłem skórą i próbowałem zasnąć. Óengus i Elisedd, którzy spali razem ze mną, natychmiast zaczęli chrapać, ale ja wciąż walczyłem z gonitwą myśli.

Bradán zajrzał do nas. Odwróciłem do niego głowę, a wtedy zbliżył się i przyklęknął obok mojego posłania.

– Śpij, Corraidhín – powiedział.

Sam wyglądał, jakby nieprędko miał zasnąć.

– Panie? – wyszeptałem.

– No, co tam?

– Myślisz, że to prawda? Ta opowieść... o tych potworach?

Wódz pogładził wąsy, po czym spojrzał mi w oczy.

– Nie widzę powodu, dla którego ci ludzie mieliby nas okłamywać. Wiele jest rzeczy na świecie, które nam się nie śniły, Corraidhín. Część z nich to cuda, które zapierają dech w piersiach... część to groza, która przecieka przez cienką granicę świata snów i kroczy w mroku obok nas.

– Ale czy to możliwe? – mówiłem coraz szybciej. – Potwory o wyglądzie zwierząt, które tak celnie szyją z łuku, a głosem potrafią obezwładnić...

Bradán położył mi dłoń na ustach i natychmiast ucichłem.

– Śpij, Corraidhín – nakazał łagodnie. – Koszmary mają to do siebie, że rosną z każdym kolejnym słowem i potwornieją z każdą kolejną myślą. Nie zaprzataj sobie nimi głowy. Jutro będziemy mieli inne zmartwienia. Ci ludzie mają swoją walkę, my mamy swoją. Pamiętaj o tym.

Ruszył do wyjścia, a ja łyknąłem jeszcze winą, obróciłem się na wznak i spróbowałem oczyścić umysł, wpatrując się w mrok wiszący pod powalą. Ciepło koilo, zapach skór przypominał dom, a słodkawa woń ziół stopniowo opanowała zmysły. Sam nie wiem, kiedy zasnąłem.

\*\*\*

Obudziło mnie poruszenie, krzątania, podniesione głosy. Zobaczyłem, że jest już widno, i zrozumiałem, że stało się coś złego. Przecież koło północy Morcant i Caratacos mieli mnie zbudzić, żebym ich zmienił przy ognisku.

– Na nogi, mały! – Óengus kopnął mnie lekko, przechodząc obok w pośpiechu.

Poderwałem się z miejsca i z mieczem w dłoni wybiegłem z chaty.

Świt wstał jakiś czas temu, szary i posepny. Chmury wisały nisko, jakby ołowiane niebo miało się nam lada moment zwalić na głowy. Ponury nastrój wszystkim się wyraźnie udzielił, bo krzatali się wokół rozgorączkowani, z ustami pełnymi złorzeczeń.

– Coś się stało? – zapytałem Elisedda, który kopnął stojący obok pień, przykucnął na ziemi i zaczął szarpać wąsy. Wyglądało na to, że



obudziłem się jako ostatni.

– Luigsech zniknęła – odparł.

– Jak to zniknęła? Przecież była w chacie z innymi. Jak...

– Spaliśmy – bąknął Elisedd. – Wszyscy żeśmy posnęli. Nawet Morcant i Caratacos, którzy stali na warcie. Bradán obudził się pierwszy i zastał ich rano obok wygasłego ogniska. Posłanie Luigsech było puste.

– Bogowie – jęknąłem.

Usłyszeliśmy szelest w chaszczach i spomiędzy drzew wyszli Bradán, Boudicca oraz Morcant. Spoceni i zziajani, z twarzami czerwonymi od chłoszczących gałęzi, z sosnowymi igłami we włosach. Razem z nimi byliśmy w komplecie, brakowało tylko Luigsech.

– Nie ma jej – oznajmił Morcant. – Sprawdziliśmy wszystkie ścieżki wokół wioski. Żadnych śladów.

Ze złością wbił miecz w ziemię. Rozumiałem jego wściekłość, rozumiałem wstyd – od doświadczonego wojownika Bradán oczekiwał czegoś innego niż snu na warcie. Szczególnie pośród obcych. Gdyby Trakowie źle nam życzyli, żaden z nas by się nie obudził.

– To nie twoja wina. – Wódz stanął za Morcantem i położył mu dłoń na ramieniu. Twarz miał bladą i poszarzałą jak stary śnieg, oczy zapadnięte i otoczone sinymi obwódkami. – Mnie również sen zaskoczył jak zdrajca, co zakrada się od tyłu i dźga w plecy oszczepem. To nie było zwykłe zmęczenie. Coś zadbało o to, byśmy nie trzymali straży.

Oczy nas wszystkich powędrowały w stronę ponurej sylwetki fortu. Nikt nie chciał powiedzieć tego na głos, ale byłem przekonany, że myśli mamy podobne.

Wyřczył nas stary Trak. Zbliżył się niechętnie, trochę jakby obawiał się kary, a stanąwszy w końcu przed Bradánem, wyciągnął do przodu dłoń.

Wykrzywione starością palce zaciskały się na strzępie tkaniny z wygiętą złotą fibulą. Materiał utytłany był w ziemi, ale i tak z łatwością rozpoznałem w nim kawałek koszuli Luigsech. Starzec pokazał na wzgórze

i powiedział parę słów w swoim języku. Nie musieliśmy go rozumieć, żeby wiedzieć, co chce nam powiedzieć. Łatwo było się domyślić, że Trakowie znaleźli ten strzęp na ścieżce prowadzącej do fortu.

– *Vrapirin* – powiedział, a mnie ciarki przeszły po plecach. – *Upír!*

\*\*\*

Są takie chwile, gdy ważniejsze jest podjęcie decyzji niż sama decyzja. Bradán wiedział, że ma mało czasu. Gdyby zwlekał, myśl o pijących krew demonach rozrosłaby się i napęczniała nam w głowach niby kawał mokrego lnu.

– Boudicca, szykuj ich do walki – powiedział twardo. – Idziemy tam.

Później chwycił skórzaną torbę, w której spoczywała głowa druida Mathghamhaina, i zniknął wewnątrz jednej z chat.

Zgodnie z poleceniem zaczęliśmy się szykować. Sprawdziliśmy broń, pozapinaliśmy zdjęte do snu kaftany i skórnie. Przygotowaliśmy wiązki drewnianych szczap, które miały rozświetlić mrok wewnątrz położonej w forcie ziemianki, i przewiazaliśmy je sobie przez plecy.

– Naprawdę mamy tam iść? – zapytał szeptem Arthfael. – Jaką mamy pewność, że nasze żelazo cokolwiek wskóra przeciw tym potworom?

Wyraził to, co i mnie chodziło po głowie, ale nim zdołałem go poprzeć, Boudicca ukróciła wszelkie dyskusje, warcząc niczym rozjuszony borsuk:

– Widział któryś z was demona?!

Powiodła po nas wściekłym spojrzeniem, dłonie zacisnęła w pięści. Węzły mięśni poruszyły się pod nagą skórą ramion.

– No dalej, widział któryś z was kiedyś demona?!

Milczeliśmy. Odwróciłem od niej wzrok i popatrzyłem w stronę fortu. Z tej odległości widać było palik, do którego Trakowie wiązali zwierzęta przeznaczone dla demonów. Czemu tym razem ofiara nie wystarczyła? Czy demony jakimś sobie właściwym, złowieszczym zmysłem wyczuły Luigsech, tak jak pies z daleka wyczuwa sukę w rui? Czy – podobnie jak

dla niektórych mężczyzn – była zbyt łakomym kąskiem, by zostawić ją w spokoju?

– Ja nie – kontynuowała Boudicca. – Nie widziałam demona i póki nie ujrzę go na własne oczy, nie uwierzę, że istnieje.

– Chcesz nam może wmówić, że fort jest pusty? – zapytał Elisedd. – Że Trakowie to wszystko zmyślili?

Boudicca zwróciła twarz w jego stronę. Rozzłoszczona jeszcze bardziej przypominała wygłodniałą wilczycę.

– Nie. Ale póki nie ujrzę demona, będę wierzyć, że są tam po prostu ludzie albo zwierzęta. A wszystkie zwierzęta i wszyscy ludzie, jakich dane mi było widzieć, Celtowie, Trakowie, Dakowie, Ilirowie, Scytowie, Wenetowie, Etruskowie, Helenowie i Macedończycy, mieli ze sobą coś wspólnego: krwawili, gdy się im wraziło żelazo w trzewia.

Może trudno w to uwierzyć, ale słowa Boudikki dodały mi otuchy. Ścisnąłem mocno rękojeść miecza i powiedziałem sobie, że nie zawiodę. Pójdę tam, za palisadę, w mrok ziemnej jamy, i udowodnię, że jestem ulepiony z tej samej gliny co Óengus czy Morcant. Że też jestem wojownikiem.

– Corraidhín – zwróciła się do mnie. – Idź do Traków i spróbuj się jakoś porozumieć. Niech przyniosą nam coś do jedzenia. Nie pójdziemy w bój o pustym żołądku.

Zrobiłem, jak kazała. Jednak gdy mijałem chatę, w której zniknął Bradán, usłyszałem głos wodza i zatrzymałem się. Miniona zima musiała wypaczyć drewniane bele, a Trakowie nie zdążyli jeszcze zatkać wszystkich szczelin.

– ...to już koniec – powiedział Bradán. – Obiecuję. Ale powiedz mi, co wiesz.

Przywarłem do ściany i znieruchomiałem. Po drugiej stronie słyszałem rżący oddech, który zjeżył mi włoski na karku.

– Nic już nie widzę, chłopcze – wychrypiał Mathghamhain. – Mój czas się skończył. Daj mi odejść.

– Ostatni raz, przyjacielu. Proszę cię.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Z chaty dochodził tylko ciężki oddech druida.

– Mathghamhain, muszę wiedzieć, czy idąc tam, prowadzę moich ludzi na śmierć.

Słowa wodza zaległy mi na dnie brzucha ciężką, lodowatą bryłą. Bogowie, zaiste czarny nastał dzień, skoro nawet Bradán, syn Seisylla, stracił pewność siebie i obawiał się zguby.

W ciszy rozległ się głos druida:

– Nie wiem, co was czeka.

– Niczego nie możesz dostrzec?

– Przyszłość i przeszłość nachodzą na siebie jak zmarszczki na wodzie, widzę tylko zmaconą toń. I krwawe oko. Uważaj na krwawe oko, synu Seisylla. Jesteś silny, ale ono jest silniejsze.

– Krwawe oko? – zapytał Bradán. – Co to takiego?

– Nie wiem. Ale jest stare... bardzo stare. Przebyło daleką drogę ze swego domu na wschodzie. I wciąż łaknie, wciąż pragnie. Bez końca.

– Czy oko to demon? Jak je pokonać?

– Nie pokonasz go. Nie zniszczysz. Tej jednej walki nie wygrasz.

Zawartość żołądka podeszła mi do gardła, zasłoniłem usta dłonią. Czy to może być prawda? Czy Mathghamhain właśnie zwiastował Bradánowi śmierć? Na włócznie Morrigan...

– Chłopak uratuje ci życie – dodał druid.

– Chłopak? Masz na myśli Corraidhína?

Zmartwiałem, słysząc swoje imię. Poczułem, jak krew odpływa mi z twarzy. Czekałem, aż druid przytaknie lub zaprzeczy, ale się nie doczekałem. Mathghamhain milczał i tylko stłumiony, rzęzący oddech świadczył, że w jego głowie wciąż tliło się życie.

Chwilę później usłyszałem głos wodza:

– Żegnaj, przyjacielu. Oby Bogowie ci odpłacili za twoje oddanie.

Usłyszałem głucho łupnięcie oraz ohydny chrupot pękających kości. Wzdrygnąłem się i odskoczyłem od ściany, jakby chata nagle stanęła w ogniu. Zapadła nachalna, złowieszcza cisza, której nie zakłócał już umęczony oddech druida.

Przypomniałem sobie, z czym Boudicca wysłała mnie do Traków, i poszedłem wypełnić jej polecenie. Gdy wróciłem, Arthfael i Elisedd rozpalali na powrót ognisko, a Bradán stał obok, ściskając w dłoni skórzaną torbę, która wkrótce miała szczeznąć w płomieniach.

To był jeden jedyny raz, gdy w oczach mojego wodza dojrzałem łzy.

Później staliśmy w kręgu wokół rosnącego ognia i w milczeniu skubaliśmy czerstwe podpłomyki.

– Arthfael, Caratacos i Elisedd, wy zostaniecie – oznajmił w końcu Bradán. – Jeśli nie wrócimy do południa, ruszajcie w drogę. Zabijcie zdrajców z ludu Judoca i odbierzcie im tarczę naszego króla. Reszta za mną.

Pochylił się nad paleniskiem i ostrożnie umieścił sakwę z głową druida pośród płomieni. Później dobył miecza, odpalił od ognia zwitek drewnianych szczap i ruszył w stronę fortu na wzgórzu.

\*\*\*

Maszerowaliśmy pod górę gęsiego, w ciszy i skupieniu. Bradán szedł pierwszy, z obnażonym mieczem i pochodnią. Za nim podążali Morcant i Óengus, dalej ja z kolejną dymiącą żagwią. Boudicca zamykała pochód. Nad głowami przewalały nam się chmury, w koronach drzew szeptał wiatr. Było chłodno, ale po plecach i tak spływał mi pot.

Pokonaliśmy większość drogi, gdy Morcant głośno wezwał imienia Lugha. Znaleźliśmy się właśnie na wysokości palika ofiarnego i pośród trawy można było dostrzec strzępy skrwawionej skóry oraz potrzaskane

kości, tu i ówdzie wciąż obrośnięte mięsem. Sądząc po mdłym odorze zgnilizny, tylko część z nich należała do wieprzka, którego widziałem poprzedniej nocy. Inne musiały być starsze.

– Dzieci Badb nie chcą tego mięsa – zauważył Óengus i splunął pod nogi. Dopiero wtedy też to zauważyłem: nigdzie nie było kruków i wron, do ochłapów nie zbliżył się żaden lis czy kuna... a przecież trudno o łatwiejszy kąsek dla padlinożerców. Wydawało się, jakby zwierzęta instynktownie omijały to miejsce.

– Idziemy – ponaglił nas Bradán.

Zbliżyłem się wraz z innymi do palisady, a serce biło mi coraz prędeziej i mocniej. Opowieść starego Traka wciąż była żywa w mojej pamięci i sądziłem, że lada moment usłyszę dźwięk spuszcanych cięciw, a z głębi fortu pofruną białe strzały z czarnymi lotkami, niosąc nam śmierć. Wypatrywałem ruchu, jakiejś zapowiedzi ataku, ale za palisadą panował spokój.

Przeszliśmy krok. Później następny. Byliśmy coraz bliżej bramy, a strzały wciąż nie nadlatywały. Kątem oka widziałem Morcanta, jak porusza się na ugiętych nogach, z uniesioną tarczą ocierającą się o podbródek. Wzrok miał skupiony, językiem oblizywał spierzchnięte usta.

Wróciłem do obserwowania wnętrza fortu. Otwarta brama wychodziła na pas zarośniętego trawą dziedzińca, szeroki może na dwadzieścia kroków. Dalej widać było pokryte darnią ściany obszernej ziemianki. Wystająca nad ziemię część budowli sięgała dorosłemu mężczyźnie do piersi. Spod zieleni prześwitywały kamienie i brunatne placki gliny. Wąskie wejście ziało pradawnym mrokiem.

Zrobiliśmy parę kolejnych kroków. W końcu mieliśmy palisadę na wyciągnięcie ręki. Drewno z czasem pociemniało, kilka pali osmolilił ogień, ale fortyfikacja mimo upływu lat była w dobrym stanie. Solidna robota, nasza, celtycka. Mogła mieć dwadzieścia lat albo pięćdziesiąt – nie byłem

w stanie tego ocenić. Podejrzywałem, że pochodzi z czasów, gdy nasi dziadowie po raz pierwszy zawitali w te strony.

– Wy na lewo – wyszeptał Bradán, wskazując mnie oraz Boudikkę. Kiwnął głową i równocześnie pokonaliśmy otwartą bramę. Biegłem tuż obok Boudikki, która starała się, jak mogła, osłaniać nas oboje tarczą; po drugiej stronie Morcant służył osłoną naszemu wodzowi. Czekałem na wrzask, na stukot grotów wbijających się w tarcze, na przeszywający ból. Nic takiego nie nastąpiło. Dopadliśmy ziemianki i przywarliśmy plecami do ściany. Ja i Bradán staliśmy obok spowitego mrokiem wejścia, każdy z pochodnią w dłoni, a Boudicca i Morcant rozglądali się wokół, wypatrując napastników.

Cisza. Przerazająca, martwa cisza wzgórze, na którym nawet wiatr zniżał swoje zawodzenie do szeptu.

Bradán zagwizdał i przez bramę przeszedł Óengus.

– Może śpią? – zasugerował cicho topornik, stając obok nas. – Nażarli się i teraz odpoczywają. Trak chyba mówił, że nigdy ich nie widziano za dnia.

Serce, niech Lugh mi wybaczy, zabiło mi radośniej na tę myśl. Gdyby tak udało się dopaść te bestie we śnie i upuścić im krwi bez walki...

– Miejmy nadzieję, że jeszcze się nie nażarli – odparł z tłumionym gniewem Bradán. – Tylko wtedy istnieje szansa, że Luigsech jeszcze żyje. Za mną.

Jednym susem znalazł się w wejściu. Morcant natychmiast podążył za nim. Nie paliło mi się, żeby tam wchodzić, ale Óengus pchnął mnie przed siebie.

– Trzymaj to z dala ode mnie – warknął, wskazując pochodnię. – Żebyś mnie nie oślepił.

Weszliśmy. W mroku czekał tunel szeroki na dwa kroki, długi na dziesięć, wydzielony przez ścianki z kamieni i wypalanej na słońcu gliny. W przejściu rozpięte były jakieś przegniłe, rozpadające się pod dotykiem

skóry, które dawno temu musiały zatrzymywać ciepło wewnątrz budowli. Było zimno, pachniało wilgocią, ziemią i rozkładem.

Bradán dotarł do końca tunelu. Od pochodni odpalił kolejną wiązkę szczap, po czym rzucił ją w głąb pomieszczenia. Za wąsko było, żebym cokolwiek dojrzał, Bradán wraz z Morcantem skutecznie mi wszystko zasłaniali. Podejrzewałem jednak, że izba jest niemała, bo wódz zdjął z pleców kolejne dwie wiązki drewna i zrobił z nimi to samo co z poprzednią. Dopiero wtedy poszedł dalej, a my za nim.

Znaleźliśmy się w obszernej izbie. Sufit wisiał nisko i kopący dym pochodni snuł się pod nim, poszukując drogi na zewnątrz. Płonące szczapy rozświetlały nieco mrok – na tyle, byśmy dojrzeli klepisko usiane pokruszonymi kośćmi, niby kwiatami na makabrycznej podziemnej łące. Sala była zbyt duża, żeby migotliwy blask sięgnął ścian i wypłoszył cienie. Ze wszystkich stron otaczał nas mrok.

– Gdzie oni są? – wyszeptał Óengus. Oczy zmrużył w szparki i przepatrywał ciemność, powoli obracając się dookoła. Ogień lśnił niepokojąco w ciężkich głowniach toporów.

Nagle to usłyszeliśmy: chichot dziecka. Zaburzył ciszę, poniósł się pośród smrodliwych wyziewów i tańczących cieni, po czym zgasł niby świeca na wietrze.

Poruszyłem się nerwowo, zacząłem rzucać głową na boki jak spłoszony koń. Niczego nie mogłem dostrzec.

Chichot się powtórzył, tym razem głośniejszy i dłuższy. Óengus obrócił się i warknął coś przez zęby. Boudicca podeszła i kopnęła płonące szczapy głębiej w mrok. Krąg światła przesunął się, ale dalej niczego nie widzieliśmy.

Naraz dotarł do nas odgłos stąpania, jakby klaskanie mokrych dziecięcych stópek na twardym podłożu.

– Pokaż się, na bogów – wyszeptał Morcant.



Widzą nas, zrozumiałem. Widzą nas przez te pochodnie, a my ich nie. Mogą czaić się gdziekolwiek, śmiejąc się z nas, czekając na dogodny moment, by...

Usłyszeliśmy jęk gnącego się drewna i napinanych cięciw.

– Tarcze! – krzyknął Bradán.

Skuliłem się i przypadłem do ściany. Strzała huknęła w tarczę Morcanta, zaraz obok wbiła się druga. Widziałem wciąż drżące lotki na końcu białych drzewców oraz ciemny grot wychodzący po wewnętrznej stronie osłony. Mężczyźni nic się nie stało.

– Z prawdziwymi wojakami nie pójdzie wam tak łatwo! – ryknął zadowolony Morcant.

W tym samym momencie powietrze przecięła gwizdem jeszcze jeden pocisk. Mlasnęło mokro, chrupnęła pękająca kość. Morcantom rzuciło do tyłu, trzymająca tarczę dłoń zatoczyła w powietrzu krąg, miecz zatańczył w powietrzu i upadł na klepisko. Mężczyzna zwałił się na wznak i zaczął konwulsyjnie trzeć lewą nogą o ziemię. Strzała wystawała mu z zalanego krwią oczodołu, a z otwartych ust płynął bulgocący charkot.

– Do przodu! – ryknął Bradán. – Do przodu, na włócznie Morrigan!

Sam pobiegł pierwszy, z krzykiem i bronią wzniesioną do ciosu. Bojowe okrzyki pozostałych zlały się w ścianę dźwięku, ja też dałem się co siłą, próbując wyrzeshzcze całą swoją wściekłość i strach. Gdzieś w tle rozbrzmiewał piskliwy rechot, jakby para dzieci zaśmiewała się do łez ze spletanego psikusa.

Pobiegłem za nim. Jeszcze jedna strzała przecięła powietrze, ale otarła mi się tylko o ramię, rozpruwając skórnię. Chybotliwy krąg światła podążał wraz ze mną i naraz dojrzałem jakiś ruch po mojej lewej stronie. Rzuciłem się tam, w pogoń za niedużym, patykowatym cieniem. Z izby wypadliśmy na korytarz; musiałem się pochylić, żeby nie zahaczyć głową o nisko zawieszony strop. Istota wyprzedzała mnie o kilka kroków, a uciekała pokracznie, raz na tylnych nogach, raz na czworaka. Skoczyła

nagle w bok, w otwarte przejście do jakiejś kolejnej izby. Rzuciłem się tam za nią. W nozdrza uderzył mnie smród odchodów, stopy zatańczyły na pochyłym, śliskim gruncie. Straciłem rezon na czas jednego uderzenia serca, ale to wystarczyło: gdy ujrzałem lecący w moją stronę przegniły cebrzyk, mogłem tylko osłonić się ręką z mieczem. Trafienie nie wyrządziło mi krzywdy, ale straciłem równowagę; upadłem z miękkim plaśnięciem i poczułem, że zsuwam się po pochyłości. Pochodnia wypadła mi z ręki i wylądowała w kałuży.

Zapadała nieprzenikniona ciemność, a gdzieś niedaleko rozległ się złowieszczy syk.

Wygrzebałem się z cuchnącej brei i przykucnąłem. Chciało mi się wymiotować – ze strachu albo klejącego się do mnie smrodu, sam nie wiem. Miecz mi się wyślizgiwał, chwyciłem go w obie dłonie i zacząłem wodzić nim przed sobą. Cały się trząsałem, szczęki zaciskałem tak mocno, że zgrzytały mi zęby.

Znowu usłyszałem ten sam złośliwy, piskliwy śmiech. Blisko, niemal na wyciągnięcie ręki. Ciąłem na oślep, ale ostrze trafiło w powietrze. Poślizgnąłem się i niemal upadłem, musiałem podeprzeć się jedną ręką. Istota zarechotała tryumfalnie.

Podniosłem się na drżących nogach i postąpiłem krok do przodu. Zataczałem mieczem półkola, starając się trzymać demona na dystans. Jeszcze krok. Gdybym wyszedł na korytarz, powinienem dojrzeć jakiś blask od strony sali, gdzie na ziemi wciąż paliły się pochodnie. Gdybym tam dotarł...

Dotknąłem czegoś czubkiem miecza. Uderzyłem błyskawicznie, siekąc na skos, z góry do dołu. Metal zazgrzytał na kamieniach, pchnęło mnie w tył i znowu straciłem równowagę. Zaatakowałem przeklętą ścianę!

Z trudem utrzymałem się na nogach i pospiesznie obróciłem. Znowu zahaczyłem o coś mieczem, ale tym razem wyprowadziłem tylko krótkie pchnięcie. Klinga przecięła powietrze, usłyszałem jednak mlask stóp

zapadających się w kałużę odchodów. Po prawej! Przykucnąłem, ciałem na wysokości pasa. Trafiłem w coś, ostrze napotkało opór, ciało poddało się z odgłosem dartej skóry. Ryk bólu wstrząsnął ściankami ziemianki, a w mroku przede mną się zakotłowało. Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, poczułem uderzenie, coś podbiło mi do góry dłoń z mieczem. Istota skoczyła na mnie z impetem, upadłem na plecy. Nie miałem czasu ciąć – na przedramieniu zacisnęły się nieduże, ale nad podziw silne palce, a zaraz po nich przyszedł ból wpijanych w skórę zębów. Krzyknąłem na całe gardło, gdy szczęki rwały mi mięśnie i miażdżyły kości. Drugą dłonią próbowałem chwycić łeb potwora, oderwać go od siebie. Nic z tego: moje palce natrafiły tylko na śliską od blocka skórę. Żadnych włosów, żadnego ubrania. Nic, o co mógłbym zaczepić paznokcie.

Puścił mnie na mgnienie oka, po czym ugryzł jeszcze raz, mocniej. Przysiagłbym, że wyszarpnął mi kawał mięcha, czułem, jak ssie krew z rany. Ryczałem z bólu, na granicy omdlenia, błyskało mi przed oczyma, serce łomotało w piersi. Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że gdzieś w międzyczasie wypuściłem z dłoni miecz, nóż zatknięty za pas też musiałem po drodze zgubić. Jak oszalały tłukłem pięścią w łysy czerep – bezowocnie.

Umrę, pomyślałem przerażony. Jeszcze chwila i umrę. Zabije mnie jakieś przeklęte dziecko!

W rozpacz podźwignąłem się na nogi, unosząc potwora ze sobą. Przywarł mi do ramienia jak pijawka, więc rzuciłem się do przodu i grzmotnąłem nim o ścianę. Raz, drugi. Sam wrzeszczałem z bólu i wysiłku do wtóru jego stęknień. Przy trzecim uderzeniu chwyt potwora zelżał, udało mi się wyrwać z jego objęć i rzucić w tył. Upadłem w kałużę, zsunąłem się kawałek po pochyłości. Chciałem uciekać, ale nie zdążyłem – potwór zaraz był na mnie. Nieduże ciało kryło nadspodziewaną siłę. Położył mnie na łopatki, usta i nos zalały mi nieczystości. Krztusiłem się i dławilem, lodowate dłonie wpychały mi głowę pod powierzchnię kałuży,

zwierzęca sylwetka przysiadła mi na torsie. Młóciłem rękoma, ale nijak nie mogłem strącić z siebie demona. Miałem wrażenie, że w piersiach lada moment wybuchnie mi pożar.

Dosłownie w ostatniej chwili trafiłem w błąd na klingę miecza. Zacisnąłem wokół niej palce, nie dbając o ból. Wyszarpnąłem broń z kałuży i zamachnąłem się nią jak maczugą. Trafiłem coś, zdawało mi się, że chwyt potwora nieco osłabł. Uderzyłem po raz kolejny, i jeszcze raz, choć ostrze rozcinało mi palce i czułem jak klinga trze o kość. Bałem się, że miecz lada moment ucieknie mi z dłoni zalanej krwią, ale wolałem stracić palce niż życie.

Nagle ciężar na piersiach zniknął i mogłem się wynurzyć, wreszcie nabrać powietrza.

Nie miałem siły dalej walczyć. Przez długość kilku oddechów kaszlałem i krztusiłem się, w końcu przechyliłem się na bok i zacząłem wymiotować. Trwało to trochę, a gdy skończyłem, po skroniach spływał mi pot. Cuchnąłem okrutnie i czułem się, jakby do końca życia miało mnie boleć całe ciało.

Podniosłem się i na czworaka zacząłem szukać wyjścia z izdebki. Po drodze trafiłem na ciało mojego przeciwnika: nagie i chude, pozbawione owłosienia, o oślizgłej skórze opiętej na mięśniach. Pomiot demona nie żył – leżał twarzą w kałuży, a z rozbitej głowy ciekła mu krew.

W końcu wydostałem się na korytarz. Odetchnąłem z ulgą, czując pod palcami suche, twarde klepisko. U kresu tunelu dojrzałem też słaby poblask ognia i ruszyłem w jego stronę. Jak zza mgły docierały do mnie jakieś krzyki, chrzęst stali, odgłosy walki, ale byłem tak słaby, że to wszystko wydawało się odległe, nierealne.

Wróciłem do obszernej sali, w której zostaliśmy zaatakowani. Palila się już tylko jedna pochodnia, inna tliła się słabo, pozostałe zgasły. Podniosłem tę dającą najwięcej światła. Kilka kroków dalej ujrzałem martwego

Morcanta ze strzałą w oczodole. Pokręciłem głową z niedowierzaniem i pokuśtykałem w stronę odgłosów walki.

Z izby odchodził kolejny tunel i właśnie tam znalazłem Boudikkę. Twarz miała czerwoną od krwi, a skórzany kaftan w strzępach, jakby trafiła na rozwścieczonego niedźwiedzia. Oddychała, ale słabo, płytko.

Odgłosy walki ucichły. Nie wiedzieć czemu, uznałem to za zły znak. Przyszło mi do głowy, żeby wydostać się z fortu i wrócić do wioski, do Arthfaela, Caratacosa i Elisedda. Ale gdzieś tam był Bradán. I mógł potrzebować pomocy, mojej pomocy, jakkolwiek śmiesznie by to brzmiało. W końcu sam Mathghamhain powiedział: „chłopak uratuje ci życie”.

Poszedłem dalej. Może pogodziłem się z myślą, że umrę, może po prostu przyzwyczaiałem się do półmroku, może wreszcie ból uniemożliwiał pośpiech – w każdym razie dostrzegałem więcej niż wcześniej. Kości, setki połamanych, starych kości, zwierzęcych i ludzkich. Krąg z dziecięcych czaszek. Inskrypcje wykonane obcym pismem; czarne, tłuste symbole wypełniające żłobienia w kamieniu. Zakrzywione noże pokryte rdzawymi plamami zakrzepłej krwi...

W następnej sali znalazłem Óengusa. Leżał na ziemi, w kałuży krwi i własnych wnętrzności. Olbrzymim łapskiem próbował zasłonić rozpruty brzuch, drugą dłoń wyciągał po leżący nieopodal topór. Drogo sprzedał swoje życie: kilka kroków dalej spoczywała istota o ciele dziesięciolatka z drugim toporem wbitym głęboko w grzbiet. Podobnie jak ten, który omal mnie nie zabił, stwór nie miał żadnych włosów. Błada skóra przypominała barwę rybi brzuch. Popatrzyłem mu w twarz i wzdrygnąłem się na ten widok. Ludzka sylwetka stanowiła tylko pozór, bestialski grymas nie pozostawiał złudzeń. W ciele człowieka zaklęto dzikie stworzenie, okrutne, bezmyślne i wiecznie żądne krwi.

Obróciłem się gwałtownie, czując za sobą czyjaś obecność. Pochodnia zaczynała przygasać, otaczał mnie szeroki na kilka kroków krąg słabego światła. Cienie wydawały się napierać ze wszystkich stron, wyciągać

w moją stronę zakrzywione łapska. Nie widziałem niczego szczególnego, ale wiedziałem, że ktoś mnie obserwuje.

Uniosłem miecz do góry. Bolały mnie pokaleczone palce, ale jeśli już miałem odejść – zamierzałem uradować Morrigan, umierając w walce.

– Pokaż się! – warknąłem. – No dalej, tchórze! Pokaż się!

Teraz byłem już pewien, że ktoś czai się w mroku. Najpierw to było tylko przecucie, później usłyszałem kroki: równe, miękkie stąpnięcia. Cokolwiek to było, zmierzało w moją stronę tak, jak wilki zbliżają się do zapędzonej w róg zwierzyny. Cofnąłem się mimo woli i trafiłem plecami na ścianę. Strach odebrał mi władzę nad nogami i stałem w miejscu, jakby stopy wrosły mi w ziemię.

Wszedł w krąg światła tym swoim niespiesznym krokiem. Ujrzałem najpierw kościstą sylwetkę, nagie stopy i pałakowate łydki o barwie rzeczno-mułu. Krew spływała mu po brzuchu, otaczała bezwłose przyrodzenie i ściekała niżej po wewnętrznej stronie umięśnionych ud. Później ujrzałem ręce, obciążone bladoziemistą skórą, patyki zakończone pazurami czy raczej szponami orła. Tors pokrywały maleńkie blizny, układające się w znaki tego samego dziwnego pisma, które widziałem na kamieniach. Naszyjnik z dużym czerwonym kamieniem wisiał na szyi demona i lśnił pięknie w świetle pochodni. Wreszcie pojawiła się łysa czaszka i twarz: głęboko zapadnięte, srebrzyste oczy pozbawione rzęs i brwi; sine wargi, spod których wystawały zęby spiłowane w ostre igły; skóra opięta na kościach policzkowych, naciągnięta jakby lada moment miała pęknąć.

Byłem gotów umrzeć i błagałem tylko bogów, by w moim kolejnym życiu obraz tego potwora nie prześladował mnie w snach.

Demon wyszczerzył w uśmiechu upiorne zębiska i wyciągnął dłonie w moją stronę. Nie mogłem oderwać oczu od jego spojrzenia. Wycelowałem w niego miecz, ale nagle poczułem się słaby, bez sił. Najdrobniejszy ruch wiele mnie kosztował, byłem powolny. Demon

z łatwością odtrącił moją broń i podszedł bliżej. Widziałem zakrzepłe strużki krwi na jego brodzie i szyi, oczy niby dwa blade księżycy nieustannie przyciągały wzrok.

Potwór zasyczał i położył mi lodowate palce na ramionach. Jego dotyk miał w sobie delikatność pajęczych odnóży. Próbowałem raz jeszcze unieść miecz, ale był zbyt ciężki. Starłem się ze wszystkich sił nie wypuścić go z ręki. Może to wystarczy, by Morrigan spojrzała na mnie przychylnie, gdy w krainie śmierci padnę do jej stóp.

Wtedy dojrzałem ruch za plecami demona. Potwór przekrzywił łeb, jakby zwęszył zwierzynę, i puścił mnie, ale było już za późno. Miecz zatańczył w powietrzu, zahaczył o bladą skroń. Trzasnęła pękająca czaszka, w powietrzu skropliła się krwawa mgiełka. Bestia padła na ziemię z ogłuszającym rykiem. Spróbowała się podnieść, ale Bradán zaraz był obok i wbił jej ostrze w plecy. Obrzydliwy chrupot towarzyszył rozcinanym kręgom, klinga znalazła drogę na wylot pod mostkiem bestii i miękko weszła w klepisko. Wódz chwycił rękojeść w obie ręce i przekręcił miecz w ranie. Na ziemię chlusnęła krew, a skowyt demona urwał się, zastąpiony świszczącym oddechem umierającego.

Moment później było po wszystkim, a ja osunąłem się na ziemię i dziękowałem bogom za łaskę życia.

\*\*\*

Zapaliliśmy ostatnie pochodnie i wspólnie z Bradánem sprawdziliśmy całą ziemiankę, krok po kroku. Morcant i Óengus nie żyli, Boudicca była nieprzytomna, ale wódz powiedział, że dojdzie do siebie. Sam krwawił z kilku ran, lecz gdy chciałem je opatrzyć, uparł się, żeby najpierw odnaleźć Luigsech.

– Czy to naprawdę były demony? – zapytałem.

Bradán pokręcił głową. Od dłuższej chwili klęczał nad pokonanym wrogiem i przyglądał mu się uważnie.

– Tylko ludzie. Obcy, o umysłach wykoślawionych przez przekłete praktyki dalekich krain i ciałach zniekształconych przez chorobę lub klątwę. Ale jednak tylko ludzie.

Nie mogłem w to uwierzyć, lecz wszystko sugerowało, że Bradán miał rację. W niezliczonych izbach i komórkach ziemianki znaleźliśmy garnki, kubki, noże, starą siekierę, szmaty, które kiedyś mogły być ubraniami. Trafiliśmy na zwierzęce skóry, łatanie cebrzyki ze stęchlą wodą i przysypane kamieniami zapasy jakichś bulw i korzonków. Mieli nawet osobną izbę, w której, jakkolwiek obrzydliwa była to praktyka, gromadzili nieczystości.

Znaleźliśmy również dwa łuki. W życiu nie widziałem podobnej broni. Łęczysko nie było proste, ale wygięte, a wykonano je z drewna, rogu i zwierzęcych ścięgien. Majdan dla pewniejszego chwytu starannie obwiązano rzemieniem. Kim byli ci ludzie? W głowie mi się nie mieściło, by ktoś, kto potrafił stworzyć tak niezwykłą broń, mógł żyć w podobnych warunkach i żywić się krwią...

Nigdzie nie znaleźliśmy Luigsech.

Przed wyjściem Bradán zdjął naszyjnik z czerwonym kamieniem z szyi pokonanego, wytarł go z krwi i schował do sakiewki u pasa. Ja przewiesiłem przez ramię oba niezwykłe łuki. Gdy upewniliśmy się, że nie znajdziemy tu nic więcej, chwyciliśmy Boudikkę pod ramiona i ruszyliśmy w drogę powrotną do wioski.

Nasi towarzysze czekali na nas wokół wygaszonego ogniska. Gdy ujrzeni, że wracamy, Elisedd poderwał się z ziemi i wybiegł nam na spotkanie. Widać było, że chce nam coś powiedzieć, ale zawahał się, gdy spostrzegł kogo brakuje.

– A Óengus? – wyszeptał. – Morcant?

Pokręciłem tylko głową. Elisedd pobladł i doskoczył do nas, żeby pomóc z nieprzytomną Boudikką.

– Panie, wybacz mi – wyszeptał do Bradána. – Powinienem był do was pójść, spróbować was znaleźć, ale...



Nie miałem pojęcia, o czym mówi. W głowie mi się kręciło od zmęczenia, bólu i straconej krwi.

– To oni, panie. – Twarz wykrzywił mu wściekły grymas. – To ci przekłęci Trakowie. To oni porwali Luigsech.

– Co?! – Bradán zatrzymał się w miejscu.

– Uprawdzili ją w nocy. Wino, którym nas poczęstowali, było zaprawione ziołami sprowadzającymi sen, te same zioła dorzucili do ogniska. Dlatego nikt z nas się nie obudził.

– Luigsech żyje?

– Żyje. Przyprawdzili ją wkrótce po tym, jak poszliście do fortu. Arthfael chciał ich wszystkich pozabijać, ale zagrozili, że poderzną jej gardło, jeśli ich zaatakujemy albo spróbujemy was ostrzec. Więc siedzieliśmy i czekaliśmy.

Byliśmy już na tyle blisko, że dostrzeżliśmy ich: w cieniu jednej z chat siedziała grupka Traków, pomiędzy nimi ujrzeliśmy skępowaną Luigsech. Wyglądało na to, że nic jej nie jest.

Wyszli nam na spotkanie. Trzech mężczyzn prowadziło kobietę, a każdy z nich niósł obnażony miecz. Na przedzie szedł stary Trak. Zatrzymał się, gdy dzieliło nas kilka kroków, i gestem pokazał, byśmy też się zatrzymali. Wypowiedział parę dłuższych zdań, po czym zerknął na Luigsech.

– Mówi, że nie mogli inaczej – powiedziała cicho. – Że mieli dość życia w cieniu tego fortu i zamieszkujących go potworów. Że zrobili to dla dzieci i że ty zrobiłbyś na ich miejscu to samo.

Popatrzyła Bradánowi w oczy.

– Nie skrzywdzili cię? – zapytał.

– Nie.

Trak znowu coś powiedział i Luigsech kontynuowała:

– Mówi, że jesteśmy znani jako ludzie honoru, którzy nie łamią raz danego słowa. Puści mnie wolno, jeśli każdy z was przyrzecze, że nie zrobi im krzywdy i nie będzie szukał zemsty.

Bradán splunął staremu Trakowi pod nogi i popatrzył na niego tak, jakby zamierzał zaraz skrócić go o głowę. Mężczyźni z tyłu drgnęli, dwie klingi zawędrowały niebezpiecznie blisko szyi Luigsech.

– Przymierzamy – powiedział w końcu wódz, a my powtórzyliśmy za nim. Potem przyrzekli również Arthfael i Caratacos.

Chwilę później wieśniacy zdjęli Luigsech więzy i kobieta dołączyła do nas.

Opuściliśmy wioskę, gdy tylko udało się skonstruować prowizoryczne nosze dla Boudikki.

\*\*\*

Z tego, że coś jest nie tak, zdałem sobie sprawę przy okazji wieczornego popasu. Wszyscy byliśmy przygaszeni, każdy na swój sposób radził sobie ze śmiercią towarzyszy i z faktem, że Trakowie posłużyli się nami jak bezwolnymi narzędziami. Na domiar złego pogryziona ręka rwała mnie i piekła, rana przypominała o sobie dotkliwym, nieustępującym bólem, którego nawet zioła Luigsech nie były w stanie uśmierzyć. Boudicca również warczała na wszystkich i wściekała się o byle co – najwyraźniej jej urazy także dawały o sobie znać.

Bradán wydawał się błądzić myślami gdzieś daleko, wpatrywał się w ogień niewidzącym wzrokiem. Dłoń od dłuższej chwili trzymał w sakiewce, gdzie schował naszyjnik znaleziony w forcie.

– Powinniśmy byli ich pochować – powiedział w pewnym momencie Elisedd. – Morcanta i Óengusa. Zasłużyli na to.

– Nie zdążylibyśmy dojść ludzi Judoca – przypomniała Luigsech. – I tak nie wiemy, czy nie straciliśmy za dużo czasu...

– To tylko tarcza – zauważył nieśmiało Caratacos. – A oni leżą teraz w tej plugawej jamie, obok martwych bestii...

Zazwyczaj w takich sytuacjach Bradán włączał się do rozmowy i zaprowadzał porządek. Było nie było, Caratacos podważał właśnie sens

całej naszej wyprawy. Ale Bradán siedział milczący, nieobecny, obojętny.

– Trzeba było zarżnąć tych bydlaków, zanim wymogli na nas słowa przysięgi! – warknął Elisedd.

– Dobrze mówisz! – zgodził się z posępną miną Arthfael.

– Było ich więcej – zauważyłem. – Poza tym mieli Luigsech. Zabiliby ją...

– Kto wie, czy by zdążyli? To zdrajcy...

– ...tchórze...

– ...podłe, kłamliwe psy...

– ...tacy ludzie nie wiedzą, co to odwaga. Nie zrobiliby nic...

– Więc czemu nie zaatakowałeś, skoroś tego taki pewien? Teraz to każdy mocny, a wtedy?

Arthfael, Caratacos, Elisedd i Boudicca pograżyli się w kłótni. Luigsech popatrzyła na Bradána, ale on nie reagował. Zerknęła w końcu na mnie, ale speszony odwróciłem wzrok. Kim ja byłem? Chłopcem pośród mężczyzn, szczeniakiem pośród ogarów. Nic nie mogłem.

Położyliśmy się późno, w podłych nastrojach. Bradán miał pierwszy stanąć na warcie, więc postanowiłem mu towarzyszyć. Był zbyt zamyślony, by pamiętać o dokładaniu do ognia, o pilnowaniu nas przed atakiem nie wspominając.

Siedziałem więc, zasłuchany w nocną ciszę, i obserwowałem mojego wodza. Zastanawiałem się nad przyczyną jego dziwnej obojętności. Czy tak reagował na śmierć Morcanta i Óengusa? Czy może tak objawiało się u niego zmęczenie wywołane walką i utratą krwi? A może w którąś z jego ran wdała się choroba? Nie mogłem wiedzieć, a gdy spróbowałem go o coś zapytać, nawet na mnie nie spojrzał.

W pewnym momencie się poruszył. Powolnym, ostrożnym ruchem wyciągnął z sakiewki naszyjnik. Czerwony kamień błysnął krwiście w świetle ogniska. Strach przeszył mnie nagle, jakby mi ktoś wraził sztylet między żebra.

Uważaj na krwawe oko, powiedział Bradánowi druid. Jesteś silny, ale ono jest silniejsze. Nie pokonasz go. Nie zniszczysz. Tej jednej walki nie wygrasz.

Czy naprawdę mogło o to chodzić? Czy to kamień w tym naszyjniku był w jakiś sposób sprawcą potwornej przemiany ludzi w forcie? Krwawe oko... jeśli Mathghamhain miał rację...

Wódz położył sobie naszyjnik na kolanie, po czym sięgnął do zdobiącego szyję toroku. Wyglądało na to, że zamierza zdjąć złotą obręcz.

– Panie? – odezwałem się, a gdy nie odpowiedział, poderwałem się z miejsca i szarpnąłem go za ramię. Drgnął i popatrzył na mnie, jakbym obudził go z głębokiego snu.

– Corraidhín? Co...?

– Przepraszam, panie. Wydawało mi się, że coś słyszałem. – skłamałem.  
– W lesie.

Bradán przyjrzał mi się z uwagą. Nasłuchiwał przez parę chwil, po czym pokręcił głową.

– Jesteś zmęczony, chłopcze. To był długi dzień, prześpij się. Nie jestem senny, popilnuję sam.

– Dobrze, panie.

Ułożyłem się na posłaniu i obserwowałem mojego wodza spod zmrużonych powiek. Widziałem, jak obraca naszyjnik w dłoni i z wahaniem wkłada go do sakiewki. Zacząłem liczyć moje oddechy. Przy dwudziestym oczy Bradána przyjęły ten sam nieobecny wyraz co wcześniej. Przy trzydziestym jego dłoń powędrowała do sakiewki i już tam została. Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, powiedziałbym, że nawet jego twarz jakoś się zmieniła...

Chłopak uratuje ci życie, przepowiedział druid wtedy, w wiosce. Czy wiedział, że ich podsłuchuję? Jakim cudem? A jednak wyglądało na to, że te akurat słowa miałem usłyszeć. I miałem uratować życie mojego wodza –

życie zagrożone nie przez miecz czy pazury, ale przez szlachetny kamień z dalekich krain.

Nie spałem tej nocy. Zaczekałem, aż Caratacos zmieni Bradána na warcie, a później sam go zmieniłem, obiecując, że za jakiś czas zbudzę Elisedda.

Nie zbudziłem nikogo. Gdy tylko upewniłem się, że Caratacos śpi, podkradłem się do wodza. Zmęczony wieloma godzinami czuwania i odniesionymi ranami spał jak zabity. Ani drgnął, gdy zabierałem sakiewkę z naszyjnikiem.

Przed odejściem popatrzyłem na nich ostatni raz – na waleczną Boudikkę, na piękną Luigsech, na Caratacos, Elisedda, Arthfaela, wreszcie na mojego dzielnego i mądrego wodza, Bradána, syna Seisylla. Człowieka, którego od lat kochałem całym sercem.

Wojownicy tacy jak Morcant czy Óengus mogli przysłużyć się swojemu ludowi, umierając na polu chwały. Ja nigdy nie byłem wielkim wojownikiem. Musiałem przysłużyć się na swój własny sposób.

Odszedłem, wybierając życie wyrzutka i zdrajcy. Odszedłem w stronę mokradeł, gdzie zamierzałem napełnić sakiewkę z naszyjnikiem kamieniami i posłać ją na zawsze na dno bagniska.

\*\*\*

*Dwa miesiące później.*

Ze snu budzę się czujny, skupiony. Pod sklepieniem z konarów i liści panuje chłodny, szary półmrok. Natura milczy, pozornie obojętna na zmagania zwierzyny i łowcy: nie ma wiatru, chmury przetaczają się gdzieś tam w górze w nabożnej ciszy. Las przyczaił się i obserwuje.

Słyszę ich. Nadchodzą.

Podrywam się z ziemi. Błyskawicznie rozglądam się wokół, ale na razie nikogo nie widać. Tym lepiej – dopadam rozłożystego buku i prędko

wdrapuję się na górę. Jestem już dość wysoko, kiedy dostrzegam między drzewami ich sylwetki. Mężczyzn jest trzech, mają ciemne opończe, w dłoniach obnażone miecze, boki chronią obciągniętymi skórą tarczami z wizerunkiem wrony. Przywieram do konaru i czekam.

Zbliżają się.

Są już niedaleko, gdy dociera do mnie ich zapach: czuję intensywną woń ognisk, słodkavo-kwaśny cydr, koński pot, nawet nutę dziurawca mającego chronić przed złem. Odkąd pamiętam, zapachy te kojarzyły mi się z domem, bezpieczeństwem, ludźmi, których kochałem.

Kiedy mężczyźni przechodzą pod bukiem, zeskakuję na tego idącego z tyłu. Wojownik pada pod moim ciężarem i zanim zrozumię, co właściwie się stało, chwytam go za głowę. Skręceniu karku towarzyszy chrupnięcie, złowieszczo głośnie w leśnej ciszy. Podnoszę się. Dwaj pozostali już mnie widzą, ten bliżej wybałusza oczy i wyraźnie się waha: zasłaniać się tarczą czy atakować. Zbyt długo się namyśla – podskakuję bliżej, lewą ręką unieruchamiam dłoń z mieczem, prawą szarpię za tarczę. Słaby jest, znacznie słabszy ode mnie. Krawędź tarczy trafia go w twarz, miażdży wargi, z miękkim chrzęstem wybija zęby. Mężczyzna pada na jedno kolano, krztusi się obficie napływającą krwią, pluje raz po raz, jakby nałykał się piasku. Zostawiam go na razie, bo trzeci jest szybszy w podejmowaniu decyzji: zamiast uciekać, rzuca się na mnie z mieczem. Uchylam się przed ciosem i uderzam go od niechcienia w tarczę. Nogi wojownika tańczą na ściółce, mężczyzna z trudem utrzymuje równowagę. To bez znaczenia, bowiem przemykam obok niego, ostrze ze świstem przecina powietrze, a ja jestem już bardzo blisko, wykręcam mu dłoń trzymającą broń i rzucam wojownika na kolana. Wypuszcza miecz, ryczy z bólu, ściskana przeze mnie kość lada moment pęknie z trzaskiem. Stoję za nim i delektuję się strachem, który paruje z niego niczym garść śniegu ciśnięta w ogień.

Pochylam się i gryzę go w szyję. Tracę panowanie nad sobą, gdy czuję w ustach krew. Piję szybko, łapczywie, zatracam się kompletnie,

zobojętniały na wszystko dookoła. Ciepło spływa mi w dół gardła i rozchodzi się po lodowatym ciele; przypomina o tych dniach, gdy dotyk słońca na skórze jeszcze nie budził we mnie wstrętu. Przez chwilę jest mi dobrze, prawie jak w tym powracającym śnie.

Kiedy kończę, trzeciego mężczyzny, tego z wybitymi zębami, już nie ma. Uciekł.

Puszczam moją ofiarę, a ta zwała się na ziemię. Przez moment przyglądam się tej twarzy, długim jasnym wąsom i wysokiemu czołu, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że kiedyś już widziałem tego człowieka. Widziałem wiele razy.

W pamięci, niby majaki z innego życia, błyskają mi obrazy, a na każdym pojawia się jego twarz. Widzę go śmiejącego się, pijącego wino, całującego się z kobietą, śpiewającego do utraty tchu...

Nagle przypominam sobie imię.

– Arthfael.

Dawno się nie odzywałem i mój głos przypomina skrzek ptaka, któremu ktoś ukręca łeb.

Wstaję i ruszam w drogę, gdy dociera do mnie pierwszy, delikatny jeszcze powiew. Instykt, którego dopiero uczę się słuchać, podpowiada, że nie minie pół dnia, a wiatr rozgoni nieco chmury, a wtedy na niebie pojawi się znienawidzone słońce. Robi mi się niedobrze na samą myśl o jego parzącej pieszczocie.

Bieg strumienia prowadzi mnie do ruin trackiej wioski. Z wypalanej ziemi sterczą zwęglone bale, mocniejszy podmuch wciąż potrafi podnieść z ziemi płatki popiołu. Pogorzelnisko usiane jest kośćmi mężczyzn, kobietom i dzieciom pozwolono odejść. Wiem, bo natknąłem się na niektóre z nich, gdy błądziły w głuszy, oszalałe ze strachu i rozpacz.

Głupcy. Mieli rację, twierdząc, że my, Celtowie, jesteśmy ludźmi honoru i nie łamiemy raz danego słowa. Tyle że gdy opuszczaliśmy ich wioskę, Boudicca była nieprzytomna i nie składała żadnych przyrzeczeń.

Po drodze obmywam się w strumieniu. Nie czuję chłodu wody, jest też dla mnie bez smaku i nie gasi pragnienia. Zdarza mi się ją jeszcze czasem pić, chyba głównie z przyzwyczajenia. Może po to, żeby przekonać się, czy coś się zmieniło.

Na moment zerkam w wodę i wzdrygam się, widząc swoje odbicie. Na głowie zostały mi pojedyncze kosmyki włosów, brwi wypadły zupełnie, podobnie jak rzęsy. Żrenice zbladły i teraz ledwo odcinają się na tle białek. Tors pokrywają pierwsze blizny, maleńkie linie, strzałki i okręgi, symbole obcego mi pisma, które jakiś wewnętrzny głos każe mi wycinać na własnym ciele. Od jakiegoś czasu nie czuję już bólu, a głos staje się głośniejszy i bardziej nieznośny, więc blizn codziennie przybywa.

Spomiędzy chmur na mgnienie oka przebija się skrawek błękitnego nieba, a mnie coś zaczyna się kotłować w brzuchu. Pragnę już pójść, skryć się w mroku. Mam nadzieję, że uda mi się zasnąć i że litościwa bogini Macha sprowadzi na mnie sen, ten sen, w którym będę mógł jeszcze raz, choćby na krótką chwilę, ujrzeć Bradána, syna Seisylla.

Naszyjnik z czerwonym kamieniem podryguje na mojej piersi, gdy wychodzę ze strumienia i rozpoczynam wędrówkę w górę zbocza, ku mojej kryjówce w starym, opuszczonym forcie na wzgórzu.

*Wrocław, wrzesień-październik 2013*



## W labiryncie

*Triera cięła gładką tafłę morza na podobieństwo nożyc. Ciągący się za nią kilwater przypominał mlecznobiałą rysę na powierzchni błękitnego sodalitu. Dźwięk fletu, wzmocniony glifami wyrysowanymi na instrumencie przez kapłanów Apollina, nadawał rytm, nieustannie słyszalny mimo hałasu. Skrzypiały wiosła w dulkach, pióra z pluskiem wędrowały pod wodę, żeglarze stękali z wysiłku.*

*Z jednej z klatek ustawionych w cieniu masztu dobiegł złowrogi zgrzyt. Długie, zakrzywione szpony przejechały po żelaznych szczebelkach, skrzydło na moment rozłożyło się na całą długość, otarło lotkami o pręty. Harpia, jedna z czterech znajdujących się zwyczajowo na wyposażeniu wojennego okrętu, przekręciła się na bok, szczękając łańcuchem. Spośród gęstwiny piór pokazała się pobrużdżona naga skóra brzucha i biustu, w zagłębieniu między piersiami lśniły kropelki potu. Poczwarą rozchyliła ślepią, na krótki moment wyszczerzyła kły, po czym oparła łeb na skrzydle i z powrotem pogrążyła się we śnie.*

*Nikt z podróżujących na górnym pokładzie nie zwrócił na nią uwagi. Od początku rejsu widok latających stworów zdążył im nieco spowszednieć, poza tym głowy mieli zaprzątnięte ponurymi myślami i własnym zmęczeniem. Z nieba barwy akwamarynu lał się żar. Biała tarcza słońca zawisała wysoko w górze, odległa, nienawistna, bezlitosna. Ostrygojady i mewy, dzień wcześniej krążące uparcie wokół okrętu, dały za wygraną i zniknęły jeszcze przed świtem. Teraz nieruchome powietrze pachniało solą, smołą oraz lepkiem, męczącym gorącem.*

*Młody mężczyzna o długich włosach i delikatnych, dziewczęcych rysach siedział na górnym pokładzie, pod lnianą tkaniną rozpiętą między masztem a drewnianym parkanem. Osłona, pokryta cienkimi mosiężnymi płytami,*

*miała chronić hoplitów przed strzałami, pociskami miotanymi przez skorpiony oraz zabójczymi strugami greckiego ognia. Poprzedniego dnia młodzieniec spędził wiele godzin oparty o burtę łodzi, wpatrując się w bezmiar morza, w spienioną wstęgę kilwateru. Teraz miał już dość wody, dość słońca, dość przeraźliwie monotonnego rejsu. Raz po raz zamykał powieki, błagając o sen, ale ten nie chciał przyjść.*

*– Wino, panie.*

*Młody mężczyzna otworzył oczy i popatrzył na kucającego obok żołnierza. Demetriusz, dowódca drużyny dziesięciu hoplitów stanowiących do spółki z łucznikami obstawę statku, wyciągał w jego stronę kielich. Przyglądał się przy tym młodzieńcowi uważnie, może nawet nieco bezczelnie. A może po prostu z zaciekawieniem? W końcu jak często nadarza się okazja, by spojrzeć w twarz arystokracji z własnej woli idącemu na śmierć?*

Odkładam długopis, z kartki robię kulkę i posyłam ją do kosza stojącego w kącie. Pocieram skroń i sięgam po szklankę z wodą – letnią, pozbawioną smaku.

Co za idiotyzm.

Biorę do ręki kolejną kartkę, po czym kreślę kilka słów, ale frustracja i poczucie robienia z siebie kompletnego idioty nagle przeważają. Dreń papier, ciskam go na podłogę, długopisem rzucam o ścianę. Rzuciłbym i szklanką, ale boję się szkła, niemożliwego do wyłuskania z gęstego włosia dywanu.

Przez chwilę krążę po pokoju. Przysiadam na kanapie, później znów na krześle. Podchodzę do okna i opieram czoło o chłodną szybę. Nie czuję ulgi. Do diabła, nawet już nie wiem, jakiej ulgi oczekuję...

Przychodzi mi na myśl, że chętnie bym się napił. Tak, tego właśnie mi trzeba. Dwie pięćdziesiątki letniego jacka danielsa, cuchnącego jak mocne perfumy. A później budweiser z czapą białej piany, podany w potniejącym kuflu z grubego szkła. Najlepiej nie jeden.

Patrzę na zegar. Do kolacji zostało jeszcze dużo czasu, który muszę czymś wypełnić, a w całym Acres panuje cisza. Wydaje się, jakbym ja jeden na całym Bożym świecie nie ucinął sobie poobiedniej drzemki.

Podnoszę z podłogi długopis, siadam przy biurku. Popołudnie jest ponure i deszczowe, w pokoju rozpanoszyła się smętna szarówka, więc zapalam lampkę. Z szuflady wyciągam kolejną kartkę i kładę przed sobą z pietyzmem, w którym jest coś i z masochistycznej przyjemności, i z nabożnej czci katolika obcującego z hostią.

Zaczynam pisać, klnąc pod nosem na doktora Travisa i jego psychologię analityczną.

– *Wino, panie.*

*Młodzieniec przyjął kielich, zamoczył usta w mocno rozcieńczonym trunku.*

– *Trierarcha pyta, czy zechcesz mu, panie, towarzyszyć w obiedzie – dodał Demetriusz, ocierając czoło. Symbiont, taki sam jak u innych hoplitów, przypominał tłustą, bladozieloną skolopendrę; sięgał od kości potylicznej, przez kark, aż do tętnicy szyjnej tuż nad obojczykiem żołnierza. Młodzieniec widywał je wielokrotnie i doskonale wiedział, jak wielką przewagę dawały hoplitom w walce, ale w pierwszym odruchu zawsze chciał strącić je na ziemię i czym prędzej rozdeptać.*

– *Czy to zaproszenie dotyczy nas wszystkich? – Oderwał spojrzenie od symbionta i brodą wskazał siedzących wokół towarzyszy: siedmioro dziewcząt i sześciu chłopców, którym pozostali żołnierze podawali właśnie wino w glinianych kubkach.*

– *Obawiam się, że nie – odparł Demetriusz, odwracając wzrok. Odebrał pusty kielich i wstał. – Powinniśmy dotrzeć do Heraklionu przed zmrokiem. O ile pogoda się nie zmieni.*

Banalne słowa, ale działają jak klucz do kufra pełnego wspomnień. Natychmiast stają mi przed oczyma obrazy z mojej własnej wycieczki na Krete: majestatyczna szesnastowieczna forteca strzegąca wejścia do portu

w Heraklionie, różowe kolumny w ruinach pałacu w Knossos, przydrożne stragany pełne słoików z czerwonym miodem tymiankowym. Przez jakiś czas dryfuję wraz z prądem minionych dni, pozwalam się nieść od jednego wspomnienia do drugiego. Trzymam się bezpiecznych obrazów i uczuć: pieśń słońca na skórze, smaku fig, widoku mężczyzn tańczących zeibekiko w świetle latarni.

Powrót do rzeczywistości jest niemal bolesny, przypomina wyrywanie zęba przy mocnym znieczuleniu, a powrót do pisania – badanie językiem powstałej dziury.

*– Byłem pewien, że już gdzieś widziałem twoją twarz – odezwał się jeden z młodych, gdy Demetriusz i jego hoplici rozdali im czerstwe placki i wrócili na dziób triery. Długowłose przestał przeżuwać i spojrzał na niego. – Widziałem cię, gdy wkraczałeś do Aten, ciągnąc na postronku byka z Maratonu, widziałem cię z żelazną maczugą Perifetesą. To naprawdę ty.*

*Jego słowa wyrwały innych z odrętwienia. Młodzieńcy poruszyli się niespokojnie, zachrzęściły kajdany na nadgarstkach i kostkach. Jedna z dziewcząt uniosła twarz, spod splecionych włosów wyjrzały oczy napuchnięte od płaczu. Przyglądała mu się długo, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi.*

*– Tyś jest Tezeusz – wykrztusiła. – Syn Egeusza, dziedzic ateńskiego tronu.*

\*\*\*

Doktor Travis ma hipnotyzująco niebieskie oczy i wąskie, blade usta. Świat ogląda przez szkła okularów, a jego twarz niemal zawsze ma wyraz uprzejmego zainteresowania. Przedwcześnie posiwiałe włosy zaczesuje do tyłu grzebieniem z drzewa brzoskwiniowego, noszonym w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Dziś wiem, że to człowiek, który wierzy w to, co robi, ale dwa tygodnie temu, gdy przyjechałem do Birchwood Acres i spotkałem go po raz

pierwszy, byłem przekonany, że to po prostu szarlatan i konował, który z radością zedrze ze mnie tysiąc dolarów dziennie.

– Czy wie pan, czemu tu jest? – zapytał mnie podczas owego pierwszego spotkania, gdy siedzieliśmy w jego gabinecie w wygodnych skórzanych fotelach. Za oknem widać było brzozy, dziesiątki brzoź szczerze obsypanych żółtymi liśćmi. Jesień tego roku kroczyła przez Stany bez pośpiechu, zamiatając ziemię swoją złotą suknią.

– Ponieważ pobiłem do nieprzytomności obcego człowieka.

Travis uśmiechnął się łagodnie, jakbym potwierdził jakieś jego przypuszczenia.

– Obawiam się, że większość ludzi, którzy mogą pochwalić się podobnym wyczynem, nie trafia do naszego ośrodka.

Wzruszyłem ramionami. Żałowałem trochę, że nie mam czym zająć dłoni: przydałby się papieros, filiżanka kawy, cokolwiek.

– Moja firma dała mi wybór: terapia albo rozwiązanie umowy.

– Muszą tam pana cenić. Cóż to za firma, gdzie tak się dba o pracownika?

– Iraklion. Jestem dyrektorem do spraw marketingu.

Travis zmarszczył brwi.

– Brzmi znajomo...

– Nic dziwnego. Jesteśmy największym w Stanach biurem podróży zajmującym się wycieczkami w basen Morza Śródziemnego.

– Ach tak! – Doktor pokiwał głową. – Widziałem wasze reklamy w telewizji. Jak tę z Herkulesem prowadzącym byka na postrońku do greckiego Burger Kinga...

Zaczął nucić dżingiel ze spotu, po czym uśmiechnął się, jakby nieco zawstydzony własnym zachowaniem. Drażniła mnie ta jego prostolinijność i swoboda, fakt, że zachowywał się tak, jakby to nie była jego praca, a przyjacielska pogawędka.

– Herkules, gwoli ścisłości, to imię rzymskie. W Grecji funkcjonuje jako Herakles. A reklama tyczyła Grecji, więc...

– No tak – zreflektował się Travis, uśmiech zniknął mu z twarzy. – Lubi pan swoją pracę?

– Praca jak praca. Lubię pieniądze, które za nią idą.

– Czego pan w takim razie w niej nie lubi?

Westchnąłem ciężko, niemal teatralnie, zniechęcony popatrzyłem za okno. Chciałem, żeby wiedział, że nie płacę tysiąka dziennie za rozmowę o wadach i zaletach mojego miejsca pracy.

– Nie wiem. Niczego. Wszystkiego. Siedzenia za biurkiem. Telefonów, maili i ciągłych spotkań. Tego, jak wygląda mój gabinet. Tego, jak wygląda moja sekretarka. Codziennych korków przy skrzyżowaniu wschodniej Czterdziestej Trzeciej z Madison.

Travis kiwał głową i rysował coś na kartce papieru, jakieś kreski, równoległe i prostopadłe.

– Rozumiem – powiedział, gdy skończyłem. – Czy uważa się pan za osobę szczęśliwą?

– Mam dach nad głową, pełną lodówkę i telewizor z przynajmniej dziesięcioma różnymi kanałami porno. Siedemdziesiąt pięć procent ludzi na ziemi zamieniłoby się ze mną bez chwili namysłu.

– Nie pytałem o te siedemdziesiąt pięć procent.

– Nie wiem, po co w ogóle pan pytał, skoro już pan zna odpowiedź.

Travis przyjrzał mi się bez słowa. Zdjął okulary i zaczął przecierać szkła bawełnianą szmatką.

– Rozumiem – powiedział. – No cóż, późno już, a pan na pewno jest zmęczony po podróży. Niedługo kolacja. Proszę się nie spóźnić, bo jedzenie wystygnie. Ach! – Zatrzymał mnie gestem, gdy podniosłem się z fotela. –

Jeszcze ostatnie pytanie, zanim pana puszczę: czy ma pan jakieś ciągoty artystyczne?

Popatrzyłem na niego krzywo.

– Słucham?

– Gra pan na jakimś instrumencie? Rysuje? Pisze wiersze?

Pokręciłem głową, starając się nie pokazać, co myślę o ludziach mających, jak to on określił, ciągoty artystyczne.

– A może dawniej? – Doktor nie dawał za wygraną. – Może uczęszczał pan na zajęcia kółka teatralnego w szkole podstawowej? Albo hobbistycznie robił zdjęcia?

Coś mi mówiło, że doktor nie spocznie, póki nie uzyska odpowiedzi twierdzącej, więc wypaliłem, zgodnie zresztą z prawdą:

– Na studiach pisywałem opowiadania do gazetki.

– O, naprawdę? Jakiego rodzaju?

– Nie wiem. – Miałem dość tej rozmowy. Chciałem, żeby przepisał mi jakieś piekielne proszki, wyprał i wyprasował mózg, a następnie, po tygodniu lub dwóch i uszczupleniu mojego konta o kilka patoli, odesłał z powrotem w świat, uzdrowionego, takiego jak wcześniej. – Różne rzeczy pisałem. Podejrzewam, że naśladowałem to, co akurat zrobiło na mnie wrażenie. Graves. Ellison. Bester. Easton Ellis. Bukowski.

– Doskonale! – Uśmiechnął się. – Nie będę pana dłużej zatrzymywał. Do zobaczenia na kolacji.

\*\*\*

*Zawinęli do portu w Heraklionie, gdy słońce wisiało jeszcze na szerokość palca nad horyzontem. Już ponad dwie godziny wcześniej zrozumieli, że są blisko – harpie, wypuszczone na długich łańcuchach wysoko ponad okręt, nagle przerwały zabawę i z dzikim skrzykiem pofrunęły w dół, by pochować się w klatkach. Zwęszyły coś, co je przeraziło.*

*Wkrótce obdarzeni co lepszym wzrokiem mogli już dostrzec zarys lądu, masywne wieżycy twierdzy oraz – zachowanie harpii nagle stało się jasne – potężne sylwetki trzech kreteńskich mantikor zataczających koła ponad miastem.*

Kreteńczycy mrowili się na nabrzeżu: spaleni słońcem mężczyźni w chitonach, starcy siedzący pod daktylowcami, kobiety w kolorowych peplosach, zielonych, indygo i żółtych, z niemowlętami w chustach, trzymające starsze dzieci za ręce. Kramarze sprzedawali swoje dobra, a potężnie zbudowani, nadzy, czarni jak smoła nubijscy niewolnicy przechadzali się wśród zebranych i oferowali wino z niesionych na plecach amfor.

– Padlinożercy – powiedział z odrazą któryś z młodzieńców na okręcie i splunął przez burtę. – Zdechniemy w przeklętych podziemiach, a oni świętują.

Chwilę później zeszli na brzeg. Otoczeni przez hoplitów i skuci, poruszali się, szurając łańcuchami po ziemi. Kreteńczycy przyglądali się im w milczeniu, po trosze z zaciekawieniem, po trosze ze złośliwą satysfakcją. W pewnym momencie gdzieś rozdarło się dziecko, głośno i piskliwie, ktoś inny wykrzychał kilka niepochlebnych słów pod adresem Ateńczyków. Tłuszcza jakby tylko na to czekała.

Posypały się wyzwiska i obelgi, młodym wygrażały zaciśnięte pięści. Więźniowie uniknęli plwocin i zgniłych owoców chyba tylko ze względu na szpaler hoplitów Demetriusza i pilnujących porządku żołnierzy kreteńskich.

Droga przez nabrzeże wydawała się trwać całe wieki.

W końcu stanęli przed platformą przykrytą udrapowaną złotą tkaniną i przystrojoną wieńcami. Na podwyższeniu siedział dojrzały mężczyzna; o krok za nim i nieco z boku stała śliczna dziewczyna w kremowej szacie. Mieli takie same oczy – dumne, czujne i jasne, niby odbijający światło bursztyń – ale z wyglądu tylko to jedno ich łączyło. U niego te oczy tkwiły w nalanej, pozbawionej wyrazu twarzy, zrośniętej z tłustym cielskiem wieloma podbródkami. U niej, smukłej i pełnej wdzięku, przypominały drogie kamienie wprawione w alabaster.

Trierarcha oraz Demetriusz wystąpili przed grupę Ateńczyków i nieznacznie pochylili głowy. Tłum ucichł.



– Bądź pozdrowiony, Minosie, królu Kreta – odezwał się dowódca okrętu. – Bądź pozdrowiony ty, twoja wyspa oraz ludzie, którzy na niej żyją. Oto nadszedł kolejny rok. Minęło dwanaście miesięcy od naszej ostatniej wizyty w twym porcie. Kolejny raz twój lud upomina się o daninę z ateńskiej krwi. I przybyliśmy, żeby ją ofiarować. I udowodnić, że Ateny zawsze spłacają swój dług.

Mężczyzna na tronie demonstracyjnie ziewnął, a trierarcha poczerwieniał, jakby go spoliczkowano.

– Oto czternaścioro, jak co roku – kontynuował głośniej, z trudem panując nad głosem. – Postąpisz z nimi wedle swego uznania.

Minos kiwnął palcem na służącego i w jego dłoni zaraz pojawił się puchar z winem. Władca Kreta umoczył usta, westchnął z aktorską przesadą, po czym zmierzył przybyłych długim, pełnym politowania spojrzeniem.

– Spodziewałem się dorodnych młodzieńców i pięknych dziewcząt – rzekł głośno. – Ale widzę tutaj cherlawych chłopców i nieletnie dziewczki, przy których okulawiony muł jest wcieleniem gracji. Czyżby wielkie Ateny naprawdę upadły tak nisko?

Z kretańskich gardeł dobył się ryk nienawistnego tryumfu. Tezeusz dostrzegł, że trzech hoplitów przesunęło dłonie bliżej rękojeści mieczy. Demetriusz tylko zacisnął pięść, zaraz ją zresztą rozluźnił. Od podwyższenia dzielił ich szereg ochitów, gwardii przybocznej Minosa. Ich nazwa pochodziła od ochii, szczególnie jadowitego gatunku żmii o specyficznym zrogowaceniu na czaszce. Dołączającemu do ochitów wojownikowi nawiercano w czaszce dziury, w których mocowano później charakterystyczny miedziany grzebień z grubych, masywnych rogów. Biegając od połowy czoła aż po kość potyliczną, robił piorunujące wrażenie. Tylko szaleniec mógł zdobyć się na takie poświęcenie; ktoś, dla kogo własne życie nie miało znaczenia, a jedynym celem było służyć.

Minos powiódł uważnym spojrzeniem po przybyszach, ale wszyscy Ateńczycy już się uspokoiли. Najwyraźniej nie spełnili jego oczekiwań, bo zmarkotniał. Dał znak, aby tłum się uciszył, po czym rzekł:

– Rozkuć ich.

Żołnierze uczynili, jak kazał. Więźniowie, z ulgą pozbywszy się kajdan, rozcierali obolałe nadgarstki i popatrywali na siebie z mieszanką zaciekawienia, nadziei oraz niedowierzania. Któryś począł głośno dziękować bogom, dopiero szturchnięcie w żebra przerwało natchnioną litanie. Tylko Tezeusz stał nieruchomo i patrzył przed siebie.

Wprost na dziewczynę stojącą obok Minosa. Ona zaś patrzyła na niego.

– Kto to? – zapytał szeptem Demetriusza, gdy ten zdejmował mu pęta.

Dowódca hoplitów nie musiał podążyć za wzrokiem młodzieńca, by wiedzieć, kogo ten ma na myśli.

– To Ariadna – wyjaśnił. – Córka Minosa.

Żołnierze odstąpili od więźniów i wszyscy raz jeszcze zwrócili się twarzami do kreteńskiego króla.

– Ateńczycy – rzekł Minos – jutro o zmierzchu zabierzemy was do Knossos, abyście w podziemiach tego pałacu walczyli o swoje życie i o honor waszej ojczyzny. Jeden dzień dzieli was od mrocznych korytarzy labiryntu i czającej się tam grozy. Wykorzystajcie go dobrze. Nie na próby ucieczki, bo wieście, że żaden Kreteńczyk wam nie pomoże, a sami nigdy nie opuścicie tej wyspy, lecz na to, by pogodzić się z wyrokami losu, oddać cześć bogom i przodkom, a przede wszystkim po raz ostatni poczuć, że żyjecie. Bawcie się. Dzisiejszej nocy nikt was nie skrzywdzi, nikt nie odmówi wam strawy ani napitku. Bawcie się, bowiem jutro wasz los posłuży za ostrzeżenie tym, którzy ostrzą sobie zęby na kreteńską ziemię i na krew naszego ludu.

Tłum znowu się rozkrzyczał, zakołysał, ludzie zaczęli się przepychać, co odważniejsi weszli między Ateńczyków. Tezeusz nagle zdał sobie sprawę, że ktoś stoi tuż za nim, cudzy oddech oparł mu się na karku.

– Jutro, dwie godziny po świcie, w „Cabrilli” – pośród gasnącego hałasu ledwo usłyszał szept nad uchem. Później poczuł, że coś ląduje w jego dłoni: ciepły metalowy krążek. Moneta?

– Panie! – Demetriusz zrobił krok w stronę podwyższenia, spróbował przekrzyczeć gwar. – Panie, czy mamy przekazać Atenom jakąś wiadomość od ciebie?

Minos zmarszczył czoło, a tłum, niby zgraja marionetek uwiązanych do jednego zestawu sznurków, znieruchomiał i ucichł. Nikt nie miał wątpliwości, na jaką wiadomość liczy hoplita. Od wojny między Atenami i Kretą minęła przeszło dekada. Niejeden litościwszy władca po takim czasie machnąłby ręką na kontrybucje wojenne.

Ale nie Minos.

– Płyńcie bezpiecznie – odparł król z paskudnym uśmiechem. – I do zobaczenia za rok.

Pośród hałasu, który zapanował, Tezeusz zdołał niepostrzeżenie zerknąć na otrzymany pieniążek. Była to srebrna drachma z wypukłym profilem Minosa z jednej, a wklęsłym wizerunkiem labiryntu z drugiej strony. Młodzieniec widział kreteńskie monety już wcześniej, w Atenach, i ta wcale ich nie przypominała.

Kiedy uniósł wzrok, spojrzenia jego i Ariadny spotkały się. Przysięgły, że dziewczyna uśmiechnęła się, zanim podążyła w ślad za ojcem schodzącym z podestu.

\*\*\*

Zawsze mnie zastanawiało, czy ludzie na co dzień obcujący z psychicznie chorymi są w stanie pozostać w pełni władz umysłowych. Czy szaleństwo jest zaraźliwe? A może u psychiatrów wytwarzają się jakieś szczególne, mentalne przeciwciała, które skutecznie chronią przed utratą piątej klepki?

Przypominam sobie, jak czwartego dnia pobytu w Acres, patrząc na niemal rytualny sposób, w jaki doktor Travis parzył herbatę, zacząłem

skłaniać się ku pierwszej możliwości.

– Proszę mi wybaczyć brak pośpiechu – powiedział w końcu, stawiając przede mną parujący kubek. – Trudno pozbyć się starych przyzwyczajeń. Nie uwierzy pan, jak uspokajająco potrafi wpłynąć na niektórych pacjentów widok lekarza zajmującego się czymś tak przyziemnym jak parzenie herbaty.

– Myślałem, że to nawyk z czasów, gdy płacili panu od godziny – odparłem.

Travis zachichotał i zaczął sypać do swojego kubka kolejne łyżeczki cukru. Przy każdym spotkaniu starał się pokazać, że nie tylko nie ma nic przeciwko moim zaczepkom, ale że wręcz sprawiają mu przyjemność.

– Zaaklimatyzował się pan już u nas? – zapytał.

– Ma pan na myśli, czy przywykłem do widoku Dicka Rommefelda pływającego na środku sali rekreacyjnej w rytm Bacha i skaczącego pajace do Boney M?

Dick Rommefeld miał pięćdziesiąt kilo nadwagi, oddech wiecznie cuchnący prażoną cebulą i paskudny zwyczaj przedstawiania imponującego katalogu swoich życiowych klęsk każdemu, z kim udało mu się nawiązać kontakt wzrokowy.

– Rozumiem, że idea DMT<sup>1</sup> do pana nie przemawia?

– W przypadku niektórych osób skłaniałbym się raczej ku staremu dobremu ECT<sup>2</sup>.

Travis roześmiał się, pokiwał głową. Wciąż nie mogłem rozgryźć tego człowieka. Z jednej strony wydawał się podchodzić z dystansem do swojej profesji, z drugiej robił wszystko, by zasłużyć na reputację idealisty i pracoholika.

No i parzył doskonałą herbatę.

– Jest pan bardzo inteligentnym młodym człowiekiem – powiedział po dłuższym milczeniu. – Ma pan szybki refleks i szeroką wiedzę. To wielki atut, ale w naszym przypadku też nie mały problem.

Zaskoczył mnie.

– Problem?

– Duża część terapii działa dlatego, że pacjenci stosunkowo bezrefleksyjnie poddają się lekarzowi. Nie widzą, dokąd prowadzą pytania, póki ich tam nie zaprowadzimy. Nie doszukują się drugiego dna, nie czytają między wierszami. Dzięki temu udaje się czasem uśpić ich mechanizmy obronne albo dotrzeć do celu, zanim te się uruchomią.

– Słowem: żałuje pan, że nie jestem debilem.

– Debil to precyzyjny termin medyczny i cieszę się, że pana nie dotyczy. Prawda jednak jest taka, że pan się broni. Ma pan buntowniczą naturę urodzonego kontestatora i jest gotowy nie tylko zakwestionować każdą prawdę czy uniwersalne prawo, ale jeszcze ma dość rozumu, by sięgnąć po niepokojąco sensowne argumenty. Nasze metody są cokolwiek bezradne wobec pańskiego, proszę mnie źle nie zrozumieć, błyskotliwie szyderczego umysłu.

– Chyba pan przesadza.

– Proszę podać pierwsze skojarzenie ze słowem „matka” – zażądał.

– W pana ustach? Kompleks Edypa.

– Widzi pan? – Travis pokręcił głową z niedowierzaniem. – Nie mamy dostępu do tego, co naprawdę siedzi w pana głowie. Pan na wszystko patrzy przez pryzmat tego, że jest tutaj, w Acres, w moim gabinecie, na terapii. Pan z nami nie współpracuje i to nawet nie z powodu złej woli; po prostu ma pan bardzo konkretne wyobrażenie o naszej pracy oraz metodach i jest przekonany, że terapia mu nie pomoże. To, zdaje się, silniejsze od pana. A my, jak już mówiłem, jesteśmy bezradni.

Zaskoczyła mnie jego szczerość. Siedziałem przez chwilę w bezruchu, wreszcie ocknąłem się, uniosłem kubek do ust. Herbata przestygła, ale wciąż smakowała wybornie.

– Chce mi pan powiedzieć, że na tym koniec? Poddajecie się?

– E tam, poddajemy. – Doktor Travis machnął ręką, jakby odganiał muchę. – Nic podobnego. Ale chciałbym pana zachęcić do wypróbowania innego podejścia.

– Wprost umieram z ciekawości.

– Wspominał pan o tym, że dawniej pisywał prozę. Niech pan do tego wróci. Tu, w Acres, jeszcze dzisiaj.

Parsknąłem śmiechem, a on odpowiedział tym samym. Jednak sposób, w jaki na mnie patrzył, się nie zmienił.

– Co takiego miałbym niby pisać? – wypaliłem.

– Cokolwiek. Pamiętnik. Tekst naukowy. Glosy encyklopedyczne. Erotykę w konwencji science fiction.

Trudno w to uwierzyć, ale Travis był śmiertelnie poważny.

– I czemu to ma niby służyć? Co tam pan zamierza znaleźć?

– Ja nie znajdę tam absolutnie nic – przyznał z tą swoją rozbijającą szczerością. – Ale może się okazać, że razem trafimy na coś ciekawego. Z medycznego punktu widzenia, rzecz jasna.

Dopiłem herbatę, odstawiłem kubek na blat. Zabębniłem palcami po poręczach fotela i zapatrzyłem się w widoczne za oknem złociste liście osypujące się z brzoź. Travis czekał cierpliwie z miną człowieka, który w ramach hobby obserwuje przemieszczanie się lodowców.

– Nawet nie wiedziałbym, od czego zacząć – powiedziałem.

– Punktem wyjścia może być na przykład jakaś prosta, dobrze znana opowieść. Bajka, baśń, nawet anegdota. Chodzi o to, żeby zaczął pan pisać i pozwolił podświadomości przejąć kontrolę. Zobaczymy, dokąd to pana zaprowadzi.

– Niezłą sobie pan funduje rozrywkę za ten tysiąc zielonych dziennie.

Uśmiechnął się, z miną niewiniątka podsunął mi porcelanowy talerzyk z maślanymi herbatnikami.

– Proszę pamiętać, że w cenę wliczony jest jeszcze dach nad głową i trzy ciepłe posiłki. No i możliwość płasania do Bacha.

– To jakiś absurd...

– Absurdalne jest to – zauważył Travis, łamiąc ciastko na pół – że traci pan czas, mój i swój, krygując się na twardo stąpającego po ziemi sceptyka, podczas gdy obaj doskonale wiemy, że pan to zrobi.

Co powiedziawszy, mrugnął do mnie z szelmowskim uśmiechem. Zamurowało mnie. Żaden psychiatra nie rozmawiałby z pacjentem w taki sposób, byłem co do tego święcie przekonany. Z całą pewnością zabraniała tego jakaś międzynarodowa konwencja, lekarska przysięga, a w najgorszym razie zwykła ludzka przyzwoitość.

– Niech pana diabli wezmą – powiedziałem i wyszedłem, trzaskając drzwiami.

Obaj wiedzieliśmy, że ma rację.

\*\*\*

*Tezeusz przekroczył próg i stanął na gumowej kratce. Z dyszy lunął strumień wody, która parzyła skórę nawet przez grubą kombinezon. Trwało to kilkanaście sekund, później prysznic ustał, a głos z trzeszczącego głośnika kazał mu przejść pod kolejną dyszę. Zrobił, co mu kazano. Z otworu buchnął jakiś skroplony środek, który zostawił na szybkach maski żółtawe smugi. Dopiero wtedy pozwolono mu wejść do środka.*

*Główna sala „Cabrilli” była pełna. Pod sufitem obracały się leniwie wiatraki, w rogu huczał stary klimatyzator. Ludzie siedzieli przy stołach, na kanapach obitych wytartym, poprzecieranym skajem i ciężkich żeliwnych hokerach z logotypami dawno nieistniejących gorzelni. Rozmawiali, popijali kolorowe trunki ze słoików i plastikowych kubków, kilka osób siedziało nad obtłuczonym półmiskiem i rozbierało krewetki z pomarańczowej chityny. W tle leciało jakieś jazzowe nagranie, głośnik charczał konwulsyjnie przy każdym wejściu sekcji dętej.*

*Młodzieniec zdjął maskę przeciwgazową, rozpiął kombinezon. Podeszedł do kontuaru.*

– Co dla ciebie, skarbie? – Barmanka błysnęła srebrnymi implantami kilku dolnych zębów. Szyję i policzek szpeciła jej szeroka blizna, od noża albo maczety.

– Mam się tu z kimś spotkać.

Położył na blacie monetę, którą otrzymał w porcie. Kobieta zerknęła tylko na wizerunek labiryntu i pospiesznie schowała drachmę do kieszeni. Postawiła na blacie jaskrawo różowy plastikowy kubek, wrzuciła do środka dwie tabletki. Zalała je do połowy wodą, a gdy zaczęły musować, uzupełniła naczynie trunkiem z ceramicznego gąsiorka.

– Tam, w głębi, drugie drzwi z lewej.

– Dziękuję.

Pierwszy łyk upił po drodze, drugi – stając przed wskazanymi drzwiami. Cytrynowe tabletki musujące nie zabiły niestety ani zapachu, ani smaku podłego bimbru. Postanowił jednak nie wybrzydzać.

Zapukał. Drzwi zaraz się otworzyły, przez szczelinę wyjrzała twarz potężnego draba z wygolonym łbem. Czaszkę mężczyzny zdobił tatuaż przedstawiający posplatane węże, szyję natomiast skórzana obroża nabijana ćwiekami. Ciemne oczy przesunęły się po Tezeuszu, najpewniej w poszukiwaniu broni. Kontrola musiała wypaść pomyślnie, bo chwilę później drągał pozwolił mu wejść do środka.

Wewnątrz, na zapadniętej, rozklekotanej kanapie, siedziała Ariadna, córka Minosa. Poznał ją natychmiast – po oczach, wielkich i lśniących jak krople miodu na słońcu; po jasnej, gładkiej skórze bez tak częstych wśród Kreteńczyków cyst, ropni i owrzodzeń popromiennych; po burzy ciemnych loków, w których każdy mężczyzna chętnie ukryłby twarz.

Dryblas odsunął go od drzwi i zamknął je na klucz. Szczęk zamka podziałał na młodzieńca trzeźwiąco i dotarła do niego reszta bodźców: w jednej chwili dostrzegł starą tapetę, wyblakłą i odłazącą od ścian, usłyszał charakterystyczny szmer powietrza przedzierającego się przez



brudne filtry napowietrzaczy, poczuł ostry, drażniący zapach płynu odkażającego Bümermark.

– Usiądź, proszę – powiedziała, wskazując fotel obity popękaną sztuczną skórą. – Nie mam złych zamiarów. W każdym razie nie wobec ciebie.

Zapadł się w siedzeniu. Dziewczyna miała na sobie białe materiałowe spodnie i czarny bawełniany top, który odsłaniał smukłe ramiona i kusząco opinał się na krągłościach piersi. Jej kombinezon leżał na oparciu kanapy. Był suchy, co oznaczało, że siedziała w „Cabrilli” już od jakiegoś czasu.

– Jesteś bardzo milczący – zauważyła z uśmiechem. – Niezupełnie tego oczekiwałam po słynnym Tezeuszu.

– Po prostu jestem zaskoczony. Idąc tu, spodziewałem się wszystkiego, ale nie spotkania w cztery oczy z piękną Ariadną, córką Minosa.

– W sześć oczu – odparła, zerkając na ochroniarza stojącego przy drzwiach. Jeśli zwróciła uwagę na komplement, nie dała tego po sobie poznać.

Tezeusz upił nieco trunku, dziewczyna również sięgnęła po stojący przed nią kubek. Milczeli przez jakiś czas, badając się nawzajem.

– Wiesz, kim jestem – podjął wreszcie młodzieniec. – Czy twój ojciec też jest tego świadomy?

– O ile mi wiadomo: nie. W innym razie byłbyś już martwy.

Tabletki rozpuściły się zupełnie i przez podbarwiony sztuczną cytryną destylat zaczął przebijać stęchły zapach długo stojącej wody.

– Skoro spotkałaś się ze mną, zamiast wydać ojcu, podejrzewam, że masz co do mnie inne plany.

– Mój ojciec jest starym, zaślepionym głupcem – oznajmiła spokojnie. – Patrzy w przeszłość, a nie w przyszłość. I zgubi Krete, jeśli nikt go nie powstrzyma. Och, nie patrz tak na mnie, Tezeuszu, synu Egeusza. Nie obrażaj mojej inteligencji. Wy macie swoich szpiegów u nas, my u was. I choć mój ojciec może bagatelizować pewne sprawy, ja nie popełnię tego

błądu. Wiem, że wciąż wysyłacie nam zakładników w ramach kontrybucji wojennych, sam w końcu trafiłeś do nas w tej roli, ale to tylko pozory, które mają nas uspić. Wiem o stoczni i reaktorze w Salaminie, gdzie potajemnie budujecie okręty z wyrzutniami rakiet i miotaczami ognia. Wiem o obozie w Thivie, gdzie waszych żołnierzy szkolą najemnicy zza oceanu. Wiem też o prototypach płaszczy antyradiacyjnych, pod którymi udało wam się zasadzić pierwsze rośliny.

– Macie sprawnych szpiegów – powiedział Tezeusz, z trudem ukrywając rozdrażnienie. – Znacznie lepszych niż my.

– Mamy też przywódcę, który woli łykać prochy i obmacywać dwunastolatki, niż dbać o swoją wyspę.

Ostry ton jej głosu sprawił, że Tezeusz poczuł się pewniej; spróbował przejąć inicjatywę.

– Naprawdę jesteś taką patriotką? Bo mnie pachnie to osobistą wendettą.

– Ja też kiedyś miałam dwanaście lat, synu Egeusza.

Chciał się napić, żeby jakoś ukryć zmieszanie, ale kubek miał pusty.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – zapytał. – Po co to spotkanie?

– Wiesz, co cię czeka? Trafisz do labiryntu. To specjalny system tuneli, który mój ojciec kazał zaprojektować pod swoją posiadłość w Knossos. A w labiryncie czeka mój brat.

– Brat?

– Daj spokój – prychnęła. – Możecie mieć fatalnych szpiegów, ale jakieś plotki do ciebie musiały dotrzeć. Bękart mojej matki, Pazyfae. Minotaur, pół-człowiek, pół-byk.

Tezeusz pochylił się w fotelu.

– A więc to prawda? On naprawdę istnieje?

Uśmiechnęła się smutno, rozparła na kanapie.

– To po prostu potwornie brzydki człowiek. Zmieniony przez promieniowanie i fizycznie, i psychicznie. Nie ma w nim nic z byka. Ale

reszta się zgadza, jest ohydny, zabójczo niebezpieczny i łaknie tylko dwóch rzeczy: cudzego strachu oraz krwi. Są dla niego jak powietrze i woda. Nie może bez nich żyć.

Zrobiła pauzę, skinęła na dryblasę. Ten wduślił przycisk komunikatora przy drzwiach i rzucił parę słów do mikrofonu. Głośnik zacharczał w odpowiedzi, a chwilę później do pokoju zastukał ktoś z obsługi z tacą ze świeżymi napojami i miską pieczonych plastrów ziemniaczanego syntetyku.

– Mój ojciec – kontynuowała Ariadna – ma w labiryncie zainstalowany cały szereg kamer i mikrofonów. Każdy krok i każde słowo ateńskich zakładników są rejestrowane. Co roku zjeżdżają do nas ludzie z Aleksandrii, Bengazi, Cypru czy Izmiru, żeby za olbrzymie pieniądze napawać się krwawym widowiskiem. Żeby oglądać, jak mój brat masakruje twoich rodaków. I robić zakłady.

– Jakie zakłady?

– Obstawiają, jak długo przeżyją poszczególni zakładnicy.

Tezeusz zmusił się, żeby rozewrzeć zaciśnięte pięści i oprzeć dłonie na poręczach fotela.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Trafisz do labiryntu. To pewne. Ale chcę, żebyś po wejściu do niego zabił Minotaura. Mój ojciec, żeby nadać całemu przedstawieniu pikanterii, zawsze powtarza, że jeśli któryś z więźniów zabije mojego brata i o własnych siłach opuści labirynt, odzyska wolność.

– Kochający tatuś, nie ma co.

– Minotaur nie jest jego synem – przypomniała Ariadna. – To bękart mojej matki.

Tezeusz sięgnął po trunek, wypił trochę, zamyślił się.

– Nie wiem, co o mnie słyszałaś. Pewnie te same brednie, co inni: o tym, jak zabiłem Perifetesę i Sinisę. Ale teraz to co innego. Będę bez broni, w labiryncie, którego układu nie znam. Kiepsko to widzę.

– Słyszałam te brednie – przyznała. – Ale pamiętaj, że mam dobrych szpiegów. Wiem, do czego jesteś zdolny. Nie stawiałabym na ciebie, gdybym nie była przekonana, że sobie poradzisz. Z małą pomocą oczywiście. Mój człowiek ukryje w labiryncie przeznaczony dla ciebie pakunek. Znajdziesz w nim trzy rzeczy.

Położyła na stole zawiniątko z ciemnego płótna, po czym rozwinęła materiał. Tezeusz ujrzał sześciostrzałowy rewolwer z długą lufą, licznik Geigera oraz zielony sztyft przypominający dużą szminkę.

– W tunelach utrzymuje się niewielki poziom promieniowania – powiedziała Ariadna, dotykając licznika. – Rośnie on stopniowo, w miarę zbliżania się do centrum labiryntu, gdzie mój brat ma swoje leże. Dzięki temu powinieneś go znaleźć, zanim on odnajdzie ciebie.

Tezeusz zważył w dłoni rewolwer, otworzył bębenek i obejrzał kule w komorach, spróbował naciągnąć kurek.

– A po co to? – zapytał, biorąc do ręki zielony sztyft.

– To marker fosforowy. Możesz nim zaznaczyć na ścianach znaki, które będą świecić przez około sześć godzin. To pozwoli ci wrócić do wyjścia po zabiciu mojego brata.

– Doskonały pomysł. Już myślałem, że będę musiał przemycić kłębek nici.

Odpowiedziała uśmiechem, a Tezeusz nagle pomyślał, że za chwilę ich rozmowa dobiegnie końca, a on będzie musiał opuścić „Cabrillę”. Uzmysłowił sobie, że wcale mu się nie spieszy.

– Pozostaje jeszcze jedna kwestia – powiedział. – Co tak właściwie chcesz w ten sposób osiągnąć?

Ariadna popatrzyła w bok, przeczesała dłonią włosy. Tezeuszowi przeszło przez myśl, że chętnie przekonałby się, jakie są w dotyku, podobnie jak gładka skóra jej szyi i barku...

Za dużo alkoholu, stwierdził cierpko.

– Gdybym mogła, zabiłabym go – odpowiedziała cicho. – Zabiłabym mojego ojca. Ale nie mogę. Za dobrze go strzegą, poza tym... Zresztą nieważne. Chcę, żebyś zabił mojego brata. Może to nic nie zmieni. A może wstrząśnie moim ojcem. Może otworzy mu oczy, skłoni do rezygnacji z kontrybucji... Może wytrąci Atenom pretekst do ataku, gdy już będziecie gotowi do inwazji? Nie wiem... Wiem tylko, że sama nie mogę nic. Pozostaje natomiast, że pozwolę sobie powtórzyć twoje słowa, jeszcze jedna kwestia.

– Jaka?

– Mój ojciec będzie wiedział, że ktoś ci pomógł. Nie minie wiele czasu, nim dowie się, że to ja.

Popatrzyła na niego i Tezeusz zrozumiał, że alkohol nie ma tu nic do rzeczy, że on tonie, zaraz wpadnie w te jej bursztynowe oczy jak we wzburzone morze, i że już się z niego nie wydostanie.

Bogowie, zaraz się zakocham, pomyślał.

– Chciałabym, żebyś odpływając, zabrał mnie ze sobą do Aten – powiedziała.

\*\*\*

Doktor Travis milczy, przekłada kartki, śledzi kolejne wiersze tekstu swoimi oczyma urodzonego mesmerysty i raz na jakiś czas sięga po kubek z herbatą. Siedzę w fotelu i zerkam na niego, próbując odgadnąć, o czym myśli. Wbrew samemu sobie nie mogę się zmusić, żeby podejść do tego z dystansem, olać, przekonać podświadomość, że to tylko idiotyczna zabawa pozbawiona sensu i znaczenia. Jakkolwiek absurdalne by to nie było, czuję się znowu jak w jedenastej klasie, kiedy panna Withers oddawała nam ocenione wypracowania.

Travis wreszcie dociera do końca, starannie układa arkusze w kolejności i odsuwa je na środek biurka. Denerwuje mnie opieszałość jego gestów; irytuje to, że zwleka ze spojrzeniem mi w oczy.

– Szkoda, że rzucił pan pisanie – mówi. – Podobnych talentów nie powinno się marnować.

Prycham niby rozbawiony, ale to tylko byle jaka próba ukrycia przed nim i przede mną samym, że ten komplement dużo dla mnie znaczy. Podejrzanie dużo. Tak samo jak cała ta grafomańska bzdura.

– Zaraz mi pan powie, że pobiłem jakiegoś faceta, bo relegowałem swój wyjątkowy dar ze świadomości i kazałem artystycznym impulsom siedzieć cicho.

Travis kryje uśmiech za dłonią drapiącą nos.

– To jest właśnie ten problem z panem – mówi. – Za dużo pan wie i za dużo pan myśli. Kombinuje pan bez przerwy, a właściwie to pańska podświadomość kombinuje. Podsuwa ochłapy, środki zastępcze, ersatze, a ukrywa przed panem to, co ważne. To samo jest w tym tekście: forma, przede wszystkim forma... pan się grzebie w tej formie, kluczy wśród konwencji z nadzieją, że treść pozostanie w cieniu, niewidzialna, łatwa do przeoczenia.

– Myślałem, że tak będzie ciekawiej. – Wzruszam ramionami.

– Oczywiście, podstawa to znaleźć takie argumenty, żeby przekonać nawet samego siebie. Ale fakt pozostaje faktem: pisze pan więcej niż przyzwoicie, a te zabawy z wsadzeniem klasycznej opowieści w popkulturowy kostium są zajmujące, ale odwracają uwagę od tego, co najważniejsze. A mianowicie dlaczego wybrał pan akurat ten mit.

– Sądzi pan, że to ma jakieś znaczenie?

– Oczywiście. Ze wszystkich archetypicznych tekstów, jakie wyprodukowała kultura zachodu, pan zdecydował się na ten właśnie. Gdybym wierzył, że to przypadek, moja praca nie miałaby sensu. Więc jak? Jakieś domysły, czemu akurat tę opowieść wziął pan na warsztat?

Czuję znienacka uderzenie gorąca, jakby Travis przyłapał mnie na czymś niecnym. Nie rozumiem tej reakcji, nie wiem, czemu policzki mi płoną, a w gardle nagle robi się sucho.

Trudno mi się do tego przyznać, ale zaczynam się bać.

– Jeszcze zanim pan z tym do mnie przyszedł – mówi psychiatra – zasięgnąłem języka. Zaczynał pan w Iraklionie jako pilot wycieczek. Do Grecji i na Cypr. Podejrzewam, że nieraz był pan na Krecie.

– To prawda.

– Ale fascynacja tamtymi rejonami zaczęła się już wcześniej, zgadza się? Kiedy starał się pan o pracę w Iraklionie, znał pan już podstawy nowożytnej greki i dobrze orientował się w historii ważniejszych zabytków w Atenach czy właśnie na Krecie, prawda?

– Jeśli zna pan odpowiedź, po co pan pyta? – odpowiadam poirytowany. Czekał na kolejne pytanie, na pytanie, które musi nadejść po tych poprzednich, i nagle rozumiem, że nie chcę, żeby padło.

Jednak Travis milczy. Zerka jeszcze na moje zapiski i wreszcie wręcza mi je z powrotem.

– Proszę pisać dalej. Porozmawiamy jutro.

– Znalazł pan to, czego szukał? – pytam.

Travis rozsiada się wygodnie w fotelu i zamyka oczy. Ma w sobie coś takiego, że kojarzy mi się natychmiast z Herkulesem Poirot, przymykającym powieki, by nic nie odciągało jego uwagi od wyjątkowo trudnej zagadki. Brakuje tylko miarowego stukotu kół Orient Expressu.

– Poszukiwania dopiero się zaczynają – odpowiada. – Ale teraz już chyba wiem, gdzie grzebać.

\*\*\*

– *Kapitanie, chyba ich mamy!* – rozległ się głos na mostku.

*Tezeusz stanął przed pulpitem. Ponad gładką płytą holoprojektora unosiły się na wpół przezroczyste mniejsze i większe grudki, tu i ówdzie widać było skupiska srebrzystego pyłu.*

– *Skanery czujek wyłapały sygnaturę radiacyjną identyczną z tą podaną nam przez...* – młody oficer zawahał się, spróbował zachować pokerową

twarz – przez pana przyjaciółkę, sir.

– Gdzie? – zapytał Tezeusz.

– Tutaj.

Młodzieniec wsunął dłoń w mgławicę niebieskawych punktów i płynnym ruchem nadgarstka uzyskał powiększenie. Obraz rozmył się, niektóre zawieszony w powietrzu bryłki zniknęły, dotychczasowe drobiny pyłu urosły do rozmiarów ziaren piasku. Tezeusz szybko zerknął na wyświetlacz na panelu holoprojektora i dokonał obliczeń. Wyglądało na to, że przy obecnej skali jeden cal odpowiadał czterystu milom.

– Proszę przyjrzeć się Krebs osiemdziesiąt jeden – kontynuował oficer, wskazując jedną z planet karłowatych, na oko o średnicy trzystu, może trzystu pięćdziesięciu mil. – Te pomarańczowe smugi po jej ciemnej stronie... Wydaje mi się, że to mogą być oni.

– To muszą być oni – odparł Tezeusz. – Od tygodni nie latało tędy nic wyposażonego w silniki litowo-deuterowe.

– Mam wysłać więcej dronów?

– Nie. I odwołaj te, które wciąż szukają. Jeśli jeszcze nie wiedzą o naszej obecności, lepiej, żeby tak zostało.

Wrócił na środek mostka i wydał odpowiednie rozkazy. Na wszystkich pokładach krążownika rozległ się alarm bojowy, z głośników popłynęła seria komunikatów. Gdzieś na granicy słyszalności zmieniła się częstotliwość szumu – znak, że przygaszone silniki nabierały mocy.

Przez grodzie weszła Ariadna, poprzedzana przez dwóch podoficerów łączności. Dziewczyna przystanęła obok Tezeusza, zapatrzyła się w wiszący nad holoprojektorem labirynt tworzony przez planety karłowate, planetoidy i meteoroidy.

– Znaleźliście ich? – zapytała.

Wciąż miała na sobie ciemnozieloną kurtkę naciągniętą na czarny blezer – nieformalny mundur rebeliantów walczących z dyktaturą rządzącą Archipelagiem. Włosy pospiesznie związane w kitkę, skórzane buty



o przetartych noskach, kabura z plazmowym Az-13 na biodrze... Wszystko to dodawało jej zawadiackiego uroku.

Tylko blada z niewyspania twarz przypominała, że osobą, której szukają i którą chcą zabić, jest jej brat.

– Znaleźliśmy – odparł Tezeusz. – Jeśli drony się nie mylą, „Minotaur” kryje się po ciemnej stronie tamtej planety karłowatej. Podejrzewam, że korzystają z chwili wytchnienia i liżą rany.

– Myślisz, że dużo udało im się naprawić?

Nie odpowiedział od razu. Już wcześniej się nad tym zastanawiał. Kiedy jego krążownik wspierany przez siły rebelianckie zaatakował stację portową Nowy Heraklion, udało im się zniszczyć w dokach trzy korwety i dwa krążowniki klasy CS, ale pancernik „Minotaur”, chlubę Floty Archipelagu, tylko uszkodzili. Na trzech z pięciu silników, z radioaktywnym wyciekami z reaktora i rozniesionym w drobiazgi systemem inteligentnej kontroli uzbrojenia „Minotaur” zdołał wydostać się z doku, zniszczył po drodze fregatę oraz dwa kutry torpedowe rebeliantów. Później bombą elektromagnetyczną zmusił krążownik Tezeusza do zaprzestania pościgu.

Pancernik może i był przestarzały, ale wciąż śmiertelnie niebezpieczny. Jeśli jego inżynierom pokładowym udało się jakimś cudem naprawić wszystkie silniki albo przywrócić działanie systemu kontroli uzbrojenia, myśliwy mógł się zamienić w ofiarę, a polowanie – w masakrę.

– Nie wiem – przyznał. – Nie mam pojęcia. Mam nadzieję, że niewiele. Może stracili trochę automatów naprawczych i część modułów zastępczych, gdy oberwali w lewą burtę.

Dziewczyna pokiwała głową. Przysunęła się bliżej i położyła swoją dłoń na jego. Na mostku było przesadnie ciepło – niektóre podsystemy wciąż wymagały kalibracji po trafieniu bombą EMP – ale Ariadna drżała.

– Myślisz o nim? – zapytał, mając na myśli jej brata, dowódcę „Minotaura”.

Skrzywiła się, jakby ugryzła cytrynę.

– Myślę o ludziach, którzy służą na tym statku. Wielu z nich jest tam wbrew własnej woli.

– Nie możemy ich uratować.

– Wiem. Po prostu wolałabym, żeby nie cierpieli.

Pocałował ją w policzek, zaskakując samego siebie. Dawniej byłoby mu wstyd za okazywanie emocji w otoczeniu podkomendnych. Jednak Ariadna miała w sobie coś, czemu nie mógł się oprzeć.

Położyła mu głowę na ramieniu i zapytała półgłosem:

– Musimy go zniszczyć, prawda?

– Jeśli tego nie zrobimy, wróci. Dołączy do floty Nowego Knossos, a wtedy Unia Ateńska i twoi rebelianci nie będą mieli żadnych szans. Jeśli chcesz wytrącić Minosowi z rąk wszystkie atuty, „Minotaur” musi przestać istnieć. Nie ma innej drogi.

Zerknął na wyświetlacze. Znajdowali się nieco ponad półtora tysiąca mil od Krebs 81 i podchodzili na jednej trzeciej prędkości. Za minutę wyjdą z chmury pyłu, który krył ich przed przestarzałymi radarami „Minotaura”, i wtedy nie będzie już odwrotu.

– Wszyscy na stanowiska bojowe – rozkazał Tezeusz. – Pełna gotowość.

Oficerowie łączności pospiesznie sprawdzali obsadzenie wszystkich posterunków i pracę podsystemów, przerzucali się odbieranymi komunikatami.

– Torpedy w wyrzutniach jeden do trzy gotowe!

– Baterie jeden do cztery gotowe!

– Baterie pięć do osiem gotowe!

– Drony bojowe gotowe!

– Generator tarcz gotowy!

Do wyjścia z chmury pyłu zostało dwadzieścia sekund. Tezeusz ścisnął dłoń Ariadny i wyszeptał jej do ucha:

– Nie wiem, co nas czeka, ale kocham cię.

Później wyprostował się i oznajmił:

– Stanowiska ogniowe, przygotować się. Pełny ciąg na podejściu do celu za trzy, dwa, jeden... teraz!

Delikatny szum przeszedł w buczenie, cały statek zaczął nieznacznie drżeć. Tezeusz obserwował nad panelem kapitańskim trójwymiarową holoprojekcję, w której zielony kształt krążownika naraz przyspieszył. Skala zmieniała się, w miarę jak okręt zbliżał się do Krebs 81. Planeta – dotychczas wielkości śliwki – osiągnęła rozmiar piłki golfowej i nie przestawała rosnąć.

Wszyscy milczeli, wpatrzeni w swoje wyświetlacze, aż nagle sygnał radaru zakłócił ciszę ostrzegawczym piskiem. Po ciemnej stronie Krebs 81 pojawił się zwalisty kształt „Minotaura”: latającej fortecy o długości blisko pół mili i masie prawie miliona ton. Mimo że w porównaniu do planety okręt był drobiną, dało się dostrzec jego dwa gigantyczne działa szynowe i dziesiątki grodzi prowadzących do hangarów dronów bojowych.

Wbrew temu, czego się spodziewali, „Minotaur” się poruszał. Dokładnie w ich kierunku.

– Kapitanie, okręt wroga na kursie kolizyjnym! Zderzenie za trzydzieści dwie sekundy.

– Manewr wymijający – rozkazał Tezeusz. – Wypuścić drony, wszystkie. I ognia ze wszystkich baterii, gdy tylko znajdziemy się w zasięgu.

Mostek wypełnił gwar; oficerowie łączności przekazywali rozkazy dalej, nawigator konsultował ze swoim komputerowym odpowiednikiem nowy kurs pozwalający na wyminięcie pędzącego „Minotaura”. Widoczny na holoprojekcji krążownik Tezeusza otoczyła chmura pyłu – wystrzelone drony bojowe, które natychmiast pomknęły w stronę pancernika.

– Co z tym kursem kolizyjnym?

– Manewr wymijający zwiększył szanse uniknięcia zderzenia do trzydziestu siedem procent – poinformował nawigator.

Zanim Tezeusz zdążył wydać kolejny rozkaz, okrętem mocno szarpnęło. Światła na moment przygasły, obraz holoprojektorów uległ rozmyciu,

odezwała się rozdzierająco syrena alarmowa. Z kilku urządzeń sypnęło iskrami, dwóch oficerów spadło z krzesel, a monochromatyczne, praktycznie niezniszczalne wyświetlacze informujące o stanie krążownika zalał potok komunikatów. Po kilku sekundach sytuacja wróciła do normy.

– Raport! – krzyknął Tezeusz.

– To działo szynowe „Minotaura”. Pocisk przebił się przez tarcze, ale na szczęście tylko musnął górne poszycie pancerza. Pożar w sektorach A pięć do A osiem. Automaty już się tym zajęły.

– Strzelają ze wszystkich baterii – pojawił się kolejny raport. – Stan osłon siedemdziesiąt dwa procent i spada! Stracimy tarczę za czterdzieści sekund!

– „Minotaur” wciąż na kursie kolizyjnym, szansa uniknięcia zderzenia trzydzieści cztery procent! – ryknął nawigator. – Kapitanie, oni nas zaraz staranują!

– Baterie jeden do cztery i torpedy z wyrzutni dwa do trzy: cel na zbiornik paliwowy trzeciego silnika – zakomenderował Tezeusz.

– W zasięgu za... trzy... dwa... jeden... ognia!

– Jeśli ich system kontroli uzbrojenia działa... – wyszeptała Ariadna.

– Nie działa – odparł z przekonaniem Tezeusz.

Kolejny wstrząs był jeszcze mocniejszy, ale tym razem obyło się bez błyskających świateł. Kilkoma osobami cisnęło przez całą długość mostka, jeden z podoficerów uderzył głową o krawędź panelu holoprojekcyjnego i padł bez czucia, krwawiąc obficie. Ariadna przetoczyła się po podłodze, ale zaraz wstała.

– Drugie działo szynowe – krzyknął jeden z oficerów. – Trafiło prosto w nas, nie mamy już tarczy! Regeneracja osłon za siedemnaście sekund.

– Rozniosą nas – powiedział ktoś.

W tym momencie wizualizacja „Minotaura” rozbłysła serią wybuchów skumulowanych wokół silnika wysuniętego najbardziej na lewo.

*Gigantyczna sylwetka pancernika przekrzywiła się i przez moment sunęła przez przestrzeń po skosie, jakby trafiła na płachtę lodu i wpadła w poślizg.*

*– Zeszli z kursu kolizyjnego! – oznajmił nawigator.*

*– Lecą na dwóch silnikach, ich zwrotność spadła do trzydziestu jeden procent!*

*Wokół „Minotaura” na holoprojektorze zaczęły błyskać światełka miniaturowych wybuchów.*

*– Drony osiągnęły cel. Nieprzyjaciel otworzył tylko trzy grodzie, przewaga naszych dronów wynosi cztery do jednego.*

*Spojrzenia Ariadny i Tezeusza spotkały się. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa, dziewczyna tylko w pewnym momencie skinęła głową.*

*– Wymijamy łukiem i siadamy im na rufie – rozkazał Tezeusz. – Niech drony zajmą się tymi działami szynowymi, zanim generatory pozwolą im na kolejny strzał. I trzymać się poza zasięgiem ich baterii, póki nie zregenerujemy osłon.*

*Przyciągnął Ariadnę do siebie i objął ją ramieniem, po czym wydał jeszcze jeden rozkaz:*

*– Uzbroić głowicę jądrową i przygotować do wystrzelenia.*

\*\*\*

W niedzielę Birchwood Acres porzuca smutny image luksusowego wariatkowa i udaje kurort letniskowy. Na zazwyczaj pustawym podjeździe stają dodge, fordy, land rovery. Na tarasie, przy okrągłych kawiarnianych stolikach siedzą ludzie i wiodą pozornie zwyczajne pogawędki przy kawie i kawałku ciasta. Dzieci jedzą lody w wysokich pucharkach, biegają między brzozaami i rozkopują liście starannie zagrabione na sterty przez pana Clarke’a, administratora zieleni w Acres.

Kupuję w automacie butelkę coli i wychodzę na taras. Mijam innych rezydentów, staram się odciąć od ich sztywnych, wymuszonych żartów, od

krępującego milczenia, od spojrzeń, które nieudolnie skrywają żal, poczucie winy, rezygnację czy niechęć. Mnie nikt nie osacza, nikt nie każe mi robić dobrej miny do złej gry i zapewniać, że czuję się świetnie, że najgorsze już minęło. Mogę właściwie udawać, że nie jestem pensjonariuszem, a jednym z pracowników Acres, cieszącym się zasłużoną przerwą.

Staję przy kamiennej balustradzie i widzę doktora Tralisa na huśtawce. Huśtawka doskonale się wpasowuje w otoczenie, wykonano ją z brzoźowych pali i podsypano jasnym żwirem, takim samym jak ten na podjeździe. Travis podnosi wzrok znad książki i macha do mnie, po czym gestem zachęca, żebym usiadł obok niego. Wszystkie miejsca na tarasie są zajęte, a ja mam dość ślęczenia w pokoju, więc faktycznie ruszam w jego kierunku.

– Gdybym nie zobaczył na własne oczy, nie uwierzyłbym, że potrafi pan odpoczywać – mówię, podchodząc. – Miałem pana za niepoprawnego pracoholika.

– Może wcale się pan tak bardzo nie pomylił – odpowiada z nosem w książce.

Siadam, wprawiając tym samym huśtawkę w ruch. Popijam chłodną colę i majtam nogami w górę i w dół, jak dziecko, żeby huśtawka nie przestała się poruszać. Travis kończy rozdział i zamyka książkę, po czym patrzy na mnie z łagodnym uśmiechem.

– Nikt pana nie odwiedził? – pyta.

– Nie, a pana?

Uśmiecha się jeszcze szerzej, wyciąga z kieszeni grzebień i przeczesuje włosy. Dopiero teraz dociera do mnie jakaś dziwna nerwowość tych gestów, ich niepokojąca częstotliwość. Mógłbym iść o zakład, że Travis niedawno rzucił jakiś nałóg. Fajki? Obgryzanie paznokci? Internetowe porno?

– Nikt z rodziny nie mieszka w okolicy? – Doktor nie ustępuje. – Przyjaciele, znajomi?

– Chce pan pogawędzić czy mnie zdołować? – odpowiadam. – Bo ani jedno, ani drugie za bardzo panu nie wychodzi.

– Jeśli chciałby się pan z kimś zobaczyć, ale nie ma odwagi, mogę zadzwonić w pana imieniu. Kontakt z ludźmi spoza Acres zazwyczaj podnosi pacjentów na duchu. Na przykład do Bena Mastersa. Albo Tima Vaughana. Chciałby pan?

Nogi mi nieruchomieją; mało brakuje, a butelka coli wyślizgnęłaby mi się z dłoni.

– To już, panie doktorze, chyba zakrawa na prześladowanie.

– Raczej zbieranie informacji. Skoro pan unika szczerych rozmów, muszę szukać odpowiedzi gdzie indziej. Nie powiem, żebym zrobił coś szczególnie trudnego albo nielegalnego: wystarczyło wejść na Instagram i zobaczyć, z kim pan najczęściej paraduje na zdjęciach. Ben i Tim wydają się sympatycznymi facetami. W podobnym co pan wieku, przystojni, zdaje się, że lubią wypić i poszaleć. Pewnie fajnie jest razem uderzyć na miasto i porozglądać się za dziewczynami.

W jego ustach zwrot „uderzyć na miasto” brzmi śmiesznie, wypowiedziany tonem zazwyczaj rezerwowanym dla mądrych, łacińskich sentencji. Nie mogę się jednak zdobyć na uśmiech, wzruszam tylko ramionami.

– To kumple z pracy. Czasem gdzieś wychodzimy.

– To znaczy, że zwalnia ich pan z odpowiedzialności? Pan na ich miejscu nie zainteresowałby się losem kolegi?

– Niespecjalnie – przyznaję. – Jak pan zauważył, jesteśmy kolegami, nie przyjaciółmi.

Travis zdejmuje okulary, chucha na szkła i przeciera je chusteczką.

– A przyjaciele? – pyta.

– Co z nimi?

– Ma pan kogoś takiego? Kogoś, na kim panu zależy?

Nie odpowiadam. Głównie dlatego, że z jakiegoś względu nie chcę się przed nim przyznać, że nie mam przyjaciół, nie mam i chyba nigdy nie miałem. Mimo że taki tryb życia mi nie przeszkadzał, nagle wydaje się obcy, nienaturalny, a ja niemal wstydzę się dokonywanych wyborów.

Co się ze mną dzieje?

– Czy panowie Masters albo Vaughan byli z panem wtedy, gdy doszło do tego nieszczęsnego pobicia? – Travis nagle zmienia temat. Zaskakuje mnie do tego stopnia, że odpowiadam bez namysłu:

– Tim tam był. Facet, którego pobiłem, był jego znajomym. Chyba niezbyt bliskim.

– Dużo panowie wypili?

– Wiedziałem, co robię, jeśli o to pan pyta.

– Więc dlaczego pan to zrobił? Tego jednego wciąż nie wiem i sędzę, że pan też niezupełnie to wie. Myślę, że nie chce pan do siebie dopuścić tej myśli. Proszę mi opowiedzieć. Co się wtedy wydarzyło?

Przez chwilę zmagają się we mnie dwie siły. Z jednej strony wiecznie żywy sceptycyzm podpowiada, że Travis mi nie pomoże, że problemów nie rozwiązuje się słowami, tylko czynami, że psychologia i psychoterapia to nie nauka, a zwykła szarlataneria. Jednak niekonwencjonalne zachowanie doktora, jego cierpliwość oraz inteligencja drażną skałę, powoli topią lód. Sprawiają, że coś we mnie chce mówić, chce się wreszcie otworzyć.

Biorę łyk coli i zamykam oczy. Przypominam sobie wszystkie szczegóły, które wciąż we mnie tkwią, ropieją i babrzą się niczym drzazga albo drobina szkła. Widzę znowu tego człowieka, elegancika w koszuli od Versace, w Ray-Banach opierających się na włosach lśniących od żelu, z kolorowym drinkiem w dłoni. Pamiętam jego pełen zadowolenia uśmiezek, spojrzenie, jakim omiatał przechodzące obok dziewczyny, obsceniczne żarciki. W uszach wciąż mi rezonuje jego śmiech; ciągle, niby powracające echo, słyszę ton jego głosu, ton pana i władcy, któremu wszystko się należy.



Gość mówił o dziewczynie, z którą był przez ostatnie trzy lata. O tym, jak ją zostawił, gdy wspomniała o zaręczynach i planach na przyszłość. O tym, z jaką rozpaczą – dla niego żalną i śmieszną – dzwoniła do niego i pisała SMS-y, jak błagała, żeby wrócił, jak prosiła, żeby jej nie zostawił.

– Wiecie, jak jest, no nie? Lalunia zrobiła swoje, lalunia może odejść – powiedział, po czym wykonał gest przypominający robienie loda. – Zresztą ile można ładować w jedną dziurę, no nie?

Przypominam sobie to uczucie, kiedy klepnął mnie porozumiewawczo w ramię – tę nagłą eksplozję, jakby coś we mnie pękło.

Później był już tylko ból skóry zdzieranej na knykciach, hałas dobiegający ze wszystkich stron i satysfakcja, perwersyjna zwierzęca satysfakcja wynikająca z tego, że siedziałem na tym pieprzonym gogusiu i masakrowałem mu twarz, krwią ścierałem z jego ust ten przekłety uśmieszek.

Otwieram oczy i oddycham z ulgą. Wokół mnie panuje błogi spokój. Jesienne słońce kluczy między gałęziami brzoź, a dzieci Dicka Rommefelda biegają wszędzie w poszukiwaniu kryjówki, podczas gdy ich zwariowany ojciec na tarasie głośno odlicza do dziesięciu. Z pewnym niedowierzaniem spoglądam na moje dłonie, zaciśnięte w pięści.

Odzyskuję kontrolę.

– Pobiłem faceta, bo był szowinistą i świnią.

Doktor Travis dość długo mi się przygląda. W końcu kładzie mi dłoń na ramieniu, poklepuje delikatnie i wstaje.

– Byliście blisko, co? – mówi ze śladem żalu. – Cóż, nie teraz, to kiedy indziej.

Odchodzi wolnym krokiem.

– Pańska książka, panie doktorze – krzyczę za nim, bo zostawił ją na huśtawce.

– Już skończyłem. Może panu się przyda w pisaniu.

Zaintrygowany sięgam po tomik w gładkiej zielonej oprawie, jedną z milionów książek zreanimowanych przez sprawne introligatorskie dłonie. Otwieram ją na pierwszej stronie i zamieram.

Popularnonaukowa monografia to „Tezeusz i Minotaur: Mit i jego odczytania” pióra niejakiego George’a Wallace’a. Znałem ją, oczywiście. Przeczytałem ją jeszcze w szkole średniej, a później dwukrotnie na studiach.

Musiałem ją znać, ponieważ wykładający na Uniwersytecie Stanowym Pensylwanii profesor George Wallace był moim ojcem.

\*\*\*

*Cisza prysnęła jak bańka mydlana, gdy lód zachrzęścił w wiaderku. T. Z. Ush oderwał na moment wzrok od olbrzymiego plazmowego telewizora, na którym leciała ściszone Bloomberg TV. U dołu ekranu, pod prezydentką w eleganckim zakiecie, przesuwał się pasek z notowaniami giełdowymi, jeszcze niżej wyświetlały się komunikaty dotyczące najważniejszych wydarzeń ostatnich godzin.*

*Firma Athens Inc. – jego firma – pojawiła się w tych komunikatach trzykrotnie w ciągu ostatniego kwadransa.*

*Aria D. Neigh podeszła do łóżka, kręcąc biodrami. Jeden kieliszek szampana podała mężczyźnie, z drugim usiadła na pościeli z bawełny egipskiej. Usiadła po turecku, tak że skraj jedwabnej koszuli nocnej podsunął się w górę jej gładkich ud, odsłaniając figi z czarnej koronki. Prześwitujący materiał koszuli zdradzał krągłość piersi, choć – zmarszczony przy jedynym guziczku – jakimś cudem zakrywał sutki.*

*T. Z. Ush zerknął w stronę telewizora, ale dziewczyna na powrót przyciągnęła jego uwagę kieliszkiem wzniesionym do toastu. Stuknęli się i pocałowali. Poczł jej język, najpierw na wargach, później w ustach, wilgotny, ciepły, pełen chęci. Wsunął dłoń w jej włosy. Oderwała się od*

niego, uśmiechnęła zalotnie, po czym jeszcze raz stuknęła swoim kieliszkiem w jego.

– Za nasz wspólny sukces.

Uniosła kieliszek do ust, ale przechyliła szkło za wcześnie i zamiast się napić, rozlała trochę.

– Cóż za niezdara ze mnie. – Zachichotała.

Szampańskie powietrze jej po brodzie, wąską stróżką spłynęło po smukłej szyi i dalej w dół, by zmoczyć koszulę nocną. Jedwab przykleił się do ciała, otulił piersi ciasno jak dłoń kochanka. Stwardniałe brodawki wybrzuszyły materiał i Tezeusz poczuł, że budzi się w nim pożądanie.

– Czeka pan na specjalne zaproszenie, panie prezesie? – zapytała ze śmiechem.

Kropelki na jej skórze smakowały jak słodko-gorzka rosa. Pocałunki prowadziły niżej i niżej po dekolcie pachnącym różanym mydłem, aż w końcu samotny guziczek wyskoczył z dziurki i prześwitujący jedwab koszulki rozlał się na boki. Z bliska jej drobne piersi wydawały się większe, a jędrne brodawki wprost prosiły, by lizać je i ssać, gładzić, masować i pieścić.

– Och tak! – jęknęła. – Kocham cię, kocham cię, kocham...

Gasnący szept przeszedł w westchnięcie, długie i lubieżne. Odsunęła go od siebie, pchnęła na pościel. Sznurek wiążący poły jego szlafroka poluznił się, odsłonił pokrytą delikatnymi, poskręcanyimi włoskami pachwinę. Dziewczyna pochyliła się nad sterczącym członkiem.

– Cześć, słonko. Stęskniłeś się?

Potem wzięła go do ust.

T. Z. Ush położył głowę na boku i spojrzał w telewizor. Na ekranie po raz kolejny mignął komunikat o sensacyjnym przejęciu Knossos Enterprises przez Athens Inc. Mężczyzna uśmiechnął się i zamknął oczy.

Chciał skupić się na dziewczynie i pieszczotach, na tym, co wyczyniały z nim jej usta i język, ale nie mógł. Zamiast tego czuł niepokój, złość na

samego siebie, wyrzuty sumienia. Co gorsza, nie był w stanie pojąć źródła tych emocji.

Z Arią D. Neigh kochali się regularnie od tygodnia, znali się natomiast nieco ponad miesiąc. Spotkali się podczas wstępnych rozmów na temat fuzji Athens Inc. oraz Knossos Enterprises, firmy jej ojca, później przypadkiem trafili na siebie w jednym z nocnych klubów. Przypomniawszy sobie, jaką ją wtedy zobaczył: ładną, dość zwyczajną dziewczynę, seksowną w pewien trudny do wyrażenia, prowincjonalny sposób. Stała mu znowu przed oczami w obcisłej, czarnej sukience – zbyt krótkiej, żeby zakryć koronki u góry pończoch. Przypomniawszy sobie, jak kilkakrotnie otarła się o niego biodrami, gdy tańczyli w blasku stroboskopów.

Członek mu nabrzmiał, jakby lada moment miał eksplodować. Dziewczyna zachichotała i przerywając pieszczoty, wyszeptwała:

– Takiego właśnie cię lubię, słonko.

Nie zdjęła fig, odchyliła tylko na bok ich dolną część. Później usiadła na nim, otwierając usta w bezgłośnym jęku. Widział, jak jej piersi podnoszą się i opadają, jak krawędź koszulki nocnej muska sutki.

T. Z. Ush znowu zamknął oczy. Próbował skupić się na doznaniach, na gumce fig dodatkowo uciskającej jego męskość, ale wypity wcześniej alkohol robił swoje. Podniecenie zatrzymało się w martwym punkcie i nie rosło, mimo usilnych starań dziewczyny.

Propozycja wyszła od niej. To ona powiedziała mu, że ma dostęp do prototypowego produktu Knossos Enterprises o nazwie Minotaur 2.0 – superwydajnego algorytmu kompresji danych. Była gotowa przekazać mu program, tym samym znacząco zmniejszając wartość firmy ojca i doprowadzając do sytuacji, gdy znacznie bardziej prawdopodobne byłoby jej przejęcie przez Athens Inc. aniżeli fuzja.

W zamian chciała, aby Knossos dalej funkcjonowało jako spółka-córka oraz aby stołek dyrektora generalnego tejże firmy trafił właśnie pod jej

*zgrabną pupę. Jej ambicja i wyrachowanie z początku zrobiły na nim wrażenie, rozbudziły pożądanie, dodały znajomości pikanterii.*

*Później Aria D. Neigh zakochała się w nim i stała się zwyczajnie nudna.*

*– Jesteś blisko? – zapytała.*

*Otworzył oczy. Była zdyszana, miała czerwoną twarz, na skroniach zbierał się jej pot.*

*– Jeszcze trochę – odparł.*

*Zwolniła, oddychając ciężko.*

*– Może się zmienimy? – zaproponowała.*

*Zdjął jej figi, po czym wziął ją od tyłu, z twarzą zwróconą w kierunku telewizora. Jęczała rozkosznie, a on obojętnie patrzył, jak na ekranie miga reklama jakiegoś doradcy finansowego.*

*– Zaraz będę! – krzyknęła. – Ach, jeszcze...*

*Zamknął oczy i zamiast o Annie D. Neigh zaczął myśleć o kobietach, które widział tego wieczoru w restauracji, gdzie opijali podpisanie umowy i przejęcie Knossos Enterprises. Śliczne kobiety o piersiach, które ledwo mieściły się w dekoltach seksownie skrojonych sukien, pachnące najdroższymi perfumami Dolce & Gabbany, Prady, Diora. Niektóre spoglądały na niego zalotnie spod umalowanych rzęs, a on czuł się jak pies na łańcuchu, uwięzany do tej pospolitej przecież dziewczyny z Lowell w stanie Massachusetts.*

*Wyobraził sobie, że wciąż jest w restauracji; że zostawia wszystkich przy stoliku i podchodzi do tej blondynki w czerwonej sukience, która obserwowała go przez cały wieczór znad wysokiej szklanki z czerwonym hurricane'em. Wyobraził sobie, jak bez słowa wychodzą razem do łazienki, gdzie zamykają drzwi i robią to przed lustrem. Wyobraził sobie, jak podciąga jej sukienkę, pod którą nie ma bielizny, tylko gorące, jędrne ciało spragnione jego pieśszczot, a kobieta opiera dłonie, smukłe, zadbane dłonie o krwiście czerwonych paznokciach, na lustrze, zamyka oczy, po czym krzyczy z rozkoszy...*

*Aria D. Neigh wrzasnęła, a on westchnął przeciągle, gdy żądza znalazła swoje ujście. Chwilę później, zdyszani, spoceni i rozedrgani, opadli na prześcieradło.*

*Dziewczyna obróciła się do niego, chciała się przytulić, ale udał, że tego nie widzi. Wstał i poszedł do łazienki, gdzie przekręcił zamek w drzwiach, usiadł na toalecie i ukrył twarz w dłoniach.*

\*\*\*

– Kim jest Anna? – pyta Travis, sięgając po kolejną zapisaną stronę. Okulary zsunęły mu się na czubek nosa i spogląda na mnie znad szkieł, kiedy zwlekam z odpowiedzią.

– Kto taki?

– Anna. W jednym miejscu napisał pan z rozpędu Anna zamiast Aria.

Czuję nagłe uderzenie gorąca, jakby ktoś tuż obok otworzył drzwi do sauny.

– Jak pan powiedział, zrobiłem to z rozpędu. Przypadek.

– Cóż, my nie nazywamy tego przypadkiem. – Travis się uśmiecha. – Nazywamy to parapraxis. Freudowską pomyłką. Manifestacją tego, co pan wyparł ze swojej świadomości. Więc? Kim ona jest?

Wciąż ze sobą walczę, słowa nie chcą przejść przez gardło. Naraz czuję ukłucie w oku i ze zdziwieniem stwierdzam, że zaczyna łzawić. Spodziewam się, że Travis odpuści, zmieni temat, tak jak zmieniał go tyle razy wcześniej. On jednak pochyla się nad biurkiem i bacznie mi się przypatruje.

– Niech pan spojrzy prawdzie w oczy – mówi. – Popełnił pan błąd. To o czymś świadczy.

– Tak? A niby o czym? – pytam.

– Moim zdaniem o tym, że jakaś część pana jest już gotowa do rozmowy. Ta pańska część jest jak dziecko gotowe rozbić ulubiony wazon matki, byle zwrócić na siebie uwagę. Jest zdesperowana.

Czuję drżenie, narastające gdzieś w żołądku i z wolna rozprzestrzeniające się na całe ciało. Znam to uczucie, bo – choć mniej intensywne – towarzyszyło mi wielokrotnie od chwili, gdy w dziewiątej klasie Ida Montgomery, śliczna piegowata Ida Montgomery, zdjęła bluzkę, pod którą nie miała stanika, i powiedziała, że jej rodzice nie wrócą wcześniej niż za godzinę.

Bałem się jak nigdy wcześniej. Ale też nigdy wcześniej niczego tak nie pragnąłem.

– Więc? Kim jest Anna? – pyta Travis.

Milczę. Jest w tym milczeniu coś dalece dziecinnego, coś tak głupiego, że aż mi wstyd, ale nie mogę się zmusić, żeby przemówić. Posiłkując się analogią psychiatry: jestem dzieckiem stojącym nad rozbitym wazonem, skarpetki mam zbryzgane wodą, a odłamki szkła leżą wszędzie wokół, ale idę w zaparte, twierdząc, że naczynie spadło z parapetu samo, kompletnie bez mojego udziału.

Brzydę się sobą, a Travis po raz pierwszy zdradza zniecierpliwienie.

– Przecież pan chce to z siebie wydusić! – stwierdza, ściskając w dłoni mój tekst, teraz już pokaźny stos zapisanych arkuszy. – To wszystko to nic innego jak rozmowa! Pan do mnie mówi, w sposób zakamuflowany, szyfrem, ale mówi. To jakiś szalony mechanizm obronny. Niczego pan nie oznajmia wprost, niczego nie podaje na tacy, mógłbym przecież wtedy przypadkiem dostrzec, jaki pan jest w rzeczywistości: zrozpaczony, załamany, przygnieciony życiem i swoimi wyborami. Proszę sobie wyobrazić, że widzę to i bez czytania między wierszami, bez intelektualnych rebusów, którymi pana podświadomość przyozdobiła ten tekst. Jest w panu jakiś przekorny duch, jakieś złośliwe alter ego, które pewnie nawet odczułoby coś na kształt satysfakcji, gdybym załamał ręce i stwierdził, że nie umiem do pana dotrzeć. Mógłby pan wówczas do woli babrać się w swoim nieszczęściu i taplać w żalu, wmawiając sobie, że przecież próbował pan, że to inni nawalili.

Nieoczekiwana przemowa Trávisa wytrąca mnie z równowagi, sprawia, że zapominam języka w gębie. Tymczasem doktor wstaje i nachyla się przez biurko w moją stronę, dźga palcem arkusze niczym wyjątkowo żywotną pluskwę.

– Wszystko tu jest, jeśli tylko ktoś nie boi się szukać. Cała pana historia, w skrawkach, strzępach, przebłyskach. Przecież nieprzypadkowo wybrał pan mit o Tezeuszu i Minotaurze, któremu pański ojciec poświęcił znaczną część swojej akademickiej kariery. Bo to nie jest wcale historia o Minotaurze, ten nieszczęsny pół-byk, pół-człowiek odgrywa w nim drugorzędną rolę, ale mit o Ariadnie, Tezeuszu i Egeuszu, jego ojcu.

Travis siada, sięga po grzebień, ale natychmiast wpycha go z powrotem do kieszeni. Następnie otwiera szufladę i wydobywa z niej zadrukowaną kartkę. Na wydruku widać awers i rewers monety w powiększeniu; z jednej strony blaszki w kształcie nieregularnego okręgu widnieje brodata twarz, z drugiej – schematyczny wizerunek labiryntu.

– Taką, zdaje się, monetę opisywał pan w swoim tekście. Poprosiłem znajomego numizmatyka o pomoc, a on uruchomił kontakty, popytał wśród podobnych sobie zapaleńców. Okazało się, że tego typu monety sprzedawano na Krecie jako pamiątki w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zeszłego wieku. Mogę iść o zakład, że gdzieś w pana mieszkaniu znalazłbym taką monetę. Prezent od ojca? Z jednego z tych wyjazdów, na które jeszcze pana nie zabrał? Bo później to przecież u jego boku odkrywał pan Grecję i Kretę, prawda? To jego fascynacja wpłynęła na całe pańskie dorosłe życie.

Odłożywszy na bok wydruk, Travis raz jeszcze kładzie dłoń na moim tekście.

– Krebs osiemdziesiąt jeden – mówi. – To nazwa planetoidy, za którą kryje się „Minotaur” w tej pańskiej wariacji na temat powieści science fiction. Nazwa dobra jak każda inna, pomyślałem w pierwszej chwili. Dopiero później przypomniałem sobie, że pan jest inteligentny, diabelnie



inteligentny, a diabeł, wiadomo, tkwi w szczegółach. Proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy okazało się, że Krebs to po niemiecku „rak”. Szukałem dalej. Nagle inne, dotychczas banalne elementy układanki nabrały znaczenia: konwencja zdewastowanego nuklearną wojną świata w tym fragmencie, gdy Tezeusz po raz pierwszy rozmawia z Ariadną; popromienna natura specyficznej fizjonomii Minotaura; fakt, że to dzięki sygnaturze radiacyjnej Tezeusz odnajduje wrogi pancernik po ciemnej stronie Krebs osiemdziesiąt jeden. I wreszcie pocisk nuklearny, który ma być jego zgubą. Wszystko to ma wspólny mianownik: promieniowanie.

Mimo woli zaciskam dłonie na poręczach fotela. Cały drzę, jakby dopadła mnie jakaś tropikalna choroba; pot spływa mi po czole i szczypie w oczy. Travis chwilę milczy, wreszcie poprawia okulary i mówi:

– Podejrzewam, że pamięta pan, jak kończy się historia Tezeusza. – Kiwam głową. – Proszę opowiedzieć.

Trzy razy otwieram usta, ale za żadnym z nich nie udaje mi się wypchnąć powietrza z gardła. Słowa jakby przywarły do krtani i za nic nie chcą puścić.

– Proszę w takim razie poprawić mnie, jeśli gdzieś się pomylę – mówi doktor. – Tezeusz zostawia Ariadnę na jednej z wysp w drodze powrotnej z Krety do Aten. Ale wracając do domu, myśli o niej i zapomina wciągnąć na maszt biały żagiel, znak tryumfu. Jego ojciec, widząc na horyzoncie czarne płótno, jest przekonany, że jego syn zginął, i zrozpaczony rzuca się z murów. Czy tak?

Kiwam głową. To wszystko, na co mnie stać.

– Wiem, że pański ojciec zmarł niedawno – oznajmia Travis już łagodniej, może nawet z jakimś śladem sympatii w głosie.

– Czego... – Waham się. Słowa przychodzą mi z trudem, jakbym zamiast języka miał w ustach kawałek padliny. – Czego pan ode mnie chce?

– Niech pan napisze tę historię, swoją historię. Bez udziwniania, bez łamigłówek i zagadek. Szczerze. Niech się pan nie boi tego, co pomyślą

inni, bo pan jeden przeczyta te słowa. Nikt inny, nawet ja.

Patrzę na niego bez zrozumienia, gdy podsuwa mi świeże kartki i długopis. Czuję się bezradny, obcy samemu sobie.

– Nie mam pojęcia, jak zacząć.

– Może niech pan zacznie od słów: „John Wallace myślał, że wkrótce umrze”.

\*\*\*

*John Wallace myślał, że wkrótce umrze.*

*Po wyjściu z gabinetu przysiadł na plastikowym krześle i znieruchomiał, zapatrzony w kremową ścianę. Wciąż powracały do niego słowa lekarza: złowieszcze, pełne medycznego żargonu preludium do wyroku skazującego.*

*C81. Według Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób nowotwór zwany ziarnicą złośliwą albo chłoniakiem Hodgkina.*

*John miał trzydzieści cztery lata i – jeśli nie liczyć powiększonych węzłów chłonnych pod lewą pachą oraz tego, że niemal każdej nocy mocno się pocił – czuł się doskonale. Zarabiał ponad sto tysięcy rocznie, mieszkał w eleganckim, czteropokojowym apartamencie, a w wolnym czasie grywał w squasha, imprezował w ekskluzywnych klubach i umawiał się z kobietami. Rak był dla niego czymś, co przydarza się bohaterom oper mydlanych albo dalekim krewnym.*

*Nagle stał się bliski i przerażająco realny.*

*Jak przez mgłę pamiętał, że w końcu wstał z krzesła i opuścił klinikę.*

*Kilka następnych dni było pełne luk, poszatowane i chaotyczne jak film obejrzany na kwasie albo pamiętnik przepuszczony przez niszczarkę. Gdzieś tam po drodze pojawił się hałas zatłoczonych ulic, zawodzenie klaksonów, przekleństwa ludzi, na których wpadał. Był ziąb wiosennej nocy na ławce w parku, dreszcze wstrząsające całym ciałem i światło samotnej latarni. Smak zimnej kawy, gryzący dym fajek, wreszcie bourbon pity z butelki wsadzonej w papierową torbę oraz kwaśny odór zwymiotowanego chili. Był*

wreszcie przerażająco pusty apartament, pełen koszmarów sen, który nie dawał wytchnienia, oraz strach, strach paralizujący i wyciskający łzy.

Jako taką trzeźwość umysłu odzyskał po pięciu dniach, po tym, jak kompletnie zalany zjawił się w mieszkaniu ojca i bełkotliwie opowiedział o swojej chorobie. George Wallace miał łzy w oczach, gdy ścisnął syna i powtarzał mu, że wszystko będzie dobrze.

Tej nocy John zasnął otoczony regałami pełnymi historycznych księzek, naukowych monografii, encyklopedii i słowników. Może to wisząca na drzwiach rycina przedstawiająca Hypnosa, greckiego boga snu, sprawiła, że tym razem koszmary dały za wygraną.

Następnego dnia odbyli rozmowę, najdłuższą od wielu miesięcy albo nawet lat. George przekonywał syna, że ten nie może się poddawać, że powinien walczyć do ostatniej chwili, wypróbować każdą możliwą terapię.

– Jesteś taki młody – mówił mu. – Masz tu jeszcze tyle do zrobienia! Życie kryje przed tobą tysiące fascynujących tajemnic, a ty chcesz skapitulować, odpuścić? Nie możesz! Słyszysz mnie, John?

John słuchał ojca i zastanawiał się, skąd u tego schorowanego, starego człowieka, który osiągnął już wszystko, taka wola życia, skąd to zapalczywe pragnienie istnienia. On sam czuł się pusty, a cały świat przypominał mu jakiś niewydarzony sztuczny twór, bezbarwny i niewiele warty, jak uniwersum nieudanej gry komputerowej. Jednak podczas tej długiej rozmowy coś się u niego zmieniło. Podobnie jak w dzieciństwie George zdołał zarazić syna miłością do Grecji i innych krajów basenu Morza Śródziemnego, tak teraz udało mu się zaszczepić u niego przekonanie, że to wcale nie musi być koniec. Że z nowotworem można wygrać.

Następnego dnia John zjawił się w szpitalu, żeby ustalić harmonogram leczenia.

Pierwsze dwa tygodnie naświetlań zniósł nadspodziewanie dobrze. Nie pojawiły się u niego żadne efekty uboczne, których się obawiał. Zdołał również tak ułożyć plan dnia, że mógł godzić wizyty w szpitalu z normalną

pracą, ta zaś pozwalała mu odegnąć czarne myśli i zająć szare komórki czymś produktywnym.

Weekendy spędzał w domu, odpoczywając. W trakcie leczenia nie mógł pić alkoholu, więc imprezy nie wchodziły w grę. Zresztą miał wrażenie, że od chwili gdy powiedział w firmie o swojej chorobie, Ben i Tim zaczęli go unikać.

Kryzys nastąpił w połowie trzeciego tygodnia, w środę. Gdy John wrócił z pracy do domu, okazało się, że w budynku nie ma prądu. Winda nie działała, ruszył więc na górę po schodach, świecąc sobie latarką pożyczoną od portiera. Był czas, że dla ruchu wbiegał na swoje czternaste piętro. Teraz w połowie drogi przysiadł na schodach zdyszany, z twarzą zlaną potem.

Kiedy wreszcie dotarł do mieszkania, padł na kanapę i długo się nie podnosił. Kolację zamówił w pobliskiej restauracji, bo nie miał siły gotować, ale i tak zjadł tyle co nic. Położył się zaraz po posiłku, nie biorąc nawet prysznic, i błyskawicznie zasnął.

Rano wciąż był osłabiony. Poza tym pod jego lewą pachą pojawiła się swędząca wysypka, efekt uboczny naświetlań. Spodziewany, ale mimo wszystko irytujący.

Od tamtej pory zmęczenie stopniowo narastało. Osiem godzin snu dziennie przestało mu wystarczać. Potrafił zasapać się podczas spaceru po pracy. Gdy musiał stać w metrze przez całą drogę z domu do firmy, bolały go nogi.

Czuł się słaby, bezradny, zdradzony przez własne ciało. Oprócz tego był też samotny. Każdego dnia rozmawiał z ojcem przez telefon – George Wallace oprócz kłopotów z sercem cierpiał również na bóle w kolanach i paskudne schorzenie kręgosłupa, które w znacznym stopniu utrudniały opuszczanie mieszkania – ale po pewnym czasie już mu to nie wystarczało. Potrzebował kogoś, kto byłby blisko niego; kogoś, kto wspierałby go i dodawał otuchy w chwilach zwątpienia.

Po raz pierwszy w swoim życiu John Wallace poczuł się naprawdę samotny.

Wtedy pojawiła się Anna.

Widział ją dwu- lub trzykrotnie, zanim wreszcie zamienili kilka słów. Przychodziła na radioterapię razem ze starszym mężczyzną nazwiskiem Berg, który niemal codziennie znajdował się w grafiku przed Johnem. Berg, o ile Wallace zdołał się zorientować, był ślepy i nie miał w mieście rodziny, więc przydzielono mu pracownika socjalnego – Annę właśnie.

Dziewczyna szybko zwróciła uwagę Johna. Zawsze uśmiechnięta i serdeczna, nieustannie gawędziła z Bergiem niczym z najlepszą, dawno niewidzianą przyjaciółką. Była całkiem ładna: zgrabna, z odrobiną zadartym nosem i ciemnymi włosami spiętymi w koński ogon. Nosila skromny makijaż, niebieskie dżinsy i kurtkę z demobilu. Gdyby porównać kobiety do samochodów, John oceniłby, że zazwyczaj zadawał się z bentleyami i lexusami. Anna była chevroletem.

A jednak miała w sobie coś, co przyciągało uwagę. Po tym, jak po raz pierwszy ze sobą rozmawiali – Anna zapytała go, czy dzień później on i Berg nie mogliby zamienić się kolejnością – myślał o niej aż do wieczora. Kiedy następnego ranka powitała go z uśmiechem, machając do niego przez całą długość szpitalnego korytarza, mimowolnie odpowiedział tym samym.

Tego dnia namówiła go, żeby poszedł na kawę razem z nią i Bergiem. Z początku spięty, John odpowiadał na ich pytania półsłówkami, ale sposób bycia dziewczyny w końcu przełamał jego wewnętrzne opory. Zaczął mówić, a oni – ci w gruncie rzeczy obcy ludzie, którzy nie byli mu nic winni – słuchali go z uwagą i zrozumieniem. Nie okazywali znużenia, nie epatowali litością i współczuciem. Nawet nieliczne chwile milczenia nie przypominały tej krępującej ciszy, która przez ostatnie tygodnie nieustannie towarzyszyła mu w pracy.

Spędzili w tej kawiarni ponad trzy godziny, po czym John wymienił z Bergiem mocny, męski uścisk dłoni, a Anna pocałowała go w policzek na

do widzenia i powiedziała:

– Do zobaczenia jutro.

Kiedy wracał do domu, w jednej ze sklepowych witryn zobaczył swoje odbicie. Uśmiechał się po raz pierwszy od wielu dni.

Tydzień później kończył się jego pierwszy cykl naświetlań i John godzinami zastanawiał się, czy zaprosić Annę na randkę. Jego dawna pewność siebie gdzieś wyparowała – czuł się, jakby znowu miał czternaście lat i drżącą dłońią wybierał numer Idy Montgomery, żeby zapytać, czy nie pójdzie z nim do kina.

Anna go ubiegła.

– Robisz coś wieczorem? – zapytała, gdy znowu spotkali się przed wejściem do gabinetu radioterapii.

– Jeszcze nie zdecydowałem. Próbuję wybrać pomiędzy squashem a siłownią.

Roześmiała się. Oboje wiedzieli, że po pięciu tygodniach naświetlań John może dostać zadyszki, nawet grając w warcaby.

– Co powiesz na jakiś film razem?

Była tak bezpośrednia, że aż zaniemówił.

– Ja mam raka – wykrztusił w końcu, jakby mogła jakimś cudem o tym zapomnieć.

– Ale przerzuty na oczy jeszcze się nie pojawiły, prawda?

Rozbroiła go: uśmiechem, swobodą, tym, że nie traktowała go jak trędowatego.

– Mogę być zbyt zmęczony, żeby iść do kina.

– W takim razie widzimy się u ciebie. O ósmej?

Był tak skołowany, że tylko przytaknął i podał jej adres.

Od tej chwili widywali się praktycznie codziennie. W jego gorsze dni odwiedzała go w domu; lepsze spędzali na mieście – w kinie, w kawiarniach i restauracjach. Dobrze się im rozmawiało, przyjemnie spędzało razem czas. Podobało mu się jej ciepło, troskliwość, empatia. Zaraził się od niej

najpierw dobrym humorem, a następnie wiarą, że może jednak nie wszystko stracone i że czeka go jeszcze normalne życie.

Gdzieś w połowie drugiego cyklu naświetlań John nieśmiało zaproponował, żeby Anna się do niego wprowadziła. Dziewczyna w odpowiedzi przytuliła się do niego – leżeli nadzy pod prześcieradłem, a przez uchylone okno wpadało ciepłe, późnowiosenne powietrze i odgłosy milknącego ruchu ulicznego – po czym powiedziała, że go kocha.

– Poza tym – dodała ze śmiechem – i tak już ci gotuję i piorę twoje rzeczy. W gruncie rzeczy wiele się nie zmieni.

Którejś niedzieli odwiedzili ojca Johna. George Wallace natychmiast polubił Annę, a gdy ta wyszła do toalety, ścisnął syna za ramię i uśmiechnął się do niego, tak jak nie uśmiechał się od śmierci żony. Miał łzy w oczach, skok ciśnienia zaczerwienił mu twarz.

– Teraz już wszystko będzie dobrze, synu – powiedział ze ściśniętym gardłem. – Teraz masz po co żyć.

Następny miesiąc był jednym z najdziwniejszych okresów w życiu Johna. Dwa cykle radioterapii w znacznym stopniu pozbawiły go sił; potrafił spać po dziesięć, dwanaście godzin na dobę i budzić się zmęczony. Wyjścia na miasto stały się skrajną rzadkością, większość czasu spędzali wraz z Anną u niego... ale co to był za czas! John nigdy wcześniej nie przeżył niczego podobnego. Nigdy wcześniej nie czuł się tak przywiązany do kobiety, nigdy wcześniej nie zależało mu tak bardzo, by słyszeć czyjś głos, by widzieć czyjś uśmiech, by poczuć czyjś dotyk. Myśl, że oszalał na punkcie Anny, wcale go nie przerażała.

Cztery i pół miesiąca po rozpoczęciu leczenia John miał wyznaczone obowiązkowe badania kontrolne. Musiał pójść na nie sam – Anna miała inne obowiązki, natomiast jego ojca zabrał na tydzień do sąsiedniego stanu jego dawny doktorant i serdeczny przyjaciel. Wallace pozwolił sobie na odrobinę optymizmu: od ostatniego cyklu radioterapii minęły ponad dwa tygodnie i zaczynał odyskiwać nadwątlone siły, ponadto węzły chłonne,

które skurczyły się znacząco już podczas pierwszej serii naświetlań, teraz wyglądały zupełnie zwyczajnie.

Mimo wszystko kiedy lekarz powiedział, że nowotwór praktycznie w całości zniknął, John nie chciał mu uwierzyć.

– To znaczy, że będę żył? – zapytał.

– To się okaże na przestrzeni kolejnych miesięcy, ale rokowania są dobre. Dotychczasowe naświetlania powinny w ciągu kilku tygodni uporać się z ostatnimi komórkami rakowymi. W najgorszym wypadku wyślemy pana na trzeci cykl radioterapii. Osobiście jednak sądzę, że nie będzie to potrzebne.

Euforii, która mu towarzyszyła, gdy wychodził ze szpitala, nie da się opisać. Gdyby nie był zbyt osłabiony, wycinałby hołubce i krzyczał z radości na cały głos.

Natychmiast zadzwonił do Anny, żeby opowiedzieć jej o wszystkim. Słyszając, jak dziewczyna równocześnie śmieje się i płacze, pomyślał, że miał wielkie szczęście, spotykając ją na swojej drodze.

– Musimy to uczcić – powiedział tuż przed tym, jak się rozłączył.

Próbował zadzwonić do ojca, ale stary Wallace nie odbierał.

Później połączył się z Benem Mastersem, a gdy usłyszał głos kumpla, wykrzyczał do słuchawki:

– Będę żył! Ben, będę żył! Imprezujemy dzisiaj, ja stawiam. Zadzwonź po Tima i kogo tam chcesz, idziemy do Estate!

Estate był ekskluzywnym klubem nocnym, który odwiedzali już parokrotnie, by opić większe sukcesy: podpisanie ważnej umowy, wejście spółki na giełdę, wyróżnienie w prestiżowym rankingu Travel + Leisure. W staromodnym wnętrzu, pośród boazerii, lamp z rzeźbionego żeliwa i luster w intarsjowanych ramach, można było wypić najlepsze drinki w mieście i zawiesić oko na najbardziej wystrzałowych dziewczynach w całym stanie. Doskonałe miejsce, żeby świętować powrót między żywych.



John zjawił się w lokalu jako pierwszy, zajął skórzaną kanapę w jednej z łoży i zamówił truskawkowe daiquiri. Siedząc wygodnie, racząc się słodkim drinkiem i słuchając muzyki wydobywającej się z jednego z najlepszych w mieście systemów nagłośnieniowych, poczuł się, jakby wrócił do domu z dalekiej, męczącej podróży.

– Wróciłem – powiedział do siebie, gryząc lodowato zimną truskawkę.

Wrażenia, które dawniej mu towarzyszyły w takich miejscach, teraz jeszcze uległy zwielokrotnieniu. Zawsze cenił sobie smak drogich alkoholi i umiejętnie sporządzonych koktajli, ale po ponad czteromiesięcznej abstynencji czuł się jak Beduin, który nareszcie trafił do oazy. Zawsze z przyjemnością obserwował odwiedzające klub ślicznotki, ale tego dnia wszystkie wydawały się jeszcze bardziej ponętne; jego pożądanie potrafiła rozpałcić nawet krótka, najbardziej niewinna wymiana spojrzeń. Poza tym każda z dotychczasowych wizyt w Estate, pośród tych eleganckich mebli i pięknych, zadbanych ludzi, przypominała mu, że odniósł w życiu sukces; tej nocy jednak czuł się wyjątkowy, lepszy od nich wszystkich, zwycięzca wśród zwycięzców.

Zawsze byli królami życia, ale on przecież wywinął się teraz ze szponów śmierci.

Tim i Ben zjawili się, gdy zamawiał drugiego drinka. Przywitali go śmiechem, uściskami i jowialnymi okrzykami. Po dziwnej rezerwie ostatnich miesięcy nie został żaden ślad, znów był jednym z nich – niezniszczalny, niemal młody bóg, czerpiący z życia pełnymi garściami.

Anna przyszła jakiś czas później. Nie zauważył jej, dopóki nie stanęła przy ich stoliku i nie rzuciła mu się na szyję. Nie wiedzieć czemu, nagle poczuł się skrępowany jej wylewnością – zupełnie jakby znowu miał dziesięć lat i matka całowała go na oczach całej szkoły. Zerknął na Bena oraz Tima przepaszająco, z porozumiewawczym uśmiechem.

– No już, mała – powiedział. – Wystarczy tych czułości.

– Sama zdecyduję, kiedy ich wystarczy – odparła, gryząc go w ucho.

– *Nie jesteśmy sami.*

*Wyprostowała się i przywitała z Timem oraz Benem, a John miał okazję, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Prosta czarna sukienka i zielony awanturyn na tandetnym koralikowym wisiorku zamiast dodawać uroku, tylko podkreślały zwyczajność dziewczyny. Włosy spięte frotką wydawały się w słabym świetle matowe, a pozbawiona makijażu twarz – banalna, nieciekawa. W otoczeniu odwiedzających Estate modelek, aktorek, bogatych pań u progu pełnoletności i ekskluzywnych dziwki wyglądała jak gołąb pośród rajskich ptaków, jak szklany paciorek na stercie szlachetnych kamieni.*

*O czym, w okolicach czwartego drinka, nie omieszkał jej poinformować.*

\*\*\*

Przerywam pisanie, bo zmęczona dłoń odmawia mi posłuszeństwa, poza tym ledwo widzę przez załzawione oczy. Odkładam długopis i pochylam się nad tekstem, dłonie opieram na skroniach. Próbuję powstrzymać napływające wspomnienia, ale równie dobrze mógłbym próbować zatrzymać tsunami.

Wciąż mam przed oczyma twarz Anny, jej gasnący uśmiech i spojrzenie zawiedzionego dziecka. Pamiętam jej wzrok poszukujący w moich gestach, mimice, głosie jakiegoś śladu bezczelnego, szowinistycznego poczucia humoru; czegoś, co pozwoliłoby jej wierzyć, że to po prostu nieudany dowcip. Wciąż też słyszę swoje słowa – pijacko chybione i bezładne, bezwzględne i brutalne. Pamiętam spustoszenie, jakiego dokonały w tej wesołej, pełnej życia dziewczynie, pamiętam tak dokładnie, że aż chce mi się wyć.

W tym momencie coś we mnie osiąga masę krytyczną.

Wstaję i z krzykiem wywracam biurko. Ciskam w ścianę krzesłem, kopię z całej siły w stół. Ułamek sekundy później zrywam obrazek z badziewnym landszaftem, rzucam na podłogę i zaczynam po nim skakać.

Cały czas wrzeszczę – mam wrażenie, że gdybym spróbował zamilknąć albo znieruchomieć, eksplodowałbym.

W końcu padam na kolana. Dyszę ciężko, po twarzy ciurkiem spływa mi pot, z kącików oczu cieką łzy.

Dopiero teraz widzę, że z progu зерka na mnie dwóch postawnych pielęgniarzy. Doktor Travis stoi za ich plecami i trzyma im ręce na barkach, mówi coś. Wygląda jak myśliwy wstrzymujący ogary.

Na krótką chwilę nasze spojrzenia się spotykają i widzę, że w jego oczach nie ma nagany, złości, odrazy – tylko współczucie, i to sprawia, że ostatecznie się rozklejam. Ryczę jak baba i kładę się na podłodze, by zaraz zwinąć się w pozycji embrionalnej.

Jestem przerażająco sam, jak rozbitek na morzu albo zapalony znicz na zapomnianym cmentarzu. A wyrzuty sumienia jeszcze szepczą mi do ucha, że w pełni na tę samotność zasługuję.

Trzęsę się i płaczę. Długo to trwa, bo tego, co muszę z siebie wyrzucić, jest niemało.

Sam nie wiem, kiedy zapadam w sen.

Budzę się w nocy, zdrętwiały. Mija chwila, nim dociera do mnie, gdzie jestem i co się tu właściwie stało. Zapalam światło i zaczynam metodycznie sprzątać pokój, ustawiam powywracane sprzęty na miejsce. W głowie mam pustkę, emocje jakby ostygły, stężały.

Siadam przy biurku i układam zapisane kartki we właściwym porządku. Odnajduję miejsce, gdzie przerwałem, po czym sięgam po długopis. Boję się tego, co chcę napisać, ale z drugiej strony wiem, że muszę dokończyć tę opowieść.

Nie pozostało mi nic poza niczym nieuzasadnioną wiarą, że wtedy odzyskam spokój i zacznę naprawiać swoje życie.

\*\*\*

To było jak woda wylewająca się z przerwanej tamy. Kiedy już zaczął mówić, nie mógł przestać. Jakaś jego cząstka – pierwiastek arogancji, który obudził się wraz z optymistyczną diagnozą i wypitymi drinkami – wywlekała na światło dzienne każdy drobiazg, który mu w Annie przeszkadzał bądź nie spełniał jego oczekiwań. Nie chciał, żeby tak to brzmiało, ale nic nie mógł na to poradzić – krążący w krwiobiegu alkohol przeinaczał jego intencje i podpowiadał słowa, których w innym wypadku nigdy by nie wypowiedział: pospolita twarz, brak ambicji, prowincjonalny gust, nuda.

Próbowała się uśmiechać, aż do samego końca, ale wreszcie zrozumiała, że to nie jest żart.

– Jeszcze dzisiaj rano mówiłeś, że mnie kochasz...

Wzruszył ramionami. Gdyby ją uderzył, chyba nie bolałoby bardziej.

Kiedy wybiegła z klubu, nie zrobił nic. Siedział na skórzanej kanapie i trącał słomką rozmięktłą truskawkę spoczywającą na dnie kieliszka.

Spędził w klubie jeszcze jakiś czas. Pił, gapił się na dziewczęta na parkiecie, wdzięcznie kręcące biodrami, wymieniał pozbawione głębszego znaczenia uwagi z kumplami i z całej siły wmawiał sobie, że nie potrzebuje Anny, że nigdy jej nie potrzebował.

W połowie piątego drinka pobiegł do toalety i natrafiwszy na zamknięte kabiny, zwymiotował do pisuaru. Rzygał długo i boleśnie, trzymając się kurczowo porcelanowej muszli, po czym osunął się na ziemię i oparł czoło o chłodne kafle ściany. Kwaśny posmak w ustach i odmawiające posłuszeństwa mięśnie przypomniały mu o wszystkim, co niedawno przeszedł.

Przypomniały o Annie, która była z nim w dobre i złe dni, wspierała go i kochała, wyprowadziła go za rękę z labiryntu choroby.

Łzy same w końcu pociekły mu po policzkach. Nie przestały ciec, gdy płukał usta, mył twarz czy bez pożegnania opuszczał klub.

Nie wiedział, że jakaś siła wyższa – Bóg? los? fatum? – szykuje dla niego jeszcze bardziej perfidną niespodziankę.

Wyszedł na zewnątrz wciąż rozdygotany, targany wyrzutami sumienia i poczuciem bezsensownej straty, której tylko on był winien. Kawalek dalej, po drugiej stronie ulicy, dojrzał taksówkę i ruszył chodnikiem w jej kierunku.

Poczuł vibracje w kieszeni. Kiedy wyciągnął komórkę, na wyświetlaczu zobaczył numer swojego ojca. George Wallace już czterokrotnie próbował się z nim skontaktować, ale John, wchodząc do Estate, zostawił aparat w kurtce, którą oddał do szatni.

Odebrał telefon.

– Tak? – zapytał głosem człowieka przegranego.

– John? John, co się dzieje? Próbowałem dzwonić, ale...

– To koniec, tato – odparł i znowu zaczął płakać. Przypomniał sobie to, jaki szczęśliwy wydawał się ojciec, kiedy widział go z Anną, i coś znowu boleśnie zakłuło go w piersi. Zaczął przechodzić przez ulicę, w stronę taksówki. – Spieprzyłem to, wszystko spieprzyłem. To koniec...

Był pijany. To dlatego nie mówił składnie.

I dlatego przed wyjściem na jezdnię nie popatrzył, czy nic nie nadjeżdża.

Najpierw dojrzał światła rozlewające się po asfalcie, ułamek sekundy później dotarły do niego jęk klaksonu i pisk opon. Obejrzał się przez ramię, by ujrzeć szybko zbliżający się kształt samochodu – zwalistą, czarną sylwetkę z parą rozświetlonych ślepi.

Zamarł z otwartymi ustami i komórką przy uchu.

Uderzenie rzuciło go na ziemię. Potoczył się po asfalcie jak kopnięta puszka, zatrzymał kilka kroków dalej. W pierwszej chwili nie mógł złapać tchu i był przekonany, że umiera. Jednak po krótkiej chwili udało mu się zaczerpnąć powietrza. Raz czy drugi odetchnął głęboko, później spróbował się podnieść. Bolały go poobcierane dłonie i łokcie, stłukł sobie bark, a na kolanie piekła zdarta skóra. Ale żył, kierowca w dużej mierze zdążył wyhamować, impet uderzenia okazał się niewielki.

*Przeszedł kilka kroków, po czym zakręciło mu się w głowie, więc przysiadł na chodniku. Mężczyzna z auta podbiegł do niego i zapytał z troską:*

*– Dobrze się pan czuje? Zaraz wezwę karetkę.*

*– Nic mi nie jest.*

*– Najmocniej przepraszam, ale wyszedł pan tak nagle na jezdnię, ja... John machnął ręką, po czym rozejrzał się wokół nieco skołowany.*

*– Moja komórka...*

*Kierowca przez moment przyglądał mu się bez zrozumienia, po czym go olśniło. Znalazł upuszczony aparat i podał go Johnowi.*

*Wyświetlacz był czarny, pęknięty, pozbawiony życia i do Johna dopiero wtedy dotarło, co powiedział ojcu. Przypomniał sobie, że nie miał okazji, by wcześniej podzielić się z nim dobrymi wieściami o diagnozie i z przerażeniem zdał sobie sprawę z tego, jak George mógł odebrać jego słowa.*

*To koniec, tato.*

*O Boże, pomyślał John. Nie.*

*Pożyczył komórkę od kierowcy, który go potrącił, ale minęło kilkadziesiąt cennych sekund, zanim przypomniał sobie numer do ojca. Płaczące się myśli i drżące dłonie nie ułatwiały zadania.*

*Nikt nie odbierał, mimo że dzwonił wiele razy.*

*Następnego dnia dowiedział się, że od dawna cierpiący na nadciśnienie George Wallace minionej nocy dostał udaru mózgu i zapadł w śpiączkę. Zmarł tydzień później, nie budząc się ani na chwilę.*

*\*\*\**

*Sprzątam pokój. Ścieram kurze, zamiatam i zmywam podłogę, myję nawet okna, choć na zewnątrz jest pochmurno i Bóg jeden wie, czy za godzinę lub dwie nie lunie deszcz. Nie jestem sam. Travis zdejmuje poszewki z kołdry i poduszek. Nic nie mówi, ale jego obecność sprawia, że czuję się lepiej.*

Przed chwilą skończył czytać moje zapiski. Mimo iż kilkakrotnie przypominał, że nie musi tego robić, że te ostatnie strony są tylko dla mnie, zgodził się, gdy go o to poprosiłem. Czytał z uwagą, podczas gdy ja zajmowałem się porządkami; kątem oka dojrzałem, że przy ostatnich zdaniach pokiwał powoli głową, jakbym potwierdził jakieś jego domysły. Ten gest mógłby mnie zezłościć, gdyby nie wyraz twarzy doktora.

Widoczne na niej ból i współczucie za bardzo przypominały mi Annę.

Otwieram okno, żeby umyć je od zewnątrz i zdrapać z parapetu białawą plamę gołębih odchodów. Do pokoju wpada rześkie powietrze pachnące liśćmi, wilgotną ziemią, jesienią.

– Poważne porządki – zauważa Travis.

– Chcę zostawić pokój w takim stanie, w jakim go zastałem.

– Czyli wyjeżdża pan?

– Powinienem zostać?

Travis waha się przez moment, drapie po policzku. Później składa kołdrę na czworo, na jej wierzchu kładzie poduszkę. Bierze ścierkę i zaczyna wycierać szuflady w biurku, jedną po drugiej.

– Może pan jechać – mówi w końcu. – Wypiszę rekomendację. O ile oczywiście umówi się pan na regularne wizyty u jakiegoś psychologa w mieście. Wierzę, że najgorsze mamy za sobą.

Kiwam głową. Przez kilka minut nie odzywamy się do siebie, zajęci sprzątaniami. Zastanawiam się właśnie, który z nas pierwszy straci cierpliwość i przerwie milczenie, kiedy Travis pyta:

– Co pan teraz zamierza?

Wzruszam ramionami. Nagle dociera do mnie, że czuję się przy nim swobodnie, jakby nie istniały już tematy, których nie mogę z nim poruszyć. Czy przez te trzy tygodnie zostaliśmy kimś na kształt przyjaciół? Czy może na tym, na budowaniu zaufania, polega jego praca i po prostu dobrze ją wykonał? Wraz z wydarzeniami ostatnich dni zniknęły gdzieś moja

arogancja i pewność siebie, więc zwyczajnie nie wiem. Zresztą czy to ma jakieś znaczenie?

– Chcę wrócić do pracy. Naprawić swoje życie. Odzyskać kontrolę i spokój. Pogodzić się z tym, że mój ojciec nie żyje z mojego powodu.

Travis wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu rezygnuje. Uśmiecham się. Ma rację. Jego rola jest skończona. Kto inny przejmie teraz ster i pomoże mi uporać się z moimi demonami.

– Co z Anną? – pyta po chwili.

– Nie wiem.

– Zamierza pan do niej zadzwonić? Spotkać się?

– Sądzi pan, że powinienem?

Tym razem to Travis wzrusza ramionami.

– To zależy, co pan naprawdę myśli i czuje. Co podpowiada panu serce. Czy Anna faktycznie była nudną dziewczyną z małego miasteczka i wykorzystał ją pan, bo potrzebował drugiego człowieka: jego ciepła, czułości, wsparcia, wiary? Czy może pod pospolitą powierzchownością krył się ktoś inny? Ktoś, kogo zdołał pan dostrzec, kiedy sam był bezradny i przestraszony. Czy naprawdę przeszkadzały panu jej wygląd, ubrania, praca pracownika socjalnego? Czy może bał się pan tego, jak będą postrzegać ją – oraz pana przez jej pryzmat – inni? Może bał się pan tego, co oznacza życie u jej boku? Pytań jest całe mnóstwo, ale tylko pan może na nie znaleźć odpowiedzi.

Patrzę na niego przez moment i w końcu zdobywam się na słaby uśmiech.

– Jak na trzy tygodnie terapii cholernie kiepsko to wygląda – mówię. – Zamiast dać odpowiedzi, zostawia mnie pan z masą pytań. Zarzucał panu ktoś kiedyś szarlatanerię i nabijanie ludzi w butelkę?

Travis śmieje się głośno i zamyka ostatnią wytartą szufladę. Przez chwilę waha się, gdzie odłożyć ścierkę, więc zabieram ją od niego i płuczę



w miednicy. Czuję jego wzrok na sobie i dociera do mnie, że po wyjeździe z Acres będzie mi brakować naszych rozmów.

– Dobrze – mówi. – Idę wypisać rekomendację.

– Doktorze?

Zatrzymuje się w drzwiach, patrzy na mnie znad szkieł zsuniętych na czubek nosa. Zastanawiam się przez moment, gdzie wcześniej widziałem takie same oczy, oczy wiecznie zaciekawionego dziecka, niezmiennie gotowe, by czerpać z cudownej złożoności świata.

Nagle rozumiem – takie same oczy miał mój ojciec.

– Dziękuję – mówię. – Chyba się panu nigdy nie odwdziczę.

Wygląda, jakby się chwilę zastanawiał, po czym kręci głową z beczelnym uśmiechem.

– Nie, raczej nie.

Wychodzi z pokoju, pogwizdując wesoło. Zamierzam dopakować ostatnie drobiazgi, kiedy gwizdanie się urywa, a Travis raz jeszcze pojawia się w progu.

– Chyba że macie jakieś specjalne rabaty na wakacje na Krecie – mówi.

– Zrobił mi pan smaka tą swoją pisaniną.

\*\*\*

Fragment monografii „Tezeusz i Minotaur: Mit i jego odczytania” autorstwa George’a Wallace’a, wydawnictwo Penn State University Press.

*Po szeroko komentowanych w świecie naukowym pozycjach Henry’ego J. Walkera (1994) czy Sophie Mills (1997) wydawało się, że w temacie największego ateńskiego bohatera niewiele można już powiedzieć nowego. Jednak nieortodoksyjne, interdyscyplinarne spojrzenie zastosowane przez Jurija Lakowa w jego książce „Tezeusz: Od tradycji oralnej po Hollywood” (2014) rzuciło nowe światło na czyny herosa i zaproponowało świeżą ich interpretację.*

Podobnie jak wielu innych badaczy, powołujących się na teksty Apollodorosa czy Demetriosa ze Skepsis, Lakow bezpośrednio łączy opuszczenie Ariadny przez Tezeusza z samobójstwem Egeusza. Idzie on jednak w proponowanej interpretacji o krok dalej, skrupulatnie wynajdując dowody potwierdzające jego tezę, zgodnie z którą późniejsze czyny Tezeusza są wyrazem frustracji i wyrzutów sumienia, wynikających ze złamania obietnicy danej Ariadnie i porzucenia córki Minosa na wyspie Naksos. Dla znawcy dalszych, kontrowersyjnych losów ateńskiego herosa interpretacja ta sprawia wrażenie całkiem wiarygodnej. Czy to nie wyrzuty sumienia były motorem szaleńczych, samobójczych właściwie działań, jak porwanie Heleny – późniejszej Heleny Trojańskiej – czy próba uprowadzenia Persefony z Hadesu? Czy nie dlatego Tezeusz uwięził Hippolitę, rozpętując tym samym wyniszczającą wojnę Aten z amazonkami? Czy wreszcie poślubił Fedrę, siostrę Ariadny, z autentycznej miłości? Czy może raczej w desperackiej próbie zadośćuczynienia za zło, które wyrządził? Korzystając z badań Stanleya Rosnera oraz Patricii Hermes, zawartych w „The Self-Sabotage Cycle” (2006), Lakow oferuje rzetelny wywód, w którym wszystkie te akty szaleńczej odwagi przedstawione są jako wyraz podświadomych autodestrukcyjnych pragnień. W ten sposób czyni z Tezeusza psychologicznie najciekawszego i najbardziej skomplikowanego spośród greckich herosów, postać prawdziwie tragiczną i ujmująco ludzką.

Wrocław, styczeń-maj 2014

## Diabeł na rozstajach

– Pan Wray?

Deszcz bił w rozkopaną ziemię, ciekł brudnymi strugami w głąb dołu, postukiwał w wieko trumny. Uroczystość, krótka i okrutnie bezosobowa, dobiegła końca nie więcej niż pięć minut wcześniej, ale niemal wszyscy, którzy przybyli tego dnia na cmentarz, zdążyli już rozmyć się w ponurą, wilgotną szarówce. Chłopak popatrzył na ostatnie sylwetki – targane wiatrem ubrania i dłonie siłujące się z parasolami – po czym odwrócił moką twarz w stronę nieznanego.

– Pan Alistair Wray? – upewnił się tamten.

Przez deszcz widać było niewiele: płaszcz z postawionym kołnierzem, ciemne włosy i krótko przystrzyżoną brodę. Skórzane rękawiczki i przeciwsłoneczne okulary z lustrzanymi szklami.

– To ja.

Nieznamy podszedł bliżej. Spojrzeli na drewniany krzyż, na wodę, która niby łyż spływała po mosiężnej plakietce i literach układających się w słowa:

*Michael J. Wray*

*1975-2016*

– Moje kondolencje – powiedział nieznamy. – To wielka strata.

Chłopak parsknął, jakby usłyszał kiepski żart. Wyciągnął z kieszeni paczkę chesterfieldów, wsadził papierosa w kącik ust. Osłonił dłonią jednorazową zapalniczkę, ale nie zdołał skrzesać nawet iskry.

– Proszę.

Trzasnęła chromowana zippo, nieznamy podał mu ogień. Chłopak podziękował skinieniem i zaciągnął się.

– Domyślam się, jak pan się czuje – oznajmił obcy. – Czterdzieści jeden lat. Nikt nie powinien umierać tak młodo. Żaden człowiek, ojciec tym bardziej. Szczególnie taki, z którym nie było okazji się pożegnać. I pojednać.

Alistairowi nagle zjeżyły się włoski na karku.

– Kim pan jest?

Nieznajomy zignorował pytanie.

– Chciałbym z panem porozmawiać – rzekł. – Tu niedaleko, na rogu, jest taki pub...

Chłopak cisnął niedopałek na ziemię, przydeptał go.

– Przykro mi, ale nie jestem w nastroju. Do widzenia.

Odwrócił się i ruszył w stronę bramy. Jego buty chrzęściły na żwirze, którym wysypana była ścieżka. Złapał się na tym, że nasłuchuje, czy mężczyzna idzie za nim. Nie szedł.

– To musi być okropne – usłyszał zza pleców. – Ta złość, frustracja, ta potworna bezradność. I żal... żal, który stara się pan ukryć przed wszystkimi, nawet przed sobą samym. Nie może pan tego zrozumieć, prawda?

Chłopak szedł przed siebie, z każdym krokiem przyspieszając. Zerknął przez ramię, żeby sprawdzić, czy ten czubek właśnie nie wyciąga noża albo pistoletu. Obcy jednak stał w miejscu, z parasolem nad głową i połami płaszcza szarpanymi przez wiatr. Nie wyglądał, jakby zamierzał kogoś gonić.

– Mogę panu powiedzieć! – krzyknął, kiedy chłopak wszedł już w alejkę obsadzoną wiązami. – Mogę panu powiedzieć, dlaczego on taki był. I dlaczego nie żyje.

\*\*\*

W nagrzanym, rozedrganym powietrzu nadjeżdżający samochód z początku przypomina kroplę rtęci. Opływowy kształt z wolna ciemnieje, wyostrzają

się jego krawędzie. Nagle słycać warkot silnika. Kiedy Mike rozpoznaje sylwetkę wysłużonego pickupa el camino, staje bokiem do szosy i pokazuje, że chętnie skorzystałby z podwózki.

O dziwo chevrolet zaczyna zwalniać i zatrzymuje się na wysokości Mike'a. W oknie pokazuje się gość w kowbojskim kapeluszu. Ramiona ma wytatuowane, na torsie pozbawioną rękawków koszulkę Lynyrd Skynyrd.

– Dokąd?

– Przed siebie.

Kowboj zerka na Mike'a, potem na jego plecak i pokrowiec z gitarą.

– Masz w zwyczaju śpiewać do tego, co puszcza w radio?

– Nigdy. Ale czasem wytupuję nogą rytm. To silniejsze ode mnie.

Kierowca szczerzy w odpowiedzi zęby.

– Wskakuj.

Ruszają. Z głośników leci jakiś rasowy southern rock: przesterowane gitary, szybkie pianino, wokół zaciągający tak, jakby jego właściciel wychował się na mokradłach Luizjany w towarzystwie aligatorów i zbiegłych niewolników.

Jakiś czas jadą w milczeniu. Popołudniowe słońce wisi nad drogą, pali skórę przez szybę. Mike w ciągu ostatnich lat odwiedził chyba każdą dziurę w Stanach i przebył każdą wyboistą drogę, ale tylko tu, na południu, wśród bezdroży Kalifornii, Teksasu czy Nowego Meksyku, ma wrażenie, że słońce nie jest kulą gazu, lecz płonącym okiem jakiegoś bezlitosnego pogańskiego boga ognia.

Telefon drży w jego kieszeni. Mike zerka na wyświetlacz, odrzuca połączenie. Siódmy raz tego dnia.

– Dziewczyna? – zagaduje kierowca.

– Taaa.

– Same z nimi kłopoty, co?

Mike wzrusza ramionami, a kowboj się śmieje. Jadą, słońce praży niemiłosiernie. Aż dziw, że otaczające drogę wysuszone krzaki nie stają

w ogniu.

– Dobra muza, nie? – pyta kierowca. – Wszystkie najlepsze kapele są z południa, serio. Lynyrdzi, Allmani, Black Oak...

Zerka przez ramię na futerał z gitarą, potem na Mike'a.

– Grasz czy to tylko do wyrywania panien?

– Do wyrywania.

Chichoczą. Kierowca sięga za siedzenie i wyjmuję dwie butelki piwa, jeszcze nawet chłodne.

– Otwórz, co? I poczęstuj się.

Mike zajmuje się butelkami, kierowca tymczasem wsadza do radia nową kasetę.

– Puszczę ci jedną kapele. Goście są gdzieś z północy, chyba z Illinois, ale łożą rocka, aż ciary idą. Lone Wolf. Kojarzysz?

– Coś mi się obilo o uszy.

– Powinno. Wydali debiut, który w ciągu dwóch tygodni zgarnął platynę. Zasłużenie, kurwa. To nie jest jakiś pieprzony George Michael, tylko prawdziwa muzyka: z duszą, serduchem i jajami.

Z głośników lecą pierwsze dźwięki. Szklany slide ślizga się po strunach akustyka, perkusja cichutko wybija rytm. Nosowy męski głos zaczyna snuć opowieść o pechowej miłości. Po czterech wersach zapada cisza, a potem eksplodują mocne gitary i ciężkie bębny. Bas zaczyna bujać, wokal nabiera melodyki, pazura, śpiewa gęściej, z mocą, z młodzieńczą, buńczuczną energią.

– Zajebisty numer, co?

– Daje radę.

Mike osłania oczy od słońca i obserwuje okolicę, jakby czegoś szukał.

– Posłuchaj tej solówki – mówi nagle kierowca.

Przez kolejne czterdzieści sekund nuci partię gitary razem z nagraniem. Improwizacja jest zgrabna, pomysłowa, znakomicie zagrana. Stopniowo

przyspiesza, aż wchodzi w powtarzalną sekwencję lecącą unisono z pianinem, na którą nakłada się przebojowy refren.

– Ja pierdołę, ależ ten szczył wymiata! – Kowboj cieszy się jak dziecko.  
– Dwadzieścia dwa lata i takie paluchy! Drugi, kurwa, Joe Perry. Albo Slash.

Mike nie może opanować cierpkiego uśmiechu. Kawalek dalej, między zakurzonymi głazami i karłowatymi jałowcami, objawia się kolejna szosa, biegnąca prostopadle do tej, którą jadą.

– To tutaj – oznajmia Mike. – Wyrzuć mnie na skrzyżowaniu, okej?

Nic tu nie ma, tylko dwie drogi krzyżujące się pośród bezludzia, które nie może się zdecydować, czy jeszcze jest stepem, czy już pustynią. A jednak kierowca zatrzymuje się, nie okazując zdziwienia.

Na pożegnanie wyciąga do Mike'a dłoń. Na jej wierzchu widnieje tatuaż: czaszka, z której pustego oczodołu wypełza grzechotnik z rozdziawioną paszczą.

– Dzięki za podwózkę. I za piwo.

– Nie ma sprawy.

El camino odjeżdża, przez otwarte szyby wylewa się kolejny numer Lone Wolf, a Mike stoi na rozdrożach i czuje na twarzy gorący dotyk słońca chylącego się ku zachodowi.

\*\*\*

– Wiem, dlaczego mój ojciec nie żyje – wyjaśnił Alistair, kiedy usiedli. – Zapił się na śmierć.

Wnętrze pubu przypominało chłopakowi niektóre z londyńskich knajp, które odwiedził podczas ostatniego pobytu na Wyspach: stoły i krzesła w ciemnym drewnie, zmatowiała boazeria, tapety niemal czarne w świetle słabych żarówek. Z przedpotopowej szafy grającej leciał Blue Oyster Cult, a na wykładzinie leżało kilka mokrych liści, które wiatr wepchnął do środka wraz z wchodzącymi klientami.

– To rezultat, a nie powód – zaprzeczył obcy.

Zdjął płaszcz i złożył parasol, na skraju stołu spoczęły jego skórzane rękawiczki oraz okulary przeciwsłoneczne. Miał ze czterdzieści lat, piwne oczy oraz twarz, która pewnie podobała się kobietom.

– Wciąż pan nie powiedział, jak się nazywa.

– Sam A. Elis.

– Znał się pan z moim ojcem?

– Robiliśmy razem interesy.

Chłopak zamoczył usta w kuflu guinnessa i pokręcił głową z krzywym uśmiechem.

– Mój ojciec przez ostatnich naście lat pracował jako magazynier, nocny stróż albo popychadło na budowie. Zarabiał marnie i większość z tego momentalnie przepijał. Nie wiem, jakie niby interesy mógł pan z nim robić.

– Pana ojciec nie zawsze mieszkał w Peorii w stanie Illinois. I nie zawsze marnie zarabiał.

\*\*\*

Mike odchodzi od skrzyżowania, między poskręcane pnie jałowców i sosny pinyon o gałęziach przyprószonych igłami barwy zblakłej zieleni. Jaszczurka czmycha na jego widok z nagrzanego kamienia.

Mężczyzna po chwili wahania składa bagaże u stóp samotnego drzewa Jozuego. Z plecaka wyciąga sześciopak piwa, otwiera butelkę i pije, spoglądając na nagie gałęzie zwieńczone kulkami długich, ostrych igieł. Za nim zachodzi słońce, pod drzewem stoi już jednoosobowy namiot, przed nim zaś pali się skromne ognisko. Znad lizanej przez płomienie puszek z fasolą i bekonem bucha para. Mike pije piwo i żuje skrawki suszonej wołowiny, czekając, aż jedzenie będzie gotowe. Ignoruje trzy kolejne telefony; po czwartym wyłącza komórkę.

Kiedy już kończy kolację, otwiera kolejne piwo i sięga po futerał z gitarą. Pieszczotliwym gestem przesuwając dłoń po korpusie akustyka,



układa palce lewej dłoni w akord. Trąca struny, dźwięk niesie się wśród pustkowiec, potem gaśnie wśród trzasku płonącego drewna i innych odgłosów stepu. Mężczyzna uśmiecha się i zaczyna grać. Gładko przechodzi z jednego utworu w inny, rockowe evergreeny przeplata improwizowanymi bluesami. Gra kilka lub kilkanaście minut, po czym przerywa, żeby napić się piwa, i wraca do muzykowania.

Wokół zapada noc: cienie gęstnieją i kleją się do siebie, po stygnącym niebie przemykają nietoperze i sowy. Mrok i chłód podkradają się coraz bliżej ogniska. Dźwięki gitary płyną przez odludzie. Mike zapamiętuje się w grze i przestaje zauważać upływ czasu. Otwarte piwo stoi obok, zapomniane. Wysoko w górze rozbłyskują gwiazdy.

Kiedy Mike przestaje grać – zaraz po tym, jak nuta po nucie powtarza słyszaną w el camino brawurową solówkę Lone Wolf – rozgląda się wokół i rozumie, że nie jest sam.

\*\*\*

– Lone Wolf? – powtórzył Alistair z niedowierzaniem. – Mój ojciec był gitarzystą Lone Wolf?

– Nie wiedział pan? – spytał Elis.

– Nie miałem pojęcia.

Trudno było mu w to uwierzyć. Jego ojciec był życiowym nieudacznikiem; facetem, który wydawał się nie mieć żadnych ambicji ani marzeń. Jego egzystencja sprowadzała się do zarobienia na czynsz i żarcie, a wszelkie finansowe nadwyżki natychmiast upływniały, w przenośni i dosłownie. On miałby być geniuszem gitary? Fakt, w jego mieszkaniu zawsze walały się dziesiątki płyt, ale Alistair nigdy nie widział ojca z żadnym instrumentem.

Z drugiej strony, coś mówiło mu, że to może być prawda. Przypomniał sobie, że ojciec puszczał tę jedną jedyną płytę Lone Wolf tylko kiedy był solidnie wstawiony. Słuchał jej w ponurym, zaciętym milczeniu, wlewając

w siebie burbona i gapiąc się w ścianę. Najczęściej zasypiał na siedząco, zanim album dobiegł końca.

– Może pan to sobie sprawdzić na Wikipedii – zasugerował Sam A. Elis. – Albo we wkładce do płyty.

Alistair pokręcił głową i dopił piwo. Jego rozmówca natychmiast pokazał barmanowi, by przyniósł im jeszcze po jednym.

– Nie rozumiem – powiedział chłopak. – Jak można... mając taki talent, taki dar... jak można tak sobie spieprzyć życie? Przecież on...

– Pan ma coś takiego? Taki talent?

Chłopak się zawahał. Pamiętał nagrania Lone Wolf. Słuchał ich tyle razy, że partie gitary wgrzyły mu się w mózg. Niektóre solówki mogłyby zanucić tu i teraz, bez chwili wahania.

– Nie taki... – odparł z pokorą w głosie, której sam się po sobie nie spodziewał. – Trochę rysuję: komiksy, plakaty, takie rzeczy... Mam nadzieję, że za jakiś czas będę w stanie się z tego utrzymać, ale...

Nagle z jakiegoś względu wydało mu się, że brzmi to infantylnie, jak marzenie czterolatka, żeby w przyszłości zostać astronautą. Machnął ręką, zanurzył usta w piwie.

– Proszę mówić – poprosił. – Niech pan mówi, co było dalej.

\*\*\*

Mike dostrzega cień – czarny kontur ludzkiej sylwetki na tle mroku. Odkłada gitarę na futerał, żeby twarda ziemia nie porysowała drewna. Potem czeka, wciąż siedząc. W końcu dociera do niego chłód lepiący się do pleców, oczy wreszcie rejestrują przepastną głębię mroku, która na tym kalifornijskim pustkowiu wygląda tak samo, jak w chwili gdy rodził się świat. Mike spostrzega, że ucichły cykady i nietoperze, że myszy już nie szeleszczą wśród kęp bylicy.

Jeżą mu się włoski na karku, przedramiona pokrywa gęsia skórka.

Kiedy Mike zaczyna sądzić, że to jednak tylko złudzenie, kształt się porusza, a z mroku dobiega głos. Mike wie, że go zna, ale w pierwszej chwili nie może dopasować go do osoby.

– Według legendy Robert Johnson, pierwszy wielki bluesman, pewnego dnia poszedł o północy na skrzyżowanie dróg, gdzieś pośród lasów i łąk Missisipi – mówi głos, starannie wymawiając każde słowo. – Napotkanemu tam diabłu oddał duszę w zamian za talent do grania bluesa.

Cień przesuwa się, ciężkie buty szurają o kamienistą ziemię.

– Johnson nagrał zaledwie dwadzieścia dziewięć utworów, ale wszystkie stały się klasykami, podwaliną gatunku. Niedługo jednak cieszył się swoim darem: zmarł tragicznie w wieku dwudziestu siedmiu lat, najprawdopodobniej otruty.

Mike obserwuje zbliżający się kształt jak sparaliżowany. Z mroku wyłaniają się najpierw robocze buciory, potem dzinsy o postrzępionych nogawkach. Postać jest coraz bliżej i Mike uświadamia sobie nagle, że w promieniu wielu mil nie ma absolutnie nikogo, kto mógłby mu pomóc. Nikogo, kto usłyszałby jego krzyk.

– Niektórzy uważają – mówi głos i Mike w końcu go rozpoznaje – że Robert Johnson zapoczątkował niesławny Klub dwadzieścia siedem, do którego mieli później należeć Jim Morrison, Janis Joplin czy Kurt Cobain. To oczywiście bzdura. Na długo przed nim istnieli muzycy, którzy wyzionęli ducha w wieku dwudziestu siedmiu lat. Tak samo jak już przed nim istnieli tacy, którzy w zamian za talent zapredali duszę diabłu.

Rozmigotane światło ogniska pada na spraną koszulkę Lynyrd Skynyrd, na kowbojski kapelusz. Refleksy w szklach okularów przeciwsłonecznych przypominają olbrzymie płonące ślepie.

– Nie jesteśmy w Missisipi – mówi kierowca el camino. – A ty już umiesz grać. O tak, brachu, ależ ty potrafisz grać.

W chwili kiedy Mike'owi przychodzi do głowy, że nie powinien się bać, nie tak bardzo, bo przecież stoi przed nim człowiek, może i świr, ale

jednak tylko człowiek, po ramieniu mężczyzny przesuwa się ciemna smuga. Obcy robi jeszcze jeden krok i wtedy Mike widzi nad jego lewym barkiem pokryty łuskami łeb grzechotnika rogatego. Rozdwojony język podryguje z cichym sykiem, a kowboj uśmiecha się i jest w tym uśmiechu coś tak nieludzkiego, że na Mike'a pada strach, a jego jądra chowają się w głąb ciała.

– Co tam? – pyta obcy, stając po drugiej stronie ogniska. – Spodziewałeś się kogoś innego?

Mike nie ma pojęcia, co odpowiedzieć. W głowie ma mętlik, język nie chce go słuchać. Zmusza się, żeby otworzyć usta, ale zanim powie choć słowo, tuż przy jego uchu rozlega się tubalne:

– Buu!

Mike przewraca się, potrąca gitarę. Spogląda w stronę, z której nadszedł ten mocarny, głęboki głos. Jego wzrok pada na olbrzymiego Murzyna, smoliście czarnego, nagiego, o skórze lśniącej od potu. Murzyn rechocze, w ciemności błyskają upiornie jego wielkie zęby i białka oczu. Tłucze się zadowolony po gołych udach, a gigantyczny rozkołysany penis obija mu się o nogi. Węże wiją się u jego stóp.

Zwycięża instynkt. Mike cofa się o krok lub dwa, ale potem nieruchomieje. Trzęsie się, dyszy, pot cieknie mu do oczu. Chciałby rzucić się do ucieczki, ale przypomina sobie, że mu nie wolno. Nie po to tu przyjechał.

Ociera piekące oczy i nagle przekonuje się, że Murzyna nie ma, zniknął wraz ze swoimi grzechotnikami; nie ma też kierowcy el camino. Jest tylko tłące się ognisko, namiot, drzewo Jozuego i dalej ciemność, całe morze ciemności, której nie są w stanie rozproszyć miriady gwiazd tkwiące nieruchomo na niebie.

– Po coś tu przylazł? – pyta inny głos. Trzeszczy niby płonąca trawa, dobiega ze wszystkich stron równocześnie. Mike zna ten głos, zna go

bardzo dobrze. Strach pęcznieje mu w brzuchu, wprawia ciało w epileptyczne drgawki. – No? Po co?

– Mój... mój syn. – Słowa są jak bryły ziemi: z trudem wędrują w górę gardła, zatykają tchawicę, kleją się do ust, języka, zębów. – Mój syn umiera.

Odpowiada mu charczący śmiech, na skraju światła pojawia się człowiek, którego Mike tak bał się ujrzeć. Czarne, poskręcane włoski na potężnych łapskach, opasły brzuch wylewający się spod zszarzałego podkoszulka. Na czerwonej twarzy opoja pojawia się krzywy grymas, małe oczka wpatrują się w Mike'a z pogardą.

– Zawsze byłeś słaby – burczy diabeł. – Mały, zasrany gnojek. Zapłakana pizdeczka. Wiedziałem, że nic z ciebie nie będzie. Mężczyzna nie może mieć takich dłoni, takich delikatnych paluszków małej, niewydymanej cioty. Muzyk, kurwa twoja mać. Powinienem był połamać ci te twoje zwinne łapki, nalać wrzącego wosku do pierdolonych uszu, które nigdy nie chciały słuchać...

Mike patrzy na ojca, który od lat już nie żyje. Na człowieka, który zamienił jego dzieciństwo w piekło. Mężczyzna robi w jego stronę jeszcze jeden krok, a Mike drży cały, calutki, od palców stóp po czubek głowy. Znowu jest wystraszonym siedmiolatkiem, który nuci piosenki z radia, ukryty w szafie albo pod kołdrą, bo ojciec zlałby mu dupsko do krwi, gdyby go usłyszał.

– Zawsze byłeś małym, zestrachanym lachociągiem. Aż dziw, że znalazłeś w sobie dość ikry, żeby spłodzić dzieciaka. Jak żalosną istotą musi być syn kogoś takiego jak ty? Na pewno nie zasługuje, żeby żyć.

Mike jakoś się zmusza, żeby nie odpełznąć w mrok, nie uciec. Wpija dłonie w kamienisty grunt, jakby miało mu to pomóc wytrwać.

– To nieprawda! – Głos mu drży, po policzkach płyną łzy. – To dobry chłopak. Bystry i śliczny. Ma na imię Alistair. Ally.

– Śliczny po matce? – pyta inny głos. Kobięcy, miękki i smutny. – Jaka ona była, co, Mike? Słodka? Tak słodka jak ja? A jednak ją też zostawiłeś, prawda? Tak samo jak mnie.

Mike odwraca głowę i widzi ją: ładną brunetkę w obcisłych dżinsach i bluzce z głębokim dekoltem. Pod burzą ciemnych włosów tkwią oczy trupa, sine usta otoczone różową mgiełką zaschniętej śliny zmieszanej z krwią. Sunie w stronę Mike'a i zwraca ku niemu nagie ramiona, pokazuje purpurowe żyły i babrzące się, cuchnące zgnilizną miejsca po licznych wkłuciach.

– Zostawiłeś mnie, chociaż cię kochałam. Wsiadłeś do tego pieprzonego busa z gitarą w ręce i obiecałeś, że wrócisz, że będziesz dzwonić i pisać. Nie zadzwoniłeś, nie napisałeś. Nie wróciłeś.

Pojawiają się inni: cienie kłębiące się tuż za granicą światła i powoli zbliżające się do ognia. Jest tam jego matka. Jest matka jego dziecka – dziewczyna, która przez dwa tygodnie jeździła za nim z koncertu na koncert. Są jego przyjaciele, są ludzie, których nigdy nie znał. Wypominają mu wszystkie jego zdrady, wszystkie złe wybory, wszystkie chwile słabości.

Potem pojawia się dziecko. Stawia drobne, jeszcze niezgrabne kroczyki dwulatka, a jego jasne włosy przypominają w świetle ogniska ciekłe złoto. Ma wielkie oczy, piękne i pełne żalu.

– Nigdy cię nie było – mówi Ally z niezdarną dykcją dziecka, które dopiero co nauczyło się mówić, ale posługuje się słownictwem godnym diabła. – Nie słyszałeś mojego pierwszego słowa, tatusiu. Nie widziałeś mojego pierwszego kroku. Nigdy cię nie było. I teraz gdy umieram, też cię nie ma. Gdzie jesteś, tatusiu? Czemu nie ma cię przy mnie?

Mike już nie płacze; on ryczy, krztusi się łzami, raz po raz ociera zamglone oczy. Jest przerażony, serce łomocze mu w piersi. Palce zaciska na twardej, suchej glebie tak mocno, że rani sobie dłonie. Chciałby coś powiedzieć, ale nie zna słów, które mogłyby mu pomóc.

– Po coś tu przylazł? – pyta diabeł o wyglądzie jego ojca.

– Po coś tu przylazł? – pyta dziewczyna, której kiedyś szeptał do ucha obietnice miłości, brunetka o cuchnących śmiercią żyłach heroinistki.

– Po coś tu przylazł? – pyta jego maleńki syn, pyta jego matka, pyta cały chór innych głosów.

A potem zapada cisza. Wszyscy czekają na odpowiedź i Mike wydobywa z siebie słowa, które układał sobie w głowie przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

– Robert Johnson oddał duszę w zamian za talent. Ja oddam talent za życie mojego dziecka.

Z mroku wyłania się wielki nagi Murzyn, ten sam co wcześniej. Grzechotniki pełzają mu między stopami, syczą i kłapią się nawzajem, gdy kroczy w stronę Mike'a. Białka jego oczu są matowe niczym wysuszone kości, źrenice zaś czarne i głębokie, dwie studnie sięgające samego piekła. Murzyn okrąża Mike'a, węszy wokół niego, rozdymając szerokie nozdrza. Sam pachnie potem i nasieniem, jego oddech cuchnie zastarzałą krwią.

– Ludzie mają w zwyczaju zwracać się z prośbami do Boga, nie do diabła – mówi z mroku kierowca el camino.

– Bóg nigdy mnie nie wysłuchał – duka roztrzęsiony Mike. – Poza tym to nie prośba. To propozycja. Pakt.

– Cóż za szlachetny gest. Oddasz swój największy skarb za życie dziecka. Odrzucisz pasję, pieniądze i sławę, by go uratować.

Grzechotniki przepelzają spod nóg Murzyna i trącają rogatymi łbami spodnie Mike'a, szukają drogi do środka nogawek.

– Sądzę... – mówi powoli kierowca el camino. – Sądzę, że troszkę zmodyfikujemy twoje warunki. Życie dziecka w zamian za twój talent, tak. Sęk w tym, że nie odbierzemy ci go. O nie. Zwiększymy go po stokroć. Sprawimy, że twoje palce będą rwały się do strun, zwinniejsze i bardziej czułe niż kiedykolwiek wcześniej. Że piosenki, kompletne, genialne utwory, będą nawiedzać cię dniem i nocą. Że słuchając innych muzyków, będziesz świadom każdą komórką swojego ciała, że jesteś lepszy, tysiąc

razy lepszy... ale nie będzie ci wolno nawet dotknąć instrumentu, wydobyć z niego choć jednego dźwięku. Jeśli postąpisz inaczej, twój syn umrze.

Mija kilka sekund, zanim do Mike'a dociera sens słów diabła, zanim jego rozum pojmie wszystkie implikacje tej umowy. Mężczyzna oblizuje w panice wargi, szuka sposobu, żeby się wycofać. Był gotów poświęcić wiele, by ocalić dziecko, był gotów zrzec się talentu... Jednak teraz diabeł podbija stawkę i ceną za życie Alistaira, tego dzieciaka, którego Mike widział ledwie kilka razy, nagle staje się nieustanna męka, a w konsekwencji szaleństwo.

– Nie... – chrypi. – Nie, nie, nie...

– Tradycyjnie pakt z diabłem podpisuje się własną krwią.

Mike cofa się, traci równowagę i niemal potyka się w niezgrabnej próbie nie nadeptnięcia na żadnego grzechotnika.

– Nie – powtarza. – Nie podpiszę... Dajcie mi odejść. Nie podpiszę niczego. Ja...

Wpada na coś plecami, obraca się. Staje twarzą w twarz z diabłem w koszulce Lynyrd Skynyrd. W szklach przeciwsłonecznych okularów Mike widzi swoją przerażoną twarz. Diabeł się uśmiecha, a kiedy otwiera usta, między wargami trzęsie się rozdwojony gadzi język.

– Szukałeś diabła i go znalazłeś – mówi. – Chciałeś paktu, będziesz miał pakt.

Unosi dłoń z tatuażem czaszki i węża, jednak zamiast palców ma długie, zakrzywione szpony.

– Pakt podpisany krwią.

Później uderza, a Mike krzyczy, gdy pazury rozcinają mu skórę na policzku, gdy jego krew kapie na jałową ziemię kalifornijskiego stepu. Ból jest niczym wobec świadomości, co te czerwone krople oznaczają. Mike dotyka policzka i patrzy na usmarowaną dłoń, potem podnosi oczy na diabła.

– To już? – pyta. – To już koniec?



Diabeł uśmiecha się okrutnie.

– To dopiero początek.

Wtedy oni wszyscy rzucają się na Mike'a – jego ojciec, matka, dwuletni Ally, dawna miłość, starzy przyjaciele. Wszyscy mają szpony i wszyscy chcą upuścić mu krwi, przypieczętować diabelską umowę. Spadają na niego z dzikim wrzaskiem, a olbrzymi nagi Murzyn wije się w opętańczym tańcu, klaszcze w dłonie i rechocząc głośno, bije się po spoconych udach.

\*\*\*

– Miał pan nieco ponad dwa lata, gdy zdiagnozowano u pana agresywną formę białaczki. Lekarze nie dawali panu żadnych szans. A jednak nastąpiła całkowita remisja, której nikt nie był w stanie wytłumaczyć. Jeśli mi pan nie wierzy, wszystko jest w pana karcie w szpitalu uniwersyteckim w San Diego oraz w gazetach z września 1999 – powiedział Elis.

Alistair od dłuższego czasu nie dotykał już piwa i tylko słuchał. Teraz, kiedy opowieść dobiegła końca, popatrzył na opróżniony do połowy kufel, na ciemne tapety, lampy ze słabymi żarówkami. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się znajduje. Dopiero po kilku sekundach przypomniał sobie pogrzeb w deszczu, drogę do pubu, początek opowieści.

Elis dopił piwo i wstał od stołu. Założył okulary przeciwsłoneczne, choć na zewnątrz zapadał już zmierzch.

Nie wierzę, chciał powiedzieć Alistair. Jednak zanim zdołał wydusić z siebie choćby słowo, Elis zaczął wdziewać skórzane rękawiczki i wzrok chłopaka padł na tatuaż, który mężczyzna miał na wierzchu prawej dłoni.

Czaszka. I wąż pełznący przez pusty oczodół.

Mężczyzna uśmiechnął się porozumiewawczo, po czym powiedział:

– Jeśli kiedyś będzie pan czegoś potrzebował... jeśli będzie pan miał jakąś propozycję... cóż, wie pan, gdzie mnie znaleźć.

Rzucił na stół dwudziestodolarowy banknot i opuścił knajpę. Kilka minut później Alistair poszedł w jego ślady. Choć wcześniej zamierzał

zaraz po pogrzebie wsiąść w greyhonda jadącego w stronę Chicago, teraz zmienił zdanie: kupił butelkę burbona i poszedł do mieszkania ojca.

Nie wiedział, co zamierza osiągnąć, słuchając płyty Lone Wolf i upijając się do nieprzytomności. Pojednać się z ojcem? Pożegnać go? Czy po prostu ukoić alkoholem nerwy?

Może bał się tego, co zobaczy, gdy jego autobus koło północy zwolni na nieoznakowanych rozstajach, gdzieś pośród pustkowi Illinois, a on wyjrzy przez okno.

*Borowy Młyn, lipiec 2016*

## Zbudź się

Jak ktoś kiedyś powiedział, człowieka zakochanego pozna się po tym, że nie może zasnąć – a zasnąć nie może, ponieważ jawa jest dla niego piękniejsza niż sen.

Byłem zakochany. I nie mogłem spać. Ale mojej codzienności nie nazwałbym piękną.

Wegetowałem pośród nocy, siedząc bez ruchu w fotelu, w pokoju spowitym w ciszę i mrok. W głowie miałem chaos. Wspomnienia obrazów, głosów i zapachów płynęły rwącym strumieniem, wirowały, kryły się, pojawiały się znowu i znowu, nigdy naprawdę nie ginąc. Czasem rozkapryszone, samowolne myśli przystawały, zmęczone ciągłą gonitwą, i wtedy popadałem w głupawe odrętwienie, żalosny substytut snu.

Z podobnej drzemki wyrwało mnie stukanie do drzwi. Myśli, dotychczas błogo splecione w ciasny kokon, rozpełzły się natychmiast we wszystkich kierunkach, niczym karaluchy uciekające przed światłem.

Wstałem z fotela i zerknąłem na zegar. Trzecia w nocy. Kto to mógł być o tej porze?

Po drodze do drzwi zatrzymałem się przy schodach, zacząłem nasłuchiwać. Z góry nie dobiegł ani jeden dźwięk, co znaczyło, że Robert śpi. Nie było to wcale oczywiste – ostatnio budził się i zasypiał o najdziwniejszych porach.

Pukanie się powtórzyło, wysokie i punktowe, trochę jak stukanie dziecięcia, choć nie tak pospieszne.

Otworzyłem drzwi małego wiatrolapu, a później wejściowe, prowadzące na wąską galerię. Powitała mnie ciemność, chłód jesiennego powietrza, zapach butwiejących liści. Wrocław pogrążony był we śnie,

nawet w hostelu naprzeciwko pogaszono już wszystkie światła. Tylko w dole, cztery piętra niżej, mrugała samotna lampa.

Za progiem nie dostrzegłem nikogo. Wyrząłem na zewnątrz. Na galerii pustka, jedynie donice z rachitycznymi iglakami przypominały przyczajone, złowieszcze karły: koboldy szczerzące w mroku krzywe kły.

– Halo? – odezwałem się. – Jest tu ktoś?

Poczułem ruch powietrza, jakby otwarcie drzwi spowodowało w domu przeciąg. Ale przecież wszystkie okna były pozamykane...

Powiew stał się mocniejszy, z głębi mieszkania dobiegł szelest przesuwanej firanki. Ostatni raz obejrzałem galerię, po czym wszedłem do siebie i zamknąłem drzwi.

Nagle z przerażeniem zdałem sobie sprawę z tego, że szelest przesuwanej firanki wcale nie ucichł. Oprócz niego usłyszałem coś przypominającego szuranie albo raczej zgrzyt małych pazurów na gładkim drewnie.

Dobiegało z góry.

Z pokoju Roberta.

Nie traciłem czasu na zapalanie światła – pobiegłem w górę schodów, potykając się co kilka kroków. Stłukłem sobie kolano, ale nie zwracałem na to uwagi, pędziłem co sił do pokoiku dziecięcego.

Kiedy stanąłem nad łóżeczkiem, mój synek wciąż twardo spał, a przez otwarte okno wpadało chłodne powietrze. Oprócz mnie i mojego dziecka w pokoju nie było nikogo. Odetchnąłem z ulgą w tym samym momencie, w którym gdzieś na zewnątrz rozległo się rozdzierające krakanie.

Przypomniałem sobie o tym dopiero rano, gdy w łóżeczku Roberta znalazłem dwa czarne krucze pióra.

\*\*\*

– Hej, Robert, nie zasypiaj!

Malec poderwał głowę, popatrzył na mnie nieco nieprzytomnym wzrokiem. Usta mu się wykrzywiły, a piąstki, zaciśnięte na kawałeczkach suszonej żurawiny, uderzyły w blat dziecięcego krzeselka.

– Nie płacz – poprosiłem, głaszcząc go po głowie. – Po prostu nie zasypiaj.

Miał szkliste oczy – oczy dziecka zmęczonego i tym zmęczeniem rozdrażnionego, doprowadzonego nad granicę płaczu.

Obudził się zaledwie godzinę wcześniej.

Pobiegłem szybko do szafki kuchennej, do pokoju wróciłem już z dwoma biszkoptami. Położyłem je przed Robertem i przyglądałem się uważnie, jak dziecko ogniskuje na nich wzrok, jak z ust znika mu płaczliwy grymas. Jego paluszki zacisnęły się na ciastkach, jedno z nich uniosło się powoli i spoczęło między bladziutkimi wargami, następnie miażdżone, cięte, szarpane i kłute arsenałem wszystkich sześciu zębów.

Robert zajął się jedzeniem i widmo snu zostało na razie odegnane.

Na razie.

Przygotowałem w butelce sok wymieszany z wodą i podałem mu, gdy tylko uporał się z biszkoptami. Później wyciągnąłem dziecko z krzeselka i położyłem twarzą w stronę koszów z zabawkami.

Malec przyjął pozycję na czworaka, po czym ugiął ręce i położył głowę na ziemi. Znałem ten sygnał aż nazbyt dobrze.

– Bob – powiedziałem, imitując mocny amerykański akcent. – Nie śpimy. Jeszcze nie. Chodź, pobawimy się.

Zacząłem wyciągać zabawki: plastikowy samochód policyjny, barwnego bąka, atlas zwierząt, drewniane klocki.

Pobawiliśmy się może z pół godziny, nim Robert wstał i swoim chybotliwym krokiem skierował się w stronę schodów. Był zbyt zmęczony, żeby spróbować na nie wejść – wyciągnął tylko do mnie ręce i bąknął kilka bezkształtnych sylab. Jego błękitne oczka miały taki wyraz, że w końcu skapitulowałem.

Wziętem go na ręce i pomaszerowaliśmy na górę, do sypialni. Już w połowie schodów złożył mi główkę na ramieniu, dłonią błdził po mojej szyi, pociągnął delikatnie za ucho.

W pokoju było ciemno, przez rozchylone żaluzje wpadało niewiele światła, bo za oknem płynął pochmurny, deszczowy dzień. Grube krople bębniły o parapet niespiesznie albo wręcz leniwie jak bluesowy perkusista, zostawiały na oknach mokre rozbryzgi. Po wyludnionej ulicy z hukiem i zgrzytem przetoczył się tramwaj. Z Dworca Głównego dotarł szmer głosu zniekształconego przez megafon. Wydawało się, że cały świat jest naburmuszony i nieszczęśliwy.

Robert zasnął bez smoczka, gdy tylko położyłem go w łóżeczku.

Usiadłem obok i ukryłem twarz w dłoniach. Działo się coś złego, byłem tego pewien. Czternastomiesięczne dziecko nie powinno spać po osiemnaście godzin na dobę. A jednak przez ostatnie kilka dni tyle mniej więcej spało. Spałoby pewnie i dłużej, gdybym go co pewien czas nie budził.

Zszedłem do kuchni, włączyłem czajnik. W szafce rozpychały się rozmaite herbaty: owocowe, ziołowe, zielone i czerwone, rooibos i pu-erh. Sięgnąłem, jak zawsze, po zwykłego, czarnego Liptona. Przeszło mi przez myśl, że może powinienem wyciągnąć kubek spod zlewu i cisnąć do niego wszystkie te herbaty, wszystkie puszki, torebki i kartoniki, wyrzucić je w diabły, bo przecież ja ich nie wypiję, nikt już ich nie wypije.

Usiadłem na taborecie i pomyślałem, że normalnie o tej porze zacząłbym się zastanawiać, co przygotować na obiad dla siebie i Kryśki. Jaki dzisiaj dzień? Wtorek? Piątek? Bóg jeden wie. Popatrzyłem na kalendarz, wszystkie numerki wyglądały obco, równie dobrze można by je zastąpić znakami japońskimi albo chińskimi. Próbowałem się skupić, dojść do tego, co robiłem wczoraj, przedwczoraj, znaleźć jakiś punkt odniesienia. Nic z tego. Rozejrzałem się wokół z dziwnym uciskiem w gardle, jakby ta

obojętność na upływ czasu uzmysłowiła mi jakąś straszliwą, a dotychczas ignorowaną prawdę o otaczającym mnie świecie.

– Potrzebuję cię – powiedziałem do Krystyny, uśmiechniętej, z rozwianymi włosami, stojącej na tarasie wynajętego domu na chorwackiej Korčuli. – Obaj cię potrzebujemy.

Oczywiście nie doczekałem się odpowiedzi. W mieszkaniu panowała głucha cisza, tylko deszcz wybijał na parapecie swój synkopowy rytm.

Powoli wypilem herbatę, opłukałem kubek w zlewie i odłożyłem na suszarkę. Na powrót przysiadłem na taborecie, zastanowiłem się, co powinienem zrobić. Gdzieś z tyłu głowy, niby z wypełnionego niepotrzebnymi gratami strychu, odezwał się głos, który cichutko przypomniał, że kiedyś istniało coś takiego jak praca. Uciszyłem go i sięgnąłem po miotłę. Pewnie, mogłem zmusić się do pracy. Ale wiedziałem, że nic by z niej nie wynikło. Od czasu wypadku nieraz siadałem przed komputerem, uruchamiałem edytor tekstu, układałem dłonie na klawiaturze... i zamierałem. Słowa, które dawniej płynęły strumieniem na tyle wartkim i estetycznie pociągającym, że za ich sprawą mogłem opłacić rachunki oraz napełnić lodówkę, pochowały się gdzieś i za nic nie chciały wyjść. Źródło albo wyszło, albo zgubiłem do niego drogę.

Nie mogłem pisać. Nie chciałem pisać. Na pewno jeszcze nie teraz, a może już nigdy. Aby pisać, aby pisać dobrze, musiałem być pogodzony z sobą i ze światem. A ze światem wcale nie zamierzałem się godzić.

Zacząłem zamiatać. Pomieszczenie po pomieszczeniu zgarniałem kurz na równe kupki, odnajdując w mechanicznej, bezmyślnej pracy ulgę, osiągając jakąś namiastkę spokoju. Nie przyszło mi to łatwo, bowiem Krystyna była wszędzie. Ukrywała się we wrzuconych do ceramicznego kubka szczotkach do włosów. Zerkała z lustra, w którym tyle razy przeglądała się przed wyjściem z domu. Przypominała o sobie kolekcją płyt Edith Piaf, pudełkami po butach leżącymi na szafie, wiszącym na ścianie

salonu rysunkiem katedry Świętego Pawła, który wykonała podczas swojego pierwszego pobytu w Londynie.

Widziałem ją wszędzie. Przypominała o sobie na każdym kroku. A ja wcale nie chciałem zapomnieć.

Zatrzymałem się przed antyrumą z naszym wspólnym zdjęciem z nad Balatonu.

– Kocham cię – wyszeptalem, dotykając jej policzka. Szkło było chłodne, obojętne, obce.

Zmiotłem kurz na szufelkę i opróżniłem ją nad koszem. Mokrą ścierką przetrąłem blat stołu, regały w salonie, brzeg półek gnących się pod ciężarem książek. Wreszcie usiadłem na kanapie i włączyłem telewizor. Zacząłem skakać po kanałach, ale na wszystkich puszczały reklamy.

Nie wiedzieć kiedy popadłem w odrętwienie. Otrzeźwienie przyszło wraz z odgłosem, który nagle zagłuszył monotony szum telewizora: z balkonu dobiegało krakanie, hałaśliwe i zaciekle. Poderwałem się z kanapy i podszedłem do okna. Zdębiałem, gdy tylko przekręciłem plastikową rurkę manipulującą żaluzjami.

Na balustradzie balkonu siedziało kilkanaście smolście czarnych ptaków i przekrzykiwało się przesywającym „kra! kra!”. Niektóre kręciły łebkami na lewo i prawo, inne stały właściwie nieruchomo, wszystkie zaś wrzeszczały co siłą, jakby obwieszczały światu apokalipsę.

Co więcej, stały na balustradzie zwrócone do wnętrza balkonu, niby aktorzy na scenie amfiteatru. Jak gdyby swoje ostrzeżenie kierowały właśnie do mnie.

Zareagowałem instynktownie, zapominając, że mam do czynienia z setką ostrych szponów i przeszło tuzinem sztyletowatych dziobów: otworzyłem drzwi, po czym stanąłem w progu, krzyknąłem głośno i machnąłem ręką. Dopiero gdy ptaki znieruchomiały i przekrzywiając główki, spojrzały na mnie czarnymi, paciorkowatymi ślepiami, przeszła



mnie autentyczna zgroza. Gdyby z jakiegoś względu zdecydowały się zaatakować...

Jeden z nich zakrakał, po czym obrócił się i runął w dół, za nim zaś podążyły pozostałe. Stado zatoczyło łuk w powietrzu, po czym pofrunęło gdzieś między budynki, pozostawiając po sobie tylko niepokojące wspomnienie.

Otarłem nagle spocone czoło i przytrzymałem się parapetu, bo zrobiło mi się słabo. Zacząłem głęboko oddychać i zauważyłem, że w międzyczasie przestało padać; pomiędzy ciężkie deszczowe chmury wdarły się jaśniejsze, o barwie brudnej platyny.

Wróciłem do domu, zerknąłem na zegar. Piętnasta trzynaście. Robert spał od dobrych trzech godzin. Pomyślałem, że powinienem coś zjeść i go obudzić.

Nie byłem głodny, po zajściu z krukami żołądek ścisnął mi się i skurczył. Nie chciałem też budzić Roberta, nie chciałem znowu słyszeć jego płaczu, gdy zacznie wzywać mamę, która już nigdy do niego nie przyjdzie.

Wygrzebałem z zamrażarki paluszki rybne, podgrzałem i wmusiłem w siebie kilka, popychając każdy kęs czerstwym chlebem i popijając herbatą. Później przygotowałem obiad dla Roberta: kubek zupy warzywnej, a na drugie – małe kuleczki z mielonego indyczego mięsa, kosteczki chleba posmarowane serkiem kanapkowym, kilka cząstek ugotowanej poprzedniego dnia różyczki brokułu.

Poszedłem na górę i stanąłem nad łóżeczkiem. Malec spał, ale niespokojnie – od czasu do czasu marszczył czoło, wierzgał nóżkami, wiercił się z boku na bok, miętosił w dłoni rąbek koca. Zapaliłem światło i pochyliłem się nad nim, przyjrzałem uważnie. Wiele miał z Krystyny: powieki szczerze obsypane rzęsami, oczy osadzone płytko w oczodołach, otoczone łagodnie zarysowaną linią brwi i wysokimi kośćmi policzków.

Miał też jej usta: blade, ale pełne, ładnie wykrojone; usta, za którymi kiedyś jakaś dziewczyna będzie wprost szaleć.

– Zbudź się, Robert – powiedziałem. – Zbudź się, synku.

Żadnej reakcji. Równie dobrze mógłbym budzić kamień.

– Robert – powtórzyłem. – Proszę, synku, obudź się.

Przesunąłem dłonią po jego plecach, pogłaskałem po ramionach. Był ciepły, ale nie rozpalony; w powietrzu unosił się bardzo łagodny, nieco słodkawy zapach dziecięcego potu.

Wsunąłem mu dłonie pod pachy i uniosłem Roberta do góry, przytuliłem. Dawniej już by się obudził – teraz drgnęła mu tylko głowa, rączka w sennym geście powędrowała do mojego ramienia, zacisnęła się na moment na rękawie podkoszulka, puściła.

Niepokój zaczął gmerać mi w brzuchu lodowatymi paluchami. W końcu malec otworzył jedno oko, chwilę później drugie. Spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem, po czym rzucił głową w lewo i w prawo, jakby zdziwiony tym, gdzie się znajduje. Usta momentalnie wygięły mu się w podkówkę, wargi zadrżały.

– No już, już dobrze – powiedziałem, przytulając go mocno. – Jestem tutaj. Tatuś jest przy tobie.

Bujanie nie pomogło i Robert rozdarł się na całe gardło.

– Maaaama! Maaamaaa!

Ryczał tak, jak nie potrafi żaden dorosły: rozpaczliwie i boleśnie, jakby żywcem rozdzierano go na strzępy, jakby wrzask był mu równie potrzebny do życia co tlen. Wzywał mamę długo i głośno, aż w końcu zmęczył się, ucichł. Spoceni i zapłakani stanęliśmy przed drzwiami balkonowymi. Tuląc się do siebie, patrzyliśmy, jak tramwaje jadą Kołłątaja w jedną i w drugą stronę, wśród strumienia aut, wśród pomruku silników i bębnienia deszczu o szyby, maski, dachy.

– Już dobrze – szeptałem uparcie, trochę do siebie, trochę do Roberta. – Już dobrze. Tatuś tu jest. Już dobrze.

Z jego ust uciekło ostatnie wezwanie mamy, ciche jak skamlenie opuszczonego szczeniaka, tak żałosne, że znowu wycisnęło mi z oczu łzy. Wzruszenie odebrało mi głos, przez jakiś czas po prostu chodziłem z nim po pokoju, przyciskałem do siebie i całowałem w główkę. Jakbym próbował samego siebie przekonać, że mój syn naprawdę tu jest, jest i nie odejdzie, że przynajmniej jego ten przeklęty świat mi nie odbierze.

Ta nowa myśl sprawiła, że zacząłem drzeć. Wyłącznie obecność Roberta trzymała mnie w ryzach, nadawała życiu pozory sensu. Gdyby jego zabrakło... nie, wolałem nawet o tym nie myśleć.

– Nie pozwolę, żeby coś ci się stało – obiecałem, tuląc go do siebie. Wtedy też zrozumiałem, że tego jednego w moim życiu za nic w świecie nie mogę spieprzyć. Nie mogę pozwolić, żeby Robertowi stała się krzywda. Nie po tym, co spotkało Krystynę. Zostaliśmy tylko we dwóch. Musieliśmy się o siebie troszczyć. A że Robert miał czternaście miesięcy, w praktyce ja musiałem troszczyć się o nas obu.

– Zadbam o ciebie, synku. Zadbam, słyszysz?

Malec w międzyczasie uspokoił się, wyciszył. Gdy opuściły go resztki snu, poczuł się pewniej i zaczął wiercić się w moich ramionach. Postawiłem go przed kanapą, na której leżały książeczki dla dzieci, i zmieniłem mu pieluchę oraz przepocone ciuszki. Później zabrałem go na dół, posadziłem w krzeselku i dałem mu jeść. Zupę połykał powoli, bez entuzjazmu, więc w końcu dałem sobie spokój i rozłożyłem na blaciku resztę obiadku. Robert z zacięciem dźgnął palcem posmarowany serem kawałek chleba, później zacisnął dłoń na brokule. Zmiażdżył go na niezbyt apetyczną zieloną paćkę. Przez kilka sekund obserwował z zafrasowaną miną przeciskającą się pomiędzy palcami masę, po czym zdecydował się wsadzić umorusaną pięść do ust. Zaczął jeść, a ja odetchnąłem z ulgą.

Zachęcony tym małym tryumfem, postanowiłem zabrać się za sprawę znacznie istotniejszą: sen. W naszym małżeństwie to Krystyna była ekspertem od spraw dziecięcych – to ona pamiętała o terminach szczepień,

czytała poradniki dla młodych rodziców, znała na pamięć numery telefonów do przychodni i pediatrów składających wizyty domowe. Teraz, gdy jej zabrakło, musiałem radzić sobie sam.

Chwyciłem za telefon i wybrałem numer mojej mamy. Pojawił się sygnał, a ja uzmysłowiłem sobie, że nie rozmawiałem z nią od czasu wypadku. Byłem tak zajęty Robertem i moją stratą, że nie przyszło mi to wcześniej do głowy. Powinienem już dawno się do niej odezwać... ale czemu ona nie dzwoniła? Ledwo pamiętałem dni, które nastąpiły po śmierci Krystyny – czy powiedziałem albo zrobiłem wtedy coś takiego, że zdecydowała się nie kontaktować ze mną? Czy może po prostu uznała, że potrzebuję czasu, że sam się odezwę, gdy stanę na nogi? Brzmiało to nawet sensownie, ale z drugiej strony... Co za babcia nie interesuje się losem wnuka? Co za matka nie martwi się bólem syna?

Odczekałem może z dziesięć sygnałów, na próżno. W końcu rozłączyłem się i odłożyłem komórkę na kuchenny blat. Zastanawiałem się, do kogo jeszcze mógłbym zadzwonić, i coraz bardziej zdawałem sobie sprawę z tego, że przez ostatnie tygodnie praktycznie nikt nie interesował się mną ani Robertem. Nikt nas nie odwiedził, co akurat było jeszcze w miarę zrozumiałe, jako że nikt z rodziny mojej czy Kryśki nie mieszkał we Wrocławiu. Ale nikt nawet nie zadzwonił. Kompletnie nikt.

Robert chwycił kawałek chleba i zrzucił go ze stoliczka na podłogę. Wychylił się na tyle, na ile pozwalały mu szelki, i z zainteresowaniem przyglądał się kromeczce, która spoczęła na kaflach – oczywiście – serem na dół. Wyglądało na to, że już się najadł i zaczął eksperymenty z jedzeniem, a to oznaczało, że nie mam wiele czasu.

Zadzwoniłem do Doroty, siostry Krystyny. Po piątym sygnale włączyła się poczta głosowa, ale postanowiłem się nie nagrywać. Następny był numer mojego szwagra Jurka. Kilkanaście głuchych sygnałów, kolejne wielkie nic. Telefon do ciotki Teresy, zażywnej sześćdziesięciolatki, która wychowała z tuzin dzieciaków i stanęła twarzą w twarz z każdą znaną

człowiekowi chorobą wieku niemowlęcego, też zaprowadził mnie donikąd – głos operatora oznajmił, że abonent jest czasowo niedostępny.

Robert zaczął się niecierpliwić, więc wyciągnąłem go z krzeselka i umyłem mu ręce pod kranem. Później poszliśmy bawić się do dużego pokoju. Przez kilka minut jeździliśmy po dywanie samochodzikami, a gdy malec zainteresował się klockami, po cichu usiadłem na kanapie i uruchomiłem laptopa.

Chciałem przede wszystkim poszukać jakiejś informacji na temat chorób, które mogły skutkować u dzieci tak długim snem, ale fakt, że nie mogłem się do nikogo dodzwonić, zaniepokoił mnie, sprawił, że poczułem się odizolowany i osamotniony. Sprawdziłem skrzynkę mailową, spodziewając się, że znajdę tam przynajmniej kilka wiadomości ze słowami otuchy i obietnicami pomocy. Nie znalazłem nic. Ani jednego odebranego maila na przestrzeni ostatnich... ilu? Dwóch tygodni? Trzech? Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz sprawdzałem pocztę, ale musiało od tej pory minąć sporo czasu.

Wylogowałem się. Niestety Robert zauważył już komputer i błyskawicznie wgramolił się najpierw na kanapę, a później na moje kolana. Rozsiadł się wygodnie, po czym popatrzył na mnie wyczekująco, wycelował dłoń w ekran i powiedział:

– Baja. Tata, baja.

Jakby informacja nie była wystarczająco precyzyjna, zaczął jeszcze naśladować psie posapywanie. Bajka o zwierzątkach. Jasne. Się robi, szefie.

Złośliwość rzeczy martwych dała o sobie znać nie po raz pierwszy: YouTube jakby zestroił się z moim mózgiem i wyłowił z niego wszystko to, co chciałem usnąć, odsunąć w głąb świadomości. Wśród losowo dobieranych klipów pojawił się „Kruk” Edgara Allana Poe recytowany przez Christophera Lee, trailer filmu „Kruk 2: Miasto Aniołów” z 1996 roku i porady Tracy Hogg na temat usypiania niemowląt.

Przeskoczyłem na jeden z kanałów z bajkami dla dzieci, tylko po to, żeby ramiona pokryła mi gęsia skórka. Z rzeszy kilku tysięcy filmików serwis podsunął mi animowaną wersję bajki Ezopa o spragnionym kruku oraz historię o wężu i kruku z „Pańczatantry”.

Zdusiłem przekleństwo i po krótkich poszukiwaniach puściłem Robertowi jeden z odcinków „Małego Zoo Lucy”. Serial opowiadał o dziewczynce, która mieszka obok ogrodu zoologicznego i co noc wymyka się z domu, by posłuchać opowieści snutych przez poszczególne zwierzęta. Każdy odcinek kończył się w ten sam sposób: przyjazna żyrafa odkładała zmęczoną Lucy do łóżka, a dziewczynka natychmiast zapadała w głęboki sen.

Gdy próbowałem przewinąć czołówkę, Internet nagle się zaciął i przeskoczyłem za daleko. Akurat na scenę, jak Lucy ląduje w łóżku i zasypia. Próbowałem cofnąć, ale sygnał sieci bezprzewodowej – dotychczas doskonały – wyraźnie się popsuł. Nagranie wróciło o kilka sekund, akurat na tyle, byśmy znowu zobaczyli Lucy ześlizgującą się z żyrafiej szyi prosto pod kołdrę.

– Szlag! – wyrwało mi się. Cofnąłem, jednak ponownie tylko o kilka sekund.

I jeszcze raz. Lucy śpi. I śpi. I śpi.

Robert ziewnął i potarł pięścią oko, a ja poczułem się, jakby ziemia uciekała mi spod stóp.

– Nie, nie, nie!

Zatrzasnąłem pokrywę laptopa i zacząłem się pospiesznie szykować na spacer. Liczyłem na to, że zmiana otoczenia i świeże powietrze nieco rozbudzi moje dziecko. Ubrałem najpierw jego, rozgoryczonego nieobejrzaną bajką, a co za tym idzie rozkrzyczanego i zapłakanego. Gdy malec wylądował już w wózku i został przekupiony maślanym herbatnikiem, udało mi się założyć buty i zarzucić kurtkę na grzbiet. Wreszcie zamknąłem drzwi na klucz i ruszyliśmy do windy.

Chłodne, wilgotne powietrze nie zachęcało do spacerów. Pojedynczy przechodnie przemykali wzdłuż zachlapanych witryn, kryjąc twarze pod kapturami lub za zasłoną postawionych na sztorc kołnierzy. Samochody wzbijały wilgotną mgiełkę, tramwaje sunęły torami ze zgrzytem, raz na jakiś czas sypiąc iskrami z trakcji. Od strony dworca kolejowego dobiegał nieczytelny szum głosu puszczanego przez megafon. To właśnie w stronę stacji pokazał Robert, gdy wyszliśmy z bloku. Podskoczył kilka razy w wózku, co w jego języku gestów oznaczało podekscytowanie, po czym zaczął namiętnie gaworzyć, klejąc sylaby w pełen emocji, ale zupełnie niezrozumiały kolaż.

Kiedy skierowałem wózek w stronę parku – czyli w przeciwną niż do dworca – malec się rozplakał. Uspokajałem go długo i bezowocnie, a on wił się i wiercił w wózku, nie przerywając ani na moment. Nie pomogło, nawet gdy wziąłem go na ręce. Wreszcie wyciągnąłem z torby smoczek, który mój synek zaczął zapalczywie ciamkać.

Przeszliśmy most i u stóp Wzgórza Partyzantów zeszliśmy nad fosę. Zaczęliśmy karmić kaczki i dopiero wtedy Robert na dobre zapomniał o niedawnej rozpacz. Przez minutę lub dwie tylko się przyglądał, jak ptaki wyciągają szyje i otwierają dzioby w oczekiwaniu na kawałek czerstwego chleba, później zdobył się nawet na słaby uśmiech. Zerkałem na niego raz po raz, starając się nie rozplakać.

Miałem wrażenie, że wszystko robię źle.

Chleb się skończył i ruszyliśmy na drugą stronę jezdni, do Parku Staromiejskiego. Robert obserwował tramwaje i samochody, a ja dumałem nad tym, jak powinien wyglądać mój kolejny ruch. Co zrobiłaby na moim miejscu Krystyna?

Po drodze na placyk zabaw wyciągnąłem komórkę i jeszcze raz obdzwoniłem wszystkich znajomych, którzy mieli jakiś dłuższy kontakt z małymi dziećmi. Podobnie jak wcześniej – nikt nie odebrał. Schowałem telefon i myślałem dalej. Sąsiedzi? Mieszkaliśmy przy Kołłątaja od

czterech lat, ale sąsiadów znaleźliśmy właściwie tylko z widzenia, niektórych z nazwiska. W większości byli to starsi ludzie, bezdzietni albo z dziećmi odchowanyymi już do tego stopnia, że dawno zapomnieli, z czym wiązało się posiadanie czternastomiesięcznego berbecia. Rodziny we Wrocławiu nie mieliśmy, przyjaciół też niewielu: nigdy nie wiedliśmy szczególnie aktywnego życia towarzyskiego, a od pojawienia się Roberta sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Krystyna miała znajomych z pracy, z którymi raz na jakiś czas wychodziła na miasto, ale tak naprawdę ich nie znałem. Ja pracowałem w domu, w samotności, a z wydawcą i kilkoma innymi osobami z branży utrzymywałem kontakty wyłącznie zawodowe.

Z przerażeniem zrozumiałem, że jestem sam i na nikogo więcej nie mogę liczyć.

Park był szary i ponury. Kora platanów i cisów pociemniała od wilgoci, alejki upstrzone były płytkimi kałużami, trawniki zasłane opadłymi liśćmi. Poza nami nie widziałem nikogo.

Dotarliśmy na placyk wyłożony miękkimi, biało-czarnymi płytami, które układały się w pagórkowatą szachownicę. Wyciągnąłem Roberta z wózka i zaczęliśmy spacerować. Trzymałem go za rękę, gdy krążył wśród drabinek, huśtawek i koników na sprężynach tymi swoimi śmiesznymi, niepewnymi krokami, gdy ostrożnie stawiał kalosze w kałuży, gdy pochylał się nad pojedynczymi liśćmi, kamieniami, patykami. Czasami zerkał w górę, na mnie, i uśmiechał się, mrużąc oczy i szczerząc swoje nieliczne zęby, a wtedy myślałem o tym, że go kocham i że nie pozwolę, żeby stało mu się coś złego.

Pochodziliśmy trochę, po czym wytarłem huśtawkę ręcznikiem papierowym i posadziłem w niej Roberta. Bujał się, zerkając w różne strony, a ja podążałem za nim wzrokiem i dumałem nad tym, jak potwornie niesprawiedliwy jest parszywy los. Widziałem poniemiecki basen przy Teatralnej i myślałem o tym, że nigdy nie pójdziemy na niego całą trójką. Dostrzegłem między drzewami Teatr Lalek i pomyślałem o wszystkich



bajkach, których nie obejrzymy; o filmach, na które nie pójdziemy; o żartach, po których nie będziemy zanosić się śmiechem. Pomyślałem o tym, że ile razy Robert zrobi coś ważnego, pięknego czy niezwykłego, nie będę miał nikogo, kogo mógłbym ścisnąć za rękę, pocałować, przytulić...

– Ptaki są niespokojne.

Głos pojawił się tak niespodziewanie, że aż podskoczyłem. Nie krzyknąłem tylko dlatego, że strach ścisnął mnie za gardło. Serce zaczęło łomotać jak szalone, krew z hukiem uderzyła mi do głowy.

Mężczyzna stał o dwa kroki za mną i nieco z boku. Sam przypominał kruka. Czarne, zlepione deszczem włosy sięgały mu do połowy szyi. Oczy lśniły w bladej twarzy jak dwa wilgotne węgielki, a obszerny płaszcz z kołnierzem przypominał złożone skrzydła. Spod postrzępionych nogawek znoszonych czarnych dżinsów wyglądały buciory pokryte skorupą błota.

Popatrzył na mnie, później w górę, na gałęzie drzew. Dopiero wtedy spostrzegłem, że konary platanów pełne są kruków. Ptaków były dziesiątki albo raczej setki i wszystkie wydawały się nam przyglądać.

Jakby na coś czekały.

– Przestraszył mnie pan – zauważyłem.

Nie odpowiedział. Zamiast tego popatrzył na Roberta. Większość ludzi ignoruje nieznajome dzieci albo uśmiecha się do nich, zagaduje wesoło. On pochylił nieznacznie głowę i zaczął świdrować malca wzrokiem, jakby chciał dokładnie go zapamiętać.

Przesunąłem się o krok, w efekcie stanąłem dokładnie między dzieckiem a nieznajomym. Przeszło mi przez myśl, żeby zabrać Roberta i jak najprędzej uciec w stronę głównej ulicy. Jednak mężczyzna nie zbliżał się, nic nie wskazywało na to, by miał złe zamiary. Wyprostował się nieco sztywnym ruchem, jakby zamiast kręgosłupa miał kij, i raz jeszcze popatrzył na gęsto obsadzone gałęzie.

– Ptaki są niespokojne – powtórzył.

– Już pan to mówił. Co to znaczy? Czy to ważne?

– Wie pan, co to za ptaki? – odpowiedział.

– Wyglądają jak kruki, prawda? – odparłem. Mężczyzna nie był większy ode mnie, nie widziałem też żadnej broni. Co robić, jeśli zacznie być agresywny? Walczyć? Boże, jestem pisarzem, nie jakimś cholernym komandosem. To co, lepiej chwycić Roberta, wziąć nogi za pas i mieć płonącą nadzieję, że nieznajomy mnie nie dogoni?

– Nie tylko – odrzekł. – Są wśród nich także wrony czarne i gawrony.

– Pan chyba dużo wie o ptakach.

– To inteligentne stworzenia. Jako jedne z nielicznych zwierząt potrafią korzystać z narzędzi. Niektóre nawet naśladują ludzki głos. Powtarzają wybrane słowa.

– Jak u Poego.

Popatrzył na mnie z zainteresowaniem, czarne oczy nagle wydały mi się nieludzkie, pozbawione wyrazu. Przekrzywił głowę, przez co podobieństwo do ptaków stało się jeszcze wyraźniejsze. Poczułem, że zaczynam drżeć.

– Dawniej bardzo szanowano te ptaki – powiedział. – Wiele ludów widziało w nich boskich wysłanników, kojarzono je ze śmiercią. Powszechnie wierzono, że posiadają informacje niedostępne zwykłym ludziom. I że potrafią dostrzec to, co dla nas pozostaje niewidoczne.

Pomyślałem o piórach znalezionych w łóżeczku dziecięcym i o szeregu ptaków na balustradzie mojego balkonu. Niepokój z każdą chwilą narastał, a dziwne zachowanie nieznajomego nie pomagało.

– Myśli pan, że są tu z jakiegoś powodu? – zapytałem, bacznie obserwując czarne sylwetki. Niektóre ptaki czyściły pióra, inne przeskakiwały z nogi na nogę, raz po raz rozlegało się gdzieś krakanie. Większość jednak czekała nieruchomo, jakby obserwowała jakiś niebywale wciągający spektakl.

– Czują odór śmierci, ona ich przyciąga. Obaj cuchniecie nią na kilometr.

Obejrzałem się na niego i znowu zdrętwiałem ze strachu.

Mężczyzny nigdzie nie było. Rozejrzałem się wokół, ale placyk był pusty, nie dostrzegłem też nikogo poza jego granicami, między drzewami. Nie istniała zresztą możliwość, żeby tak szybko się oddalił.

Nieznajomy jakby wyparował, a ja i Robert zostaliśmy w parku sami.

Nie miałem czasu, by się nad tym zastanawiać – w górze coraz więcej ptaków zaczynało krakać. Minęło nie więcej niż dziesięć sekund, a połowa gigantycznego stada włączyła się do ogólnego rejwachu, wrzask osiągnął monstrualne rozmiary i wypełnił park. Z każdą chwilą odzywało się coraz więcej ptaków i wkrótce dźwięk stał się ogłuszający, niemal fizycznie bolesny.

Wyciągnąłem Roberta z huśtawki i pospiesznie usadziłem go w wózku, po czym popędziliśmy w stronę ulicy. Głos ptaków jeszcze długo nas ścigał, a gdy spojrzałem przez ramię, przysięgłbym, że widziałem, jak kruki i wrony pikują z drzew, siadają na huśtawkach i zjeżdżalniach, po czym z jazgotem zaczynają tłuc dziobami w instalacje, jakby próbowały je zniszczyć, rozerwać na kawałki, zrównać z ziemią.

Pochyliłem się nisko nad wózkiem i zapewniając Roberta, że nie ma czego się bać, pogałem co sił do domu.

\*\*\*

Echo ptasich krzyków i wspomnienie dziwnej rozmowy sprawiły, że czułem się nieswojo na długo po powrocie do mieszkania. Robert wydawał się tym wszystkim znacznie mniej przejęty: zjadł, choć bez apetytu, podwieczorek, po czym jakby nigdy nic ruszył na obchód pokoju – porzucił na podłogę książeczki stojące na najniższych półkach regału, przewrócił kosz z zabawkami, wreszcie przysiadł na dywanie i zaczął ciskać we wszystkie strony zebranymi niegdyś kasztanami.

Puściłem na wieży składankę utworów Louisa Armstronga i Elli Fitzgerald, jedną z płyt, którymi Krystyna próbowała u mnie zaszczepić miłość do jazzu. Robert przeżywał akurat jedną z tych nielicznych chwil,

kiedy do szczęścia potrzebował spokoju i samotności, więc mogłem wypić herbatę i nieco się wyciszyć. Z tego, że wciąż jestem roztrzęsiony, zdałem sobie sprawę, gdy pierwsze dwie łyżeczki cukru rozsypałem na blacie.

Co tam się właściwie stało? Kim był ten mężczyzna w parku? Czy tam był w ogóle jakiś mężczyzna, czy raczej całe spotkanie mi się przywidziało? Do diabła, nawet jeśli go sobie nie ubzdurałem, to ptaki demolujące huśtawki i karuzele z każdą chwilą wydawały się mniej realne.

Doszedłem do wniosku, że winny może być brak snu. Od wypadku nie spałem dobrze, właściwie nie mogłem sobie przypomnieć nocy, którą bym porządnie przespał. Owszem, zapadałem raz na jakiś czas w płytką, niedającą wytchnienia drzemkę. Jednak prawdziwy, zdrowy sen odszedł wraz z moją lepszą połową.

Bawiliśmy się z Robertem aż do wieczora. Później malec dostał kolację, obejrzelśmy na laptopie bajkę – tym razem bez komplikacji – a następnie wykąpałem go i położyłem do łóżeczka.

– Kocham cię, smyku – powiedziałem, całując go w głowę. – Śpij słodko.

Kiedy wychodziłem z pokoju dziecięcego, miał jeszcze otwarte oczy, choć leżał cicho i spokojnie, gotów lada moment odpłynąć ku krainie snów.

Usiadłem na dole i poczułem, jak rodzi się we mnie iskierka nadziei. Robert był przed snem aktywny przez ponad pięć godzin, bawił się grzecznie i kilka razy wspomniał o mamie, ale bez krzyku i płaczu. Może faktycznie potrzebował paru tygodni, żeby oswoić się ze stratą. Może potrzebował tyle snu, żeby psychiczne rany mogły się zabliznić na podobieństwo tych fizycznych.

Uwierzyłem, że odbiliśmy się od dna i że teraz będzie już tylko lepiej.

Otworzyłem piwo, puściłem na wieży „Fire and Water” Free i zabrałem się za porządki. Nie za zwykłe ścieranie kurzu czy mycie podłóg. Zabrałem się za podział rzeczy Krystyny: na te, które zamierzałem zatrzymać, oraz te, które chciałem oddać albo wyrzucić.

Najłatwiej poszło z ubraniami. Wkrótce w sypialni leżały trzy sterty: starocie do wyrzucenia, rzeczy w nieco lepszym stanie do oddania potrzebującym i eleganckie ciuchy, które zamierzałem zaoferować rodzinie oraz przyjaciołom. Jedwabną koszulę nocną, którą przywiozłem Kryśce z Rzymu, postanowiłem wyrzucić, mimo iż założyła ją raptem z pięć razy. Nie zniósłbym myśli, że sypia w niej jakaś inna kobieta, że jakiś mężczyzna spogląda z pożądaniem na skrywane pod nią kształty.

Po ubraniach przyszedł czas na książki: Krystyna miała ich całe mnóstwo, w tym wiele po francusku. Oddzieliłem te, które mogły kiedyś zainteresować Roberta, resztę zapakowałem do kartonu z intencją wzbogacenia zbiorów osiedlowej biblioteki. Rozmaite zawodowe papiery mojej żony – umowy, rachunki i delegacje, stare plany zajęć, ksera artykułów – powędrowały do śmieci.

Zmieniłem płytę, z głośników popłynęły okrągłe, basowe dźwięki Massive Attack. Otworzyłem kolejne piwo i pracowałem dalej.

Było już po północy, kiedy otworzyłem szufladę, w której trzymaliśmy rozmaite pamiątki i bibeloty nagromadzone w trakcie wspólnego życia. Wpadłem w tę pułapkę wspomnień jak w osuszoną studnię: drżącymi rękoma przeglądałem albumy z fotografiami, pocztówki, które wysyłałaliśmy sobie jeszcze w liceum, zachomikowane w foliowej koszulce bilety ze wspólnych wyjść do kina czy teatru.

Nie minęło pięć minut, a ledwo widziałem przez łzy.

Znalazłem tam składankę utworów Roxette na kasecie, którą w klasie maturalnej przegrałem Kryśce z pirackiego kompaktu. Znalazłem akwarelę, którą namalowała, kiedy pierwszy raz pojechaliśmy we dwoje nad Bałtyk. Znalazłem odcisnięty w gipsie ślad stópki sześciomiesięcznego Roberta, moje pierwsze dedykowane Kryśce opowiadanie, wydrukowane jeszcze na okrutnie głośnej igłówce mojej mamy, oraz solidne metalowe kajdanki obite różowym futerkiem, które Kryśka z zażenowaniem przyniosła

z wieczoru panieńskiego. Nigdy nie mieliśmy okazji ich wykorzystać. Tylu rzeczy nie zrobiliśmy, tak wiele marzeń pozostało niespełnionych.

Na balkonie rozległo się nagle krakanie. Zareagowałem bez namysłu, bardziej pijany i rozgoryczony niż sądziłem: rzuciłem w połowie pełną puszką w okno. Szkło wytrzymało, choć huk bez wątpienia poniósł się po całym bloku. Piwo chlusnęło najpierw na parapet, później na podłogę, puszka stuknęła o drewniane klepki. Ptak, niewidoczny w ciemności, najwyraźniej zerwał się z balustrady, bo krakanie, wciąż słyszalne, szybko się oddaliło.

Przez chwilę nasłuchiwałem, czy przypadkiem nie obudziłem Roberta. Przez cienkie ściany słyszałem szmer poruszenia u sąsiadów, pisk zawiasów, zgrzyt otwieranych okien. Musiałem pobudzić niemało osób.

Jednak na górze panowała cisza.

\*\*\*

Po nocy nadszedł ranek, szary i pochmurny, ale przynajmniej nie padało. Światło dnia przywitało mnie na kanapie, zdrętwiałego, we wczorajszym ubraniu i z paskudnym posmakiem w ustach.

W kuchni napiłem się soku, po czym poszedłem do łazienki, umyłem się, ogoliłem, ubrałem w świeże rzeczy. Po drodze na dół zajrzałem do Roberta: spał jak zabity.

Zrobiłem sobie śniadanie, dla małego wymieszałem serek waniliowy z owocowym musem i nasionami amarantusa. Zjadłem, wypłem kawę i sprawdziłem godzinę. Dochodziła ósma, a to oznaczało, że Robert spał już od ponad jedenastu godzin.

Przed wypadkiem byliśmy szczęśliwi, jeśli dał nam pospać do szóstej rano.

Pozmywałem po śniadaniu i ruszyłem na górę. Najwyraźniej życie nie zamierzało samo z siebie wrócić na właściwy tor. Musiałem wziąć sprawy w swoje ręce.

– Pobudka, panie Bobovitz – odezwałem się, siadając przy łóżeczku. – Pora wstać. Chodź, Bobinho, trzeba zjeść śniadanie.

Malec ani drgnął.

– No, dalej, nie daj się prosić. Wstajemy.

Żadnej reakcji. Natychmiast stanął mi w pamięci głos człowieka z parku, jego przerażająco obojętne „obaj cuchniecie śmiercią”.

Wziąłem Roberta na ręce. Nieważne jak twardo wcześniej spał, w tym momencie zawsze się budził. Tym razem wydawało się, jakbym trzymał nie dziecko, a worek kartofli – ciało było bezwładne, rączki zwisały swobodnie, główka pochyliła się jak do modlitwy i oparła brodą o drobną pierś. Skojarzenie ze szmacianą lalką sprawiło, że zrobiło mi się niedobrze.

– Robert, zbudź się, proszę.

Chodziłem po pokoju, tuląc malca. Gładziłem go po plecach i głowie, mówiłem do niego, potrząsałem nim lekko. Wciąż nie mogłem się doczekać żadnej reakcji, moje myśli natomiast pędziły jak szalone. W przyпіływie desperacji najpierw połaskotałem go po brzuchu i pod pachami, wreszcie uszczypnąłem w przedramię. Nic, zamiast szczypać, mógłbym nucić kołysankę, efekt byłby ten sam.

Odłożyłem Roberta do łóżeczka i odetchnąłem głęboko. Musiałem się uspokoić, wiedziałem, że panika w niczym mi nie pomoże.

Sprawdziłem mu temperaturę: była obniżona, ale w granicach normy. Oddychał równo, spokojnie. Nie spocił się, dłoni i stóp nie miał chłodniejszych, niż powinien. Wyglądało na to, że nie dzieje się nic strasznego. Poza tym, że za nic nie mogłem go obudzić.

Zadzwońem do pediatry, który parokrotnie przyjeżdżał do nas do domu, kiedy Robert akurat w weekend postanowił gwałtownie zagorączkować. Facet liczył sobie niemało, ale znał się na swoim fachu. Niestety po piątym sygnale włączyła się poczta głosowa. Nagrałem się, pokrótce opisując niepokojące mnie objawy i prosząc o kontakt.

Robert w międzyczasie poruszył ręką, co wziąłem za dobry znak. Gdy jednak próbowałem go obudzić, dalej spał twardo.

Nie minęło więcej niż dziesięć minut, gdy przyszedł SMS od lekarza.

*Przykro mi, nie mogę pomóc, jestem poza Wrocławiem. Jeśli się Pan niepokoi, sugeruję ostry dyżur na Kamińskiego.*

Widząc te słowa, poczułem, jakby ktoś wraził mi rozżarzony pogrzebacz prosto w mózg. Ból przeszył mnie w mgnieniu oka, rzucił sparaliżowanego na podłogę i zagotował mi krew w żyłach... po czym ustąpił, równie nieoczekiwanie, jak się pojawił. Odzyskałem trzeźwość umysłu na klęczkach, zlany potem. Cały się trząsałem i nie miałem pojęcia, co się właściwie stało. Skąd ten ból? Co się ze mną dzieje?

Zacząłem ubierać Roberta. Dziecko spało i cała operacja zajęła mi więcej czasu niż zazwyczaj, ale w końcu byliśmy gotowi do wyjścia – wystarczyło, żebym zapiął mu kurtkę i nałożył czapkę.

Zadzwońłem do trzech różnych firm taksówkarskich. W dwóch nikt nie odebrał telefonu, w trzeciej automat poinformował mnie, że wszyscy konsultanci są w chwili obecnej zajęci i poprosił, abym zaczekał. Czekałem cztery albo pięć minut, na próżno, po czym zakląłem szpetnie i dałem sobie spokój. Wsadziłem do kieszeni kluczyki do auta, wziąłem Roberta na ręce i wyszedłem z domu.

Prędzej czy później trzeba zmierzyć się ze swoimi demonami.

Biała octavia czekała na parkingu. Wózek wsadziłem do bagażnika, Roberta – wciąż śpiącego – umieściłem w foteliku, sam zająłem miejsce kierowcy. Gdy tylko położyłem ręce na kierownicy, wszystko jeszcze raz stanęło mi przed oczyma: światła rozmyte przez gęsty deszcz, zboląta mina gorączkującego dziecka w lusterku, smutna twarz Krystyny siedzącej obok. Później ten nagły błysk z prawej strony, błysk, który powinien kazać mi działać, przyspieszyć, zwolnić, ale tylko mnie sparaliżował. Przypomniałem sobie łomot uderzenia, zgrzyt giętego metalu, huk pękających szyb,



wreszcie krzyk Krystyny, zduszony, ucięty niby jedwabna wstęga. Przypomniałem sobie, jak coś cisnęło samochodem, jak cały świat zawirował, zachwiał się w posadach, a później nagle nastąpiła cisza, głucha cisza, i tylko jakiś głos, chyba mój, pytał, czy wszyscy są cali, i krew ciekła po pokruszonym szkłe; i pamiętałem rżący oddech Krystyny, oddech, który ucichł, zanim ktokolwiek zdołał nam pomóc.

Otrząsnąłem się, otarłem mokre policzki.

– Dasz radę – powiedziałem sobie, zaciskając palce na kierownicy. Dłonie zbieleły mi z wysiłku, na skroni pojawiły się kropelki potu. – Dasz radę, tatuśku. Dla Roberta.

Nigdy w życiu tak się nie bałem jazdy, nawet podczas egzaminu. Na głos przypomniałem sobie, co muszę zrobić, jakbym faktycznie pierwszy raz siadał za kółkiem.

– Lusterka. Pasy. Zapłon.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce, silnik odezwał się jak lojalny pies tylko czekający na wezwanie pana.

– Ręczny. Sprzęgło. Wsteczny.

Trzy razy upewniałem się, że w nic nie wjadę i nikogo nie potrącę. Silnik wył, bo dodałem za dużo gazu, później z kolei zgasł, gdy za mocno przyhamowałem.

– Boże wszechmogący, pomóż mi, proszę.

Dojechaliśmy do granicy parkingu i zahamowałem, żeby sprawdzić, czy mogę włączyć się do ruchu. Ulica była pusta, wytoczyłem się na nią i zmieniłem pas. Serce tłukło mi się w piersi, ręce wciąż drżały. Co chwila zerkałem w prawo, żeby się upewnić, że nic z tamtej strony nie nadjeżdża i w nas nie uderzy.

Wyjechałem na Kołłątaja. Obecność innych samochodów wzbudziła nowe dreszcze. Po każdym mijanym pojeździe spodziewałem się nagłej zmiany pasa, każdy pieszy wyglądał jak potencjalny samobójca, gotów bez patrzenia wyleźć na ulicę i trafić pod nasze koła.

Jakimś cudem pokonaliśmy jedno skrzyżowanie, potem następne. Uspokoilem się nieco, usiadłem wygodniej w fotelu, zmusilem się, żeby mniej kurczowo ścisnąć kierownicę. To nic takiego, powiedziałem sobie. Miałem prawo jazdy od dziesięciu lat i wyjeździłem blisko sto tysięcy kilometrów. Taka przejażdżka to drobiazg.

W tym momencie wyjechałem na skrzyżowanie. Zaraz coś mignęło mi z lewej, usłyszałem pisk opon. Zdrętwiałem momentalnie i wydałem z siebie pełen przerażenia skrzek, ale spodziewane uderzenie nie nastąpiło. Samochód po lewej wyhamował w ostatniej chwili, skończyło się na pełnym wyrzutu trąbieniu. Przejechaliśmy skrzyżowanie, a ja popatrzyłem w lusterko wsteczne. Znaki nie kłamały – wymusiłem pierwszeństwo. Gdyby nie trzeźwość drugiego kierowcy, moglibyśmy nieźle oberwać. Gdy o tym pomyślałem, zerknąłem w lusterku na Roberta i po raz kolejny zdjął mnie strach.

Malec siedział w foteliku, ale nie miał zapiętych pasów. Musiałem o nich zapomnieć, kiedy wsadzałem go do samochodu. W razie wypadku... Jezu, wolałem nawet nie myśleć, co by się stało.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – ryknąłem, wściekły na siebie i na cały świat. Jak najprędzej zjechałem na prawy pas i zaparkowałem na chodniku. Wyskoczyłem z samochodu. Kiedy zrozumiałem, na co naraziłem Roberta, wstrząsnęły mną mdłości.

Otworzyłem drzwi i zacząłem mocować się z pasami przy foteliku dziecięcym. Coś się zablokowało, choć szarpałem i ciągnąłem na wszystkie strony, za nic nie mogłem ich dopiąć. Wycedziłem parę przekleństw przez zaciśnięte zęby i, gdy byłem już gotów się załamać, Robert otworzył oczy.

– Nareszcie! Boże, jak dobrze. Tak się cieszę, że się obudziłeś!

Chwyciłem go w objęcia, zacząłem tulić do siebie. Poruszył głową i zamrugął, najwyraźniej zdezorientowany tym, gdzie się znajduje. Zakwilił cicho i oparł główkę na moim ramieniu.

– Już dobrze, synku. Już dobrze – powtarzałem, bujając go delikatnie. – Wszystko będzie dobrze.

Bardzo chciałem w to wierzyć.

Przez kilka chwil po prostu cieszyłem się jego ciepłem, pojedynczymi sylabami padającymi z jego ust, tym, że obserwuje ruch uliczny. Kiedy uspokoilem się na tyle, żeby kontynuować podróż, spróbowałem wsadzić Roberta z powrotem do fotelika. Wystarczyło jednak, że otworzyłem drzwi, a zaczął wrzeszczeć opętańczo, wić mi się na rękach, wyginać i prężyć, jakbym próbował go zamknąć w klatce pełnej jadowitych węży. Na nic się zdały uspokajające słowa, nie pomogło bujanie, smoczek, zabawki wkładane w dłonie. Malec panicznie bał się fotelika.

Cóż, po tym, co stało się z Krystyną, nie bardzo mogłem go winić.

Poddałem się. Wyciągnąłem wózek z bagażnika i zapakowałem Roberta do środka. Ruszyliśmy w stronę najbliższego przystanku.

Okazało się, że autobus, który nam pasował, odjechał przed pięcioma minutami, na następny musielibyśmy czekać pół godziny. Postanowiłem jednak, że zaczekamy i wbrew wszystkim przeciwnościom losu dotrzemy dzisiaj do szpitala.

Zajrzeliśmy do znajdującej się nieopodal piekarni, gdzie kupiłem Robertowi maślaną bułkę, później wróciliśmy na przystanek. Malec jadł powoli, z niewyraźną miną, jakby odrywał kolejne kęsy bardziej z rozsądku niż faktycznej potrzeby.

Kiedy autobus wreszcie przyjechał, okazało się, że jest kompletnie zapchany. Popatrzyłem z niedowierzaniem na nieprzychylne twarze stłoczonych ludzi i na myśl, że musielibyśmy czekać na przystanku przez kolejne pół godziny, ogarnęła mnie rezygnacja.

Sięgnąłem po komórkę i zadzwoniłem jeszcze raz, właściwie pro forma, po taksówkę. Nikt nie odebrał, więc podszedłem do kubła na śmieci i wyrzuciłem telefon.

Miałem taki nastrój, że gdyby ktoś wręczył mi detonator, mógłbym wysadzić w diabły cały świat.

– Chodź, Robert – powiedziałem. – Wracamy do domu.

\*\*\*

Byliśmy z powrotem na Kołłątaja, gdy przez warkot samochodów przebił się niewyraźny szum dworcowych megafonów. Zamierzałem skręcić w stronę naszej bramy, ale Robert wyciągnął dłonie w kierunku stacji kolejowej i popatrzył na mnie z wyczekiwaniem. Zatrzymałem się, przyjrzałem jego malutkiej, pełnej nadziei twarzyczce, po czym wzruszyłem ramionami.

– Czemu nie?

Pchnąłem wózek w stronę dworca, a Robert zaczął radośnie majtać nogami i wykrzykiwać sobie tylko zrozumiałe zlepki sylab. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałem go równie szczęśliwego.

Pokonaliśmy przejście dla pieszych na skrzyżowaniu Piłsudskiego oraz Kołłątaja i weszliśmy na obszerny plac przed dworcem. W szarówce ponurego dnia pomarańczowe ściany gmachu wydawały się rdzawe, ciemne okna przypominały puste oczodoły. Sam plac – wyludniony, jeśli nie liczyć nas – jawił się niby prastary cmentarz: nagie kopce kojarzyły się z kurhanami, a jednolity szary chodnik z płytami nagrobnymi. Pustka, szkielety bezlistnych drzew, gzymy pełne kruków i wron...

Gdzie się podziiali wszyscy ludzie?

Przeszło mi przez myśl, żeby zawrócić, ale Robert wyciągał rączki w stronę drzwi i komunikował coś uparcie całemu światu. Nie miałem serca, żeby ciągnąć go teraz do domu.

Otworzyłem drzwi i weszliśmy do budynku dworca. Wewnątrz panował półmrok, ciemność rozpraszało jedynie światło dnia wpadające przez okna wysoko w górze. Z głębi hali dobiegał niewyraźny szmer.

Robert uspokoił się, ucichł. Ruszyliśmy przed siebie powoli, mijając pozamykane kioski i budki, opuszczone rolety saloników prasowych i drogerii. Automaty z napojami gazowanymi i kawą podpierały ścianę, milczące, pokryte cienką warstwą kurzu. Budynek musiał być pusty już od jakiegoś czasu – w kącie, pośród rozrzuconych śmieci, leżał przewrócony kubek, tu i ówdzie widniały bohomyzy aspirujące do miana graffiti.

Nigdzie nie było żywej duszy.

Stanęliśmy u progu głównej hali dworca i źródło dziwnego, niejednostajnego hałasu przestało być tajemnicą. Na wszystkich wystających belkach, podciągach i wspornikach, na każdym centymetrze kwadratowym poziomej powierzchni siedziały ptaki. Kruki, wrony i gawrony, wszystkie pokrzykiwały jeden przez drugiego, drobiły szponiastymi łapkami po metalu, z miękkim łopotem skrzydeł przelatywały z miejsca w miejsce. Były ich tysiące – mrowie znajdujących się w ciągłym ruchu piór, pazurów, dziobów i obojętnych, czarnych ślepi.

– Jezu Chryste – wyszeptałem.

Przez ptasi harmider przedarł się wzmocniony megafonem komunikat, wciąż zniekształcony i płaski, ale udało mi się już rozróżnić pojedyncze słowa. Jednak, co ważniejsze, rozpoznałem, do kogo ów głos należał.

Krystyna.

Jeśli istnieją słowa zdolne opisać to, co poczułem, ja ich nie znam. Tęsknota, radość, nadzieja i ból w ułamku sekundy stworzyły mieszankę, która eksplodowała, pozostawiając mnie ogłupiałego i zdruzgotanego, z jedną nogą w piekle, drugą u bram raju.

To nie mogła być prawda.

– Maama! – wykrzyknął Robert, gdy komunikat dobiegł końca. – Mamaaaa!

Boże wszechmogący, to nie mogła być prawda.

Pchając wózek, pobiegłem w stronę tunelu i wyjść na perony. Ptaki, już wcześniej hałaśliwe, teraz rozkrzyczały się na potęgę, jakby tylko na nas

czekały. Ich ogłuszające krakanie zważyło się na nas, przetoczyło się po posadzce i zaczęło rezonować między ścianami potępieńczym, ciągnącym się w nieskończoność echem.

Krzyczałem ze strachu, ale nie słyszałem własnego krzyku.

Wpadliśmy w tunel i popędziliśmy w stronę najbliższych schodów. Taśma do przewożenia bagażu nie działała, więc po prostu wziąłem Roberta na ręce i ruszyłem w górę schodów. Na stopniach ktoś rozsypał ulotki reklamujące jakąś płytę – pod sloganami „genialny album solowy” i „najbardziej osobiste dzieło twórcy The White Stripes” widniał obrazek przedstawiający bladego, ubranego na czarno mężczyznę z wielkim ptaszyskiem na ramieniu.

Człowiek z okładki reklamowanej płyty był tym samym, z którym rozmawiałem w parku.

– Co tu się dzieje? – wyszeptałem.

W tym momencie z głośników po raz kolejny popłynął głos.

Jej głos.

I tym razem słyszałem wyraźnie każde słowo.

*Boję się. Potwornie się boję, wiesz?*

– Krystyna – krzyknąłem, po czym popędziłem na peron. – Krystyna!

*Lekarze nie rozumieją, co dzieje się z Robertem. Pogłupieli, gdy badania nic nie wykazały. A on niemal nie śpi, Grzesiek. Drzemie niespokojnie po pięć, sześć godzin dziennie. Śpi coraz krócej, zasypia w najróżniejszych porach, budzi się smutny i roztrzęsiony. Wzywa cię przez łzy, powtarza „tata”, „tata”, jakby dopiero co cię widział, jakby ktoś ledwo co mu cię odebrał.*

Krzyczałem, ale nie słyszała mnie, więc umilkłem. Jej głos też w pewnym momencie ucichł i głośniki przekazywały odległy, cichy sygnał, który po chwili rozpoznałem.

EKG. Monitorowana akcja serca. Głos Krystyny docierał ze szpitala.

I nagle powrócił, łamiący się, kruchy.

*Oni mówią, że możesz się już nie obudzić. Że możesz już do nas nie wrócić. A ja... Grzesiek, ja nie wiem, jak to przeżyję. Nie mogę tak bez ciebie... Nie wyobrazasz sobie, jak mi ciężko. Ale gdyby coś stało się Robertowi... Boże, Grzesiek, tak się boję, nie mam pojęcia, co się z nim dzieje. Miałam nadzieję, że z biegiem czasu będzie łatwiej, że się przyzwyczaimy, pogodzimy z tym. Ale... ale z naszym Robertem jest tylko gorzej, wiesz? Jest słabszy, marudny, płacze niemal bez przerwy. Nie chce jeść, nie chce pić. I nikt nie może nam pomóc. Nikt nie wie, jak nam pomóc.*

Znowu zamilkła, słyszałem jej płacz i powtarzający się dźwięk aparatury. Czekałem z zapartym tchem na kolejne słowa. A kiedy nadeszły, zburzyły mój świat.

*To ty powinieneś był wtedy prowadzić, powiedziała. Ty byś wiedział, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Ja nie wiem.*

Rozpalony żelazny pręt dźgnął mnie prosto między płaty czołowe, wspomnienia wylały się ze mnie jak woda z przekłutego pęcherza. Prawdziwe wspomnienia, a nie ułuda, którą stworzyłem. Nie ułuda, którą karmiłem się od tygodni.

Przypomniałem sobie gorączkę Roberta i twarz Krystyny, gdy pokazałem jej termometr: 39,8°C. Przypomniałem sobie wiadomość od naszego pediatry, który napisał, że nie może przyjechać, bo jest poza Wrocławiem, i że powinniśmy zabrać Roberta na ostry dyżur na...

– ...Kamieńskiego – wyszeptałem, nagle rozumiejąc.

Przypomniałem sobie piwo, które wypłem wcześniej tego dnia, i upór Krystyny, która zdecydowała, że będzie prowadzić. Przypomniałem sobie jej zmartwioną twarz, dłonie zaciskające się kurczowo na kierownicy, krople deszczu łomoczące o szyby i dach.

To ja powinienem był prowadzić. Ja.

Przypomniałem sobie błysk świateł po mojej stronie, pisk opon, impet uderzenia oraz krew na okruchach szkła...

Moją krew.

O Boże.

*Nie poradzę sobie! To ja powinnam tu leżeć i umierać, nie ty!, powiedziała Krystyna z goryczą i żalem. Ty powinieneś żyć. Ty i Robert powinniście żyć! Proszę cię, obudź się i zrób coś! Zbudź się i uratuj nasze dziecko! Zbudź się, słyszysz?*

\*\*\*

Zawsze twierdziłem, że nienawidzę pożegnań. Teraz jednak dałbym wszystko, żeby móc spojrzeć Krystynie w twarz i powiedzieć jej jeszcze kilka ostatnich słów. Chciałbym, żeby wiedziała, że nigdy nikogo nie kochałem tak jak jej i że ona oraz Robert byli najlepszym, co mnie w życiu spotkało.

Z nią nie mogłem się już pożegnać, ale wciąż mogłem pożegnać się z Robertem.

Mówiłem do niego długo, walcząc ze łzami cisnącymi mi się do oczu. Opowiadałem o tym, jak szczęśliwy byłem, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy: różową, pomarszczoną, płaczącą kulkę zawiniętą w szpitalny becik. Opowiadałem o nieprzespanych nocach, które szły w zapomnienie, gdy tylko się uśmiechnął. O cudownym zapachu jego niemowlęcej skóry. O dumie, która nas rozpierała, kiedy nauczył się raczkować, postawił pierwszy krok albo po raz pierwszy powiedział „mama”.

Robert siedział w foteliku, miętosił w rączkach pluszową sowę i słuchał mnie z szeroko otwartymi ustami.

Mówiłem mu, że jest śliczny i mądry, że czeka go całe życie, pełne niespodzianek, trudów i szczęścia. Mówiłem o potędze miłości i przyjaźni, o tym, że nie warto się złościć, że nie warto nienawidzić. Prosiłem, żeby podążał za marzeniami, nie bał się wyzwań i częściej słuchał serca niż rozumu.

Powiedziałem mu, że cokolwiek zrobi i kimkolwiek zostanie, ja zawsze będę z niego dumny i będę go kochał.



Później dałem mu mleko, ucałowałem go w czoło, przytuliłem mocno i położyłem do łóżeczka.

– Tata – powiedział, zanim przymknął oczy. Moment później przechylił główkę na bok i zasnął.

Podszedłem do zdjęcia Krystyny, zdjęłem antyramę ze ściany i przycisnąłem do piersi.

– Oddaję ci go – wyszeptałem, choć przecież nie mogła mnie słyszeć. – Opiekuj się dobrze naszym synkiem.

Usiadłem pod kaloryferem w pokoju dziecięcym, obok drzwi balkonowych. Widziałem stąd budynki naprzeciwko, trakcję tramwajową, opustoszały przystanek. Ulicą nie jechały już samochody, po chodnikach nie przemieszczali się piesi. Wieżowce, dotychczas majaczące w oddali, zaczęły się rozmywać, jakby rozwiewać na wietrze.

Koniec ułudy. Skoro Robert miał odejść, już jej nie potrzebowałem.

Popatrzyłem na moje dziecko, na to, jak słodko śpi. Jakby wreszcie pozbyło się wszystkich trosk.

– Śpij spokojnie, synku. Już cię nie obudzę.

Zanim zdążyłem się rozmyślić, przypiąłem się kajdankami do grzejnika – tymi samymi kajdankami w różowym futerku, które Krystyna dostała na panieńskim – po czym cisnąłem kluczyk w kąt pokoju.

Teraz nie miałem już wyjścia. Nie mogłem zmienić zdania, podejść i obudzić Roberta. Musiałem pozwolić mu odejść.

Kilka ciemnych kształtów przemknęło za oknem. Odwróciłem głowę w ich stronę. W życiu nie widziałem tylu ptaków. Wrony i kruki gęsto obsiadły budynki, latarnie, wiaty przystanków, a niebo wciąż czerniało od kolejnych kraczących przybyszów. Nadlatywały tysiącami, tworząc na tle ołowianego nieba na pozór chaotyczny wir poruszającego się mroku.

Z takiej ciemności mógł się kiedyś narodzić świat.

Później odwróciłem głowę w stronę Roberta i patrzyłem, jak cudownie beztrosko śpi. Patrzyłem na niego, zerkałem na zdjęcie Krystyny i bardzo

staralem się nie patrzeć za okno. Nie chciałem widzieć, jak ptaki kruszą swymi dziobami dachy i ściany, wybijają okna, szponami rozrywają blachę i ryją bruzdy w asfalcie. Niszczyły świat, który moja podświadomość stworzyła z takim pietyzmem, ale powtarzałem sobie, że on nie będzie mi już potrzebny.

– Kocham was – powiedziałem na ułamek sekundy przed tym, jak ciemność dotarła do naszego bloku, a wraz z nią ptasi wrzask i brzęk tłuczonego szkła, huk pękających ścian.

Później była pustka, cisza i chłód.

I głos, blisko, bardzo blisko, który powiedział:

– Zbudź się.

*Wrocław, marzec-kwiecień 2014*

## Posłowie

Opowiadania mają w sobie coś magicznego.

W ogóle literatura jako taka na tysiąc sposobów ociera się o zjawisko nadprzyrodzone. Tworzy coś z niczego. Pokazuje nam istoty złożone ze słów, z liter i znaków interpunkcyjnych, a potem każe nam z nimi sympatyzować albo ich nienawidzić. Dobrze opisaną scenę serwuje nam w wyższej rozdzielczości, z lepszymi efektami specjalnymi i montażem przekraczającym możliwości mistrzów kinematografii. Nieważne, czy czytamy dziesięciotomową sagę, czy drabble długości stu słów. Dobry tekst robi z naszym mózgiem coś niesamowitego i chyba wciąż nie do końca zrozumiałego.

Choć wszyscy znawcy rynku książki przekonywać Was będą, że powieści sprzedają się znacznie lepiej od opowiadań (i nie ma tu znaczenia, czy chodzi o Andrzeja Sapkowskiego, czy o Alice Munro), to właśnie opowiadania zajmują na tle innych gatunków miejsce szczególne czy wręcz, pozwolę sobie powiedzieć, uprzywilejowane. Może chodzi o ich długość, kojarzącą się w jakiś podświadomy, atawistyczny sposób z opowieściami, którymi nasi przodkowie raczyli się nawzajem w długie wieczory, gdy nie było jeszcze prądu, o grach wideo czy Facebooku nie wspominając. Może chodzi o ograniczenie liczby wątków i maksymalnie skondensowaną opowieść – wszak niemało opowiadań opiera się na prawdziwie zegarmistrzowskiej precyzji, gdzie każde zdanie, niby osobny trybik, ma swoją ściśle określoną i niebagatelną funkcję. Może wreszcie podczas kontaktu z opowiadaniem odzywa się w nas jakaś instynktowna tęsknota za pocziwymi, czule wspomnianymi czasami dzieciństwa – przecież większość napisanych prozą książeczek dla dzieci zawiera właśnie opowiadania.

A może istnieje jeszcze jakiś inny powód? Nie wiem.

Wiem natomiast, że opowiadania są dla mnie bardzo ważne jako dla autora. Były ważne na początku, gdy stawiałem pierwsze, jeszcze diablo nieporadne literackie kroki, gdy uczyłem się warsztatu i wyrabiałem sobie technikę snucia historii. Były ważne i później, bo pozwoliły mi zaistnieć – czy to za sprawą wygranych konkursów, czy też publikacji w kolejnych, coraz bardziej prestiżowych mediach: w Esensji, Coś na progu, SFFiH, wreszcie w Nowej Fantastyce. Nadawały się doskonale, gdy urodziło mi się dziecko i na dobrze ponad rok musiałem zarzucić plany pisania czegokolwiek dłuższego, bardziej skomplikowanego. Nadają się i teraz, w ramach odskoczni i wytchnienia od pisania powieści, która jak na złość ciągle tylko puchnie i robi się coraz dłuższa. Napisałem ich już kilkadziesiąt, a w głowie nieustannie roją mi się kolejne historie, kolejne opowieści dojrzewają powolutku, słowo po słowie i zdanie po zdaniu, by któregoś dnia wydać owoc. W postaci opowiadań właśnie.

Cóż mam rzec, lubię opowiadania, a one, zdaje się, lubią mnie.

O krótkiej formie mówi się stosunkowo niewiele. Szkoda, bo przecież opowiadania są często równie – jeśli nie bardziej – wartościowe niż powieści, zarówno pod względem stylistyki, jak i oferowanej wizji. Wśród rzeszy utworów, które odcisnęły na mnie wyraźne piętno, znajdzie się całe mnóstwo rzeczy znacznie krótszych niż powieści. Są tam niezliczone opowiadania i nowele Sapkowskiego, Lovecrafta, Hemingwaya, Poego, Conan Doyle'a. Jest tam „Prawda to jaskinia w czarnych górach” Gaimana, „Ciągłość parków” Cortazara czy „Księżyc na wodzie” Morta Castle'a. Są znakomite miniaturki Dana Rhodesa. Jest „Niestąły księżyc” Nivena, „Ci, którzy odchodzą z Omelas” Le Guin oraz „Piaseczniki” Martina. Całe mrowie genialnych, fascynujących, niepokojących, poruszających tekstów. Utworów, bez których nie byłbym tym, kim jestem.

O opowiadaniach – pozwólcie, że powtórzę – mówi się niewiele. Powieści traktowane są obszernie w recenzjach, podczas spotkań

autorskich, sporo na ich temat dowiedzieć się można nawet z akcji promocyjnych czy coraz popularniejszych kontaktów autorów z fanami za pośrednictwem mediów społecznościowych. W przypadku opowiadań jest już inaczej – zazwyczaj nawet grono osób, z którymi można wymienić spostrzeżenia odnośnie danego tekstu, jest znacznie węższe, niż gdy mowa o powieści. Dlatego mnie, jako czytelnika, szczególnie cieszą sytuacje, gdy opowiadania zostają okraszone kilkoma słowami komentarza. Czy to autorstwa kolegi po fachu – jak w przypadku „Światów Dantego” Ani Kańtoch, gdzie Kuba Ćwiek dzieli się z czytelnikami swoimi wrażeniami oraz rozmaitymi anegdotkami – czy samego twórcy, jak ma w zwyczaju czynić Neil Gaiman, i jak postąpił chociażby Łukasz Śmigiel w swoich bardzo dobrych „Mordercach”. Ja też pozwolę sobie poniżej napisać to i owo o utworach, które pojawiły się w niniejszym zbiorze. Mam nadzieję, że sprawiły Wam frajdę podczas lektury, a to posłowie pozwoli Wam spojrzeć na nie z innej, może bliższej perspektywy.

### „Sklepek z zabawkami”

Rok 2013 był dla mnie rokiem szczególnym. W grudniu 2012 urodził się mój syn Filip i następnych dwanaście miesięcy okazało się czasem zmagania i starcia: z rodzicielstwem, z nowymi obowiązkami i ograniczeniami, ze zmęczeniem, chorobami, z doświadczeniami, na które nic nie jest człowieka w stanie wcześniej przygotować. Musiałem nauczyć się mnóstwa rzeczy i jakoś odnaleźć się w tych nowych realiach. A przede wszystkim zrozumieć i zaakceptować fakt, że nie jestem już jedynym, niepodzielnym panem i władcą swojego czasu. Pojawił się ktoś, za kogo nagle ponosiłem odpowiedzialność. To było przerażające, ekscytujące, wzruszające... po prostu niesamowite.

Rok 2013 był dla mnie ważny też z innych względów. W styczniu premierę miała moja debiutancka książka, mieszanka steampunka i fantasy zatytułowana „Czas ognia, czas krwi”. I chociaż wydawnictwo – mówię to

bez złośliwości i zwyczajnie stwierdzam fakt – zawaliło sprawę na stu różnych frontach (najlepszy dowód: książka przez ponad dwa miesiące od premiery nie była właściwie nigdzie dostępna), to ta publikacja otworzyła mi sporo wcześniej zamkniętych drzwi. Po raz pierwszy w życiu spotkałem się z nowym zjawiskiem – to nie ja prosiłem, żeby ktoś przyjął gdzieś mój tekst, ale odwrotnie, ktoś proponował, abym napisał utwór do takiej czy innej publikacji.

W wyniku takiej właśnie oferty powstał „Sklepik z zabawkami”. Grzesiek Gajek (autor niemałej liczby bardzo dobrych tekstów, jak chociażby „Malowidło”, znakomita powieść grozy), z którym znaleźliśmy się z czasów współpracy z portalem fantastycznym Unreal Fantasy, polecił mnie Juliuszowi Wojciechowiczowi, ten bowiem zbierał autorów do antologii pt. „Toystories”. Książeczka, której motywem przewodnim miały być zabawki, wydana została koniec końców przez wydawnictwo Morpho i nie narobiła szczególnie dużo szumu. A szkoda, bo znalazło się tam kilka ciekawych i dobrze napisanych tekstów.

Inspiracji dla „Sklepiku z zabawkami” było kilka. Ta najbardziej oczywista to oczywiście fascynacja klimatami post-apokaliptycznymi. Uwielbiam tę atmosferę ruiny, upadku, brudu i zdziczenia znaną chociażby z „Mrocznej Wieży” Kinga, serii „Mad Max” czy gier w uniwersum „Fallouta”. Z perwersyjną przyjemnością zabrałem się więc za zmienianie mojego ukochanego, rodzinnego Wrocławia w miejsce zniszczone, tajemnicze, niebezpieczne. Dziecięca, nieco naiwna perspektywa narratora to z kolei wynik pochłanianych wtedy masowo książek – w trakcie pisania tego opowiadania pracowałem też nad doktoratem poświęconym, w dużym uproszczeniu, motywowi śmierci w anglosaskiej literaturze młodzieżowej.

Na koniec kilka ciekawostek. Blok, w którym mieszka główny bohater i w którym pan Kawka rozkłada się ze swoim sklepikiem, istnieje naprawdę – dorastała w nim moja żona. Równie rzeczywisty jest dom na Kochanowskiego, w którym kryje się Bontarski. Natomiast gra, w trakcie

której Kawka opowiada historię naszej polskiej apokalipsy, to bardziej zaawansowana wariacja na temat klasycznego „Ryzyka” i z przyjemnością sam bym w coś podobnego pograł.

„Wszystko dobre, co się dobrze kończy”

Stworzyliśmy kiedyś z paroma koleżankami i kolegami po piórze coś, co nazwane zostało dumnie Ligą Piszących Dżentelmenów. W założeniu była to przede wszystkim online’owa sekcja literacka: wrzucaliśmy swoje teksty na forum, po czym czytaliśmy je sobie nawzajem i komentowaliśmy, sugerowaliśmy zmiany, podrzucaliśmy sobie pomysły. Bardzo dużo się wtedy nauczyłem i wspominam te czasy ze sporym sentymentem. Wciąż trochę żałuję, że w pewnym momencie brakło nam zapału i rozeszliśmy się, każde w swoją stronę. Cóż, życie.

Poza komentowaniem tekstów Liga Piszących Dżentelmenów miała też inne aspiracje. Jedną z nich było pragnienie złożenia antologii naszych tekstów. Narodził się wtedy pomysł „Księgi przysłów” – zbioru opowiadań, w których każdy tekst wiązałby się treściowo i pod względem tytułu z jakimś przysłowiem. Antologia ta nigdy niestety nie powstała, choć część autorów przygotowała swoje teksty... i były to teksty co najmniej dobre – znalazły się wśród nich przykładowo „Nie wszystko złoto, co się świeci” Jacka Wróbla (które finalnie poszło w Nowej Fantastyce), „Kwantowy człowiek” Tomka Przewoźnika (wyróżnienie w konkursie NF i publikacja w Czasie Fantastyki) czy właśnie moje „Wszystko dobre...” (również opublikowane koniec końców w Nowej Fantastyce).

„Wszystko dobre...” to opowiadanie, którego pisanie sprawiło mi mnóstwo frajdy. Najfajniejsze było chyba mieszanie różnych bawiących mnie konwencji. Z jednej strony to science fiction bliskiego zasięgu (sztuczna inteligencja, inteligentny dom), z drugiej są tam wyraźne elementy fantasy (orkowie, elfy i inne istoty kojarzone z folklorem). Odzywają się tam także elementy powieści gangsterskiej czy kryminału

noir, cyberpunka, a wszystko to podlane trochę słodko-gorzkiem, a trochę humorystycznym sosem. Lubię myśleć, że gdyby Gaiman miał napisać opowiadanie w realiach „Shadowruna”, mogłoby wyjść z tego coś zbliżonego. Tylko znacznie lepszego, no bo, wiecie, to w końcu Gaiman.

„Póki śmierć nas nie rozłączy”

Nie potrafię pisać fantastyki naukowej, przyznaję to bez bicia. Zbyt wiele lekcji fizyki czy chemii beztrosko przebimbałem, rozmyślając o tym, o czym rozmyśla większość szanujących się nastoletnich chłopców: o dziewczynach, muzyce, grach komputerowych albo piłę nożnej... niekoniecznie w tej kolejności. Dlatego to opowiadanie – choć rozgrywa się w dość odległej przyszłości i pojawiają się w nim rozmaite technologie wykraczające zauważalnie poza to, czym dysponujemy obecnie – to tak naprawdę nie jest żadne poważne sf. Za obecnymi w nim promieniami Spitzera, wirusem CLEV czy programem Everlast nie stoi żadna twarda nauka. Dlatego – jeśli siadając do tego opowiadania, spodziewaliście się prozy na poziomie Clarke’a, Watta czy Baxtera – przykro mi, ale nic z tego. Nie potrafię tak.

Pozwólcie, że się powtórzę, „Póki śmierć nas nie rozłączy” to nie fantastyka naukowa – to postapokalipsa. Mamy tu ludzkość w ruinie, mamy promieniowanie (nieco inne niż w „Falloutach” i tym podobnych, ale jednak), mamy bohaterów próbujących zachować człowieczeństwo w trudnych czasach. Nie ma tu co prawda dzikusów uzbrojonych w koktajle Mołotowa i zaiwaniających przez pustynię w maskach hokeistów, ale i tak wizja jest mocno niewesoła. No i jest to postapokalipsa jednak, mam nadzieję, nieco inna niż większość: bez hollywoodzkich strzelanin, bez dowodów iście hemingwayowskiej niezłomności charakteru, ale za to intymna, bardzo ludzka, może nawet cikliwa.

A skąd sam pomysł? Na pewno w znacznej mierze zawinił pisany przeze mnie doktorat. Kiedy człowiek przez większość czasu siedzi



w tematach powiązanych ze śmiercią, zarówno pod względem tekstów teoretycznych, jak i czytanych powieści, istnieje spore prawdopodobieństwo, że w jakiś sposób odbije się to na tworzonych przez niego fikcji. Wygląda na to, że te rozmaite lektury coś tam we mnie poruszyły, nie przeszły bez echa (a może Echa?). Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że myśl, którą zawarłem w „Póki śmierć...”, nie należy do szczególnie odkrywczych, a sam temat nieśmiertelności też był już ogrywany nie raz i nie dwa. Czasem jednak jest tak – jeśli kiedykolwiek coś tworzyliście, chyba będziecie wiedzieli, co mam na myśli – że pomysł nie da Ci spokoju tak długo, aż go nie zrealizujesz... i tak właśnie było tym razem. Po prostu musiałem to napisać. Czy było warto – o tym już Wy zdecydujcie.

„Póki śmierć...” ukazało się pierwotnie na łamach internetowego periodyku Fahrenheit. Wersja zamieszczona tutaj różni się od tamtej paroma kosmetycznymi zmianami (przede wszystkim wprowadziłem nieco podrasowanej, przedwojennej technologii i poszerzyłem niektóre sceny), ale w gruncie rzeczy to jest ten sam utwór.

### „Podwójne życie”

Moja przygoda z komiksami miała, można powiedzieć, trzy fazy. Faza numer jeden to pierwsze lata szkoły podstawowej i fascynacja klasykami: zaczytywałem się wówczas w „Batmanach” i „Spidermanach”, ale też w „Thorgalu”, „Kajku i Kokoszu”, „Asteriksie i Obeliksie” czy „Tytusie, Romku i A’tomku”. Faza numer dwa przypadła na późne lata nastoletnie, kiedy to od kolegi mojego brata pożyczaliśmy komiksy już nieco dojrzałe: „XIII”, „Skargę utraconych ziem” czy „W poszukiwaniu Ptaka Czasu”. Faza trzecia ma miejsce obecnie – po latach komiksowej abstynencji wróciłem do nałogu i, choć starannie się pilnuję, żeby nie przedobrzyć, od czasu do czasu kupuję i pochłaniam wydania albumowe pokroju Gaimanowskiego „Sandmana” czy „Batmanów” Franka Millera.

„Podwójne życie” czerpie garściami z tych moich komiksowych fascynacji. To właściwie parodia różnorodnych komiksowych motywów (bogaty utracjusz próbujący wejść w rolę mściciela, lojalny kamerdyner, kryjówka pod rodową posiadłością) i postaci (Batman, Iron Man czy Kapitan Ameryka). A może nawet nie tyle parodia, ile hołd z przymrużeniem oka. Jest tu sporo humoru, w iście komiksowy sposób zwięzła narracja, niemało mrugnięć do czujnych czytelników, a także fajny – mam nadzieję – twist na zakończenie. To wszystko natomiast wciśnięte w steampunkowy kostium z polskimi (czy raczej wrocławskimi) akcentami. Bawiłem się znakomicie, pisząc to opowiadanie (powstało właściwie z przysiadu, w ledwie dwa dni) i mam nadzieję, że Wy też mieliście trochę frajdy z jego lektury.

### „Krağ de Berville’a”

Jednymi z pierwszych przeczytanych przeze mnie ksiązek fantastycznych były zbiory opowiadań umiejscowionych w uniwersum „Warhammera”. Teksty Williama Kinga czy Jacka Yeovila (alias Kima Newmana) nie należały może do tej samej ligi co Tolkien albo Le Guin, ale dla dwunastolatka były rzeczą olśniewającą, fascynującą i przerażającą. Miały oprócz tego jeszcze jedną, gigantyczną zaletę: „ożywiały” świat, który poznawałem wtedy podczas pierwszych, bardzo jeszcze nieporadnych sesji RPG. Nic dziwnego, że niektóre z nich pamiętam do dzisiaj.

Kiedy otrzymałem propozycję napisania opowiadania rozgrywającego się w uniwersum „Wolsunga”, nie wahałem się ani chwili. Po pierwsze dlatego, że to steampunk, jedna z moich ulubionych konwencji. Po drugie z tego względu, iż jest to steampunk bardzo pojemny, w którym można sobie na wiele pozwolić (najlepiej to widać, gdy poczyta się teksty z wolsungowej antologii – znaleźć tam można właściwie wszystko, od humorystycznej przygody spod znaku Indiany Jonesa po krwawe horrory). Po trzecie poczułem, że mogę w jakimś tam malutkim stopniu spłacić dług

zaczepnięty całe lata wcześniej, właśnie podczas czytania warhammerowskich zbiorów. Że może tym razem to ja odrobinę rozbuduję – „ożywię” – świat, w który jakiś nastolatek zagłębia się w poszukiwaniu przygód.

„Krańc de Berville’a” to splot kilku elementów. Jest tu przekręt rodem z *heist movies*, są podróże w czasie, jest para niekonwencjonalnych detektywów, jest wreszcie całe bogactwo wolsungowego świata wraz z jego steampunkowym sztafajem, fantastycznymi rasami. Jest też niemało nawiązań do charakterystycznych elementów jednego z moich ulubionych miast, czyli Londynu. Cóż więcej dodać? To prawdopodobnie najbardziej „zakrecone” z moich opowiadań, więc jeśli gdzieś po drodze się pogubiliście, nie przejmujcie się – główni bohaterowie też się przecież w tym wszystkim pogubili.

### „Fort na wzgórzu”

Wydawać by się mogło, że trudno o bardziej oklepany motyw niż wampiry. Ileż razy można straszyć czytelników tą lubującą się we krwi bestią, ile razy opowiadać o kondycji współczesnego człowieka, przeciwstawiając go demonicznej pijawce? Okazuje się, że całkiem sporo. Temat, który na pierwszy rzut oka wyczerpał już Bram Stoker, jest regularnie uaktualniany, czego dowodem chociażby lata siedemdziesiąte i „Miasteczko Salem” Stephena Kinga czy „Wywiad z wampirem” Ann Rice. Gdy Stephenie Meyer postanowiła w 2005 roku obsypać postać wampira brokatem i ostatecznie wydrzeć go z horrorowej niszy, wydawało się, że poczciwy krwiopijca przepadł i już nigdy nie będzie w stanie przyprawić nas o nic poza uśmieszkiem politowania... ale rok później pojawił się Peter Watts ze swoim genialnym „Ślepowidzeniem” i udowodnił, że wampiry wciąż potrafią być cholernie straszne, trzeba tylko umieć ten temat odpowiednio, *nomen omen*, ugryźć.

Antologii „Księga wampirów”, do udziału w której zostałem zaproszony, przyświecał podobny cel. Chcieliśmy sprawdzić, na ile ten temat jest jeszcze nośny; przekonać się, czy w drugiej dekadzie XXI wieku jest to jeszcze motyw zdolny obudzić w czytelnikach dreszczyk emocji. Przystępując do pisania, nie miałem do końca pojęcia, co chcę dokładnie zrobić, ale wiedziałem, że pragnę wampira drapieżcy, wampira na wpół ludzkiego, na wpół zwierzęcego. Zależało mi na podkreśleniu jego upiorności i grozy, ale też na wyeksponowaniu cienkiej granicy, jaka dzieli go od ludzi. Czułem, że nie podołam temu, opowiadając tę historię we współczesnych realiach, a po „Ślepowidzeniu” w życiu nie brałbym się za łączenie wampirów z sf. Oczywiście wyborem była więc wycieczka w przeszłość, w realia fantasy, ale wampiry w quasi-średniowiecznym settingu to danie, które też serwowano nam już nie raz i nie dwa. Dlatego pojechałem dalej: w czasy antyczne. Ale nie do Rzymu czy Grecji – do diabła, to też już było, vide „Fryne Hetera” Witka Jabłońskiego – a w klimaty celtyckie. Wymagało to sporo przygotowań, ale efekt, mimo lat, które upłynęły od tamtej pory, wciąż bardzo mi się podoba, i uważam „Fort na wzgórzu” za jedno z moich najlepszych opowiadań.

Nawiasem mówiąc, antologia „Księga wampirów”, która ukazała się koniec końców pod szyldem Studio Truso, okazała się zbiorkiem może nierównym, ale jednak przyzwoitym. Jeśli kiedyś będziecie mieli okazję, sięgnijcie po nią – warto chociażby ze względu na rewelacyjny tekst Marcina Podleńskiego czy powodujące rozstrój żołądka opowiadanie Artura Olchowego.

### „W labiryncie”

Rzadko tak bywa, że jestem w stanie przypomnieć sobie, kiedy dokładnie narodził się pomysł na taki czy inny tekst. W przypadku tego opowiadania jest inaczej. „W labiryncie” miało swój początek podczas pewnego wykładu z mitopoetyki na czwartym albo piątym roku studiów. Omawialiśmy wtedy

różne sposoby interpretowania klasycznych greckich mitów – odczytanie przez pryzmat psychoanalizy, krytyki feministycznej etc. – kiedy nagle nasza wizja Tezeusza w realiach postapokaliptycznych: przedzierającego się przez mroczny labirynt z licznikiem Geigera w jednej dłoni i starym rewolwerem w drugiej. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że Minotaur może być czymś więcej niż pół-człowiekiem, pół-bykiem – że może być symbolem.

Od tego się zaczęło. Co prawda gdybym wtedy usiadł i spróbował zrobić z tego opowiadanie, wyszłaby zapewne miętka, pozbawiona większej wartości przygodówka. Na szczęście tak się nie stało. Czułem, że w tym koncepcie jest coś więcej; coś, co mnie przerasta. Czekałem więc. Pozwalałem, żeby ten pomysł puchł, pęczniał, obrastał w nowe elementy, ewoluował. Pisałem inne rzeczy i uczyłem się warsztatu. Co jakiś czas wracałem do Tezeusza, obracałem tę bezkształtną bryłę w łepetynie, sprawdzałem, czy ten dziwaczny owoc aby nie dojrzał do zerwania.

Czekałem sześć, może siedem lat.

Gdy w końcu stwierdziłem, że jestem gotowy, spisałem konspekt tego tekstu. Potem zacząłem pisać. Zazwyczaj popołnienie całego opowiadania zajmuje mi kilka tygodni. W przypadku tekstów dłuższych okres ten się rozciąga do, powiedzmy, dwóch miesięcy. „W labiryncie” pisałem prawie pół roku. Mimo tych lat czekania i powolnego dłubania, które poprzedzały faktyczny start, efekt końcowy i tak pod wieloma względami różnił się od tego, co zaplanowałem sobie w konspekcie. Różnił się na plus. Okazało się, że opowiadanie dojrzywało jeszcze w trakcie pisania. Zmieniało się aż do ostatniej chwili. Chyba nigdy wcześniej nic podobnego mi się nie przydarzyło.

„W labiryncie” to opowiadanie dla mnie absolutnie wyjątkowe. Powodów takiego stanu rzeczy jest niemało, ale chyba najważniejszy jest taki, że za sprawą tego tekstu udało mi się w końcu przedrzeć do Nowej

Fantastyki. Po tej publikacji – bardziej nawet niż po wydaniu debiutanckiej książki – poczułem się pisarzem.

Przy okazji chciałbym wspomnieć o dwóch osobach, bez których „W labiryncie” nie byłoby tym, czym jest. Pierwszą z nich jest Michał Cetnarowski, który redagował to opowiadanie dla Fantastyki: Wydania Specjalnego i odpowiednio wymierzonymi kopniakami, pochwałami oraz radami pomógł mi uwypuklić jego zalety i uzupełnić braki. Natomiast drugim dobrym duchem czuwającym nad tym tekstem jest Grzesiek Gajek, który nie tylko służył mi radą przy fragmencie inspirowanym space operą i pełnił rolę pierwszego beta readera, ale też zasugerował krótki, celny tytuł w miejsce jakiegoś rozwlekłego maszkarona (bodajże „Po nitce do kłębka” czy czegoś podobnego), którym pierwotnie ten tekst ochrzciłem.

„Diabeł na rozstajach”

Literatura to jedna z moich dwóch największych pasji. Tą drugą jest muzyka. Za sprawą starszego brata dorastałem otoczony dźwiękami rockowych herosów, zasłuchany w biografie słynnych muzyków, z wypiekami na twarzy oglądałem widowiskowe koncerty. Z czasem moje spektrum muzycznych zainteresowań rozszerzyło się o metal, blues i inne pokrewne gatunki. W końcu sam chwyciłem za instrumenty – najpierw za gitarę, potem za bas. Ta miłość, podobnie jak pisanie, przetrwała rozmaite próby i wyzwania; mijały lata, a ja zmieniałem kapele i style, ale wciąż grałem. Chyba już nie wyobrażam sobie bez tego życia.

„Diabeł na rozstajach” wywodzi się częściowo właśnie z tej miłości do muzyki. Wspomniane w nim zespoły i artyści należą do – bardzo szerokiego, nawiasem mówiąc – grona moich ulubieńców. Ale to nie wszystko. Jest bowiem też dziecko. Dziecko, dla którego Mike gotów jest pożegnać się ze sceną, zrzec oszałamiającego talentu, tym olbrzymim poświęceniem nadrobić dwa lata zaniedbań. Sam jestem ojcem i rozumiem doskonale tego mojego bohatera: ja dla mojego brzdąca też zrobiłbym

wszystko. Zapłaciłbym każdą cenę. I między innymi o tym jest to opowiadanie. O tym, do czego zdolni są rodzice, gdy w grę wchodzi życie ich dzieci. I o tym – nieprzypadkowo przecież część tekstu napisana jest z perspektywy dorosłego Ally’ego – że dzieci notorycznie zapominają o tym, że zanim się pojawiły, ich rodzice byli kimś innym: ludźmi nierzadko odważniejszymi, barwniejszymi, bardziej niezwykłymi.

### „Zbudź się”

To bardzo osobiste opowiadanie. Robert, czyli dziecko głównego bohatera, jest pod wieloma względami moim synkiem Filipem – kiedy pisałem „Zbudź się”, moja pociecha była nawet w zbliżonym wieku. Bajeczki, które ogląda Robert, oglądaliśmy z Filipem. Zabawki, sposób jedzenia, gesty i zachowania – praktycznie wszystko zaczerpnąłem więc ze swojej codzienności. Pewnie dlatego, zdaniem wielu osób, wyszło tak szczerze, tak naturalnie. I pewnie dlatego moja żona ryczała przy tym opowiadaniu jak bóbr.

„Zbudź się” ma sporo cech klasycznego opowiadania grozy. Poczucie izolacji i bezsilności, świadomość obcowania z niepojętą tajemnicą, niebezpieczeństwo czające się tuż obok. Ale tak naprawdę chyba bliżej temu tekstowi do ciężkiej obyczajówki niż do utworów Lovecrafta czy Barkera. Bo tak naprawdę to jest tekst o rodzicielstwie.

Nikt i nic nie jest w stanie nas przygotować na moment zostania ojcem czy matką. Takie jest moje zdanie. Żadne pogaduchy, filmy, książki, po prostu nic. W momencie kiedy po raz pierwszy widzisz swoje dziecko, kiedy bierzesz je na rękę... wtedy dzieją się cuda, wtedy objawia się magia. I to nie jest bynajmniej magia jednorazowa, ale taka, która z każdym dniem rośnie w siłę i się utrwała. Zmienia cię. Umacnia i zarazem osłabia. Okrada z sił i równocześnie hojnie nimi obdarowuje. To brzmi absurdalnie, wiem. I chyba nie pojmie tego nikt, kto nie nosił chorego dziecka przez pół nocy na rękach, nie czytał mu książek aż do ochrypnięcia, nie oglądał razem

z nim, ramię w ramię, po raz tysięczny tej samej bajeczki o fabule równie skomplikowanej co budowa pierwotniaka. O tym też jest ten tekst – o miłości, która jest potęgą i słabością; o miłości, która potrafi być niewiarygodnie bezinteresowna i okrutnie zaborcza.

Dopiero kiedy skończyłem układać opowiadania w tym zbioru i czytałem je w poszukiwaniu ostatnich literówek, zdałem sobie sprawę z tego, że przez przypadek powstała specyficzna klamra. „Sklepiak z zabawkami” nie ma zbyt wielu punktów stykowych ze „Zbudź się”... ale coś tam jednak jest. Otóż akcja obu opowiadań rozgrywa się w tym samym bloku – w budynku przy ulicy Kołłątaja we Wrocławiu, w którym dorastała moja żona. Dwupoziomowe mieszkanie głównego bohatera w „Zbudź się” to jej dawne mieszkanie, a pokój Roberta to jej dawny pokój, w którym za czasów chodzenia ze sobą oglądaliśmy filmy, słuchaliśmy muzyki, rozmawialiśmy i robiliśmy inne rzeczy, o których dżentelmen nie wspomina publicznie. Widać w tym niepozornym mieszkaniu też tkwiła jakaś magia, która teraz, po latach, wciąż nie daje mi spokoju. A może to my, nasze wspomnienia i doświadczenia, tchnęły odrobinę cudowności w to zwyczajne przecież lokum?

Może cała magia tego świata – cała ta parada niezwykłości, wokół której w takim czy innym stopniu kręcą się teksty z tego zbioru – nie znajduje się nigdzie indziej jak w nas samych?



# Przypisy

[1](#) DMT – psychoterapia tańcem i ruchem (ang. Dance Movement Therapy)

[2](#) ECT – terapia elektrowstrząsowa (ang. Electroconvulsive Therapy)

## Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje

### **SZABLĄ I WĄSEM.**

antologia opowiadań sarmackich pod redakcją Dawida Juraszka

*Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.*

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ognie i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce.... Charakterniki, szubieniczniki i lichy wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

„Szablą i wąsem” to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chełpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

### **DO DIABŁA Z BOGIEM**

antologia opowiadań fantastycznych pod redakcją Dawida Juraszka

*Opium dla ludu w 10 odśłonach.*

Do diabła z bogiem... Ale którym bogiem? Do jakiego diabła i po co? Dziesięciu autorów tej fantastycznej antologii odpowiada na dziesięć różnych sposobów – nigdy jednak na klęczkach.

Czy pisarze zajmujący się fantastyką mogą pisać o religiach? Zbiór opowiadań, który prezentujemy, dowodzi, że nie tylko mogą, ale powinni! Efekt konfrontacji wiary z rozumem, przeszłości z przyszłością, magii z fantazją może Was zaskoczyć. I prędzej czy później niektórzy z was dojdą do wniosku, że to wszystko jest... fikcją.

W zbiór wprowadza opowiadanie „Kismet”. Tam, gdzie zawodzi zdrowy rozsądek, i cuda przestają być łatwe do wyjaśnienia, o wiele łatwiej popaść w fanatyzm, i zatracić się w szalejącej wojnie. Gdy pojawiające się znikąd anioły potrafią w mgnieniu oka spopielić całą wioskę, ciężko jest pozostać przy starej wierze. Sceptycznie nastawiony żołnierz, z nieco mniej sceptycznymi podkomendnymi,

zostaje wysłany, żeby zbadać te cuda. Nie wie jeszcze, iż nie będą to zmagania z kwestią wiary, którą mamy w sercu. Wręcz przeciwnie.

## **NIEDOCZEKANIE**

antologia opowiadań fantastycznych pod redakcją Dawida Juraszka

*Gdyby babcia miała wąsy, czyli antologia historii alternatywnych.*

Co by było, gdyby było inaczej, niż jest? Historie alternatywne to doskonała pożywka dla wyobraźni i niezły sposób na odreagowanie niepowodzeń jednostek i zbiorowości. Bo przecież gdyby wtedy, dawno temu, coś potoczyło się inaczej, to dzisiaj wszyscy byliby zdrowi, bogaci i szczęśliwi. Albo i nie...

Niedoczekanie... Od alternatywy na parę, przez gwiazdnych wojowników i nieśmiertelne dynastie, po kolonializm na odwrót – antologia ośmiu historii alternatywnych z podniesionym czołem odpowiada na pytanie: co by było gdyby?

Antologię „Niedoczekanie” promuje opowiadanie „Parowy Hycel”. Kto parą wojuje, od pary ginie! Krzysztof Kochański bierze na warsztat fascynującą konwencję steampunku i brawurowo nadaje jej autorski szlif godny kunsztu weterana polskiej fantastyki. W świecie na pozór rodem z pozytywistycznych powieści wiek pary i elektryczności okazuje się być wiekiem pary, mechaniki, chemii i... zmysłowości!

## **BIERZ MNIE**

antologia opowiadań zmysłowych pod redakcją Dawida Juraszka

*Cielesne uciechy, gorące spojrzenia, złamane serca.*

Ludzie pióra płci obojga kochają nie tylko książki, i nie z samej jedynie literatury czerpią rozkosz – są przecież przede wszystkim kobietami i mężczyznami. Autorki i autorzy niniejszej antologii spłodzili oto dziewięć śmiałych opowiadań o tym, co najbardziej ludzkie, choć często i obce, dla czytelniczek i czytelników otwartych na nowe doznania.

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość łączą się tu z miejscami bliskimi i dalekimi, nauka i magia z intymnością i pożądaniem, a piękność z potwornością; egzotyka splata się ze swojskością, subtelność z dosadnością, a miłość z seksem.

Z tego mariażu narodził się zbiór pobudzający zmysły i podniecający wyobraźnię, ale też dający do myślenia – nie tylko w długą, bezseną noc.

## **Gdzieś daleko stąd**

antologia opowiadań pod redakcją Dawida Juraszka

*Wędrowcy, włóczędzy, wagabundzi*

Wędrowcy przemierzający dalekie strony. Włóczędzy odchodzący w siną dal. Wagabundzi uciekający byle dalej.

Autorzy niniejszego zbioru poszybowali wysoko na skrzydłach fantazji, zeszli głęboko w labirynt wyobraźni, zapuścili się daleko w gęstwą marzeń, snów i koszmarów - wszystko po to, by oderwać się od tego, co bliskie, i choć na moment znaleźć się gdzieś daleko stąd. Od pustyni Lewantu, przez otchłanie galaktyk, po zawikłane mapy ludzkich losów, każde z tych dziesięciu opowiadań zabierze Cię w podróż, której przecież tak bardzo potrzebujesz. Jak my wszyscy.

## **Agnieszka Hałas: PO STRONIE MROKU**

Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Na odwieczną maszynę przeznaczenia składają się miliony pojedynczych trybików. Takich jak hiszpański alchemik El Claro, wojownicza Sangre Veland, rudy demon Samir von Katzenkrallen czy jedenastoletnia strzyga Maszka. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż przez różne czasy i miejsca – od współczesnej codzienności po rubieże zaświatów, od średniowiecznych Karpat po zbombardowane Nagasaki i płonące World Trade Center.

## **Maciej Żytowiecki: SZUJE, MĄTWY I STRACEŃCY**

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.

## **Andrzej W. Sawicki: KOLCE W KWIATACH**

Zbiór opowiadań ze świata powieści „Nadzieja czerwona jak śnieg”. Historii o tym, jak grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach oblężonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmieńcy muszą zdecydować, po której stronie staną w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotę, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

## **Ela Graf: AGENCJA DIMOON. TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO UMRZE OSTATNI.**

Viaville to spokojne miasto, rodzina Colona zaprowadziła tu porządek kilka lat temu, eliminując niemal całkowicie konkurencję. Ale nie tylko włoska mafia rządzi miastem i chroni tych, którzy się jej podporządkują. Istnieje w Viaville organizacja o wiele potężniejsza, starsza, lepiej ukryta. Ci, którzy do niej należą lub są jej protegowanymi, nie muszą się obawiać prawie niczego. W razie drobnego problemu z prawem pomoże im Agencja Dimoon.

Robert Dimoon jest najlepszym detektywem na całym Złotym Wybrzeżu. Pomagają mu w tym niewątpliwie jego paranormalne zdolności oraz liczni znajomi z wielu, bardzo zróżnicowanych kręgów...

Jednak lato 2002 roku nawet dla niego okaże się niezwykle gorące i burzliwe. Jego spokój zmacną nie tylko tajemnicze morderstwa i dziwne zagadki kryminalne, lecz także budząca się prastara, potężna moc, zagrażająca ustanowionemu od dawna porządkowi...

## **ANTOLOGIA „KRYMINALNA 13”**

to jedyny w swoim rodzaju projekt, firmujący pierwszy konkurs literacki organizowany przez Oficynę wydawniczą RW2010. Znaleźliśmy 13 specjalistów od zbrodni, 13 sprawdzonych fachowców od literackiej mokrej roboty i umieściliśmy ich zabójczo świetne opowiadania w jednym zbiorze. Zarazem poprosiliśmy szanowne autorskie grono, aby wzięło udział w pracach profesjonalnego, kompetentnego i niezależnego jury.

Zapraszam do lektury naszej antologii. Prezentujemy wysmakowany zestaw opowiadań kryminalnych i sensacyjnych, podlanych tajemnicą, doprawionych szczyptą fantastyki, zbiór tekstów na wskroś współczesnych oraz sięgających w przeszłość, a nawet dotyczących wydarzeń i postaci historycznych.

Przed Wami ponad 250 stron, 13 autorów i jeden motyw...

## **Dawid Juraszek: CAIREN. DRAPIEŻCA**

*Gdyby Marco Polo był Conanem Barbarzyńcą... miałby na imię Cairen!*

Dziesięć wartkich opowiadań. Dziesięć orientalnych przygód z prężeniem muskułów i przymrużeniem oka. A w nich bez liku zaginionych cywilizacji, walnych bitew, powabnych

dziewek, groźnych monstrów, magicznych sztuk, starożytnych grobowców, literackich nawiązań, i czego tam jeszcze.

Pośród szczęku mieczy, szabli, koncerzy, sztyletów, kindżałów, puginałów i handzarów, jęku cięciw, bająn mędrców i westchnień rozkoszy... W ociekających przepychem pałacach Czungii, przedwiecznych ruinach miast Goryo, podmorskich grotach potworów Nipponii, przybytkach zmysłowych uciech Syamii... Ramię w ramię i twarzą w twarz z Mengutami, Tuerami, Malajami, Jugurami, Manczami i Parsami... Przez spienione grzywacze Oceanego Morza, niezgłębione dżungle Kmerii, śnieżne pustkowia Xybelii, monsunowe ulewy Czamby... Wszędzie tam, bez zbytnej rewerencji dla chanów, szejków, cesarzy, kalifów, sułtanów, królów, szachów, szogunów czy maharadzów, dumnie, butnie i zuchwale kroczy CAIREN!

## **Andrzej W. Sawicki: KOLCE W KWIATACH**

Zbiór opowiadań ze świata powieści „Nadzieja czerwona jak śnieg” i „Furia błękitna jak ogień”. Historii o tym, jak grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach oblężonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmienicy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie roty, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

## **Maciej Żytowiecki: SZUJE, MĄTWY I STRACEŃCY**

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.

## **Kasia Szewczyk i Jacek Skowroński: MASKI**

Zbiór siedmiu przesyconych grozą historii, w których prawda i fałsz grają z czytelnikiem w ciuciubabkę. Nic nie jest oczywiste, zdrowy rozsądek może okazać się zdrajcą, a szaleństwo –

błogosławieństwem. Po lekturze czytelnik zastanowi się sto razy, nim sięgnie po lukrowane pączki, nie zmrzy oka, nocując w hotelu, i dowie się, do czego potrafi być zdolny człowiek kochający literaturę... ponad życie.

## **Emma Popik: WYWIAD Z BOGIEM**

Kim jest człowiek nazywany przez prosty lud bogiem? Podobno tworzy nowe byty – a to wszak robota bogów. Ale czy jest ważniejszy od wpływowego dziennikarza, który również posiada boską moc? Może wywyższać ludzi swoimi artykułami lub strącać ich w niebyt niesławy byle pomówieniem. Spotkaniu tej dwójki poświęcone jest tytułowe opowiadanie.

Bohaterowie pozostałych, podejmując decyzje, wykonując swoją pracę, wypełniając misje lub rozkazy, mają wpływ na całe miasta, kraje, a nawet planety. Albo intymniej – odmieniają los jednego człowieka, jednej miłości...

## **Emma Popik: NA ZAWSZE PIĘKNI I MŁODZI**

Ofiarujemy czytelnikom sprawdzoną hard sf. Prezentowane opowiadania – ostre, znaczące i niezmiennie ciekawe – ukazywały się drukiem w „Fantastyce”, „Nowej Fantastyce”, „Science Fiction”, „Fantasy and Horror” oraz w osobnych wydaniach książkowych; wśród nich „Mistrz” – uznany za jedno ze stu najlepszych polskich opowiadań. Zebraliśmy je razem i wierzymy, że tą literacką ucztą zadowolimy zarówno wyrafinowanych smakoszy, jak czytelników lubiących po prostu dobrą, „męską” prozę, pełną akcji, przygód, mięsistych scen, ale niepozbawioną refleksji.

## **Emma Popik: WIGILIA SZATANA**

Kolejny rewelacyjny zbiór Emmy Popik to smakowity kąsek dla pasjonatów dobrej fantastycznej prozy i mocnej hard sf, wgrzyzającej się w mózg i przepalającej trzewia.

Tym razem autorka wprowadza nas w świat, który zostanie zbawiony przez... Szatana. Chcesz takiej apokalipsy, takiego końca i nowego początku? Nie chcesz? A jeżeli żadna inna wyższa siła się nie kwapi? Jeżeli Opatrzność odwróciła się od świata i ludzkości?

Coś dla czytelników o stalowych nerwach. „Wigilia Szatana” to kolekcja przejmujących, mocnych opowiadań o upadku cywilizacji, słabości i błędach człowieka, o zbrodniach, które popełnia na najbliższych oraz na otaczającym go świecie.

## **ŚWIATY RÓWNOLEGŁE**

antologia opowiadań fantastycznych

*Sekcja literacka SKF w akcji*

Jaki los czeka małą dziewczynkę i jej ojca osamotnionych w postapokaliptycznym zimowym świecie? Czy genetycznie udoskonalony detektyw rozwiąże sprawę brutalnych morderstw? Co wydarzyło się na L'Isle d'Escargot, jak kończy się przywołanie ducha Chopina i kim naprawdę jest syn śląskiego alchemika, który od najwcześniejszego dzieciństwa ma wrażenie, że wszyscy prócz niego żyją z jakąś straszną tajemnicą?

W „Światach równoległych” znajdziemy opowiadania zarówno autorów znanych i nagradzanych, jak i debiutantów. Znajdziemy SF twarde i humorystyczne, grozę, groteskę, kryminał oraz fantasy w różnych odcieniach. Wszystkie te teksty łączy jedno – udowadniają one, że jeśli szukać gdzieś literackich talentów, to przede wszystkim w Śląskim Klubie Fantastyki.